

Evans Nicholas

ODWAŻNI

Z angielskiego przełożyła MARIA OLEJNICZAK-SKARSGARD

Opis z okładki.

Rok 1959. Ośmioletni Tommy Bedford ma starych mieszczańskich rodziców, ale jego dzieciństwo nie należy do szczęśliwych. Wysłany do prywatnej szkoły z internatem, doświadcza brutalnego traktowania ze strony sadystycznych nauczycieli i kolegów. Udręczony i opuszczony, ucieka w świat fikcji - Dzikiego Zachodu, kowbojów i Indian - który fascynuje go od najmłodszych lat. Gehenna trwa do momentu, gdy jego 24-letnia siostra Dianę, wschodząca gwiazda sceny, podpisuje kontrakt z wytwórnią Paramount i zabiera chłopca do Hollywood. Wychodzi za mąż za jednego z idoli Tommy'ego, aktora Raya Montane, występującego w popularnym serialu westernowym. Świat iluzji nie wytrzymuje starcia z rzeczywistością - dzielny kowboj okazuje się miernotą, brutalem i kłamcą. Kolejny wybuch jego gniewu kończy się tragicznie...

Rok 2007. Tom jest dojrzałym człowiekiem, ma za sobą nieudane małżeństwo i kilka lat choroby alkoholowej. Żyje z dnia na dzień, dźwigając brzemień rodzinnych sekretów, które nie pozwalają mu kochać i być kochanym. W zasadzie nie utrzymuje kontaktów z dorosłym synem Dannym, żołnierzem Korpusu Piechoty Morskiej, pełniącym służbę w Iraku. Dopiero wiadomość od byłej żony, że Danny został oskarżony o wielokrotne zabójstwo, budzi go z letargu. Podejmując dramatyczną walkę o syna, będzie mógł poznać prawdziwe znaczenie słowa „odwaga”. Los daje mu ostatnią szansę, by rozliczyć się z przeszłością...

*

NOWY BESTSELLER AUTORA NIEZAPOMNIANEGO ZAKLINACZA KONI

WYCISKAJĄCA ŁZY WZRUSZENIA OPOWIEŚĆ O CZŁOWIEKU, DŹWIGAJĄCYM BRZEMIEŃ RODZINNYCH
TAJEMNIC, KTÓRY PODEJMUJE DRAMATYCZNĄ WALKĘ O OCALENIE WŁASNEGO SYNA...

www.nicholasevans.com

* * *

Mojej siostrze Susan Britton.

Wolni stracili wszystko,

A dzielni w łózkach tkwią.

Biały kapelusz splywa

Zbytecznych ofiar krwią.

Wyklęto bohaterów

I przepędzono z miasta -

Odważni poznikali,

Gdy tylko wieczór nastał.

Shane Van Clois, Mężczyźni w białych kapeluszach.

* * *

Semper fortis.

Chłopiec szedł korytarzem, mając przed oczami szeroki tyłek strażnika i wiszące u paska kajdanki, pałkę oraz duży pęk kluczy, które podzwaniały przy każdym kroku. Mężczyzna był ubrany w niebieską koszulę przepoconą na plecach i co rusz wycierał dłonią kark. Do tej części więzienia chłopca przedtem nie wpuszczano. Bielone ściany były puste, bez okien, a pod sufitem wisiały świetlówki w prostokątnej obudowie upstrzonej od wewnątrz zdechłymi owadami. Nieruchome gorące powietrze przenikał stęchły zapach kapusty. Z daleka dobiegały jakieś głosy, ktoś krzyczał, ktoś się śmiał, niósł

się echem szczęk metalowych drzwi. Gdzieś grało radio, puszczano najnowszy przebój Beatlesów A Hard Day 's Night.

Cotygodniowe widzenia odbywały się zwykle w drugiej sali obok poczekalni. Prawie nigdy nie było tam innych dzieci. Strażnicy znali już chłopca i gawędzili z nim przyjaźnie, prowadząc go do boksu. Siadał na krześle przed szklaną przegrodą i czekał, aż wprowadzą mamę przez stalowe drzwi w tylnej ścianie. Za każdym razem szło przy niej dwóch

uzbrojonych strażników. Nigdy nie zapomniał, jaki był wstrząśnięty, gdy przyprowadzono ją na pierwsze widzenie: w pasiastym więziennym stroju, w kajdankach i łańcuchach na nogach, z włosami krótko obciętymi jak u chłopaka. Serce pękało mu z bólu.

Po wejściu do sali przebiegała wzrokiem boksy. Gdy go dostrzegła, na jej twarzy pojawiał się uśmiech. Prowadzono ją na miejsce, sadzano przed nim, zdejmowano jej kajdanki, wtedy ona całowała wnętrze dłoni i przyciskała do szyby, a on robił to samo.

Ale tego dnia miało być inaczej. Pozwolono im na widzenie w osobnym pokoju, tylko we dwoje, bez szklanej przegrody. Będą mogli się dotknąć. Po raz pierwszy od blisko roku. I po raz ostatni.

Miał wrażenie, że strażnik prowadzi go daleko w głąb więzienia. Szli labiryntem betonowych korytarzy, mijając kilkanaścioro drzwi zamkniętych na zasuwę i dwa zamki. Wreszcie znaleźli się pod drzwiami z litej stali, w których było małe okienko z szybą zbrojoną drutem. Strażnik przycisnął guzik na ścianie i w okienku pojawiła się twarz strażniczki. Rozległo się brzęczenie, potem pstryknięcie otwieranych drzwi. Kobieta miała pulchną twarz lśniąca od potu. Z uśmiechem spojrzała z wysoka na chłopca.

- Jesteś Tommy, prawda? Kiwnął głową.

- Chodź ze mną. To niedaleko. Poszła przodem.

- Twoja mama tyle nam o tobie opowiadała. Ależ jest z ciebie dumna! Masz zaledwie trzynaście lat, zgadza się?

- Tak.

10

- Nastolatek, no, no. Też mam trzynastolatka. Kawał urwisa z niego.

- Tu ludzie czekają na śmierć? Uśmiechnęła się.

- Nie, Tommy.

- A gdzie?

- Lepiej o tym nie myśl.

Po jednej stronie korytarza ciągnęły się stalowe drzwi, każde z czerwoną i zieloną lampką u góry. Strażniczka stanęła przy ostatnich. Zajrzała przez małego judasza, otworzyła kluczem drzwi i przepuściła chłopca.

- Wejź, Tommy.

W pomalowanym na biało pokoju był metalowy stół z dwoma metalowymi krzesłami i jedno okno. Słońce wlewało się smugą przez kraty, których cień padał na betonową podłogę. Na środku krzyżujących się linii stała jego mama, zupełnie nieruchomo. Uśmiechała się i osłaniała oczy przed słońcem. Zamiast więziennego pasiaka miała gładką białą koszulę i białe spodnie. Żadnych kajdanek ani łańcuchów na nogach. Wyglądała anielsko. Jakby już była w niebie.

Wyciągnęła ręce i przygarnęła go do piersi. Długo stali, nie mogąc wydobyć głosu. Chłopiec przyrzekł sobie wcześniej, że nie będzie płakał. Wreszcie odsunęła go, chcąc mu się przyjrzeć, i z uśmiechem zmierzwiła mu włosy.

- Przydałoby się je podciąć, młodzieńcze.

- Teraz nosi się długie. Roześmiała się.

- Usiądź. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Usiedli przy stole i zaczęła zadawać te same co zwykle pytania: co się działo w szkole, jak poszła klasówka z matematyki tydzień temu,

11

czy poprawiło się jedzenie w stołówce. Starał się odpowiadać obszernie, a nie półśłówkami, sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku. Nigdy nie powiedział jej prawdy: o bójkach w szatni, o tym, jak starsze dzieciaki mu dokuczają, bo jego matka została skazana za morderstwo. Gdy zabrakło jej pytań, po prostu siedziała wpatrzona w niego. Wzięła jego dłonie w swoje ręce i przez dłuższy czas nie odrywała od nich wzroku. Rozglądał się po pokoju. Nie był aż tak wystraszony, jak to sobie wyobrażał. Próbował się zorientować, gdzie są przewody gazowe i zawory.

- To tu?

- Co, kochanie?

- No wiesz, tu jest ta komora? Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie.

- Więc gdzie to się robi?

- Nie wiem. Gdzieś w głębi.

- Aha.

- Tyle chciałam ci powiedzieć, Tommy... Przygotowałam całą przemowę...

Parsknęła krótkim, wymuszonym śmiechem, odchyliła głowę do tyłu i przez chwilę jakby nie mogła mówić dalej. Nie wiedział dlaczego, ale go to rozzłościło.

- ...i wszystko zapomniałam.

Otarła łzy, pociągnęła nosem i znowu wzięła go za rękę.

- Zabawne, co?

- Prawdopodobnie chciałaś mi powiedzieć, jak mam się zachowywać przez resztę życia. Że mam być grzeczny, postępować jak należy i zawsze mówić prawdę.

Cofnął rękę.

12

- Tommy, proszę cię...

- Nie wiem, co ty możesz wiedzieć na ten temat. Przygryzła wargę i opuściła wzrok.

- Od razu powinnaś była powiedzieć prawdę. Kiwnęła głową, starając się opanować.

- Możliwe.

- Na pewno!

- Wiem. Masz rację. Przykro mi.

Milczeli przez dłuższy czas. Promienie słońca sięgnęły bocznej ściany. Wśród nich wirowały złociste drobiny kurzu.

- Będziesz miał udane życie. Zaśmiał się cierpko.

- Zobaczysz, Tommy. Jestem przekonana. Spotkasz ludzi, którzy cię pokochają, zajmą się tobą...

- Przestań.

- Dlaczego?

- Przestań mnie pocieszać!

- Przepraszam.

Potem zawsze żałował, że tego dnia nie był dla niej miłszy. Miał nadzieję, że wiedziała, dlaczego tak się zachowywał. Że był zły nie tyle na nią, ile na siebie. Bo czuł się bezsilny. Bo miał ją stracić i nie mógł umrzeć razem z nią. To było niesprawiedliwe.

Siedzieli tak nie wiedząc jak długo. Dość długo, skoro słońce przestało wpadać przez okno i zaczęło się ściemniać. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich strażniczka o pulchnej twarzy wykrzywionej smutnym, trochę nerwowym uśmiechem.

Jego mama złączyła dłonie.

- No cóż, czas minął - powiedziała pogodnie.

13

Oboje wstali. Uściskała go tak mocno, że z trudem oddychał. Czuł, że cała drży. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała w czoło. Ale on wciąż nie mógł spojrzeć jej w oczy. Gdy go puściła, ruszył do drzwi.

- Tommy? Spojrzał za siebie.

- Kocham cię.

Kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł.

Rozdział Pierwszy.

O świcie znaleźli ślady na wilgotnym piaszczystym brzegu jakąś milę w dół rzeki od miejsca, gdzie stały kryte wozy ustawione kołem na noc. Flint zsiadł z konia, który wyglądał dziwnie: był czarny z przodu i biały z tyłu, jakby zaczęto malować go jedną farbą, ale po namyśle dokończono drugą. Przyklęknął, żeby dobrze obejrzeć ślady. Bili Hawks przyglądał mu się, nie zsiadając z konia i co rusz rzucając okiem na porośnięte krzakami zbocze, które wznosiło się stromo za ich plecami. Niewątpliwie przypuszczał, że obserwują ich Indianie, którzy uprowadzili małą dziewczynkę. Wyjął rewolwer, sprawdził, czy jest naładowany, i włożył z powrotem do kabury.

- Co sądzisz?

Flint milczał. W oczach każdego, również Billa Hawksa, ślady wyglądały jak zwykłe zagłębienia w mokrej ziemi. Natomiast Flint McCullough potrafił wyczytać z nich całą historię.

- Pewnie wprowadzili konie do rzeki i pojechali z prądem, żeby nie zostawić śladów dokoła obozu - powiedział Bili. - Widać, że tu wyszli na brzeg.

15

Flint nadal przyglądał się śladom.

- Mhm... A przynajmniej chcę, żebyśmy w to uwierzyli. Wskoczył na siodło i skierował konia do rzeki.

- Jak to?

Flint znowu zamilkł. Przejechał po płyciźnie na drugą stronę, a potem ze trzydzieści jardów w dół rzeki, uważnie patrząc na każdy kamień i każdą kępę trawy. Po pewnym czasie znalazł to, czego szukał.

- Co jest, Flint? Gadaj wreszcie.

- Sam zobacz.

Bili przeprowił się przez rzekę. Flint już kucnął na brzegu, badając teren.

- Psiakrew, Flint, mów, o co chodzi? Dlaczego sterczymy tu, zamiast ich gonić?

- Między głazami, widzisz? Znowu odciski kopyt. Na tamtym brzegu są jakby płytsze. Bez jeźdźców. Stara sztuczka Szoszonów. Puszczają luzem część koni, a sami skręcają w inną stronę, żeby cię zmylić. Pojechali tędy.

Bili Hawks pokręcił głową z podziwem i jednocześnie z irytacją, jak to często robili inni, również zaskoczeni błyskotliwością Flinta.

- Bardzo nas wyprzedzają?

Flint spojrzął na słońce, mrużąc oczy.

- Trzy godziny, może trzy i pół.

- Ilu ich jest?

- Trzy konie, pięciu albo sześciu ludzi. I dziewczynka.

- W drogę.

Flint dosiadł konia i pojechali dalej brzegiem rzeki.

- Tommy! Czas do łóżka!

To mama wołała go z kuchni. Zawsze nie w porę. Tommy udał, że nie słyszy.

16

- Tommy?

Stanęła na progu salonu, wycierając ręce w fartuch.

- Wystarczy. Jest już wpół do dziewiątej. Idź na górę.

- Mamo, oglądam Wagon Train. Trwa godzinę. Wyglądała tak, jakby z trudem zbierała myśli.

Towarzyszył

jej, jak zwykle wieczorem, zapach ginu i papierosów. Tommy obdarzył ją swoim najbardziej anielskim uśmiechem.

- To mój ulubiony serial. Mamo, zgódź się.

- No dobrze, wisusie. Przyniosę ci mleko.

- Dzięki.

Kilka dni wcześniej Flint natknął się na małą białą dziewczynkę, która wędrowała samotnie przez pustkowie. Miała podartą, zakrwawioną sukienkę i wielkie ze strachu oczy. Major próbował delikatnie ją wypytać, ale chyba odebrało jej mowę. Flint uważał, że pewnie jechała w drugiej karawanie wozów, które napotkały na swojej drodze oddział Szoszonów, i jakoś zdołała uciec. Potem, poprzedniej nocy, Indianie zakradli się do obozu i porwali ją, gdy spała.

Ale Flint McCullough, bez wątplenia najdzielniejszy i najbystrzejszy zwiadowca na świecie, i tak odnajdzie dziewczynkę, zabije Indian i odprowadzi całą i zdrową do obozu.

W odcinku nadawanym tego wieczoru Flint nosił obcisłą kurtkę z kozłej skóry, ozdobioną na ramionach frędzlami. Tommy, rzecz jasna, miał na sobie taką samą. No, prawie taką samą. Mama

uszyła mu ją z resztek beżowego materiału, pozostałych po zrobieniu nowych zasłon do sypialni, tyle że kurtka była za duża i za luźna, a poza tym sztuczny welur w ogóle nie przypominał koziej skóry. Ale lepsze to niż nic. Tommy miał również kapelusz i pas z kaburą na rewolwer, przy której wisiał skórzany rzemyk do przewiązania uda -

17

rzeczy trochę podobne do tych, jakie nosił Flint. No i sześciopistołowego czarnego peacemakera z białą rękojeścią-prezent urodzinowy od jego siostry Dianę - który wyglądał tak autentycznie, że zdaniem Tommy'ego nadałby się do napadu na prawdziwy bank. Na ten przygodowy wieczór włożył do rewolweru nową rolkę kapiszonów, jasnoniebieskich w białym opakowaniu, głośniejszych niż te tańsze czerwone od Woolwortha.

Był początek września. Zmierzchało. Przez duże wykuszowe okno wpadało chłodne powietrze pachnące wilgotną po deszczu ziemią i gnijącymi na trawniku jabłkami. Na starej wiśni śpiewał kos, a dalej, na łące, która ciągnęła się za ogrodem, krowa przywoływała cielaka. Tommy siedział w rogu nowej ogromnej kanapy. Była obita materiałem w czerwono zielone kwiaty, od których kręciło się w głowie, gdy za długo się na nie patrzyło. Stanowiła komplet z dwoma fotelami zajmującymi tak dużo miejsca, że trzeba było przeciskać się bokiem do telewizora, który stał w okazałej fornirowanej mahoniem szafce w kącie pokoju.

Niegdyś mieszkał tu robotnik rolny. Potem rodzice Tommy'ego powiększyli dawną chatę o paskudną przybudówkę. Choć cały dom został pobielony, wyglądał pokracznie. Stał w niewielkim ogrodzie, na łagodnym zboczu zalesionego wzgórza, z którego widać było miasto, podchodzące coraz bliżej, w miarę jak rolnicy, jeden po drugim, sprzedawali swoje pola deweloperom. Rozpoczęto już budowę ogromnej czteropasmowej autostrady, która miała łączyć Birmingham z Bristolem. Ojciec Tommy'ego często narzekał, że okolica straciła wiejski charakter.

Ale Tommy'emu się podobała. Mieszkał tu od urodzenia.

18

Ogród od frontu nie budził jego zainteresowania: był za mały, sztywniacki i wymuskany. Ale gdy poszło się przez ogród za domem, pod górę ścieżką z kruszejących cegieł, obok starej szklarni i rozlatujących się osłon malin, ukazywał się zupełnie inny świat. To tu, wśród bujnych jeżyn, pokrzyw i wierzbownicy, gdzie nikt inny nie postawił nogi, Tommy spędzał większość dnia. To był jego własny, tajemny Dzik Zachód. Ziemia Indian.

Miał kilku przyjaciół z niewielkiej lokalnej szkoły, do której zaczął chodzić przed trzema laty, i czasem bawił się z nimi u nich w domu. Mama rzadko pozwalała mu zapraszać ich do siebie. Właściwie mu na tym nie zależało. Wiedział, że według kolegów jest trochę dziwny i ma bzika na punkcie westernów. Woleli bawić się w żołnierzy albo w policjantów i złodziei, a jeśli już namówił ich, żeby odgrywali sceny z Wagon Train, zawsze dochodziło do kłótni, kto będzie Flintem McCullough. Tak naprawdę Tommy najchętniej bawił się sam. Zresztą wszyscy najlepsi kowboje byli samotnikami.

Doskonale naśladował chód Flinta. Także jego nawyk unoszenia brody i brwi, gdy się nad czymś zastanawiał, albo, przykucnąwszy, badał jakieś ślady lub rozgrzebywał dogasający żar, by zobaczyć, kiedy palono ogień. W dzikiej części ogrodu Tommy stratował krzaki jeżyn i na małej polance trzymał

nawet konia - konar starego klonu z dwoma kikutami po gałęziach, dokładnie tam, gdzie powinny być strzemiona, i jeszcze jednym, do którego był przywiązany brązowy sznurek służący jako wodze. Zamasyście wskakiwał na siodło zupełnie jak Flint, z nonszalancją lub z całą powagą, zależnie od przebiegu akcji w jego głowie.

Próbował wczuć się również w sprawy,

19

trudne do zrozumienia dla ośmiolatka. Dotyczyły przede wszystkim tego, co „w duszy gra”. Flint potrafił odczytać charakter człowieka tak trafnie, jak czytał ze śladów końskich kopyt. Nie zdradzał swoich myśli, rzadko się uśmiechał i odzywał się tylko wtedy, gdy miał do powiedzenia coś bardzo ważnego. Podczas swoich samotnych przygód Tommy imitował to męskie zachowanie, nucąc motyw przewodni serialu lub bardziej dramatyczną melodię ze scen z Indianami. Kiedy wymagał tego tok akcji, z jego ust padały słowa (głośno, ale nie aż tak, żeby słyszał je ktoś idący alejką za żywopłotem) wypowiedane z kowbojskim akcentem Flinta.

Nie zawsze odtwarzał sceny z Wagon Train. Lubił odgrywać także Reda McGrawa z serialu Sliprock, najszybszego strzelca ze wszystkich. Czasami stawał przed lustrem w swoim pokoju, przyjmując groźną postawę i trzymając rękę zawieszoną tuż nad rewolwerem, jak to robił Red, i wypowiadał słowa, którymi zaczynał się każdy odcinek: „W miasteczku Sliprock, sercu Starego Zachodu, gdzie rządzi bezprawie i wielu żyje w strachu przed kilkoma, jeden człowiek samotnie stawia czoło niesprawiedliwości - Red McGraw”.

Zdarzało się, że dla odmiany wcielał się w Rowdy'ego Yatesa z Rawhide albo Cheyenne'a Bodiego, albo Matta Dillona. Maverick też był w porządku, tyle że za często wysiadywał w saloonach i ubierał się w śmieszne miastowe stroje. Tommy wolał tych, którzy nosili ubranie z kozłej skóry i jeździli konno po pastwiskach, walczyli z Indianami, łapali koniokradów i innych opryszków. Natomiast nigdy, za żadne skarby świata, nie odgrywał tych głupich i mało męskich kowbojów, którzy mieli dwa srebrne rewolwery, jak Hopalong Cassidy czy Lone Ranger, i kabury bez rzemyków do przewiązania uda. Przecież poważny strzelec

20

musi mieć kaburę z rzemykiem. Najgorsi byli ci, którzy śpiewali - kto to widział! - na przykład Gene Autry albo ten bezsensowny Roy Rogers.

Mama Tommy'ego znów pojawiła się w pokoju, trzymając szklankę z mlekiem w jednej ręce i talerzyk z szarlotką w drugiej. Z ust zwiślał jej kolejny papieros. Nie odrywając oczu od telewizora, Tommy wziął mleko i szarlotkę.

Flint i Bili Hawks ukryli się teraz za głazami, obserwując obóz Indian. Zapadła noc, Indianie spali przy ognisku, tylko jeden pilnował dziewczynki, ale nawet on co i raz przysypiał. Dziewczynka była przywiązana do kłody drewna i wyglądała żałośnie.

- Tylko nie rozlej.

Mama zaciągnęła się papierosem, wypuściła dym w górę i przez chwilę stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami, oglądając film.

- O, to ten, co go lubię. Jak on się nazywa?
- Flint McCullough.
- Chodzi mi o aktora.
- Nie wiem, mamo.
- Robert jakiś tam. Przystojniak.
- Mamo, nie przeszkadzaj!

Flint i Bili już mieli ruszyć na ratunek dziewczynce, gdy puszczone reklamy. Mama Tommy'ego jęknęła i wyszła z salonu. Zdaniem jego rodziców „reklamy były dla prostaków”. W szacownych domach oglądało się tylko BBC, która miała klasę i nie nadawała reklam. Tommy nie rozumiał, w czym problem. Tak naprawdę reklamy często były lepsze niż to, co szło przed nimi i po nich. Tommy niemal wszystkie znał na pamięć. Podobnie jak Dianę doskonale naśladował ludzi i czasami,

21

gdy rodzice przyjmowali gości, matka prosiła go, by odegrał męczyznę z reklamy papierosów Strand. Opierając się namowom, nie całkiem szczerze, wychodził z pokoju i po kilku minutach wracał nonszalanckim krokiem, ubrany w stary kapelusz filcowy ojca i płaszcz przeciwdeszczowy z podniesionym kołnierzem. Z markotną miną pociągał niezapalonego papierosa, którego wyjął ze srebrnej szkatułki na stoliku, i mówił: „Ze strandem nigdy nie jesteś sam”. Zawsze wybuchał gromki śmiech i niekiedy nawet nagradzano go oklaskami. Na prośbę matki odgrywał na bis, nadal w tym samym stroju, sierżanta Joego Fridaya z Dragnet.

„Och, mamo”, droczył się, na co od razu rozległo się chóralne: „Dalej, Tommy, nie każ się prosić!”. Wobec tego, przybierając jak najpoważniejszą męską minę, z jaką sierżant Friday wypowiadał beznamiętnie swoje kwestie, oznajmiał, że wydarzenia, które zaraz zostaną przedstawione, dzieły się naprawdę i zmieniono jedynie nazwiska, by chronić niewinnych. „Fakty, szanowna pani, same fakty”.

Ledwie skończył jeść szarlotkę, Flint i Bili załatwili już sprawę. Indianie leżeli martwi lub uciekli, dziewczynka została uratowana i zawieziona do obozu osadników, gdzie pojawił się jej tata. Miał zabandażowaną głowę, ale poza tym nic mu nie dolegało. Ze łzami w oczach padli sobie w ramiona, a potem wszyscy usiedli do kolacji przy ognisku. Jedli bekon z fasolą, bo chyba tylko to umiał ugotować kucharz Charlie.

Jak trafnie domyślił się Flint, drugą karawanę wozów zaatakował oddział Szoszonów, którzy chcieli, żeby dziewczynka została czyjąś squaw. Co to miało znaczyć, Tommy za dobrze nie wiedział. W każdym razie dziewczynka odzyskała mowę i w sumie wszystko skończyło się pomyślnie, jak prawie zawsze.

22

Tommy zdjął kowbojski kapelusz i mnąc palcami rondo, siedział ze wzrokiem wbitym w ekran, aż ucichła melodia przewodnia i wyświetlono napisy końcowe.

- Pójdiesz wreszcie na górę? - Z kuchni doleciał go głos matki. - Ojciec lada chwila będzie w domu.

- Idę.

Zaniósł pustą szklankę i talerz do kuchni, niedawno wyremontowanej. Wszystko było teraz pokryte jasnoniebieskim laminatem. Mama stała przy kuchence i ze znudzoną miną mieszała w garnku. W radiu, stacja BBC, nadawano wiadomości: spiker mówił, że Rosjanie szykują się do wystania na Księżyc rakiety bezzałogowej.

Matka Tommy'ego tak naprawdę nazywała się Daphne, ale nie znosiła swojego imienia, więc mówiono do niej Joan. Była niską, krągłą kobietą o pulchnych ramionach i jasnej skórze i dostawała wypieków, ilekroć była wzburzona, to znaczy dość często, a jej fryzura była wzburzona zawsze, najbardziej w piątki, gdy matka farbowała włosy i układała w sztywne, mocno skręcone loczki okalające głowę jak hełm.

Tommy umył po sobie szklankę i talerz i odłożył na suszarkę, gdzie stała popielniczka z dymiącym papierosem matki, a obok kryształowa szklanka z ginem i tonikiem. Matka zawsze robiła sobie pierwszego drinka, gdy w radiu Big Ben wybijał osiemnastą. Ten był pewnie trzeci.

- Kiedy Dianę wróci do domu?

- Późno. Przyjedzie ostatnim pociągiem.

- Mogę na nią poczekać?

- Nie! Zobaczysz ją rano. A teraz marsz na górę. Dianę miała dwadzieścia cztery lata i mieszkała w Londynie,

nieopodal dworca Paddington. Razem z trzema koleżankami

23

wynajmowała górę dużego starego domu. Tommy był tam tylko raz, gdy mama zabrała go do lekarza przy Harley Street. Dianę przyjeżdżała prawie na każdy weekend i gdy tylko przekroczyła próg, dom wypełniał się śmiechem i światłem. Zawsze dawała Tommy'emu jakiś prezent, śmieszny, nietuzinkowy i często, jak uważała mama, zupełnie nieodpowiedni dla chłopca w jego wieku. Przywoziła najnowsze płyty, przy których tańczył cały Londyn, albo z muzyką do nowego musicalu, który widziała w teatrze. Ostatnim razem kupiła płytę z West Side Story, którą puszczała bez przerwy na adapterze, śpiewając do wtóru, aż znali wszystkie piosenki na pamięć. Od tamtego czasu Tommy nie przestawał nucić I like to be in America.

Dianę była najzabawniejszą osobą na świecie. Ciągłe robiła kawały, nawet nieznanym. Dzwoniła do ludzi, podszywając się pod kogoś. Robiła rzeczy, jakich nie można się spodziewać po dorosłych, na przykład wsypywała sól do cukierniczki i na odwrót albo stawiała kubek z wodą na drzwiach do łazienki i ten, kto wszedł do środka, był cały mokry. Mama dostawała szału (właśnie to chciała osiągnąć Dianę), natomiast ojciec odkładał z westchnieniem gazetę i mówił: „Przestań, Dianę. Ładny przykład dajemy chłopcu. Może powinniśmy postępować trochę bardziej odpowiedzialnie?”. Na co ona mamrotała: „Tak, tato, przepraszam, tato”, po czym robiła miny za jego plecami, naśladując go, albo wsadzała kciuki do uszu, wystawiała język i robiła zeza, a wtedy Tommy nie mógł wytrzymać i parsknął śmiechem.

Dianę była aktorką. Jeszcze nie zdobyła rozgłosu, ale wszyscy mówili, że wkrótce tak się stanie. Ponieważ znano już jedną Dianę Bedford, starszą aktorkę, przyjęła panięskie nazwisko matki i występowała jako Diane Reed. Tommy był bardzo dumny z siostry. Na ścianach w jego sypialni wisiały jej zdjęcia,

24

wycinki z gazet i duże plakaty do sztuk, w których grała, obok plakatów do westernów i fotosów.

Najbardziej lubił fotografię z ilustrowanego magazynu, na której miała wieczorową suknię z czarnego atłasu, duże błyszczące kolczyki i białą etolę. Zdjęcie zrobiono nocą przed Cafe Royal, słynną londyńską restauracją odwiedzaną przez gwiazdy. Dianę stała z odchyłoną do tyłu głową, roześmiana, jakby właśnie usłyszała świetny dowcip. Tommy nigdy nie widział nikogo tak pięknego. Nagłówek brzmiał: Wschodząca gwiazda, a podpis: Diane Reed - twarz lat sześćdziesiątych. Mama, która zazwyczaj potrafiła zgasić wszelki zapal, uznała takie stwierdzenie za przedwczesne, ponieważ był dopiero rok 1959.

Leżąc w wannie, Tommy znów poczuł w brzuchu ciężar, który od pewnego czasu narastał niczym stosy dziwnych nowych ubrań na łóżku w pokoju gościnnym. Dwie pary krótkich spodni z flaneli, dwa szare swetry, cztery szare koszule, sześć par szarych podkolanówek, cztery pary majtek i cztery podkoszulki, szorty i koszulki (biała i zielona) do wufu, tuzin białych bawełnianych chustek do nosa, krawat w zielono żółte paski i ostatnia rzecz: ciemnozielony blezer i do niego czapka, na obu żółte godło, które przedstawiało dwa skrzyżowane miecze i tarczę ze słowami Semper fortis, mottem szkoły. Ojciec powiedział, że to wyrażenie, oznaczające, iż zawsze trzeba być dzielnym, jest napisane w języku łacińskim, którego Tommy zacznie się wkrótce uczyć, choć język jest „martwy” i nikt nim teraz nie mówi.

Na każdej sztuce garderoby mama przyszyła tasiemkę z napisem „Bedford T.". Tommy nigdy dotąd nie widział swojego nazwiska napisanego w ten sposób. Tak samo namalowano je na dużej czarnej walizce i drewnianej skrzyneczce na smakołyki;

25

obie stały na podłodze przy łóżku i powoli się zapełniały. Wydało mu się dziwne, że można zamieszkać w miejscu, gdzie nikogo nie obchodzi, jak człowiek ma na imię. Ale właśnie w takim miejscu miał się znaleźć już za dwa dni.

Wciąż nie pojmował, dlaczego właściwie rodzice wysyłają go do szkoły z internatem. Gdy go o tym poinformowali, pomyślał, że na pewno zrobił coś złego i nie chcą z nim przebywać. Wiedział, że Diane była temu przeciwna. Któregoś wieczoru zeszłej zimy, leżąc już w łóżku, słyszał dochodzące z dołu odgłosy jej sprzeczek na ten temat z rodzicami. Gdy miała jedenaście lat, ją też wysłano do jakiejś ponurej szkoły o nazwie Elmshurst, położonej wśród wzgórz Malvern. Uciekała stamtąd trzy razy - tak jej nie zносиła. Ostatnim razem, jakiś rok przed narodzinami Tommy'ego, podobno odwieziono ją do domu wozem policyjnym. Wobec tego, skoro wiadomo, że jest tam okropnie, dlaczego rodzice chcą to samo zrobić jemu?

Dianę nigdy się hamowała, gdy dochodziło do sprzeczek w rodzinie, i przeważnie po niedługim czasie zaczynała krzyczeć. Matka wypadła wtedy z pokoju, zazwyczaj trzaskając drzwiami, a ojciec wkładał

fajkę do ust, brał gazetę i udawał, że nie słucha, co niezawodnie sprawiało, że Dianę wpadała w jeszcze większy gniew. Tamtego wieczoru z jego niewyraźnych odpowiedzi na jej gwałtowny sprzeciw wobec wyboru szkoły z internatem Tommy zrozumiał strzępy zdań: „wyjdzie chłopcu na dobre”, „zahartuje go”, „zrobi z niego mężczyznę”. Zawsze chciał szybko dorosnąć, ale stawanie się mężczyzną w wieku ośmiu lat było jednak chyba trochę przedwczesne.

Nie śmiał zapytać ojca, na czym dokładnie polega ta przemiana, ale matka zapewniła go, że wszyscy chłopcy z porządných domów uczęszczają do szkół z internatem. A w ogóle,

26

dodała, i tak ma szczęście, bo czasem posyła się tam nawet sześciolatków. Co więcej - Tommy usłyszał, jak mówiła to cici Verze (i każdemu życzliwemu słuchaczowi) - prywatna szkoła podstawowa dla chłopców Ashlawn należy do najlepszych w Worcestershire. Wśród sławnych absolwentów znajdują się członek reprezentacji Anglii w rugby, jeden z konstruktorów samochodu Mini oraz major wojsk lądowych, który otrzymał Krzyż Wiktorii za udział w walkach z Japończykami.

- Co on zrobił?

- Nie pamiętam, ale wiem, że był bardzo dzielny.

- Dzielniejszy niż tata?

- Oczywiście. Tata dał się tylko postrzelić podczas wojny. Ojciec walczył z Niemcami i został ranny w nogę, dlatego

trochę utykał. Przez jakiś czas nawet siedział w niewoli, ale, niestety, nie uciekł, jak to zawsze robią jeńcy w filmach. Dla Tommy'ego bycie dzielnym było równie ważne jak bycie mężczyzną. Jedno wiązało się z drugim. Oglądanie godzinami westernów zrobiło swoje. Tommy zastanawiał się ostatnio, jak zachowałby się Flint McCullough na wiadomość, że wysyłają go do szkoły z internatem. Na pewno by się nie rozplakał. Może uniósłby brodę, kiwnął po męsku głową. Tommy spróbował to zrobić, ale ciężar w brzuchu nie chciał zelżeć.

Prawdopodobnie powodem wysłania go do szkoły był problem, który wszyscy - to znaczy rodzice i masa lekarzy - starali się rozwiązać, od kiedy Tommy sięgał pamięcią. Ta wstydliva sprawa kładła się cieniem na życiu całej rodziny i pewnie dlatego nie chciano z nim mieszkać pod jednym dachem.

Nie przytrafiało się to co noc. Czasem mijały dwie albo nawet trzy noce z rzędu i wtedy matka wołała z przejęciem:

27

- Wspaniale, Tommy! Uporałeś się z tym! Brawo!

A następnej nocy znowu to się działo - jakby siedział w nim jakiś złośliwy chochlik i płał wszystkim figle. Tommy budził się wcześniej rano, gdy w domu panowała cisza, i czuł, jak między udami rozchodzi się znajome wilgotne ciepło. Leżał w łóżku, obrzucając się wyzwiskami i czując do siebie odrazę, bezgłośnie szlochając z wściekłości i żalu nad sobą.

Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego moczy się do łóżka. Matka twierdziła, że w następstwie świnki, którą ciężko przechodził w wieku trzech lat, osłabiła się jego „hydraulika”. Jeden z doktorów - Dianę nazywała go specjalistą od czubków - uważał, że chłopiec robi to rozmyślnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zalecił stosowanie systemu kar i nagród. Mniej więcej przez miesiąc sprawdzali jego skuteczność. Po suchej nocy Tommy mógł iść spać pół godziny później. Po mokrej nie mógł oglądać telewizji i nie dostawał lodów ani czekoladek. Szybko się okazało, że ta metoda wprawia wszystkich w zły humor i przygnębienie. Jak wcześniej zalecane kuracje została w końcu zarzucona i wybrano się do innego lekarza, a potem do jeszcze innego.

Lekarz z Harley Street dał im specjalny gumowy podkład pod prześcieradło, zapewniając, że ten nowy wynalazek już jest wykorzystywany z wielkim powodzeniem w Ameryce. Podkład miał elektryczne czujniki i kabel z czarnej gumy, który podłączało się do gniazdka w ścianie. Gdy tylko urządzenie wykryło wilgoć, choćby małą strużkę, aplikowało wstrząs elektryczny - o niewielkiej sile, zapewnił pan doktor, „wystarczającej, by chłopiec się obudził” - i włączało dzwonek alarmu. Tommy nie wiedział, ile kosztowało, ale gdy zobaczył minę matki po otrzymaniu rachunku, domyślił się, że kwota była spora.

28

Próby przeprowadzili pierwszej nocy, nad ranem. Rozbłysło niebieskie światło, rozległ się głośny trzask i Tommy wystrzelił z łóżka niczym rakieta w kosmos. Wylądował na podłodze, mając na pośladku oparzenie, które goiło się dwa tygodnie.

Podczas ostatnich kilku miesięcy, gdy wielkimi krokami zbliżał się termin wyjazdu do świata dzielnych mężczyzn w szkole podstawowej Ashlawn, trwały szaleńcze poszukiwania skutecznego lekarstwa. Ale im więcej o tym rozmawiano, tym mniej Tommy panował nad pęcherzem.

Przez całe lato brał jakieś małe żółte tabletki, które miały sprawić, że będzie lekko spał i budził się, żeby zrobić siusiu. Nie pomogły mu się obudzić, za to przez cały dzień czuł, że nie jest sobą, lecz jakąś zwariowaną postacią z kreskówki. Jak nigdy dotąd rozpiełała go energia, nie usiadł spokojnie nawet minuty, był tak hałaśliwy i rozgorączkowany, że przed kilkoma dniami, nie mogąc dłużej tego znieść, jego matka spuściła resztę tabletek w klozecie.

Najnowszy - i prawdopodobnie ostatni - sposób, który miał zapobiec nocnemu moczeniu, sprowadzał się do podłożenia pod nogi łóżka sporych klocków drewna. Mama przeczytała o tym w jakimś czasopiśmie. Metoda polegała na zmniejszeniu parcia na pęcherz poprzez „wykorzystanie siły ciężkości”, wyjaśniła rodzinie. A zatem Tommy musiał spać z nogami w górze, pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni do powierzchni podłogi. Na razie moczył się co noc i co rano budził się ze sztywną szyją, zsuniętą pod ścianę.

Gdy ojciec wrócił do domu, Tommy leżał w łóżku i żeby zdusić myśl o wyjeździe do szkoły, czytał komiks o bitwie Custer nad Little Bighorn. Generał Custer był jednym z jego ulubionych bohaterów z realnego świata. Na całej stronie

29

zamieszczono wizerunek generała w spodniach i kurtce z kozłej skóry, okrążonego przez krwiożerczych dzikusów, z dymiącym rewolwerem w każdej ręce i długą żółtawą brodą rozwianą przez wiatr.

Arthur Bedford pracował jako księgowy w firmie, która mieściła się w Birmingham i produkowała części do samochodów osobowych. Tommy właściwie nie miał jasnego wyobrażenia, na czym ta praca polegała, poza tym, że trzeba zajmować się pieniędzmi i być dobrym z matematyki, która bez dwóch zdań jest najwstrętniejszym przedmiotem na świecie. Na samo słowo „dzielenie” przechodził go dreszcz. Nic więc dziwnego, że ojciec wracał do domu zmęczony i przygnębiony. Ale na dobrą sprawę wyglądał tak prawie zawsze. Bardzo możliwe, że miało to związek z matką, która ciągle go krytykowała i zdręczała. Wszystko, co ten biedak zrobił albo czego nie zrobił, działało jej na nerwy albo ją złościło.

Ojciec wyglądał na zadowolonego tylko wtedy, gdy był albo w cieplarni i pielęgnował swoje pomidory, albo w małym warsztacie w tylnej części garażu, gdzie przesiadywał godzinami ze szkłem powiększającym i lampką czołową, starannie klejąc kawałki rozbitej porcelany. Ludzie przywozili mu do naprawy wazony, talerze, filiżanki i spodeczki. Robił to doskonale. Nikt by nie poznał, że naczynie w ogóle się rozbiło.

Najbardziej ekscytująca, choć trochę zagadkowa, była jego przynależność do klubu tak niewiarygodnie tajnego, że nie wolno było zadawać na ten temat żadnych pytań ani nawet wspominać, że wie się o jego istnieniu. Członkowie klubu nazywali się wolnomularzami i spotykali się potajemnie co miesiąc, w czwartek wieczorem, w tak zwanej loży. Pozdrawiali się specjalnym uściskiem dłoni, utrzymywanym w tajemnicy,

30

żeby od razu wiedzieli, czy mają do czynienia z prawdziwym członkiem klubu, czy ze szpiegiem, który chce wniknąć w ich szeregi. Wszystkie masońskie akcesoria ojca leżały w płytkiej skórzanej walizeczce, wysoko na szafie w jego sypialni. Któregoś dnia Tommy zajrzał do środka, spodziewając się, że zobaczy jakąś śmiertcioną broń, na przykład miotacz promieni albo coś w tym rodzaju, ale znalazł tylko atlasowy niebiesko biały fartuszek, jakieś dziwnie wyglądające medale i odznaki oraz czasopismo zatytułowane „Zdrowie i Sprawność”, w którym były zdjęcia gołych kobiet. Nikomu o tym nie powiedział, nawet Dianę. Dianę wiedziała o wolnomularzach chyba tyle samo co Tommy, no i jeszcze to, że podczas spotkań w loży wszyscy noszą spodnie z podwiniętymi nogawkami i stryczki na szyjach. Przypuszczała, że ma to coś wspólnego z golfem, ponieważ wielu panów z klubu golfowego ojca było również wolnomularzami.

Tommy usłyszał, jak samochód wjeżdża z chrzęstem na podjazd i do garażu. Ojciec był posiadaczem rovera 105S w dwóch odcieniach zieleni, z beżowymi siedzeniami ze skóry i deską rozdzielczą z drewna orzechowego. Traktował swoje auto tak, jakby Bóg zrobił je właśnie dla niego. Trzasnęły zamykane drzwi i Tommy zobaczył oczami wyobraźni, jak ojciec obchodzi wolno samochód, sprawdzając, czy na karoserii nie pojawiła się choćby mała rysa. Robił tak po każdym wyjeździe, nawet krótkim, a potem miękką szmatką zwilżoną denaturatem ścierał rozmazane na reflektorach i maskownicy owady.

Arthur Bedford traktował nocne moczenie się Tommy'ego w zasadzie tak samo jak niemal wszystko, co robił jego syn - ze znużeniem i powściągliwością. Sprzątanie, zmiana prześcieradeł,

31

pranie oraz większość spraw dotyczących dzieci należały do kobiet. Tommy wiedział jednak doskonale, słysząc westchnienia i krótkie uwagi, że zdaniem ojca ten problem jest jednym z rezultatów kobiecej słabości w ogóle.

Dopiero niedawno Tommy zdał sobie sprawę, że jego rodzice są dużo starsi od rodziców innych dzieci w jego wieku. Matka miała prawie pięćdziesiąt lat, a ojciec prawie sześćdziesiąt. Ludzie często brali ich za jego dziadków. Mama wytłumaczyła mu któregoś dnia, że przez wiele lat starali się o braciszka albo siostrzyczkę dla Dianę, ale Pan Bóg nie chciał, by tak się stało. Aż wreszcie pojawił się Tommy. To był dar z nieba, powiedziała. Dlaczego Pan Bóg zmienił zdanie, tego Tommy nie wiedział. Co do „daru”, też nie był do końca przekonany, ponieważ usłyszał niechęć, jak ciocia Vera mówiła, że „to był wypadek”. Uznał, że mogło być i tak, i tak.

- Wielkie nieba, jeszcze nie śpimy?

Tata zajrzał do sypialni, stojąc na podeście schodów i trzymając w kąciku ust niezapaloną fajkę, jak Popeye. Z tego powodu musiał mówić z zaciśniętymi zębami i w rezultacie można było odnieść wrażenie, że słyszy się lalkę brzuchomówcy. Był przeciwieństwem mamy prawie pod każdym względem - wysoki, szczupły, o kościstej i kanciastej sylwetce. Zawsze wydawało się, że w jego ubranie zmieści się dwóch takich jak on. Włosy miał gęste, opadające, srebrzystobiałe na całej głowie, oprócz przodu, gdzie pożyłki od dymu z fajki.

- Wagon Train - wyjaśnił Tommy.

- Aha.

Ojciec stał za drzwiami, kołysząc się lekko, jakby nie mógł się zdecydować, czy wejść, czy powiedzieć „dobranoc” stąd, gdzie stoi. Nieznacznie wysunął brodę do przodu.

32

- Staruszek będzie za tobą tęsknił.

Tommy nie wiedział, jak to rozumieć. Odłożył komiks i patrzył, jak ojciec stąpa ostrożnie między miniaturowymi kowbojami i Indianami, którzy toczyli nieustającą wojnę na dywanie. Chyba chciał usiąść na łóżku, ale widząc dziwne nachylenie i podstawione klocki, uznał, że bezpieczniej będzie stać. W świetle lampki nocnej błyszczały jego luźne spodnie z diagonalu, natomiast górna część ciała pozostawała w mroku. Gdy się pochylał i wyciągnął spod poduszki misia, Tommy uprzytomnił sobie, że to właśnie jest ów „staruszek”.

- Hmm, widać, że ma już trochę lat na karku. Rzeczywiście, stary misio miał tyse placki i szramy po różnych naprawach. Kiedyś należał do Dianę i spotkało go wiele nieprawdopodobnych nieszczęść. Zznał tortur i został powieszony, był spalony na stosie, wyrzucony z okna oraz poddany bardzo inwazyjnym operacjom.

- Nie mogę go zabrać? Ojciec się roześmiał.

- Pluszowe misie w szkole podstawowej? W żadnym wypadku! Co oni by sobie pomyśleli?

- Kto?

- Nauczyciele, koledzy, wszyscy.
- To nie każdy ma misia?
- Tylko w dzieciństwie. Zmierzył Tommy'emu czuprynę.
- Nie martw się. Będzie pod naszą opieką. Położył misia na łóżku.
- Pójdę zobaczyć, co mama zrobiła mi na kolację. Gasimy światło.

Pochylił się i Tommy'emu przemknęło przez myśl, że ojciec

33

zamierza go pocałować, a nie robił tego od lat. Okazało się jednak, że tylko sięgnął do wyłącznika lampki. Jego tweedowa marynarka zalatywała dymem i whisky wypitą w klubie golfowym.

- Odcedziliśmy kartofelki?
- Tak.
- Może spróbujemy mieć suchą noc, co?
- Postaram się.
- I to jest właściwa postawa! Dobranoc, kolego.
- Dobranoc.

Tommy położył się na plecach i patrząc na pasek żółtego światła biegnący ukośnie od podestu przez sufit, zaczął odprawiać swój cowieczorny rytuał, który polegał na powtarzaniu sto razy szeptem: „Nie zsikam się do łóżka, nie zsikam się do łóżka, nie zsikam się do łóżka...”.

Rodzice siedzieli w salonie i oglądali Wiadomości. Jakiś pan mówił, że prezydent Eisenhower wrócił do Londynu ze Szkocji, gdzie składał wizytę królowej. Tak naprawdę dano mu na imię Dwight, ale wszyscy nazywali go Ike. Wyglądał na miłego starszego pana. Tommy miał fotografię, na której ten prezydent i John Wayne podawali sobie rękę.

Znów pomyślał o Fincie i o tym, jak sprytnie znalazł ślady kopyt nad rzeką. Zastanawiał się, jaki los spotkałby dziewczynkę, gdyby nie uratowano jej z rąk Indian. Gorszy niż pójście do szkoły z internatem, to pewne. Jeszcze tylko kilka dni w domu i tam się znajdzie. Samo miejsce wyglądało całkiem przyjemnie wiosną, gdy rodzice zawieźli go, żeby zobaczyć nową szkołę. Rozległe pofałdowane trawniki i dużo drzew, Boiska do piłki nożnej. Sala gimnastyczna z linami do wciągania się. Może jednak nie będzie tak źle.

34

Płynąc z nurtem myśli, chyba zasnął, bo gdy się ocknął, w domu panowała cisza, a na podeście nie paliło się światło. Ktoś głośno go po czole.

- Dianę?

- Cześć, kochanie - szepnęła.

Kłęczała przy łóżku. Chyba już od jakiegoś czasu, takie miał wrażenie. Pochyliła się niżej i pocałowała go w policzek. Wciąż miała na sobie płaszcz od deszczu. Jej włosy pachniały kwiatami.

- Właśnie wróciłaś?

- Tak.

Nadal głaskała go po czole miękką chłodną ręką. W ciemności nie widział wyraźnie jej twarzy, ale uśmiechała się smutno i był pewny, nie wiedzieć dlaczego, że płakała.

- Co się stało? Przyłożyła palec do ust.

- Ciii. Jeszcze ich obudzisz. Nic się nie stało. Po prostu jestem szczęśliwa, że cię widzę, i tyle.

Teraz jego oczy zaszyły łzami.

- Dianę?

- Co takiego, kochanie?

- Nie chcę iść do szkoły z internatem.

Rozpłakał się i wtedy w jej oczach znowu stanęły łzy. Wzięła go w ramiona, a on schował twarz w zagłębieniu ciepłej, miękkiej i pachnącej szyi. Zapłakani, tulili się do siebie w milczeniu.

Rozdział Drugi.

Męska szkoła podstawowa Ashlawn mieściła się w okazałej neogotyckiej budowli z czerwonej cegły, otoczonej wałami obronnymi, ozdobionej wieżyczkami i nawiedzanej rzekomo przez rozmaite duchy. Stała na pagórku, w dwudziestoakrowym parku z dębami i cedrami, ogrodzonym murem wysokim na sześć stóp i zakończonym drutem kolczastym o zagadkowym przeznaczeniu. Postawił ją wiktoriański przemysłowiec, który wydzwignął się ze slumsów w Birmingham, by w koloniach zbić fortunę, rychło straconą, po czym rezydencja, będąca w zamierzeniu właściciela świadectwem jego wysokiej pozycji społecznej, stała się na lat siedemdziesiąt domem dla obłąkanych.

Podczas pierwszej wojny światowej liczba pensjonariuszy powiększyła się o stu dwudziestu żołnierzy z nerwicą frontową i dopiero gdy ostatni z nich umarł lub wyjechał, niszczące korytarze i sale sypialne zostały skromnie wyremontowane na potrzeby placówki oświatowej. W hrabstwie znajdowały się ekskluzywniejsze i droższe szkoły podstawowe, do których

36

wysyłano chłopców z rodzin o ugruntowanej pozycji, wywodzących się z klas wyższej i średniej. Ashlawn wybierały rodziny o pozycji przejściowej, przesuwające się w górę albo w dół, których aspiracje społeczne czy zadęcie przerastały ich możliwości finansowe.

Z myślą o świecie zewnętrznym oraz płacących czesne rodzicach regularnie malowano okazałą żelazną bramę ozdobioną godłem szkoły i mottem Semper fortis i skrupulatnie odchwaszczano wijący się przez pół mili podjazd. W ciemniejszych i odleglejszych zakątkach samej budowli, dokąd rodzice raczej by nie zawędrowali, przez pół wieku niewiele się zmieniło. Łuszczące się powierzchnie pokryte brązową i bladozieloną farbą olejną, charakterystyczną dla zakładów opieki społecznej, pozostały nietknięte; nigdy niewymienione rury pobrzękiwały pod stoczonymi przez korniki deskami podłogi; w ramach żelaznych łózek, z których odpryskiwała czarna emalia, nadal znajdowały się otwory, niegdyś wykorzystywane do przeciągania płóciennych taśm i krępowania niesfornych osobników; a na drewnianych ławkach w zatęchłych, cuchnących przebieralniach wciąż było widać inicjały szaleńców i desperatów.

Dla nowicjuszy, czyli fuksów, jak mówiono niezbyt czule, rumianolichych chłopców w za dużych mundurkach, przebieralnia była jednym z najstraszniejszych miejsc w Ashlawn. Prawie od razu zorientowali się, że po zgaszeniu świateł nauczyciele wzywają ich właśnie do tej sali, by oficjalnie wymierzać kary cielesne, i tamże, bez względu na porę, szkolni brutale torturują ich mniej oficjalnie, choć znacznie bardziej pomysłowo. Na ścianach nad odrapanymi ławkami znajdował się rząd wieszaków starannie podpisanych nazwiskami oraz rząd drucianych

37

klatek, gdzie chłopcy trzymali sprzęt sportowy. W powietrzu unosił się zapach mokrych, butwiejących skarpetek. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu, prócz brudnego świetlika w sąsiedniej łazience z natryskami, była pojedyncza żarówka dyndająca na przetartym w kilku miejscach kablu.

Właśnie tam stał teraz Tommy Bedford, trzy dni i trzy cudownym trafem suche noce po przyjeździe. Ubrany w szerokie, sięgające kolan spodenki do rugby i nieskazitelnie białą koszulkę usiłował rozplątać sznurowadła swoich butów, tak zamotane na siatce klatki, że mocno obgryzionymi paznokciami nie dawało się rozwiązać supełów. Zajęcia z wuefu w jego grupie prowadził opiekun internatu, pan Brent, najsurowszy i najwredniejszy ze wszystkich nauczycieli, o czym Tommy zdążył się dowiedzieć. Reszta kolegów już pobiegła na boiska. Słyszając, jak cichnie echo ich głosów na korytarzu, Tommy poczuł, że oblatuje go strach.

- Niegrzeczny fuks. Spóźnimy się na wuef, co? Tommy poznał niewielu starszych chłopców, ale tego znał.

Wszyscy wiedzieli, że lepiej trzymać się z daleka od Critchleya. I od jego pacholka Judda, który z szyderczym uśmiechem stał za nim w drzwiach. Obaj mieli chyba po jakieś jedenaście lat, chodzili do klasy „b” dla uczniów „odsianych”, bo byli albo głupi, albo leniwi, albo głupi i leniwi - nazywano ich Tępakami.

- O rety, poplątały nam się sznurowadła, co? - powiedział Judd.

- Tak.

- Jak się nazywasz, fuks?

- Bedford.

- To ty jesteś Klockarz? - upewnił się Critchley.

Critchley był wysoki i muskularny, miał płowe włosy opadające na czoło. Judd był krępy i barczysty, miał mięsistą twarz jak pomocnik rzeźnika. Tommy zajął się sznurówkami, udając, że nie słyszy pytania, i ani na chwilę nie podnosząc wzroku. Każdy nowicjusz nauczył się tego w ciągu pierwszych dni: nie należy dać się przytąpać na spoglądaniu na starszych chłopców. W przeciwnym razie powiedzą, żebyś się nie gapił, i prawdopodobnie przyłożą ci albo ścisną głowę pod pachą. Tommy widział kątem oka, jak tamci zbliżają się wolnym krokiem.

- Słuch ci nawala oprócz głowy, Klockarz?
- Nie, proszę pana... to znaczy nie, Critchley.
- Pytałem, czy to ty jesteś Klockarz.
- A w ogóle po co one? - wtrącił się Judd.
- Po co co? - Tommy usłyszał swój cichy, zdławiony ze strachu głos.
- Klocki, ty zasrańcu.

Gospodyni została powiadomiona, że Tommy moczy się w nocy, i na razie nikt więcej o tym nie wiedział. Koledzy naśmiewali się z jego łóżka na klockach, na co Tommy, za radą Dianę, powiedział wszystkim zainteresowanym, że ma złe krążenie i że spanie z nogami w górze poprawia obieg krwi. Spróbował wytłumaczyć to Critchleyowi i Juddowi, ale nie zaszedł daleko. Critchley złapał go za ucho i zaczął wykręcać.

- Odwał się!

Tommy szamotał się i w końcu odepchnął rękę tamtego. Stał na miękkich nogach, czując, że popuszcza mu pęcherz.

- No, patrzcie! Klockarz ma charakterek.

Tommy spojrzał na niego z wściekłością. Serce waliło mu jak młotem.

- Nie gapić się! - wrzasnął Critchley.

Tommy spuścił wzrok i w tej samej chwili stanął za nim Judd, wyginając mu ręce do tyłu. Critchley chwycił go za uszy i wykręcał je tak mocno, że o mało ich nie urwał. Tommy'emu łzy zakręciły się w oczach i po wewnętrznej stronie ud zaczęła spływać ciepła strużka. Critchley zapewne poczuł zapach, bo puścił swoją ofiarę i cofnął się o krok.

- Ojej, ojej, co to takiego? - powiedział, przyglądając się. Część moczu wsiąknęła w długie zielone skarpetki z wełny,

ale i tak kałuża wokół nóg się powiększała. Judd zwolnił uchwyt i stanął przy Critchleyu. Ich twarze wykrzywiły się w grymasie zachwyty połączonego z odrazą.

- Fúj!
- Obrzydliwość! Jesteś obrzydliwy, Klockarz. Jaki jesteś? Tommy milczał. Judd złapał go za ucho.
- No, jaki jesteś?
- Obrzydliwy - powiedział cicho Tommy, dusząc jęk.
- Otóż to. Obrzydliwy.

Na korytarzu rozległy się kroki. Słyszając zdecydowane stuki żabek pod obcasami, cała trójka domyśliła się, że nadchodzi któryś z nauczycieli.

- Słuchaj, Klockarz, jak powiesz mu, że tu jesteśmy, zrobimy z ciebie miazgę. Jasne?

Tommy kiwnął głową. Tamci rzucili się do ucieczki i zniknęli w sąsiedniej łazience. Stał w miejscu, piekły go uszy, kroki zbliżały się i ucichły. Zza futryny drzwi wyjrzała dobrotliwa, rumiana twarz pana Lawrence'a, nauczyciela angielskiego i łaciny.

- Dzień dobry. Kogo my tu mamy?
- Bedford, panie profesorze.
- Bedford.

40

- Tak, panie profesorze.

Pan Lawrence spojrzał na kałużę wokół stóp Tommy'ego.

- A to pech, chłopcze. Chodźmy doprowadzić cię do porządku.

Po piętnastu minutach pan Lawrence zaprowadził go, ubranego w pożyczone spodenki jak dla wielkoluda, na błotnisty plac, gdzie znajdowały się boiska. Zaczynało padać. Szepnął kilka słów panu Brentowi, który kiwnął głową, warknął na Tommy'ego, żeby więcej się nie spóźniał, po czym zrugął innego chłopca za to, że nie włożył jak należy koszulki do spodenek. Tommy zapewne stał jak skamieniały, bo na odchodne pan Lawrence położył mu rękę na ramieniu i puścił do niego oko.

- Semper fortis, Bedford - rzekł cicho. - Semper fortis.
- Tak, panie profesorze.

Pan Brent dmuchnął w gwizdek i w lodowatym jesiennym deszczu, który siekł po nogach, Tommy oraz kilkudziesięciu nieszczęsnych ośmiolatków biegało przez półtorej godziny po błocie, robiło jeden drugiemu krzywdę i wypełniało wyrzaskiwane polecenia pana Brenta.

Wydawało się, że minęły nie dni, lecz lata, od kiedy stał na wysypanym żwirze podjeździe i machał na pożegnanie rodzicom i siostrze. Wciąż miał przed oczami zrozpaczoną Dianę, gdy patrzyła na niego przez tylną szybę odjeżdżającego rovera. Była bardziej przybita niż pozostali, nawet Tommy. Nowym chłopcom kazano zameldować się w szkole godzinę wcześniej niż starszym uczniom. Tommy pomógł ojcu i Dianę zataszczyc swoją walizkę i skrzyneczkę na smakołyki do holu, gdzie dyrektor szkoły

Charles Rawlston z małżonką gawędzili z rodzicami innego nowicjusza. Gdy przyszła kolej na Bedfordów, ojciec Tommy'ego przywitał się właściwym sobie, mocnym

41

(może nawet masońskim) uściskiem dłoni, na co pani Rawlston, jak zauważył Tommy, lekko się skrzywiła. Dianę się nie przywitała, bo była zalana łzami.

- Dobra jest, Tommy - powiedział ojciec. - Zbieramy się. Wyciągnął rękę i Tommy spiął się w sobie, by przyjąć uścisk.

- Powodzenia, kolego.

Również mama miała teraz łzy w oczach. Nigdy dotąd nie widział, żeby płakała. Pocałowała go w policzek. Przygryzł wargę. Ojciec często powtarzał, że „nie należy się mazać”.

- Pani gospodyni ma klocki - szepnęła mama. - Dopilnuj, żeby nie zapomniała.

- Dobrze.

Dopiero gdy poczuł gwałtowny uścisk Dianę, nie zdołał dłużej powstrzymać łez. Dianę szlochając, po twarzy ściekały jej czarne od tuszu strużki.

- Daj że spokój, kolego - powiedział ojciec, rozglądając się. - Nie chcemy tego widzieć.

Gdy wszyscy rodzice odjechali, nowicjuszy zaprowadzono do jadalni na podwieczorek z gospodynią. Zebrało się ich ze dwudziestu, jedni wciąż pociągali nosami, drudzy ze strachu mieli oczy jak spodki. Kazano im stanąć przy długim stole, na którym ustawiono talerze z kanapkami i bladeżółtym keksem. Panna Davies, szkolna gospodyni, była niska i tęga, nosiła niebieski uniform i okrągłe okulary o szkłach tak grubych, że jej oczy wydawały się ogromne i miały zawzięty wyraz. Do tego miała na głowie wykrochmalony biały czepek ze skrzydłami, więc cała postać przypominała drapieżnego ptaka, który czai się, by spaść na ofiarę. Panna Davies zasiadła u szczytu stołu, pochyliła głowę i złożyła ręce. Tommy zauważył długie włoski na jej brodzie.

42

- Niech Pan rozbudzi w nas prawdziwą wdzięczność - powiedziała z silnym walijskim akcentem. - Amen.

Paru chłopców mruknięło pod nosem: „Amen”, ale najwyraźniej nie dość wielu. Kazała wszystkim powtórzyć.

- I ma to być powiedziane z przekonaniem - dodała. Posłuchali i wtedy pozwoliła im usiąść.

- Zajadajcie, chłopcy.

Mieli do wyboru wodę, mleko albo herbatę z dużego metalowego dzbanka. Tommy wziął mleko.

Przez jakieś pięć minut nikt się nie odzywał. Gospodyni również milczała, co i raz spoglądając na mały stalowy zegarek przypięty na piersi. Z korytarzy dobiegały głosy nowo przybyłych starszych chłopców. Sprawiali wrażenie zadowolonych z powrotu do szkoły, co dla Tommy'ego było po części

niezrozumiałe, a po części dodawało mu otuchy. Uważnie przyglądał się innym nowicjuszom. Nie wyglądali na głodnych. Większość po prostu wbiła wzrok w talerze. Obok Tommy'ego siedział jedyny chłopiec, który nadal płakał. Miał pulchną różową buzię, ciemne kręcone włosy i okulary w różowych oprawkach, których lewe szkło tak zmatowiało, że nie było widać oka. Na mokrej chustce do nosa widniało jego nazwisko napisane na tasemce: „Wadiów P”. Chłopiec szlochał tak rozdzierająco, że wkrótce skupił na sobie uwagę wszystkich przy stole.

- No już, uspokój się, chłopcze - skarciła go łagodnie gospodyni. - Jedz kanapkę.

Wadiów zaczął jeść, ale wciąż płakał, tylko teraz brzmiało to trochę inaczej. Tommy zauważył, że siedzący naprzeciwko chłopiec, z piegami i gęstą rudą czupryną, uśmiecha się szeroko. Chyba on jeden dobrze się bawił. Właśnie zjadał czwartą kanapkę.

43

Mrugnął do Tommy'ego, na co ten, ponieważ nie był mistrzem w mruganiu, odpowiedział słabym wymuszonym uśmiechem. W chwili gdy przyszło mu na myśl, że być może znalazł przyjaciela, Wadiów wydał dziwny bulgot, pochylił się w przód i zarzygał efektownie cały stół. Kilkunastu chłopców natychmiast wybuchnęło płaczem.

Rudy chłopiec nazywał się Dickie Jessop. Ku radości Tommy'ego trafili do tej samej sypialni i do tej samej klasy. W ciągu następnych paru dni się zaprzyjaźnili. Rodzice Dickiego mieszkali w Hongkongu. Chłopiec widywał ich raz do roku, gdy spędzał tam letnie wakacje. Od piątego roku życia uczył się w różnych szkołach z internatem i już następnego dnia znajomości powiedział Tommy'emu, że Ashlawn nawet w połowie nie jest tak zła jak inne znane mu szkoły. Był zabawny, skory do żartów i najwyraźniej nie bał się nikogo ani niczego. Stawiał się niektórym nauczycielom i starszym chłopcom, ale robił to z takim wdziękiem, że nie mieli mu tego za złe. A co najlepsze, uwielbiał westerny i znał się na nich prawie tak dobrze jak Tommy. Gdy Tommy zapytał go, kto jest jego zdaniem najlepszym kowbojem na świecie, Dickie wymienił bez wahania Flinta McCullough z Wagon Train. Podali sobie ręce na znak jedynomyślności.

Trzeciego dnia, podczas podwieczorku po meczu rugby, Tommy opowiedział po cichu Dickiemu o swojej potyczce z Critchleyem i Juddem w przebieralni, nie wspomniał tylko, że zsiakał się w spodnie, i przypisał sobie więcej odwagi, niż naprawdę jej okazał.

Dickie wysłuchał całej historii, po czym kiwnął poważnie głową.

- Dopadniemy ich - powiedział.

44

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Spokojna głowa. Nie musisz się włączać. Ja to załatwię. Tommy znowu miał suchą noc, czwartą z rzędu. Jeszcze

nigdy nie wytrzymał tak długo i przyjął ten fakt z powściągliwą radością. W ciągu ostatnich dni wydłużył do dwustu powtórzeń swoją cowieczorną recytację: „Nie zsiakam się do łóżka”, i najwyraźniej

przyniosło to efekty. Gdy po śniadaniu, jak każdego dnia, poszedł wypić łyżkę tranu w gabinecie gospodyni, przyjęła go prawie z uśmiechem.

- Brawo, chłopcze - rzekła. - Tylko tak dalej. Siedem dni. Jeżeli wytrzyma cały tydzień, poradzi sobie z tym na dobre. Ale lepiej nie cieszyć się za wcześnie, powiedział sobie.

Kilku kolegów z jego sypialni robiło uwagi na temat klocków podpierających łóżko. Zdarzyło się to raz w łazience - chłopiec o nazwisku Pettifer przezwwał Tommy'ego Klockarzem, pewnie zazdroszcząc mu przyjaźni z Dickiem. Dickie chwycił Pettifera za gardło, przyparł do ściany i zagroził ścinającymi krew w żyłach konsekwencjami, jeśli to się powtórzy.

Sala sypialna była długa i wąska. Stało w niej szesnaście metalowych łóżek, osiem po jednej stronie, osiem po drugiej, przykrytych takimi samymi wełnianymi kocami szkarłatnego koloru. Każdy chłopiec miał swój kołek, na którym wieszał szlafrok, i metalowe krzesło, na którym zostawiał złożone w kostkę ubranie. Łóżko Tommy'ego znajdowało się najbliżej drzwi, z czego wynikał obowiązek *cave* (łacińskie wyrażenie, jak się okazało, oznaczające trzymanie straży i wymawiane „kawę”) oraz ogłaszania alarmu, gdy na korytarzu rozbrzmiewały kroki gospodyni albo Brenta Rottweilera.

45

Wszyscy pracownicy mieli przezwiska: pana Rawlstone'a, dyrektora szkoły, nazywano Charliem Niewidoczną Brodą, bo znikła w fałdach tłuszczu; gospodynię, surową Walijkę - Zołą; a pana Lawrence'a - Cioteczką albo Ciotką z powodów jeszcze nieznanymi Tommy'emu. Przewiska pana Brenta nie trzeba było nikomu wyjaśniać. Kojarzyło się z ostrymi psimi rysami jego twarzy, a także z opinią brutalnego dręczyciela. Wymierzał chłostę twardym obcasem czerwonego skózanego kapcia, który zostawiał siniaki jakoby na dwa tygodnie. O dwudziestej każdego wieczoru pan Brent szedł gasić światła, skradając się korytarzem i licząc na to, że przyłapie chłopców na jakimś przewinieniu zasługującym na lanie, na przykład na okładaniu się poduszkami albo czytaniu komiksu czy niestosownej książki.

Piątego dnia Tommy miał poznać rzeczywisty ciężar odpowiedzialności, jaka spoczywała na nim z racji trzymania straży.

Chłopcy wrócili z łazienki do sypialni, wyszorowani i pełni wigoru. Dickie Jessop zaczął zabawiać kolegów brzydkimi wierszykami i dowcipami, których miał niewyczerpany repertuar. Tylko nieliczni rozumieli seksualne aluzje, ale całe audytorium zachowywało pozory i śmiało się głośno. Okazując niewiedzę w tych sprawach, można było natychmiast stać się obiektem drwin.

Oprócz Wadłowa i jeszcze kilku, nazbyt nieśmiałych lub dziwacznych - a przez to już wykluczonych z paczki i wydanych na pastwę osobników pokroju Critchleya i Judda - wszyscy stłoczyli się na i przy łóżku Dickiego, który sypał sprośnymi limerykami jak z rękawa.

- Posłuchajcie tego - powiedział.

46

Raz pewna lesbijka z Epsomu

zwabiła pedrylka do domu.

Gdy się obnażyli,

spytała po chwili:

„Kto zrobi co, czym oraz komu?”.

Tommy nie zrozumiał wierszyka, ale ryknął śmiechem jak pozostali, tak rozbawieni, iż nie spostrzegli, że dochodzi dwudziesta. Siedział obok Dickiego i płał się w odbitym blasku jego chwały. Teraz powszechnie uważano ich za bliskich przyjaciół. Obaj byli zwrócenii plecami do drzwi.

- No dobra - powiedział Dickie, unosząc ręce i prosząc o ciszę. - Ten wymyśliłem sam. Idzie tak...

Znamy Brenta brutala, Co ma fiuta jak ta lala.

Wtedy Tommy zauważył, że szerokie uśmiechy znikają z twarzy kolegów, którzy siedzieli naprzeciwko niego i mieli widok na drzwi. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co przykuło ich uwagę. Tuż za progiem, oparty o ścianę, stał pan Brent. Skrzyżował ręce na piersi i wykrzywił usta w dziwnym półuśmiechu. Widzieli go wszyscy. Prócz Dickiego. Upojony własną błyskotliwością nie wyczuł, że atmosfera nagle stała się chłodniejsza.

Zachwycona tym gospodyni

Na jego widok się ślini,

A Brent też się na nią napala.

47

Zaśmiał się z dumą, buchnął do tyłu na łóżku i dopiero gdy dotarło do niego, że ten wierszyk nie został zbyt dobrze przyjęty, powiódł wzrokiem po twarzach chłopców i spojrzął za siebie.

Pan Brent opuścił ręce i klasnął z wolna trzy razy.

- No, no, Jessop, prawdziwy z ciebie poeta. Wywołało to wybuch nerwowego śmiechu. Tommy'emu przemknęło przez myśl, że sytuacja zostanie obrócona w żart. Pan Brent wciąż miał na twarzy ten dziwny uśmiezek, który po chwili jednak zniknął.

- Raz dwa, do łóżek, wszyscy - warknął nauczyciel. Patrzył, jak rozbiegają się niczym myszy do dziur. Gdy

znieruchomieli, nie odrywając od niego wzroku, położył palec na wyłączniku światła i powiedział cicho:

- Zobaczmy się później, Jessop. Gaszę światło. I żadnych rozmów!

Pstryknął wyłącznikiem. Szttywni ze strachu leżeli w ciemności, aż ucichły kroki na korytarzu.

- Do ciebie należało cave, Bedford - szepnął Pettifer z drugiego końca sali.

- Racja - przyznał Tommy. - Przepraszam, Jessop. Dickie się nie odezwał. Pół godziny później pan Brent znowu

stanął w drzwiach i przyciszonym głosem kazał mu włożyć kapcie i szlafrok, a następnie zameldować się w przebieralni na dole.

- Obyś miał szczęście - szepnął Tommy, gdy przyjaciel mijał jego łóżko, powłócząc nogami, ale ten i tym razem się nie odezwał.

Przez długą chwilę nikt nie śmiał pisnąć słowa. Podobnie jak Tommy wyobrażali sobie zapewne, co się dzieje w przebieralni. Procedura była im znana z opowieści starszych chłopców,

48

którzy z niezmienną przyjemnością straszili fuksów. Dickie będzie musiał zdjąć szlafrok i pochylić się nad drewnianą ławką, dotykając nosem jednej z druczianych klatek wiszących na ścianie. A pan Brent, w samej koszuli, najpierw uderzy obcasem czerwonego skózanego kapcia o swoją dłoń, by dać ofierze przedsmak tego, co ją czeka, i pobudzić jej wyobraźnię. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, ilu uderzeń można się spodziewać. Zwykle padały trzy, cztery albo sześć, zależnie od ciężaru przewinienia.

Cisza zalegająca na górnym piętrze szkoły była nasycona strachem i przejęciem. Każdy chłopiec w każdej sali sypialnej nastawił uszu. Wszyscy usłyszeli dolatujący z oddali głuchy łomot zamykanych drzwi przebieralni. Tommy wstrzymał oddech. Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem rozległo się pierwsze stłumione walnięcie. Z błogim poczuciem bezpieczeństwa we własnych łóżkach wszyscy wzdrygnęli się i w duchu zaczęli liczyć.

Jeden, dwa...

Czasami, jeśli ofiara była młoda i nie dość dzielna, rozlegał się krzyk. Ale nie tego wieczoru.

Trzy, cztery...

Tommy nie wiedział, czy Bóg istnieje, ale na wszelki wypadek zaczął się modlić. Nie tylko za Dickiego, żeby zniósł ból, ale również za to, żeby mu wybaczył i pozostał jego przyjacielem.

Pięć, sześć...

I cisza. Nasłuchujący znów zaczęli oddychać.

Teraz Dickie wkładał szlafrok i chwilę później znosił ostatnie upokorzenie, jakim była konieczność uściśnięcia Rottweilerowi ręki. Na znak przebaczenia i z wdzięczności za fatygę.

49

Po powrocie do sypialni nie odezwał się słowem. Ten i ów szepnął: „Co za pech” i „Spisałeś się”, a jakiś kretyn nawet zapytał, jak było. Dickie nic nie odpowiedział, tylko położył się do łóżka, przewrócił na bok i naciągnął na głowę prześcieradło i koc. Tommy nie miał pewności, czy przyjaciel płacze. Przez długi czas wszyscy milczeli, aż jadowity szept Pettifera z końca sali przeszył ciemności:

- To ty powinieneś tam być, Klockarz.

Tej nocy Tommy zmoczył łóżko. Tuż po trzeciej nad ranem leżał zapłakany w wilgotnym cieple i zastanawiał się, co zrobić. Jak najciszej zdjął prześcieradło z materaca i poszedł na palcach do łazienki,

krzywiąc się, ilekroć zaskrzypiały deski podłogi. Nie zapaliwszy światła ze strachu, wyplukał najpierw prześcieradło, a potem spodnie od pizamy pod bieżącą wodą w dużej żeliwnej wannie i wyjął z całych sił. Następnie wrócił do sypialni, pościelił łóżko, zastygając w bezruchu, gdy usłyszał, że ktoś wierci się przez sen, ledwie mając śmiałość oddychać, przebiegając wzrokiem po łózkach kolegów, bo a nuż któryś się przebudził i obserwuje go w ciemności. Przez resztę nocy leżał w mokrej pościeli wstrząsany dreszczami i nie mógł opanować kłębiących się w głowie myśli. Oby tylko nikt nie zauważył.

Szkolnym zwyczajem należało przed śniadaniem zdjąć wierzchnie prześcieradła z łóżek, żeby przewietrzyć pościel. Mokry żółty zaciek na prześcieradle Tommy'ego był równie widoczny dla jego rówieśników i niemal równie fascynujący jak plamy zaschniętej krwi na siedzeniu pizamy Dickiego. Tyle że jeśli chodzi o Dickiego, uznano to za świadectwo bohaterstwa, a jeśli chodzi o Tommy'ego - za powód do wstydu. Najbardziej spostrzegawczy okazał się Pettifer. Przechodząc koło łóżka Tommy'ego, zatkał palcami nos i powiedział:

50

- Psiakrew, Klockarz, co za smród! Obrzydliwość.

Tommy zmoczył łóżko również następnej nocy i przez siedem kolejnych. Przesztano wołać na niego Klockarz, choć nie w obawie przed odwetem ze strony Dickiego Jessopa, gdyż ten przeważnie go ignorował. Po prostu ktoś wpadł na lepszy pomysł, bardziej oczywisty. Któregoś ranka Tommy zobaczył swoje nowe przezwisko wymalowane dla hecy w miejsce nazwiska na skrzyneczce ze smakotkami.

Od tej pory całe Ashlawn mówiło o nim nie Bedford, lecz Moczymajtek.

Rozdział Trzeci.

Niemal zaraz po przekroczeniu progu Tom żałował, że się tam pojawił. Nigdy nie lubił tego człowieka, a szczególnie ukłucia zazdrości, jakie odczuwał na jego widok. Niektórzy ludzie wyzwalają w nas najgorsze cechy. Truscott Hooper, do którego i przyjaciele, i pochlebcy - jedni i drudzy licznie reprezentowani tego wieczoru - mówili po prostu Troop, siedział przy małym stoliku w przeciwległym rogu zatłoczonej auli college'u i podpisywał swoją książkę. W długiej kolejce ustawili się zagorzali fani, wśród których Tom dostrzegł kilka znajomych twarzy. Powinni mieć więcej rozumu.

Troop jeździł po kraju z cyklem spotkań promujących jego nowy bestseller, dreszczowiec, którego akcja rozgrywała się w Iraku po inwazji amerykańskiej. Pisarz trafił na okładkę czasopisma „People” z tego tygodnia, poza tym Tom widział go w programie telewizyjnym Today Show. Książkę już filmowano. Występował w niej ten sam bohater co w trzech poprzednich, doskonale przykrojony na miarę ducha obecnych czasów (były agent sił specjalnych Brad Bannerman, człowiek

52

niebezpieczny, choć o sercu poety, skompromitowany popełnieniem czynu będącego w istocie aktem odwagi i tak dalej). Tom nie czytał żadnej z nich. Nie dość, że ciężko mu było patrzeć, jak lądują dumnie na szczytach list bestsellerów, to jeszcze po przeczytaniu mógłby się przekonać, że są całkiem dobre. Przynajmniej tak twierdzili krytycy. Nic nie irytuje bardziej niż kolega po piórze, którego książki sprzedają się w milionach egzemplarzy i na dodatek otrzymują dobre recenzje. W tej sytuacji okazywanie pogardy jest pod każdym względem nieuzasadnione.

Żaden nowojorski wydawca będący przy zdrowych zmysłach nie wysłałby tak wielkiego pisarza jak Troop na spotkanie autorskie do Montany, gdzie mieszkało mniej niż milion ludzi i większość z nich miała lepsze zajęcia niż czytanie książek. O nie, obecność Troopa w tym miejscu tego wieczoru, powrót słynnego pisarza na łono jego Alma Mater, Uniwersytetu Montany w Missouli (któremu najwidoczniej przekazał szczerą dotację - już było słyhać, jak bibliotece rosą nowe skrzydła), bynajmniej nie miał nic wspólnego ze sprzedażą książek. Należało go traktować po prostu i bez wątplenia - zdaniem Toma - jako protekcyjny akt próżności.

Troop odniósł zdecydowanie największy sukces literacki spośród wszystkich uczestników zajęć z pisarstwa, które prowadzono w dziejach UM. Gdy Tom rozpoczął naukę w połowie lat siedemdziesiątych, Troop był studentem trzeciego roku i już gwiazdą. Jego opowiadania ukazywały się w „New Yorkerze”, pierwsza powieść miała wkrótce wyjść drukiem. Wysoki na sześć stóp i pięć cali przewyższał wszystkich o głowę, dosłownie i zawodowo. Nosił się na czarno, zarówno tego wieczoru, jak i na co dzień. Był to swego rodzaju znak towarowy. Czarną brodę

53

i długie czarne włosy już pokryła siwizna, która - musiał przyznać Tom - przydawała mu jeszcze większej stateczności. Obaj byli dobrze po pięćdziesiątce, ale tylko Tom wyglądał na swój wiek.

Przystojna twarz Troopa patrzyła z plakatów od tygodni wiszących w całym mieście. Bilety na wieczorną prelekcję w największej auli uniwersytetu zostały wyprzedane, a część słuchaczy musiała stać pod tylną ścianą. Odczyt był irytująco błyskotliwy, interesujący, pozbawiony zadęcia i został przyjęty takimi brawami, że zadzwoniły szyby w oknach. Potem odbywało się to przyjęcie z szampanem, wyłącznie za zaproszeniami.

Tom już miał odstawić kieliszek w jakimś dogodnym miejscu i wyjść, gdy zauważył stojącą przed nim młodą kobietę. Uśmiechała się z niepewną miną i wyraźnie próbowała przyciągnąć jego uwagę skierowaną wraz z gniewnym spojrzeniem na Troopa.

- Thomas Bedford, prawda?

- Tak. Przepraszam, ale...

Wyciągnęła rękę. Ucisnął jej dłoń, trochę za mocno. Przypuszczał, że rozpoznała go jako autora serialu dokumentalnego o historii i kulturze plemienia Czarnych Stóp, który powstał pięć lat temu i niedawno został ponownie wyemitowany przez PBS. Albo była na którymś z jego nielicznych odczytów tu na UM. Wyglądała atrakcyjnie, choć nie efekciarsko. Zbliżyła się do trzydziestki, może miała trzydziestkę. Jasna cera, piegi, gęste kasztanowe włosy upięte do góry i obwiązane zielonym jedwabnym szalem. Tom wciągnął brzuch i obdarzył ją uśmiechem.

- Karen O'Keefe - przedstawiła się. - Chodzimy do

54

tego samego dentysty. Parę tygodni temu widziałam cię w poczekalni.

- Aha.

Starał się nie okazać zawodu. Zapadło niezręczne milczenie.

- Podobał ci się odczyt? - zapytała.

- Och, Troop zawsze pokazuje się z dobrej strony.

- Jesteście przyjaciółmi?

- Niezupełnie. Byliśmy tu razem na kursie pisarstwa. On studiował na wyższym roku. - Musiał to dodać, nie mógł się powstrzymać.

- Miałam ochotę mu dokopać.

To go zainteresowało. Parsknął śmiechem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo ja wiem? Tyle w nim fałszywej skromności, a gołym okiem widać, że ego urosło mu na wysokość Everestu. Gdyby umiał napisać porządne zdanie, może byłabym łaskawsza.

Tom uśmiechnął się, nie chcąc okazać nadmiernego zadowolenia.

- Jesteś pisarką? - zapytał.

- Filmowcem. Jak ty. Z tą różnicą, że ty jesteś filmowcem i pisarzem. Nie chcę przez to powiedzieć, że dorastam do twojego poziomu. Nawiasem mówiąc, z przyjemnością obejrzałam jeszcze raz twój dokument o Czarnych Stopach. I szalenie podobała mi się książka. Wspaniałe dzieło. Niezrównane. Podarowałam ją kilkunastu osobom.

- Miło mi. To pewnie połowa sprzedanych egzemplarzy. Fanka. Do tego nie był przyzwyczajony. Naturalnie czasem

dostawał od kogoś list, ale takiego spotkania nie miał od lat. Prawie zaniemówił z wrażenia.

55

- Jak to się stało, że Anglik tak namiętnie interesuje się amerykańskim Zachodem? - zapytała, przerywając ciszę.

- To długa historia.

A jednak ją opowiedział. W wersji wyczelowanej: o dziecięcej obsesji na punkcie kowbojów i Indian, o tym, jak dorastał na wsi, a także o tym, jak po przyjeździe do Ameryki oszołomił go ogrom zachodnich stanów, i wreszcie o fascynacji, gdy poznał okrutną prawdę przesłoniętą mitem i legendą.

- Masz na myśli prawdziwą historię amerykańskiego Zachodu?
- Tak. Pamiętam, jak pierwszy raz znalazłem się nad Little Bighorn...
- Tommy!

Poczuł, jak na jego ramieniu zaciska się czyjaś dłoń, i gdy się odwrócił, Troop złapał go w niedźwiedzie objęcia, wgniatając mu okulary w oko. Na szczęście Tom skończył drinka, bo inaczej obaj byłiby mokrzy. Słyszając „Tommy”, doznał szoku. Sądził, że to imię przepadło na zawsze w szkole z internatem. Razem z niewinnością i nie tylko.

- Cześć, Troop. Jak się masz?
- Doskonale, chłopie. Doskonale! Szczególnie że cię widzę. Troop rozluźnił uścisk, ale wciąż trzymał Toma potężnymi

owłosionymi rękami powyżej łokci, chcąc mu się przyjrzeć.

- Dobrze wyglądasz, chłopie. Pewnie ćwiczysz.
- Nie. Nigdy nie ćwiczyłem i nie zamierzam.
- Co słyhać u twojej zachwycającej żony... Jan, prawda?
- Gina. Rozstaliśmy się piętnaście lat temu.
- O cholera. Przykro mi. Mieliście córkę, prawda?
- Syna. Ma na imię Daniel.
- Aha, Daniel. Co u niego?

56

- W porządku, tak sędzę. Rzadko go widuję. Jest teraz w Iraku.
- Chryste. Dziennikarz?
- Nie, służy w piechocie morskiej.
- Jako oficer?
- Kapral.
- Niewiarygodne.
- Ale prawdziwe.

Tom odwrócił się do Karen O'Keefe, która przyglądała im się z krzywym uśmiechem. Gdy dokonywał prezentacji, zauważył, że Troop wlepił w Karen ciemne oczy i ściskając jej rękę, chwycił ją za ramię i przytrzymał trochę za długo. Tak samo robił Bili Clinton - Tom widział to wielokrotnie w telewizji.

- Karen jest twoją zagorzałą fanką - dodał.

- Są gusta i guściki.
- Tak naprawdę nie czytałam żadnej pana książki - powiedziała Karen O'Keefe.

Tom z każdą chwilą lubił ją coraz bardziej.

- Nic nie szkodzi.
- Niestety, ociekają testosteronem.
- Skąd ta pewność, skoro pani nic mojego nie czytała?
- Pan prawdopodobnie uznałby to za przejaw kobiecej intuicji.

Troop uśmiechnął się, ale jego spojrzenie stało się chłodniejsze.

- Czyżby? Odwrócił się do Toma.
- Nadal mieszkasz w Missouli?
- Chyba nie potrafię stąd prysnąć.

57

- To piękna okolica. Dopiero co kupiłem dom w górach Bitterroot.
- Super.
- Właściwie chatę. Zamierzam spędzać tu więcej czasu. W LA życie jest czasem zbyt nerwowe. No cóż, chyba muszę... jak to się mówi... krążyć wśród gości. Jeszcze się zobaczymy, Tom.
- Na pewno.

Troop skinął głową Karen O'Keefe, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, którym jakoś udało jej się okazać i uprzejmość, i arogancję.

- Co za palant - mruknęła, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem jej głosu.
- Obym nigdy nie wypadł z twoich łask. Roześmiała się, położyła rękę na jego ramieniu i przez chwilę ją tam trzymała.

Wymienili numery telefonów oraz adresy e-mailowe i się rozeszli. Gdy opuszczał przyjęcie, Karen rozmawiała z okrutnie przystojnym facetem w swoim wieku. Minęło wiele czasu, od kiedy Tom przestał dopuszczać do siebie myśl, że jakaś kobieta go pociąga. Ale raczej nie zamierzał zadzwonić do Karen. Po odejściu Giny miał ze trzy romanse, wszystkie przelotne. Mieszkał sam z psem, i to mu odpowiadało. Czasem czuł się samotny, pragnął towarzystwa i fizycznej bliskości, co nie znaczy, że pod koniec małżeństwa z Giną było inaczej.

Dom, który razem zbudowali, stał w zakolu strumienia, około mili na wschód od miasta. Gdy Tom minął ostatni zakręt, światła reflektorów wyłowiły z ciemności stadko jeleni, które wyznaczyły sobie

spotkanie na środku drogi. Zatrzymał się i obserwował je przez szybę, aż rozplynęły się między drzewami.

58

Była bezksiężycowa noc na początku wiosny. Kiedy wysiadł z samochodu, stał przez dłuższy czas na podjeździe, patrząc na gwiazdy i słuchając szumu warko płynącej wody.

Makwi już czekała, by go przywitać, jak zawsze, gdy wchodził do domu. Była mieszańcem charta szkockiego, charta angielskiego i collie, w Anglii i Irlandii zwanym lurcher. Miała szorstką sierść moręgowatej maści i wielkie serce -jak żaden znany mu pies. Tom przyklęknął i pozwolił, by trącała go pyskiem w twarz. Pogłaskał jej szyję i uszy, mówiąc, że zaraz weźmie ją na spacer. Poszła za nim do kuchni i patrzyła, jak nalewa sobie mleko do szklanki. Lampka automatycznej sekretarki stojącej na niskim murku migotała na czerwono, informując o czterech wiadomościach. Tom nacisnął guzik odtwarzania i czekając, aż taśma się przewinie, wyjął telefon komórkowy. Wyłączył go, gdy rozpoczynała się prelekcja Troopa, i potem zapomniał wyłączyć. Miał dwie wiadomości głosowe.

Sześć razy dzwoniła Gina. Nie rozmawiali ze sobą od ponad roku. W jej głosie słychać było napięcie i narastający niepokój, gdy nie mogła go zastać. Nie powiedziała, dlaczego musi jak najszybciej z nim porozmawiać. To nie było potrzebne. Powód mógł być tylko jeden: Danny. Coś się stało Danny'emu.

Rozdział Czwarty.

Aktorzy stali rzędem, wciąż trzymając się za ręce, gdy czerwona aksamitna kurtyna na chwilę zasłoniła rzęsiste światła reflektorów. Wywołano ich już czterokrotnie i za każdym razem rozlegały się chyba coraz głośniejsze oklaski. Dianę czuła, że rozpiera ją czysta radość, adrenalina krąży w żyłach, kręci jej się w głowie i całe ciało płonie. Zerknęła na stojącego po prawej stronie Geralda, który z szerokim uśmiechem ścisnął ją za rękę akurat w chwili, gdy kurtyna znów zaczęła się unosić, zwróciła więc twarz w stronę oślepiających świateł rampy i majaczącej za nimi widowni.

Publiczność wiwatowała, wznosiła okrzyki: „Brawo!”. Nawet w jaskrawym świetle Dianę widziała, że widzowie na parterze i na pierwszym balkonie wstają, unoszą ręce nad głowy i klaszczą. Czekala, aż Gerald, który dawał sygnał pozostałym, wyjdzie do przodu. Ale tym razem Gerald puścił jej rękę i zaczął bić brawo. Za jego przykładem poszła reszta aktorów i Dianę uprzytomniła sobie, że te oklaski są dla niej, że to dla niej kurtyna poszła w górę, właśnie dla niej. Przeżywała coś takiego

60

po raz pierwszy. Niepewnie zrobiła krok do przodu i po prostu stała z opuszczonymi rękami, zarumieniona i rozpromieniona, a w jej oczach błyszczały łzy. Po chwili ukłoniła się i dygnęła, wywołując gromki aplauz publiczności.

Igraszki losu grano dopiero niecałe dwa tygodnie i Dianę wciąż nie mogła uwierzyć, że przedstawienie spotyka się z takim przyjęciem. Pozostali wykonawcy też byli zaskoczeni, nawet Gerald, który miał na swoim koncie wiele sukcesów na West Endzie i co wieczór tłum fanów gromadzących się przy wejściu

dla aktorów i błagających go o autograf. Bilety wyprzedano na wszystkie spektakle, a krytycy wpadli niemal w ekstazę. Również ten osławiony stary zrzęda Harold Hobson wyraził się przychylnie. Najbardziej podobała im się Dianę. Kenneth Tynan napisał w „Observerze”: Dianę Reed, debiutująca na West Endzie w głównej roli, elektryzuje widzów... jaśnieje takim blaskiem, że mogłaby przyćmić swoich doskonałych kolegów i koleżanki.

John, autor sztuki, chodzący mizantrop w nowoczesnym wydaniu, który podczas prób ani razu się do niej nie uśmiechnął i powiedział może jedno słowo, wysłał jej najokazalszy bukiet róż, jaki kiedykolwiek widziała. Do kwiatów dołączył trochę niepokojący liścik, w którym napisał, że natchnęła go do rozpoczęcia pracy nad nowym utworem z rolą skrojoną na jej miarę.

Gerald, który miał być gwiazdą przedstawienia, niezwykle przyzwoicie przyjął fakt, iż Dianę zepchnęła go w cień, i wyraźnie nasilił trwającą już od miesiąca kampanię, której uwieńczeniem byłoby ściągnięcie jej majątek. Pewnie uważał, że mu się to należy.

Stało się rytuałem, że po każdym spektaklu przychodził do

61

jej garderoby z „połówką” schłodzonego szampana i dwoma kieliszkami. Siedział tam teraz, wciąż ucharakteryzowany, oparty rozłożystymi plecami o krawędź toaletki, i patrzył, jak Dianę zmywa makijaż. Oboje zdjęli już kostiumy i przebrali się w szlafroki - jego był znacznie wytworniejszy, z atłasu koloru bordo, ozdobiony czarnymi wypustkami, szyty na miarę, za niebotyczne pieniądze, u krawca przy Jermyn Street.

Garderoba Dianę była malutka, pełna kwiatów, z lustrem otoczonym wianuszkami lampek, które korzystnie oświetlały twarz, i mnóstwem kartek z pozdrowieniami od przyjaciół i sympatyków - dzięki temu niemalowane od dwudziestu lat ściany nie rzucały się w oczy. Do tego kłębił się tam teraz dym, ponieważ Gerald, chcąc się upodobnić do Noela Cowarda, kurzył okropnego tureckiego papierosa osadzonego w cygarnicze ze srebra i szylkretu.

- Byłaś dziś rewelacyjna - powiedział.

- Naprawdę?

- Dobrze o tym wiesz.

Mówił głębokim chrapliwym głosem, jakby ochryplym szeptem, który najwyraźniej wydawał mu się uwodzicielski. Ilekroć słyszała ten głos na scenie czy poza nią, chciało jej się śmiać. Gerald upił łyk szampana i stanął za Dianę, pochylając głowę tak nisko, żeby znalazła się przy jej twarzy i żeby mógł podziwiać ich odbicia w lustrze.

- Boże, jaka ty jesteś śliczna.

Nie była pewna, do której z twarzy się zwraca.

- Nie wygłupiaj się.

- Zarezerwowałem stolik u Luigiego.

Zaczął wachać jej włosy. Zaraz będzie wtulał nos w zagłębienie szyi. Pora się go pozbyć.

62

- Mówiłam ci, kochanie, że nie mogę. Idę na kolację z tymi ludźmi z Hollywood. Przyjechali tu specjalnie dla mnie.

- To zjedźmy razem.

Wstała i cmoknęła go po siostrzanemu w policzek.

- Nic z tego.

Trzymając ją za biodra, przysunął się z nadzieją na innego rodzaju pocałunek. Dianę położyła mu ręce na piersi i przyhamowała jego zapędy.

- Nie mam czasu. Będą czekali na mnie na dole.

- Doprowadzasz mnie do szafu.

- No to będziemy musieli gdzieś cię zamknąć.

W samą porę rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Wilfred, zaprawiony w bojach strażnik wejścia dla aktorów, oznajmiając, że w holu czeka agent Dianę z „dwoma panami z Ameryki”. Dianę odskrzyknęła, że za chwilę zejdzie. Gerald nie ruszył się z miejsca. Najwidoczniej liczył, że Dianę przebierze się na jego oczach. Wobec tego podeszła do drzwi i otworzyła je ze słodkim uśmiechem, a wtedy on, niechętnie, z miną usychającego z miłości spaniela, opuścił garderobę.

Dianę nie znała żadnego z panów, których jej agent Julian Baverstock przyprowadził tego wieczoru na przedstawienie. Ale oczywiście o nich słyszała. Wszyscy o nich słyszeli. Herb Kanter należał do grona najbardziej wpływowych producentów w Hollywood. Jego filmy cieszyły się uznaniem krytyków, a przy tym odnosiły sukcesy kasowe. Z kolei Terence Redfield był głośnym reżyserem młodego pokolenia. Miał trzydzieści parę lat i już nakręcił filmy z udziałem Cary'ego Granta, Marilyn Monroe i Marlona Brando. Panowie szukali partnerki dla Gary'ego Coopera w filmie Bez skrupułów, który powstawał w wytwórni Paramount. Zdjęcia miały się rozpocząć następniej

63

jesieni. Dianę z podekscytowania tak trzęsły się ręce, że ledwie zdołała zapiąć suknię.

Pożyczyła ją specjalnie na tę okazję od przyjaciółki, która pracowała jako modelka i dostawała ubrania z najlepszych domów mody w Paryżu. Suknia była uszyta z ciemnozielonego jedwabiu i miała niebezpiecznie głęboki dekolt. Leżała jak rękawiczka. Dianę pożyczyła również naszyjnik, pojedynczy sznur prawdziwych pereł. Kiedy się ubrała, zrobiła makijaż, uczesała i kilka razy okręciła przed lustrem, uznała, że jej wygląd - fryzura, biżuteria, nawet suknia - jest nieodpowiedni. Nigdy nie dadzą jej tej roli. Nie ma szans.

Ale gdy schodząc po obskurnych schodach, z futrem narzuconym na ramię, podchwyciła ich spojrzenia, wiedziała, że oceniła siebie zbyt surowo. Panu Kanterowi wyraźnie opadła szczęka. Był niski, wymuskany, przypominał Dianę lwa morskiego z londyńskiego zoo, wyjąwszy ciężkie okulary w

czarnych oprawkach, które jakby zaparowały, gdy ścisnął jej rękę. A Terence Redfield, wysoki, szczupły, z obwisłymi rudymi wąsami, obdarzył ją spojrzeniem, które dawało jej szansę - zakładając, że nie patrzy tak na każdą napotkaną kobietę (co, oczywiście, było mało prawdopodobne).

Julian dokonał prezentacji z miną człowieka bardzo z siebie zadowolonego. Towarzystwo ruszyło do czekającej taksówki, a wtedy z bezbłędnym wyczuciem czasu pojawił się Gerald, który bez wątpienia wciąż liczył na wspólną kolację. Otoczył Dianę ramieniem, jakby była jego własnością, lecz zrzędała mu mina, gdy pan Kanter przez pomyłkę powiedział do niego „Jeremy”. Uwaga Amerykanów skupiła się przez chwilę na Geraldzie i Julian zdążył szepnąć Dianę, że ma tę rolę w kieszeni.

64

- Pewne jak w banku, kochanie. Zupełnie stracili dla ciebie głowy.

Rzeczywiście tak było. Biedny Gerald czmychnął w noc, a oni pojechali przez miasto do restauracji Mirabelle przy Curzon Street, gdzie czekał na nich najlepszy stolik i gdzie Dianę zaliczyła drugi popisowy występ tego wieczoru. Wykonała numer znany wśród jej przyjaciół jako parodia Audrey Hepburn. Polegał na tym, że była pewna siebie i zarazem bardzo skromna, inteligentna, a przy tym ujmująco roztrzepana, wytworna, ale i przewrotnie rubaszna, skupiona na rozmówcy, choć nie nazbyt kokieteryjna, pomijając przelotne, pozornie bezwiedne dotknięcie jego ręki czy ramienia oraz dźwięczny śmiech w odpowiedzi na dowcipną uwagę. Wszyscy mężczyźni, o czym dobrze wiedziała, uwielbiają, gdy się ich dotyka. Przede wszystkim chciała pokazać, że jest osobą nowoczesną, a nie sztywną i wyniosłą typową Angielką. No i, oczywiście, że pochlebia jej, choć nie przytłacza, ich zainteresowanie.

Trzy godziny później przeżywała tę kolację jeszcze raz, siedząc po turecku na łóżku w Paddington, przed równie urzeczonymi współlokatorkami: Helen, Molly i Syla, które czekały w praktycznych flanelowych koszulkach nocnych, aż wróci i wszystko im opowie.

- Gary Cooper! - wykrzyknęła Helen. - To będzie western?

- Nie, dreszczowiec psychologiczny.

- On ma pewnie ze sto trzy lata - zauważyła Molly.

- Albo i więcej. Czytałam w jakimś czasopiśmie, że miał operację plastyczną i w ogóle nie jest podobny do Gary'ego Coopera.

65

- Wszystko mi jedno, do kogo jest podobny - powiedziała Dianę.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Syla. - Zostaniesz prawdziwą gwiazdą filmową!

- Wiem!

- Powiedziałaś Tommy'emu?

- Niby kiedy? Jest druga nad ranem. Napiszę do niego jutro.

- Będzie taki podekscytowany.

Była to jedna z wielu spraw, i zdecydowanie najważniejsza, które jeszcze nie dotarły do Dianę - jak Tommy przyjmie wiadomość, że ona być może wyjedzie do Hollywood. Z przejęcia nie mogła zasnąć. Gdy dziewczyny poszły spać, długo leżała w łóżku, jak to często jej się zdarzało, i myślała o Tommym.

Z jego pierwszych listów z Ashlawn trudno było wywnioskować, jak mu się tam wiedzie. Dianę pamiętała swój pobyt w szkole z internatem i dokładną kontrolę korespondencji nowych uczennic, żeby rodzice nie wpadli w popłoch. Nie mogły pisać, że jest im okropnie, że dostają paskudne jedzenie, że są strasznie traktowane przez nauczycieli i starsze dziewczęta. Ślady takiej cenzury wyczuwało się również w listach Tommy'ego.

Kochana Dianę!

Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. U mnie jest nieźle. Dzisiaj graliśmy w rugby. Była świetna zabawa. Jedzenie jest okay (ostatni wyraz był przekreślony, bez wątpienia na skutek odgórnego nakazu, i zastąpiony słowami „w porządku”). Poproś mamę, żeby przysłała mi więcej herbatników w czekoladzie i smarties z zamknięciami

66

w różnych kolorach, bo je zbieramy. Przede wszystkim niebieskie. Mam nadzieję, że próby idą dobrze. Pozdrowienia,

Tommy.

Natomiast list, który dostała przed dwoma dniami, wyglądał zupełnie inaczej. Litery były koślawe, jakby nabazgrane w rozpacz, a wiadomość tak krótka, że mroziła krew w żyłach.

Kochana Dianę!

BŁAGAM, powiedz mamie i tacie, żeby mnie stąd zabrali. Nie mogę tego wytrzymać. Oni się nade mną znęcają. BŁAGAM.

Pozdrowienia,

Tommy.

Znalazł jakiś sposób, żeby przemyścić ten list ze szkoły. Przypomniało jej się, jak pocałunkiem przekupiła jednego z ogrodników szkolnych, żeby zrobić to samo. Zaraz po otrzymaniu tego listu zadzwoniła do matki. Wystarczyło kilka sekund, by ich rozmowa przeszła w pyskówkę, co ostatnio było regułą.

- Jak zwykle dramatyzujesz, Dianę. Czy ty masz pojęcie, ile twojego ojca kosztuje pobyt Tommy'ego w Ashlawn?

- Wiem doskonale, mamó. Mówiłaś mi to setki razy.

- W kółko to samo. Razem z twoim ojcem staramy się postępować właściwie, opiekujemy się Tommym, płacimy wszystkie rachunki, a ty nic, tylko krytykujesz. Panna Zarozumialska. Mieszka sobie

w Londynie, obraca się w eleganckim świecie i mówi wszystkim, co mogą robić, a czego nie mogą. Mam tego dosyć.

67

- Ja też! - wrzasnęła Dianę i rzuciła słuchawkę.

Zwykle czekała godzinę i dzwoniła z przeprosinami. Ale nie tym razem. Jeśli Amerykanie zaproponują jej tę rolę, a wszystko na to wskazuje, to wyjedzie do Hollywood. I jeśli dobrze pójdzie, rozpocznie karierę filmową i być może będzie chciała tam zostać. Przynajmniej na jakiś czas. Od wielu miesięcy starała się zebrać całą odwagę i zrobić coś w sprawie Tommy'ego. Jeszcze nie podjęła decyzji, ale ten moment się zbliżał.

Rozdział Piąty.

Najczęściej zostawiali go samego sobie, i tak było lepiej. Ale wciąż go dręczyli, codziennie i od niechcenia - ktoś walnął go ukradkiem albo szturchnął w bok, podstawił mu nogę na boisku, przykleił gumę do żucia na siedzeniu krzesła, zawiesił na plecach kartkę z napisem: „Daj mi kopa”. Tommy przekonał się, że jeśli będzie siedział cicho, udawał obojętność i trzymał się z dala od ciemnych zakamarków, gdzie czały się najgorsze bestie, to jego życie stanie się niemal znośne. Zauważył, że maltretowanie kogoś, kto się tym nie przejmuje, jest dużo mniej śmieszne.

Tę ważną lekcję przetrwania Tommy zawdzięczał Piggy'emu Wadlowowi. Chłopak gwarantował o niebo większą uciechę. Gdy dręczyciel zerwał mu z nosa okulary, uszczypnął z „zakrętasem” fałd skóry pod prysznicem albo spuścił na siedzącego na klozecie bombę wodną, Piggy pędził za nim jak burza, krótkie spodnie i majtki powiewały mu na wysokości pulchnych różowych ud, ciął ramionami powietrze, miotał groźby kar, a czasem je wymierzał. Co, oczywiście, tylko uprzyjemniało zabawę modyfikowaną w nieskończoność.

69

Tommy, który przebywał w Ashlawn już drugi trymestr, podjął pewne działania we własnej obronie. Na przykład przed pójściem spać zawsze sprawdzał łóżko i nigdy nie wkładał butów czy kapci, nie upewniwszy się, że są puste. Dzięki temu nie wsadzał palców w gnijący owoc, zaschnięte psie odchody czy w zdechtłą mysz. Podczas posiłków nie odrywał wzroku od swojego talerza, gdy ten wędrował od jednego chłopca do drugiego przy stole, bo któryś mógłby do niego napluć, wsypać sól albo coś jeszcze gorszego. Obsesyjnie strzegł swoich rzeczy i natychmiast widział, czy ktoś ich dotykał lub przy nich majstrował. No i nigdy nie zapomniał zamknąć na klucz skrzyneczki ze słodyczami, z której jego przezwisko zostało usunięte terpentyną, ale pozostała biała rozmazana plama, równie wymowna.

Choć rzadziej moczył się w nocy i klocki w nogach łóżka zostały usunięte dawno temu, niewiele to zmieniło. Przewisko i sława Tommy'ego przeszły do legendy. Przywódczą rolę wśród jego dręczycieli nadal odgrywali Critchley i Judd, na trzecim miejscu, niewiele od nich odstając, plasował się Pettifer. Ale Tommy przynajmniej wiedział, czego się po nich spodziewać, i w ich obecności zawsze był

przygotowany na atak. Bardziej dobijały go drobne zniewagi i urazy wielokrotnie doznawane od chłopców, którzy tak naprawdę wcale nie byli brutalami, częstokroć zachowywali się dość przyzwoicie, będąc z nim sam na sam, ale w towarzystwie kolegów czuli się zobowiązani do okazywania okrucieństwa.

Tommy wiedział z doświadczenia i wyczuwał, że szukanie opieki i sprawiedliwości u nauczycieli, nawet tych życzliwych jak Lawrence Cioteczka, przyniosłoby efekt odwrotny do zamierzonego. Chłopcy nieuchronnie brali odwet na donosicielach,

70

zwykle po zgaszeniu świateł albo podczas porannej przerwy, w ubikacjach. Niemal każdego dnia widział, co spotykało Piggy'ego, który leciał z krzykiem i płaczem do najbliższego nauczyciela. Z upływem tygodni i miesięcy zmieniło się ich nastawienie - najpierw słuchali jego skarg z autentyczną troską i współczuciem, potem ze znużeniem i pogardą. Zaledwie poprzedniego dnia ktoś popchnął i przewrócił go na boisku, Piggy z rykiem pognął do Charliego Niewidocznej Brody, a ten spokojnie, lecz ostro powiedział mu, że jest „skarżypytą i maminsynkiem”.

Przez dwa i pół trymestru, czyli niemal przez całe dziewięć miesięcy, Tommy nie miał ani jednego przyjaciela w realnym życiu i dlatego coraz częściej szukał pociechy u tego z wyobraźni. Pozbawiony stałej dawki Wagon Train w poniedziałkowe wieczory (w Ashlawn telewizor był oczywiście zakazany, podobnie jak inne wynalazki, które stwarzały niebezpieczeństwo, iż życie stanie się pod jakimś względem przyjemne) musiał się zadowolić fotosem Flinta McCullough przyklejonym od wewnątrz do wieka skrzyneczki na smakołyki. Były tam również zdjęcia rodziców oraz jego ulubione zdjęcie Diane przed Cafe Royal, ale Flint zajmował honorowe miejsce.

Skrzyneczki ze smakołykami stały w korytarzu, na półkach zrobionych z listewek. Chłopcy mieli do nich dostęp tylko po posiłkach, ale wówczas było tam zbyt głośno i tłoczno, więc Tommy zakradał się do korytarza, gdy miał pewność, że będzie sam. Za to, podobnie jak za większość drobnych przewinień, groziły cięgi, ale zachowywał ostrożność i na razie go nie przyłapano. Nosił czarne sznurowane buty z gumowymi podeszwami i dzięki temu poruszał się bezgłośnie po posadzkach, a jeśli usłyszał jakiś dźwięk, zamierał w mroku, czekając, aż

71

zagrozenie minie. Gdy znalazł się na miejscu, otwierał skrzyneczkę kluczem wiszącym na sznurku przy pasku krótkich spodni. Powoli unosił wieko i pojawiała się twarz Flinta, który patrzył na niego z nieco smutnym, ale pokrzepiającym półuśmiechem, zupełnie jakby na niego czekał.

Tommy zdawał sobie sprawę, że traktowanie skrzyneczki jak świątyni i stawanie przed nią w łączności duchowej z aktorem odgrywającym kowboja graniczy z dziwactwem, o ile nim nie jest. Tak naprawdę zastanawiał się czasem, czy nie popada w lekki obłąd. Ani razu nie przemówił do zdjęcia i zapewne uciekłby przerażony, gdyby słynne usta kowboja choć drgnęły w odpowiedzi. Ale w głowie słyszał jego głos tak wyraźnie, jakby Flint stał przed nim we własnej osobie.

„Jak minęła noc?”.

„Zlałem się, psiakrew. A prawie trzy tygodnie było już dobrze”.

„Co za pech, chłopcze. Ale świetnie ci idzie. Ile razy powtarzamy przed snem: »Nie zsikam się do łóżka«?»".

„Trzysta".

„Zwiększmy do czterystu".

„Dobra".

„A co do gadki Pettifera przy śniadaniu, że twoja mama ma kwadratowe cycki. Nie przejmuj się. To kretyn".

„Wiem".

„Takie ma pewnie jego matka".

„No. I w dodatku obwisłe".

„Sięgają jej do pasa".

„Dzięki, Flint".

„Nie ma za co, Tommy".

„Muszę iść. Zobaczymy się później. Dobrze?".

72

„Jasne. Uważaj na siebie".

„Ty też. Cześć".

W realnym życiu tylko jedna osoba prawie pełniła funkcję mentora: Ciotka. Pan Lawrence był stary - chyba mniej więcej w wieku ojca Tommy'ego - i nosił tweedowe marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach. Miał małe, pokryte szczeciną placki na szyi, w miejscach, gdzie się nie dogolił, i pachniał kojąco dymem z fajki, jak ojciec Tommy'ego. Kilku starszych chłopców twierdziło, że na pewno jest homo, ponieważ: a) nie ożenił się, b) ma na imię Evelyn, a to przecież imię żeńskie. Tommy nie przywiązywał do tego wagi. Pan Lawrence był serdeczny, zabawny i opowiadał zajmujące historie. Sprawował obowiązki wychowawcy klasy Tommy'ego, drugiej „b". Wchodząc do sali, zawsze mówił: „Druga »b«, tak czy nie, oto jest pytanie"* , na co wszyscy wydawali przeciągły jęk.

[* Gra słów: two B (druga „b") wymawia się podobnie jak to be (być). To be, or not to be; that is the question (Być albo nie być - oto jest pytanie) to cytat z Hamleta Williama Szekspira].

Najlepsze było to, że potrafił zarazić innych swoim zamiłowaniem do książek.

Gdy zauważył, że Tommy bardzo interesuje się westernami, dał mu Jeźdźców purpurowego stepu Zanz'a Greya, a potem zbiór opowiadań Jacka Londona. Tommy od razu połknął bakcyła i niedługo potem czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Biblioteka szkolna była niewielka i nędznie zaopatrzona, wobec tego w każdą środę po podwieczorku Ciotka prowadził zainteresowanych

chłopców do miejskiej biblioteki publicznej, skąd mogli wypożyczyć po trzy książki. Dla Tommy'ego była to największa atrakcja tygodnia.

Szli do miasta około mili krętą drogą w dół, nawet w deszczowe dni

73

podekscytowani poczuciem wolności, które przepełniało ich, gdy tylko opuścili teren szkoły. Zbyt długie rozmowy z nauczycielami były niewskazane, gdyż łatwo padało posądzenie o podlizywanie się albo, co gorsza - jeśli tym nauczycielem był Lawrence Cioteczka - o skłonności homo. Mimo to w drodze do miasta lub z powrotem Tommy zwykle miał okazję z nim pogawędzić. Ciotka zawsze wspominał o jakiejś nowej książce lub pisarzu.

- Myślałem o tobie, Bedford.
- Tak, panie profesorze?
- Czytałeś coś Fenimore'a Coopera?
- Nie, panie profesorze. W ogóle o nim nie słyszałem.
- Ostatni Mohikanin?
- To znaczy Sokole Oko? Widziałem w telewizji. Świetne.
- Książka jest jeszcze lepsza. Spróbujemy ją znaleźć.

Tommy przeczytał już wszystkie westerny w zbiorach biblioteki. Miła starsza pani za biurkiem zawsze starała się informować go o nowych nabytkach, a nawet sprowadzała mu książki z innych bibliotek. Gdy czekał na zamówione pozycje, za radą Ciotki sięgał na przykład po utwory Agathy Christie, P.G. Wodehouse'a czy M.R. Jamesa, autora najbardziej przerażających opowieści grozy na świecie. Spośród wszystkich pisarzy wspomnianych przez Ciotkę zdecydowanie najlepszy był jednak Rudyard Kipling. Tommy przeniósł się wyobraźnią w miejsca ekscytujące i egzotyczne, mimo to niepozbawione uspokajającego ładu. Choć czyhało tam niebezpieczeństwo, a nawet dopuszczano się podłości, prawda i przyzwoitość ostatecznie zwyciężały.

Właśnie w taki środowy wieczór w połowie mokrego i brzydkiego czerwca Tommy, ku swemu zdziwieniu i ostrożnej

74

radości, na nowo zbliżył się z Dickiem Jessopem. Dickie zamiast książek wołał czytać zabronione komiksy i czasopisma, więc rzadko uczestniczył w wyprawach do miejskiej biblioteki. Cała grupa akurat weszła przez bramę na teren szkoły. Tommy włókł się kilka jardów za wszystkimi częściowo z przyzwyczajenia, w obronie własnej, częściowo dlatego, że wetknął nos w nową książkę Zane'a Greya, dopiero co wypożyczoną z biblioteki. Był tak zaabsorbowany lekturą Klanu z Arizony, że nie zauważył, jak Dickie zwalnia kroku i dołącza do niego.

- Co wzięłeś?

Tommy pokazał mu książkę.

- On żyje? - zdziwił się Dickie.
- Nie żyje, ale napisał taką masę powieści, że wciąż go wydają.
- Nie znam nikogo, kto czyta więcej niż ty. Tommy wzruszył ramionami.
- Lubię czytać.
- Czy to prawda, że twoja siostra będzie grała w filmie z Garym Cooperem?

Gdyby to pytanie zadał ktoś inny, Tommy wyczułby podstęp i zaprzeczył. Zazwyczaj informacje dotyczące go były przekręcane lub wykorzystywane przeciwko niemu. Mógł się spodziewać, że zarzucą mu kłamstwo albo przechwalanie się, że nazwą Dianę dziwką albo będą wyrażali się obraźliwie o jej wyglądzie. Ale Dickie różnił się od pozostałych.

- Tak - odpowiedział po prostu.

Dickie pokiwał głową w zamyśleniu, ale się nie odezwał. Tommy nie umiał powiedzieć, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na jego koledze, więc dodał jakby od niechcenia:

- Teraz jest w Hollywood.

75

Dickie wciąż milczał. Jeszcze raz kiwnął głową, patrząc w dal na boiska, które po tygodniach nieustających deszczów zamieniły się w morze błota. Białe słońce rozbłysło na chwilę w kałużach na podjeździe.

- Skąd wiedziałeś? O Garym Cooperze, znaczy się. Dickie kopnął kamyk, celując w kałużę.
- Chyba ktoś to przeczytał w jakimś czasopiśmie czy coś takiego.

Tommy domyślił się, że Dickie podszedł do niego tylko po to, by uzyskać potwierdzenie tej wiadomości. Ale mając już pewność, nie spieszył się z odejściem. Jego milczenie bardziej niepokoiło, niż dziwiło. Dickie Jessop zmienił się prawie nie do poznania od tych kilku pierwszych dni, gdy Tommy'emu wydawało się, że są najlepszymi przyjaciółmi. Nie znaczyło to, że przyłączył się do grupki dręczycieli. Nie przezywał go Moczymajtkiem - po prostu nie zwracał na niego uwagi. Tommy nie czuł się urażony, gdyż Dickie ignorował niemal wszystkich. Na swój sposób, bardziej wyrazisty, stał się samotnikiem, jak Tommy. Dawny tupet, werwa i szelmstwo zostały z niego dosłownie wybite.

Rottweiler zachowywał się tak, jakby realizował jakąś prywatną misję. Były tygodnie, gdy co wieczór, dzień w dzień, wzywał Dickiego na dół do przebieralni. Wydawało się, że chłopiec traktuje to jak wyzwanie i celowo łamie regulamin tuż pod długim, drżącym nosem nauczyciela. Podczas kąpieli w wyznaczone dni i pod natryskami po wuefie koledzy gapili się na jego siniaki z otwartymi ustami. Pośladki przypominały czarno niebiesko fioletowo żółty obraz abstrakcyjny, dzieło ciągle w fazie tworzenia, i nie mogły się zagoić. Mimo to ani razu nie widziano, by Dickie płakał. Dało się tylko zauważyć,

76

że po każdym laniu jest troszkę cichszy, odrobinę poważniejszy, odrobinę bardziej wycofany. Wyglądało to tak, jakby na oczach wszystkich powoli, lecz nieprzerwanie gasło światło.

Znów zaczynało padać, gdy noga za nogą szli ostatni kawałek podjazdem. Wyrósł nad nimi gmach szkoły i Tommy'ego ogarnęła rozpacz na myśl, że straci drugą szansę zaprzyjaźnienia się z Dickiem.

- Chcesz coś zobaczyć? - zapytał.

- Co?

- Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz. Dickie wzruszył ramionami.

- Dobra.

- Powiedz: „obiecuję”.

- Obiecuję.

Parę minut później szli na palcach korytarzem w stronę półki, na której stała skrzyneczka Tommy'ego ze smakołykami. O tej porze nie wolno było tam przebywać. Wszyscy mieli siedzieć w klasach i przygotowywać rzeczy potrzebne do odrabiania lekcji. Na korytarzu było ciemno, ale nie zapalili światła. Tommy otworzył kluczem skrzyneczkę i uniósł wieko.

- Ładne zdjęcia.

- To Dianę, moja siostra.

Dickie kiwnął z aprobatą głową i spojrzał na zdjęcie Flinta.

- Tego znasz.

- No pewnie. To wszystko, co chciałeś mi pokazać? Tommy pokręcił głową, sięgnął głębiej do skrzynki i ostrożnie

wyjął dużą brązową kopertę.

- Zobacz - powiedział, wskazując stempel na znaczku.

- Hollywood, Kalifornia.

- Przyszło dziś rano.

77

Tommy zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy są sami. Otworzył kopertę i ostrożnie wyjął dużą czarno białą fotografię.

- Widzisz? To Red McGraw ze Sliprock - oznajmił z dumą.

- Bedford, na litość boską, przecież wiem, kto to jest.

- No tak, ale zobacz, co napisał.

Dickie przyjrzał się dużym, okrągłym literom z zawijasami.

Tommy 'emu Bedfordowi, Najszybszemu strzelcowi w Anglii. Do zobaczenia na szlaku! Red.

- Zrobił to specjalnie dla ciebie?

- Jasne.

- O rany.

- I wiesz co?

- Co?

- Obiecaj, że nikomu nie powiesz.

- Bedford!

- Słowo honoru?!

Dickie ze znużeniem dał słowo honoru.

- Oni byli na randce.

- Że co?

- Dianę i Red... Właściwie to on nie ma na imię Red. Tak naprawdę nazywa się Ray, Ray Montane. A randka to takie...

- Bedford, przestań, wiem, co to randka.

Dickie wpatrywał się przez chwilę w zdjęcie. Był pod wrażeniem, Tommy nie miał wątpliwości.

- Więc ona jest jego dziewczyną?

78

- Nie wiem. Chyba tak. Poszli razem na kolację, to wiem. Jej zdaniem on jest bardzo miły.

- O rany.

Nagle na korytarzu zapaliło się światło.

- Co wy dwaj tu robicie?

Charlie Niewidoczna Broda stał na drugim końcu korytarza i wytężył wzrok. Tommy szybko wsunął zdjęcie i kopertę do skrzyneczki.

- Kto tam jest? Odezwijże się, chłopcze!

- Jessop, panie profesorze - odrzekł Dickie. - I Bedford. Chowamy książki z biblioteki.

- Przecież wiecie, że nie wolno wam tu przebywać.

- Tak, panie profesorze - odrzekli chórem.

- Porozmawiamy później. A teraz marsz do klas!

Dwie godziny później stali w szlafrokach przed drzwiami przebieralni. Tommy miał być wychłostany dopiero drugi raz. Za pierwszym razem Rottweiler złał kapciem wszystkich chłopców z sypialni za rozmowy po zgaszeniu świateł. Ale Charlie zawsze wymierzał karę trzcinką. Tommy'emu nogi drżały ze strachu. Nie chciał się rozplakać ani, uchowaj Boże, zsikać. Nie na oczach Dickiego. Spróbował myśleć o Flincie, ale niewiele to pomagało.

- Dasz radę - szepnął Dickie. - Pierwsze uderzenie trochę boli, ale potem można wytrzymać. Złap się ławki i zaciśnij zęby.

W obawie, że głos odmówi mu posłuszeństwa, Tommy tylko kiwnął głową. Drzwi się otworzyły i stanął w nich dyrektor. Przez chwilę patrzył z wysoka na chłopców. Zdjął już marynarkę i podwinął rękawy koszuli. W prawej ręce trzymał cienką bambusową trzcinkę, długą na jakieś trzy stopy.

79

- Najpierw ty, Bedford.

Przesunął się, żeby przepuścić Tommy'ego, i zamknął za nim drzwi.

- Jessop sprowadza cię na manowce, tak, Bedford?

- Słucham, panie profesorze?

- Namawia cię do złęgo.

- Nie, panie profesorze. Ja zaproponowałem, żeby tam pójść, nie on.

- Rozumiem. Chcesz coś jeszcze powiedzieć od siebie?

- Nie, panie profesorze.

- No dobrze. Ponieważ to jest twoje pierwsze przewinienie, dostaniesz trzy razy.

Tommy przetłknął ślinę i kiwnął głową.

- Zdejmij szlafrok i pochyl się nad ławką.

Czując, że drży mu warga, zacisnął usta. Położył szlafrok na ławce i odwrócił się tyłem do pana Rawlstonea. Zgiął się, aż głowa weszła do drucianej klatki. Z całej siły chwycił za krawędź ławki. Wszystko zamarło. Chwilę później rozległo się stąpanie dyrektora i świst przecinającej powietrze trzcinki, po czym zaraz wżarł się w pośladki oślepiający, przejmujący ból. Tommy zaskomlał i po drugim uderzeniu krzyknął. Natychmiast przypomniał sobie, że za drzwiami stoi Dickie, a na górze nasłuchują wszyscy chłopcy, więc zacisnął zęby, mocno złapał się ławki i przy trzecim uderzeniu nie wydał głosu. Nie zdołał jednak powstrzymać łez. Wyprostował się powoli i przez moment stał twarzą do klatki, żeby nad sobą zapanować. Czuł się upokorzony, mały, żałosny i wzbierał w nim gniew.

- Możesz się ubrać.

Nie odwracając głowy, Tommy włożył szlafrok. Już miał ruszyć do wyjścia, gdy zobaczył wyciągniętą rękę pana Rawlstonea.

80

Zapomniał o tej części procedury. Nie do wiary, ale na twarzy tego człowieka malował się uśmiech. Tommy uścisnął mu dłoń.

- Zgodnie ze zwyczajem mówi się „dziękuję”, Bedford.

- Dziękuję, panie profesorze.

- W porządku. Jazda do łóżka.

- Tak, panie profesorze.

Za drzwiami Dickie uśmiechnął się do niego i szepnął: „Brawo”. Pośladki paliły Tommy'ego żywym ogniem. Idąc zimnym korytarzem, włożył rękę w spodnie od piżamy i delikatnie sprawdził obrażenia. Wymacał trzy pręgi, ale palce nie były zakrwawione. Ruszył w stronę skrzypiących drewnianych schodów i gdy znalazł się na górze, usłyszał pierwszy świst trzcinki. Przystanął i zaczął liczyć. Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Choć powinien udać się prosto do sypialni, postanowił poczekać na Dickiego. Wrócą razem. Gdy przyszło mu to na myśl, stojąc na szczycie schodów, poczuł, że zaszła w nim jakaś zmiana. Już nie płakał. Nie był zawstydzony ani się nad sobą nie użalał. Miał wrażenie, jakby żar na tyłku promieniował i napełniał go dumą, że przyjął tak bohaterską postawę. Już pojawił się Dickie, wbiegał na schody, uśmiechając się do niego szeroko.

- Sześć! - powiedział cicho Tommy.

- No. Nic specjalnego. Tommy się uśmiechnął.

- Słyszałem, jak mówiłeś, że to twoja wina. Dzięki. Położył rękę na ramieniu Tommy'ego i trzymał ją tam przez

chwilę.

- Lepiej kładźmy się do łóżek.

Poszli korytarzem. Ramię przy ramieniu, jak towarzysze broni.

Rozdział Szósty.

Nie widział Giny prawie pięć lat i ze zdziwieniem stwierdził, że mało się postarzała. Przytyła kilka funtów, ale dobrze jej to zrobiło. Drobne zmarszczki od śmiechu wokół ciemnobrązowych oczu dodały jej uroku. Miała krótko obcięte włosy i było jej do twarzy w takiej fryzurze. Żeby przeczytać kartę dań, założyła okulary z wąskimi prostokątnymi szklami, w błyszczących czarnych oprawkach -

wyglądała w nich uczenie i zarazem seksownie. W życiu nie ma sprawiedliwości. Blisko pięćdziesięciopięcioletnia Gina była równie piękna jak w dniu, gdy Tom zobaczył ją po raz pierwszy.

To ona wybrała restaurację, przestronną, o bezwzględnie minimalistycznym wystroju. Kelnerzy nosili się na czarno. Na środku znajdowała się kuchnia z wyposażeniem ze stali nierdzewnej, otwarta na salę, żeby można było obserwować przyrządzanie jedzenia. Z karty wynikało, że wszystkie potrawy są obsmażone albo czymś polane. Byli jedynymi gośćmi i zostali posadzeni przy stoliku pod samym oknem, przez co czuli się trochę jak w zoo. Gina przeproszała go już dwa razy, mówiła,

82

że lokal niedawno otwarto i że nie ma pojęcia, czy jest dobry. Tom już nie przyjeżdżał do Great Falls, chyba że koniecznie musiał. Wschodnia strona gór przywoływała zbyt wiele wspomnień, poza tym wolał nie ryzykować spotkania z Giną. Zabawne, jak człowiek potrafi sobie wmawiać, że się odkochał. Siedziała naprzeciwko niego i przygryzała wargę, zastanawiając się, co zamówić, a on, patrząc na nią, wiedział, że wcale nie jest mu obojętna i prawdopodobnie nigdy nie będzie.

Kelner, z wyglądu czternastolatek, stał w wyczekującej pozie.

- Poproszę linguini - powiedziała Gina. - Potem tuńczyka, niewysmażonego.

- Doskonały wybór. A dla pana?

- Z lokalnego połowu?

- Tuńczyk?

- Linguini.

- Ale...

- Żartuję. Dla mnie to samo.

Gina patrzyła na niego ze znużeniem, jak zawsze, gdy próbował dowcipkować. Zważywszy na to, co się przydarzyło Danny'emu, może uważała, że taka niefrasobliwość jest niestosowna. Oczywiście miała rację. Pozwolił, żeby przyjemność ze spotkania z nią wzięła nad nim górę.

Gdy nadeszła wiadomość o Danny'm, rozmawiali przez telefon niemal codziennie i Tom, nierozważnie, cieszył się z ponownego nawiązania kontaktu, jakby żywił jakąś nadzieję. Kelner zapytał, czy podać kartę win. Pytanie nie uszło uwagi Giny - była wyraźnie ciekawa, czy Tom wciąż nie pije. Nie pił, i to osiem lat. Poczł się lekko urażony, że nie jest tego pewna. Zamówił butelkę wody mineralnej.

Wiedzieli o Danny'm już prawie od tygodnia i nadal mieli

83

mętne pojęcie o tym, co mu zarzucają. Oficjalnie wojskowi mówili tylko tyle, że doszło do incydentu, podczas którego „zginęła nieznana jeszcze liczba cywilów”. Przebieg wydarzeń ustalało Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej. Wszyscy uczestnicy zajścia, także Danny, zostali zawieszni w służbie czynnej i otrzymali zakaz opuszczania bazy, która mieściła się w dawnej fabryce pod

Bagdadem. Danny kilkakrotnie kontaktował się z Giną telefonicznie i wysyłał e-maile, ale mówił, że reprezentujący go prawnik wojskowy radził z nikim nie rozmawiać o tym incydencie.

- Dutch zdołał się wczoraj porozumieć ze swoim przyjacielem z Wywiadu Marynarki Wojennej - powiedziała cicho Gina, pochylając się do przodu.

Dutch (na sam dźwięk tego imienia Tom się jeżył) był mężem Giny, niegdyś żołnierzem piechoty morskiej, dla którego go zostawiła i który stał się ojczymem i bohaterem Danny'ego, pierwszym wzorem do naśladowania.

- On coś wie?

- Więcej, niż jest gotów wyjawić.

Kelner przyniósł wodę. W milczeniu patrzyli, jak napełnia szklanki. Gdy odszedł, Gina znów pochyliła się do przodu.

- Zdaje się, że pluton Danny'ego był na rutynowym patrolu, kiedy ich zaatakowano. Jeden z samochodów wjechał na minę pułapkę. Zginął żołnierz, dwóch odniosło ciężkie rany. Danny i pozostali ruszyli w pościg za terrorystami i ich zabili. Okazało się, że w wymianie ognia zginęło kilku cywilów. Gość nie chciał powiedzieć nic więcej. Twierdził, że Dutch nie powinien się martwić. Że to rutynowe śledztwo i ciągle dochodzi do takich wpadek. Tyle że po incydencie w Al Hadisie dowództwo trzęsie się ze strachu, że media zarzucą im chęć zatuszowania sprawy.

84

- Mówił, jak długo może trwać śledztwo?

- Nie.

- Musimy znaleźć porządnego prawnika.

- Jak to „porządnego”? Danny ma prawnika.

- Nie ma. Wojskowi przydzielili mu jakieś swoje popychadło. Na litość boską, czyją stronę trzyma ten gość? Będzie ratował im dupy.

- Dutch mówi, że wojskowi adwokaci są całkowicie niezależni.

- Czyżby? To on tak twierdzi.

Gina westchnęła i spojrzała w bok. Tom skarcił się w duchu za ten drwiący ton, który przybierał odruchowo, ilekroć padało imię męża Giny.

- Miałeś jakieś wiadomości od Danny'ego?

- Nie.

Wiedział, że zadała to pytanie tylko po to, żeby się odgryźć. Do zeszłego tygodnia, kiedy wysłał synowi pozostawiony bez odpowiedzi e-mail, nie kontaktowali się przez lata - od zacieklej kłótni, gdy chłopiec postanowił wzorem ojczyma wstąpić do Korpusu Piechoty Morskiej. Tom zauważył ze

zdziwieniem, że dopiero teraz, gdy stało się coś złego, pozwolono mu - albo uważano, że powinien - znów włączyć się w życie Danny'ego. Odczuwał wdzięczność, ale był również trochę dotknięty.

Wiele rzeczy mu się nie udało, ale to, że nie zbudował trwałego związku ze swoim jedynym dzieckiem, wyrzucał sobie najbardziej. Bardziej niż fiasko związku z matką chłopca, choć trudno było rozdzielić obie sprawy. Domyślał się, że Danny ma o nim takie samo zdanie jak matka: uważa go za patologicznego pijaka, tchórzliwego, dręczonego poczuciem winy liberała,

85

oderwanego od swego plemienia Anglika, który dawno temu wpadł między dwie płyty kontynentalne i nie zdołał się stamtąd wygramolić. Czy można winić chłopca, że chce się określić, przyjmując skrajnie przeciwną postawę?

Tom zadreślał się myślami, czy wszystko nie wyglądałoby inaczej, gdyby przed laty nie zmusił Giny do zamieszkania w Missouli. Gina była córką ranczera i miasta wywoływały u niej klaustrofobię. Choć te kilka pierwszych lat, gdy stawiali dom nad strumieniem i spodziewała się Danny'ego, należało chyba - tak teraz sądził - do najszcześniejszych w ich wspólnym życiu. Jak na ironię sam Tom nie do końca wierzył wówczas w słuszność decyzji o przeprowadzce. Było to raczej pobożne życzenie. Wmówił sobie, że wreszcie znalazł miejsce, do którego przynależy, a tak naprawdę po prostu chciał do niego przynależeć.

Poznali się latem 1978 roku, gdy Tom ukończył pierwszy rok kursu pisarstwa na Uniwersytecie Montany. Podczas wakacji pracował jako wolontariusz w rezerwacie Czarnych Stóp w Browning. Realizowano tam finansowany ze środków federalnych program, który miał ponownie rozbudzić wśród młodzieży zainteresowanie historią i kulturą własnego plemienia, a te sprawy pasjonowały Toma od wielu lat. Wraz z zaprzyjaźnionym członkiem starszyny zorganizował dla grupy indiańskich nastolatków pieszą wycieczkę wzdłuż pasma Front Range. Podczas wyprawy rozbili obóz na terenie, który błędnie uznali za publiczny. Rozpalili ognisko i już mieli robić kolację, gdy pojawiła się kowbojka na dużym czarnym koniu, postać jak ze świata fantasy. Nie owijając w bawełnę, oznajmiła, że wtargnęli na letnie pastwisko będące własnością jej ojca. Miała biały podkoszulek, czarny kapelusz i czerwoną bandankę na szyi. Koń odznaczał się ognistym temperamentem i nie potrafił ustać

86

w miejscu, gdy dziewczyna udzielała im nagany. Trudno było powiedzieć, które z nich budziło większy strach i podziw.

Tom przeprosił, wyjaśnił, kim są i co robią, i kwadrans później dziewczyna siedziała obok niego przy ognisku, smażąc hamburgery. Gdy zdjęta kapelusz, na jej ramiona spłynęły włosy, czarne i lśniące jak sierść konia. Tom był przekonany, że widział kiedyś podobną scenę w filmie - zuchwała i piękna córka jakiegoś potentata hodowli bydła (prawdopodobnie grała ją Barbara Stanwyck) podjeżdża konno w chmurze pyłu i wrzeszczy na głównego bohatera (prawdopodobnie Jimmy'ego Stewarta). Nie pamiętał tytułu filmu, ale wiedział, że znajomości zawarte w ten sposób zazwyczaj prowadzą tylko do jednego.

Zapytała go, czy pochodzi z tych stron, i powiedział, że jako nastolatek mieszkał na małym ranczu pod Choteau. Po kilku następnych pytaniach oświadczyła, że doskonale go zna i że chodzili razem do szkoły średniej.

- Chybabym pamiętał - powiedział Tom.

Chciał jej sprawić przyjemność komplementem - takiej twarzy mężczyzna raczej by nie zapomniał - ale przyjęła to jako wyzwanie i szybko udowodniła, że ma rację. Nazywała się Gina Laidlaw i była młodsza od niego o dwa lata. Przez krótki czas rzeczywiście chodzili do tego samego gimnazjum.

- Anglik - dodała. - Wszyscy cię znali. Próbowaliśmy naśladować twój akcent. The rain in Spain stays mainly in the plain*. [* Słynne zdanie z musicalu My Fair Lady służące do nauki poprawnej wymowy].

Teraz już tak nie mówisz. Wielka szkoda.

- Do diaska, moja droga, jeśli tylko sobie życzysz. Zaśmiała się, odchylając do tyłu głowę. Z ust przypominała

bardziej Jane Russell niż Barbarę Stanwyck. Tom wpadł po uszy.

87

- Koniec końców człowiek ma dosyć ludzi, którzy go nie rozumieją - powiedział. - Nie będzie ciągle powtarzał: „Ze co?“, „Słucham?“. Mówisz queuefor the lift, a gość robi głupią minę. Jak ty teraz.

- Co to znaczy?

- Lift, czyli elevator. Czekać w kolejce do windy. Sama widzisz.

Znowu się roześmiała, pozostali też. Wszyscy zaczęli go przedrzeźniać, naśladować angielskie akcenty, a Tom przybierał wyniosły ton, udawał złość i cieszył się każdą chwilą.

Dziewczyna siedziała z nimi zaledwie godzinę, ale to wystarczyło, by dowiedzieć się, że robi magisterium na wydziale agrobiznesu w Stanowym Uniwersytecie Montany, że przez całe lato będzie pracowała w gospodarstwie i że, o ile dobrze zrozumiał, nie ma chłopaka. Odprowadził ją do miejsca, gdzie przywiązała konia, i spytał, do kogo ma zadzwonić z prośbą

o pozwolenie, gdy znów będą chcieli tu obozować. Wskoczyła zamasyście na siodło i patrząc na niego z wysokości, uśmiechnęła się szeroko, z czego wynikało, że domyśliła się, o co tak naprawdę mu chodzi.

- Niech no pomyślę... - powiedziała. - Cóż, chyba możesz zadzwonić do mnie.

Miało to być najlepsze lato w jego życiu. Zaledwie rok i cztery miesiące później, w małej kaplicy o białych szalowanych ścianach, z widokiem na rozciągające się w promieniu wielu mil i spłowiełe od słońca pastwiska, gdzie pało się było jej ojca, oraz na okryte już śniegiem wierzchołki gór w oddali, wzięli ślub.

- No i jak?

Ubrany w czarną koszulę kelner patrzył z urazą na ich wciąż pełne talerze.

- Nie smakowało?

- Bardzo dobre - powiedział Tom - ale chyba nie jesteśmy tak głodni, jak sądziliśmy.

Gina spojrzała ze skruchą na chłopaka.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Może coś z firmowych deserów?

- Nie, dziękuję. Tylko kawa. Zwykła.

- Dla mnie też.

- Robi się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na ulicę. Była zmienna wiosenna pogoda, chmury przepływały szybko i nagle pojawiało się ostre słońce, które raziło Toma w oczy. Zapytał o Kelly, dziewczynę Danny'ego. Chodzili ze sobą od ponad dwóch lat, ale Tom jeszcze jej nie poznał. Gina powiedziała, że biednej Kelly jest ciężko i zależy jej tylko na tym, żeby Danny wrócił do domu.

- Kiedy to będzie?

- Dutch mówi, że najpierw przewiozą wszystkich samolotami nad Zatokę Perską. Starają się jak najszybciej wywieźć ludzi ze strefy walki.

- Czy wiadomo coś więcej, kogo ci chłopcy przypuszczalnie zabili?

Gina przełknęła ślinę i wbiła wzrok w blat stołu.

- Było tam kilka kobiet - powiedziała cicho. - I dzieci.

- O rany.

Bardzo starała się nie rozplakać, ale w końcu po policzku potoczyła się łza, lecz szybko została starta zaciśniętą dłonią. Tom chciał wziąć Ginę za rękę, ale się powstrzymał. Widział, że jest na siebie zła i pewnie odrzuci jakikolwiek gest pocieszenia.

- Uważam, że powinniśmy znaleźć mu prawnika z zewnątrz - oświadczył, głupio, jak się okazało.

- Jasna cholera, nie znasz się na tych rzeczach, Tom! Lepiej zostaw to tym, którzy się znają!

Kelner podszedł z filiżankami kawy. Tom zbierał się w sobie, by rzucić jakąś pustą dowcipną uwagę, ale chłopak wyczuł napiętą atmosferę i spuścił głowę. Tom poprosił o rachunek.

- Przepraszam - mruknęła Gina.

- W porządku. Daj mi znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

Oboje milczeli, gdy odprowadzał ją do samochodu. W połowie drogi wzięta go pod rękę i wtedy jemu zakręciły się łzy w oczach, ale niczego nie zauważyła, a on szybko się opanował.

Kiedy się rozstali, poszedł Trzynastą Ulicą do Muzeum Charliego Russella. Cienie chmur przetaczały się obok niego na chodniku. Dawno nie widział obrazów Russella. Ostatni raz był tu z trzyletnim Dannym. Zdaniem Toma żaden malarz nie uchwycił ducha amerykańskiego Zachodu tak dobrze jak Russell. Danny'ego poraziły obrazy kowbojów i Indian, ich koni o dzikich oczach, myśliwych, którzy pędzą za bizonami na tle rozległych krajobrazów pokrytych czerwonym pyłem i porośniętych bylicą. Wziął syna na rękę, żeby lepiej widział. Każde malowidło przedstawiało jakąś historię. Opowiadali sobie szeptem, co się na nim dzieje, kto strzelił pierwszy, na co wskazują Indianie stojący na wzgórzu, dlaczego ci ludzie zastrzelili wilka, co się wydarzy potem.

W tym czasie między nim i Giną już się psuło. Na początku powodem kłótni były najczęściej sprawy rodzinne. Jej ojciec nie polubił Toma ani zbytnio nie ukrywał, że jego „królowa”, ukochana jedynaczka, mogła dokonać znacznie lepszego wyboru.

90

Z C.J. Laidlawą był kawał byka, mężczyzna wysoki, szeroki w barach, o odpowiednich do postury ego i temperamencie. Jego przekonania niemal w każdej kwestii, zwłaszcza politycznej, różniły się skrajnie od przekonań Toma. Lubił się z nim drażnić, wyciągać z niego jakiś liberalny pogląd, by potem go obalić. Pogardliwym tonem pytał Toma o jego pracę, wczesne i w dużej mierze niepublikowane próby literackie, a przede wszystkim o jego zainteresowanie Czarnymi Stopami. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że zięć powinien się ruszyć i znaleźć sobie porządne zajęcie.

W pierwszych latach małżeństwa Tom odpowiadał uśmiechem i nie dawał się wciągnąć w taką wymianę zdań, ale po narodzinach Danny'ego zaczął bronić swojego zdania. Podczas obiadu w Święto Dziękczynienia, tuż po trzecich urodzinach Danny'ego, doszło do piekielnej awantury między Tomem a jego teściem na temat polityki zagranicznej Reagana. Gina - co znaczące - stanęła po stronie ojca. Od tamtej pory już nie było tak jak przedtem.

Mniej więcej wtedy zaczęły się problemy Toma z alkoholem. Nawet po latach terapii, psychoanalizy i spotkań grupy AA wciąż nie wiedział, dlaczego tak się stało. Musiałby rozważyć zbyt wiele powodów.

Kłótnie domowe stały się regułą - zwykle chodziło o coś związanego z Dannym. Nie był łatwym dzieckiem. Miał kolki i przez pierwsze dwa lata życia właściwie nie przestawał płakać. Tom i Gina byli umordowani z niewyspania. Bywało, że ostatkiem sił starali się zachować zdrowy rozsądek. Gina wpadała w złość i wyrzucała Tomowi, że żaden z niego ojciec, że zwała na nią całą ciężką robotę, że bardziej przejmując się swoją pracą niż obowiązkami wobec niej i syna. Mówiła, że

91

nie cierpi Missouli. Winiła Toma za to, że oderwał ją od rodziny i przyjaciół i zaciągnął na drugą stronę gór.

Sytuacja komplikowała się jeszcze bardziej, gdyż Tom w duchu przyznawał rację Ginie, choć nigdy nie powiedział tego głośno. Uważał, że popełnili duży błąd, decydując się na dziecko. Ze względu na swoje nieszczęśliwe dzieciństwo nie nadawał się na ojca. Ponieważ wszyscy, których kochał i którzy

jego kochali, albo już nie żyli, albo go porzucili, otoczył się grubym pancerzem i był niezdolny do miłości, tak sądził. Gdy Gina go atakowała, nie stawiał oporu, tylko przyjmował zarzuty i przeproszał, a to tylko podsycalo jej gniew. Tom uciekał w pracę, pod różnymi pretekstami jeździł do miasta. „Muszę znów posiedzieć w bibliotece uniwersyteckiej - mówił. - Prowadzę badania”.

W pewnym sensie rzeczywiście to robił. Zagłębiał się w swoje wnętrze, sięgając nieznanymi, ciemnymi obszarami. Spędzał długie popołudnia, z upływem miesięcy również długie wieczory, w obskurnych śródmiejskich barach razem z takimi jak on żywymi outsiderami, z których każdy miał własne smutki, ale wszyscy jednakowo się nad sobą użalali.

Tom zauważył, że większość rozpadających się małżeństw w pewnym momencie przekracza punkt, z którego nie ma już powrotu, przeproszenie i wybaczenie tracą wówczas sens i obie strony widzą, że nic się nie zmieni. Dla Giny takim punktem był spływ kanoe, wyprawa Toma z Dannym, tylko we dwóch, kilka dni przed piątymi urodzinami chłopca.

Tom wszedł wówczas w kolejną fazę picia. Pociągał ukradkiem kilka łyków z rana i coraz więcej butelek chował po całym domu: za książkami na regale, w starych kowbojskich butach trzymany w szafie, nawet w szopie na drewno.

92

Wyprawa kanoe była już dwukrotnie przekładana z powodu pogody i tamtego niedzielnego poranka Tom, choć miał okropnego kaca, nie chciał znów sprawić chłopcu zawodu.

Był bezchmurny zimny dzień na początku wiosny. Danny trząsł się z emocji, gdy tylko wstał z łóżka. Chciał pomóc Tomowi załadować stare zielone kanoe Colemana na dach samochodu, ale tylko przeszkadzał i Tom go skarcił, chyba za ostro. Gina musiała to usłyszeć, bo wyszła przed dom i przyglądała się ze skrzyżowanymi na piersi rękami i tą swoją miną, jakby znużoną i zrezygnowaną, a przy tym krytyczną, wymowniejszą od słów. Danny stanął obok niej.

- Czy to na pewno dobry pomysł? - zapytała.

- Daj spokój. Będziemy się świetnie bawili, prawda, Danny?

Danny kiwnął głową, ale bez przekonania.

Godzinę później już płynęli rzeką. Było wspaniale: słońce migotało na wodzie diamentowym blaskiem, topole na brzegu zaczynały się okrywać zieloną mgiełką. Tomowi rozjaśniło się w głowie. Danny, w żółtej kamizelce ratunkowej i czerwono białej filcowej czapeczce, uśmiechał się szeroko i pokrzykiwał z radości.

Tom spływał tą trasą kilkanaście razy, ale nigdy z Dannym. Nie była trudna, kilka odcinków z nie takim znowu rwącym nurtem. Gina miała przyjechać po nich samochodem za dwie godziny i czekać w dole rzeki. Zatrzymali się na postój, zjedli kanapki na słonecznej łące, a potem rzucali kamyczki przez rzekę.

- Zrobimy to jeszcze raz, tato?

- Kiedy tylko będziesz chciał.

Włożyli z powrotem kamizelki i wsiedli do łódki. Danny

wiosłował małym wiosłem, siedząc na przednim siedzeniu. Nie miał wprawy, ale to było bez znaczenia. Dopiero gdy rzeka się zwężała i dopłynęli do ostatniego bystrza, Tom zauważył, że poziom wody jest wyższy, niż się spodziewał. Rozlegał się głośny szum. Fale uderzały ukośnie w oba brzegi rzeki. Tom kazał Danny'emu położyć wiosło na podłodze i obiema rękami złapać się krawędzi burty. Chłopiec musiał wyczuć napięcie w jego głosie, bo nagle zbladł ze strachu.

Jak to się dokładnie stało, Tom nigdy nie miał pewności. Na pierwszych stu jardach bystrza nabrali sporo wody, która przy każdym przechyle przelewała się nad ich nogami z jednej strony na drugą, zaburzając stabilność łódki. Poza tym, ponieważ poziom wody w rzece był wyższy niż podczas wcześniejszych wypraw, Tom nie wiedział, którędy omijać kamienie. Nagle fala odbiła się od prawego brzegu i uderzyła w dziób, obracając gwałtownie kanoe.

- Tato! - wrzasnął Danny.

- Trzymaj się mocno! Jest dobrze.

Wcale nie było dobrze. Zanim Tom zdążył opanować łódź, popłynęła tyłem, wessana przez wartki nurt między kamieniami. Odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co mają przed sobą. Gdy znów spojrzął na Danny'ego, twarz chłopca była wykrzywiona z przerażenia.

- W porządku, synu. W porządku.

Z przodu wystawały dwa duże głazy, w niewielkiej odległości od siebie, między którymi rwała woda, wytryskując ogromnym srebrzystym łukiem i spadając do rozlewiska. Gdyby kanoe wpłynęło w szczelinę dziobem, być może mieliby szczęście i się nie wyrócili. Jednak rufa uderzyła w głaz po prawej stronie, coś zgrzytnęło, łódka się zachybotła, przemykając

przez szczelinę, sekundę później odwróciła się dnem do góry i obaj znaleźli się pod wodą.

Tom zapamiętał nagłą ciszę, zielonoszarą powierzchnię skał w korycie rzeki, wirujące bąbelki powietrza, swoje wiosło na wodzie i odwrócone kanoe nad głową. Woda była tak zimna, że głowę przeszywały mu igły bólu. Wypłynął na powierzchnię, obciążony ubraniem, czując, że zaraz pękną mu płuca. Łapiąc powietrze, już rozglądał się za Danny'm. Nigdzie go nie było. Miotał się na wszystkie strony.

- Danny! Danny!

Wreszcie zobaczył czerwono białą czapeczkę wynurzającą się z wody, a po sekundzie twarz i wytrzeszczone oczy syna, który, krztusząc się, łapał powietrze.

- Tato, nic ci nie jest?

- Nic. A tobie?

Danny pokręcił głową. Ścisnął w ręce wiosło. Woda w rozlewisku była spokojna. Tom wyciągnął Danny'ego na brzeg i wrócił po łódkę. Nie wzięli ubrań na zmianę, więc gdy dopłynęli do miejsca

spotkania z Giną, Danny trząsł się z zimna i szcząkał zębami. Widząc stojącą na brzegu matkę, zaczął płakać.

- Co się stało?

- Mieliśmy mały wypadek - powiedział Tom.

- Jezu Chryste.

Gina zaniósła Danny'ego do samochodu, zdjęła mu mokre ubranie i owinęła go swoim swetrem. Usiadła na siedzeniu dla pasażera, tuląc i uspokajając chłopca, a Tom tymczasem zapakował łódkę na dach. Gdy jechali do domu, atmosfera w samochodzie była zimniejsza niż woda w rzece. W pewnej chwili Tom odważył się zerknąć na Ginę: patrzyła prosto przed siebie, a po jej policzkach płynęły łzy.

95

Przez następny miesiąc, ilekroć Tom zamykał oczy, wracały sceny z wypadku. Bąbelki powietrza, wywrócona łódź, wynurzający się synek. „Tato, nic ci nie jest?”. Gina nie wspomniała słowem o zdarzeniu, nawet gdy błagał ją, żeby go wysłuchała. Nie miała takiej potrzeby. Poza tym niezależnie od tego, co by powiedział, prawdopodobnie nie skłoniłby jej do zmiany decyzji. Wszystko stało się przez to, że pije - nic go nie usprawiedliwia. Nie nadaje się na ojca.

Tego popołudnia Tom miał muzeum niemal wyłącznie dla siebie. Podeszwy jego butów głośno piszczały na wypastowanej podłodze, gdy przechodził z sali do sali, szukając swoich ulubionych dzieł. Długo stał przed malowidłem, które niegdyś tak oczarowało Danny'ego. Obraz nosił tytuł Statek ognisty i przedstawiał czterech indiańskich wojowników na koniach, którzy stali na szczycie skały na tle cudownego fioletowo niebieskiego wieczornego nieba i patrzyli zaskoczeni na parowiec płynący w górę rzeki daleko w dole.

- Kto jest na statku? - zapytał Danny.

- Biali ludzie.

- Czego chcą?

- Zabrać Indianąm ziemię.

- Uda im się?

- O tak. Obiecali, że jej nie wezmą, ale wzięli.

Tom próbował przywołać uczucia, które towarzyszyły mu tamtego dnia, lecz wygasły bez śladu. Trawiło go jedynie wspomnienie dawno utraconego syna i własnego zagubionego ja.

Rozdział Siódmy.

Tommy i Dickie siedzieli na szerokiej kanapie z kremowej skóry, z tyłu bentleya, i patrzyli przez otwarte okno na gromadę kolegów z Ashlawn, którzy nadal otaczali gęstym wianuszkim Raya Montane'a i Dianę. Chłopcy rozpychali się, żeby dostać autografy, wykrzykiwali co chwila: „Red! Red!”, prostowali kciuki i palce, udając strzelanie z rewolweru i zdmuchiwanie dymu z końca lufy, co było słynnym gestem Reda McGrawa ze Sliprock, podobnie jak słowa: „Do zobaczenia na szlaku” pod koniec każdego odcinka.

Ray już dawno rozdał wszystkie fotosy z wizerunkiem Reda, wobec tego zaczął podpisywać programy uroczystości rozdania nagród i każdy podsunął mu kawałek papieru. Stojąca przy nim Dianę była niewiele mniej zajęta. Fotoreporter z lokalnej gazety, człowieczyna w pomiętym ubraniu, o czerwonych policzkach lśniących od potu, zrobił im chyba ze sto zdjęć i wciąż pstrykał następne.

- Red! Red! Podpisz! - wołali chłopcy. - Proszę! Dianę! Ty też!

97

Charlie Niewidoczna Broda stał nieopodal, robiąc ważną minę i pilnując, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Podlizywał się Rayowi i Dianę od ich przyjazdu dwie godziny wcześniej, choć zdaniem Dickiego ktoś musiał najpierw wyjaśnić temu staremu durniowi, kim oni są.

Tommy nadal nie mógł do końca uwierzyć, że naprawdę przyjechali. W ostatnim liście matka napisała mu, że nie będą z ojcem na letniej uroczystości rozdania nagród i że zastąpi ich Dianę. Nie wspomniała jednak o przyjeździe Raya Montane'a. Może miała to być niespodzianka.

I rzeczywiście była. Ich pojawienie się wywołało prawdopodobnie największą sensację w Ashlawn od uderzenia pioruna w komin, który zwałił się na morrissa minora gospodyni (niestety, nie siedziała w nim). Nastąpiło w najbardziej odpowiednim momencie. Na boisku odbywały się piknik i mecz krykieta. Zebrani tam rodzice i uczniowie jedli lunch i przyglądali się, jak drużyna szkolna dostaje coroczne manto od ojców. Samochody rodziców, marką i wiekiem dokładnie odpowiadające statusowi społecznemu ich właścicieli, stały rzędem, zaparkowane dokoła boiska, a między nimi, na mokrej trawie, rozłożono kraciaste pledy i kosze piknikowe.

Tommy i Dickie, przygnębieni i głodni, oglądali mecz, siedząc na schodach szatni dla zawodników. Ponieważ rodzice Dickiego mieszkali w Hongkongu i nigdy nie uczestniczyli w szkolnych imprezach, Tommy zaproponował mu, by przyłączył się do niego i Dianę, która miała przywieźć prowiant na piknik. Po dwóch godzinach czekania na nią ledwo mogli patrzeć, jak wszyscy wcinają kanapki z ogórkiem, paszteciki wieprzowe i kurze udka. Tommy palił się ze wstydu i już miał po raz dziesiąty przeproszać Dickiego, gdy przez bramę wjechał

98

z cichym warkotem wielki biały bentley z przyciemnionymi szybami.

Gdy samochód potoczył się po trawie i zatrzymał w pewnej odległości od pozostałych aut, spoczywało na nim co najmniej trzysta par oczu. Zapadła pełna napięcia cisza. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Bentley po prostu stał w miejscu. Wtedy nawet przerwano mecz. Wszyscy zawodnicy, również sędziowie w białych marynarkach i panamach, czekali ciekawiej, kto wysiądzie.

- Patrz - powiedział Dickie.

Zaczęły uchylać się drzwi od strony kierowcy. Wysiadł szofer w uniformie i granatowej czapce i otworzył tylne drzwi.

- Domyślasz się, kto to, prawda? - szepnął Dickie.

- Nie mam pojęcia.

- Twoja siostra, ośle. Patrz!

To rzeczywiście była Dianę - z wdziękiem wysiadła z samochodu, śmiejąc się z czegoś, wygładziła sukienkę i poprawiła okulary przeciwsłoneczne.

- Jejku - wymamrotał z podziwem Dickie.

- Zobacz, kto z nią przyjechał!

Pomijając białego stetsona, Ray Montane był ubrany na czarno. Miał bolo z ozdobną zapinką pod szyją i pasek z dużą srebrną klamrą w kształcie zwiniętego grzechotnika, kowbojskie buty ze srebrnymi czubkami i koszulę z ćwiekami wyglądającymi jak brylanty. - Dickie uważał jednak, że to prawdopodobnie stras, o wiele mniej wart. Brakowało tylko pasa z rewolwerami.

Co dziwne, nie wyróżniał się aż tak bardzo, ponieważ w dniu rozdania nagród wszyscy byli ubrani szczególnie. Charlie Niewidoczna Broda, Lawrence Cioteczka i jeszcze kilku nauczycieli

99

nosili szerokie czarne togi z ogromnymi kapturami, oblamowane czerwonym lub fioletowym atłasem albo białym futrem. Wszyscy uczniowie i pracownicy szkoły mieli w klapach kwiaty z gałązkami paproci, a niektórzy ojcowie wdziali blezery w jaskrawe pasy. Większość matek i starszych sióstr założyła kapelusze ozdobione kwiatami lub piórkami.

Ale nie Dianę. Rozpuszczone włosy układały się w gęste lśniące loki i podskakiwały przy każdym kroku. Wciąż była opalona po podróży do Kalifornii. Miała na sobie różową sukienkę z odkrytymi ramionami i dostatecznie głębokim dekoltem, by zamarli wszyscy chłopcy oraz większość ojców, i sandały na wysokich obcasach.

Na oczach zebranych chwyciła Tommy'ego w objęcia i trzymała całe wieki, aż wycisnęła mu całe powietrze z płuc. Potem przywitała się z Dickiem i pocałowała go w policzek, czym wywołała rumieniec na jego twarzy. Ray podał im rękę i powiedział Tommy'emu, że wie o nim wszystko. Oby nie o sikaniu do łóżka, pomyślał Tommy. Jeszcze nigdy nie widział tak niebieskich oczu jak oczy Raya. W bagażniku bentleya znajdował się kosz piknikowy z wikliny, co najmniej trzy razy większy niż inne kosze. Na wieku widniało ogromne F&M - co oznaczało, że pochodził ze słynnego sklepu Fortnuma i Masona, jak wyjaśniła Dianę. Zawierał różne dziwne rzeczy, na przykład pasztet z gęsich wątróbek i czarne jaja ryby, nazywane kawiozem, które przypadły do gustu Dickiemu, ale wzbudziły obrzydzenie Tommy'ego. Szofer rozłożył na trawie pledy, chłopcy usiedli i napychali się tak długo, aż zrobiło im się niedobrze.

Charlie Niewidoczna Broda miał zabawiać czerwonego na twarzy pułkownika, który wcześniej wręczył uczniom nagrody

i uspił wszystkich swoją długą przemową o znaczeniu gry zespołowej, ale nie ulegało wątpliwości, że zamiast bawić gościa, korci go, by poznać Dianę i Raya. W końcu dopiął swego i wyciągnął ich na zwiedzanie szkoły. Tommy szybko pożałował, że poszedł z nimi, bo pan dyrektor ciągle klepał go po plecach i opowiadał mu dowcipy jak najlepszemu koledze. Jego obfuda była obrzydliwa. Gdy mijali przebieralnię, Tommy miał ochotę powiedzieć: „A tu ten obmierzły wazeliniarz lubi łoć nam skórę”.

Wydarzyło się jednak coś lepszego. Gdy pili herbatę przed szatnią krykieistów, Tommy dostrzegł Brenta Rottweilera, który rozmawiał z niepozorną panią pułkownikową o szurzej twarzy, i szepnął Dianę, że to najbardziej sadystyczny kat ze wszystkich nauczycieli. Ray Montane usłyszał go i zapytał:

- Czy on cię uderzył, Tommy?
- Mnóstwo razy. Dickiego bije prawie co wieczór.
- To naprawdę zboczeniec - dodał Dickie. Ray kiwnął w zamyśleniu głową.
- Jak się nazywa?
- Brent. Mówimy o nim Rottweiler.

Zanim ktoś pomyślał, żeby go powstrzymać, poszedł prosto do Brenta i delikatnie klepnął go w ramię.

- Bardzo panią przepraszam - zwrócił się do szurzycy, dotykając palcami runda stetsona. - Chciałbym zamienić z panem profesorem słówko na stronie. To potrwa tylko moment.

Brent ściągnął brwi, ale dał się odprowadzić na bok. Ray pochylił się ku niemu i rozmawiał z nim spokojnie przez chwilę. Następnie położył mu rękę na ramieniu, uśmiechnął się słodko i wrócił do Tommy'ego i Dianę. Rottweiler miał taką minę, jakby zobaczył własnego ducha.

- Co ty mu, u licha, powiedziałaś? - szepnęła Dianę.
- Ostrzegłem go, że jeśli któregoś z was dotknie palcem, psia jego mać, to wrócę i nogi mu z dupy powyrywam.

Zbliżał się wieczór. Ray i Dianę stali przy samochodzie, rozdając ostatnie autografy, gdy znów podszedł do nich Charlie Niewidoczna Broda.

- Wystarczy, chłopcy. Koniec z autografami. Pan Montane i panna Reed z pewnością mają napięty harmonogram.
- Do diabła, Charlie, zamierzałem zostać tu cały dzień - rzucił Ray.

Dyrektor odchylił do tyłu głowę i ryknął śmiechem, jakby w życiu nie słyszał nic równie dowcipnego. Ray zajrzał do samochodu i odwrócony bokiem puścił oko do Tommy'ego spod runda kapelusza. Tommy już polubił Raya, choć wciąż nie mógł przywyknąć do myśli, że ten wielki gwiazdor, Red McGraw ze Sliprock, jest teraz chłopakiem jego siostry. Bardziej mogłoby go zdziwić tylko to, gdyby wróciła do domu z Hollywood pod rękę z Flintem McCullough. Ray wyglądał starzej niż w telewizji - i z

pewnością dużo starszej od Dianę - ale to pewnie dlatego, że tyle czasu spędzał na słońcu, jeżdżąc konno za bydłem.

- Mam szczerą nadzieję, że znowu się zobaczymy - mówił dalej dyrektor, rzucając ukradkiem spojrzenia na biust Dianę. - Z obojgiem państwa, oczywiście... Właściwie, panie Montane, może zechciałby pan wygłosić przemówienie i wręczyć nagrody podczas naszej przyszłorocznej uroczystości?

- Wiesz, Charlie, to naprawdę...

- Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Przecież w waszym kolorowym świecie show biznesu nie obejdziesz się bez rozmowy z agentem i różnych takich dyrdymałów. -

102

Zaśmiał się głośno, dumny ze swojego poczucia humoru i znajomości wielkiego świata.

Była już osiemnasta, oficjalne uroczystości dobiegły końca. Uczniom pozwolono wyjechać i spędzić czas z rodzicami do następnego wieczoru. Potem jeszcze pięć dni szkoły, zakończenie letniego trymestru i powrót do domów na całe dwa miesiące. Tommy cichaczem zapytał Dianę, czy mogliby zabrać Dickiego, który nie ma dokąd jechać, ale powiedziała, że nie tym razem. Muszą omówić ważne sprawy rodzinne, tłumaczyła, patrząc na niego dziwnie, niemal nerwowo.

- O co chodzi?

- Później ci wyjaśnię, kochanie.

- Nie szkodzi - powiedział Dickie. - W tej norze da się wytrzymać, gdy wszyscy wyjadą.

Wysiadł z bentleya i się pożegnał. Charlie Niewidoczna Broda jeszcze przez chwilę zalewał ich potokiem słów, a potem szofer otworzył drzwi Dianę i Rayowi, którzy usiedli po bokach Tommy'ego na tylnej kanapie. Samochód ruszył, odprowadzany do bramy przez gromadę chłopców, którzy machali, wiwatowali i wołali: „Do zobaczenia na szlaku!”.

Jechali w milczeniu. Ray wyjął ze srebrnej papierošnicy dwa papierosy, zapalił i podał jednego Dianę. Przez długi czas nikt się nie odzywał.

- Czy Ray jedzie z nami do domu? - zapytał cicho Tommy.

- Tak, ale nie zostanie. Musi wracać do Londynu. Jutro rano leci z powrotem.

- Do Kalifornii?

- Zgadza się, chłopcze - rzekł Ray.

- Szkoda.

103

- Ja też żałuję. Ale wiesz co, Tommy? Myślę, że niedługo będziemy spędzali ze sobą dużo więcej czasu.

- O...

Ray spojrział na Diane, Tommy też przeniósł na nią wzrok i zauważył, że znów dziwnie na niego patrzy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem, a potem odwróciła głowę w stronę okna. Przez całą drogę Ray i Tommy gawędzili o najróżniejszych rzeczach, ale Diane nie odezwała się ani słowem.

Tommy'emu nie było wolno pojechać do domu przez wiele tygodni, sądził więc, że rodzice wyjadą na dwór, żeby go powitać. Ale gdy Bentley zajechał na podjazd, przed wejściem nie było nikogo. A Ray nawet nie wszedł do środka. Wszyscy wysiedli, szofer postawił skórzaną walizę Diane koło niej na zwirowej ścieżce. Ray mocno uściśnął rękę Tommy'ego.

- Opiekuj się moją dziewczyną, partnerze.

- Dobra.

Ray uśmiechnął się szeroko i wykonał ten swój gest zdmuchiwania dymu z palców ułożonych w kształt rewolweru. Tommy też tak zrobił. Potem Ray pocałował Diane w same usta.

- Powodzenia, złotko. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Diane w milczeniu kiwnęła głową. Gdy Ray wsiadł do

samochodu, szofer zamknął drzwi. Bentley zawrócił na małym podjeździe i odjechał z cichym szumem uliczką. Tommy i Diane odprowadzili go wzrokiem.

- Chodźmy - powiedziała Diane, obejmując Tommy'ego.

Sto razy powtarzała to, co ma do powiedzenia, w myślach i na głos przez lustro, jak przy uczeniu się nowej roli. Ale na niewiele się to zdało. Była bardziej zdenerwowana niż

104

kiedykolwiek na scenie, nawet podczas premiery na West Endzie. Spektakl polegał na stwarzaniu iluzji, a tu toczyło się prawdziwe życie. Co więcej, z góry wiedziała, że widownia będzie wrogo nastawiona.

Rodzice czekali na nich w salonie. W telewizji podawano wyniki krykieta, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Ojciec palił fajkę i czytał gazetę w fotelu. Matka siedziała w rogu kanapy, z opróżnioną do połowy szklaneczką ginu z tonikiem. Zapewne nie pierwszą, sądząc po jej wzroku i rumieńcach. Gdy Dianę weszła z Tommym do pokoju, matka pochyliła się do przodu i zgasiła papierosa w popielniczce.

- Cześć, Tommy - rzuciła znużonym głosem.

- Cześć.

Tommy podszedł do niej i pocałował nadstawiony policzek. Widząc jego ściągnięte brwi, Dianę domyśliła się, że wyczuł, iż coś jest nie w porządku. Ojciec odchrząknął i posłał mu zażenowany, wymuszony uśmiech.

- Cześć, kolego. Jak przebiegła uroczystość?

- Dobrze. Co się stało?

Rodzice spojrzeli wyczekująco na Dianę. Ojciec miał smutną, zmęczoną minę, jakby nagle przybyło mu wiele lat. W oczach matki błysnęła zimna, z trudem powstrzymana złość. Po tym, co mówiono przez ostatni tydzień, po krzykach, groźbach i wzajemnych oskarżeniach, Dianę nie mogła spodziewać się niczego innego. Przez całe trzy dni i noce tylko się kłócili, w końcu Dianę wypadła z domu, wróciła do Londynu i została z Rayem w hotelu. Tylko on wykazywał zrozumienie. Bez niego nie zdołałaby zebrać się na odwagę.

Ale nie tak to sobie zaplanowała. Poprzedniej nocy ojciec błagał ją przez telefon, po raz ostatni, żeby tego nie robiła.

105

Gdy powiedziała, że nie zmieni zdania, zgodzili się, choć niechętnie, że po przywiezieniu Tommy'ego najpierw zjedzą razem kolację, a potem mu powie, z całą delikatnością i miłością. Ale atmosfera już była napięta. Dianę musiała zrobić to teraz. Wciąż stała przy drzwiach. Wszyscy na nią patrzyli. Z telewizora dobiegał monotony głos komentatora sportowego.

- O co chodzi? - zapytał Tommy. - Co się z wami dzieje?

- Na miłość boską, Dianę - odezwała się matka. - Miejmy to wreszcie za sobą.

Dianę podeszła sztywno do telewizora i go wyłączyła. Usiadła na drugim końcu kanapy. Spróbowała się uśmiechnąć, ale czuła, że wyszło to sztucznie i że wszyscy to widzieli. Miała wrażenie, jakby nagle straciła zdolności aktorskie. Poklepała leżącą obok poduszkę.

- Tommy, kochanie, usiądź tutaj. Chcę ci coś powiedzieć. Zamiast zdziwienia pojawił się na jego twarzy strach. Usiadł,

patrząc na nią czujnie. Wzięła jego rękę w obie dłonie.

- Chciałam ci to powiedzieć od bardzo dawna, tak naprawdę przez całe twoje życie. Ale nie miałam odwagi.

Zerknęła na rodziców. Matka pokręciła głową, westchnęła i odwróciła wzrok;

- Przez te wszystkie lata myślałeś, że jestem twoją siostrą. Ale to nieprawda.

Co?

- Tommy... jestem twoją mamą. Zaśmiał się lekko, zdezorientowany.

- To ma być żart, jakiś kawał, coś w tym rodzaju? Wodząc wzrokiem po zbolątych twarzach, zorientował się,

że jest inaczej.

- Byłam bardzo młodą dziewczyną, gdy... się urodziłeś.

106

Miałam tylko szesnaście lat. Razem uznaliśmy, iż będzie lepiej, przynajmniej na razie, jeśli nie powiemy ludziom, że jestem twoją mamą... jeśli będziemy mówili, że jestem siostrą.

Nie mogła uwierzyć, że tak marnie jej idzie. Zwykle nie zapominała swoich kwestii. Ale teraz, gdy to tak dużo znaczyło, nie pamiętała prawie nic z tego, co przygotowała.

- Dlaczego? - odezwał się Tommy. - Nie rozumiem. Dianę znów spojrzała na matkę, tym razem rozpaczliwie,

odruchowo licząc na pomoc. Napotkała jednak bezlitosne, kamienne oblicze pełne dezaprobaty, zniekształcone alkoholem. Ojciec wyglądał na przygnębionego, wsparł czoło na rękę, zasłaniając oczy.

- Byłam taka młoda, Tommy. Chodziłam jeszcze do szkoły. Dziewczyny w moim wieku, gdy zachodzą w ciążę, zwykle robią...

- Ależ, Dianę - wtrąciła się matka - on jest jeszcze dzieckiem. Chyba nie musisz uwzględniać tego aspektu sprawy.

Dianę puściła te słowa mimo uszu.

- Widzisz, Tommy, czasem zdarza się, że kobieta zachodzi w ciążę, ale nie chce mieć dziecka, i wtedy można... Lekarze mogą zrobić operację i dziecko się nie urodzi. Ale ja się nie zgodziłam. Chciałam, żebyś się urodził. Ja...

Nagle, nie wiadomo skąd, do oczu napłynęły jej łzy. A przecież pod żadnym pozorem nie zamierzała się rozpłakać. Chciała być silna i kochająca. Gdyż taka powinna być matka w oczach swego dziecka. Ze złością otarła łzy.

- Przepraszam. Po prostu...

Tommy objął ją i przytulił się, a to oczywiście pogorszyło sytuację. Zaczęła szlochać bez opanowania. Wzięła go w ramiona i z kolei on się rozpłakał. Wszystko szło nie tak. Sknociła sprawę.

107

Przez łzy widziała, że jej matka wstaje z kanapy, gwałtownym ruchem bierze pustą szklankę ze stolika i idzie do drzwi.

- Joan, kochanie, proszę cię! - zawołał za nią ojciec.

- Przykro mi, ale nie mogę tego słuchać.

- Joan...

Wstał i pospieszył za nią. Może to i lepiej, pomyślała Dianę. Wydawało jej się, że tak należało postąpić: powiedzieć Tommy'emu w obecności ich trojga, zapewniając go w ten sposób, że wszystko jest w porządku. Była głupia, sądząc, że ten plan się powiedzie. Urazy jej matki w żadnym razie nie należało pomijać. Dianę przytuliła Tommy'ego jeszcze mocniej, a po chwili odsunęła od siebie, by mu się przyjrzeć. Swojemu synowi. Biedactwo. Wciąż płakał. Zrobił się czerwony i miał plamy na twarzy. Być może popełniła potworny błąd.

- Wiem, że to dla ciebie straszny wstrząs, kochanie. Ale jesteśmy takimi samymi ludźmi jak przedtem. Nadal cię kochamy.

- Dlaczego mi to mówisz? - Pociągnął nosem. - Dlaczego teraz?

- Bo cię kocham. I jestem z ciebie dumna. I chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem twoją mamą.

- Więc mama i tata, znaczy się, oni nie są...

- Są twoimi dziadkami, słoneczko.

- Wszyscy mówiliście, że nie mam dziadków. Że umarli.

- Cóż, to prawda, w pewnym sensie. Ich rodzice, moi dziadkowie, nie żyją.

Wyglądał tak żałośnie, był taki zdezorientowany. Cały czas ocierał łzy, które, tak jak Dianę, wciąż napływały mu do oczu.

- A kto jest moim ojcem?

108

Oczywiście spodziewała się tego pytania. Dopiero teraz przypomniała sobie, co miała powiedzieć. W końcu to była prawda. Zaczepnęła powietrza i zaczęła mówić, starając się zachować spokój.

- Chodził do męskiej szkoły, która mieściła się przy tej samej ulicy co moja szkoła. Miał na imię David. Jego rodzice mieszkali za granicą. Nigdy więcej go nie widziałam. Słyszałam, że się ożenił.

Twarz Tommy'ego wykrzywiła się i pomarszczyła. Wybuchnął rozdzierającym szlochem. Odwrócił się od Dianę, wyrwał z jej objęć i popędził do drzwi.

- Tommy! Proszę cię!

Poszła za nim do kuchni, ale on wbiegł na schody, krzycząc przez łzy, żeby zostawiła go w spokoju. Stała i zrozpaczona złapała się za głowę. Trzasnęła drzwiami sypialni tak mocno, że zatrzęsł się cały dom. Matka Dianę kroiłła pomidory, trzymając papierosa w kąciku ust. Ojca nie było widać. Prawdopodobnie uciekł do swojego warsztatu. Matka nie spojrzała na nią, zaciągnęła się głęboko papierosem i odłożyła go na popielniczkę.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona - powiedziała.

Rozdział Ósmy.

Zrobiła to tylko dlatego, że rzucono jej wyzwanie. A przynajmniej tę lepiej brzmiącą wersję prawdy Dianę wolała przyjąć. W tym określeniu pobrzmiwał jakiś ironiczny ton, który teraz, prawie dziesięć lat po traumatycznym przeżyciu, jakim było poczęcie Tommy'ego, wydawał jej się interesujący. Jakkolwiek by na to patrzeć, życie jest tak piekielnie ponure i okrutne, że jeśli człowiek nie będzie śmiał mu się w twarz, to go złapie za gardło i zeżre. Stwierdzenie, że jej syn jest po prostu

odpowiedzią na wyzwanie, ani nie wyjaśniało, ani nie usprawiedliwiało w zadowalający sposób tego, co się wydarzyło.

David Willis należał do grupy chłopców ze szkoły Świętego Edwarda, z którymi Dianę - wraz ze swoją najbliższą przyjaciółką Katie Bingham i jeszcze kilkoma zbuntowanymi uczennicami Elmshurst - spotykała się ukradkiem w długie letnie wieczory, gdy umierała z nudów. Te dwie szkoły z internatem miały przylegające do siebie boiska. Za szopami, gdzie opiekunowie terenów sportowych trzymali kosiarki i walce do trawy, ciągnęła się wąska alejka porośnięta jaworami i głogiem,

110

które tworzyły coś w rodzaju tunelu. Tam chłopcy zawsze czekali na dziewczęta, zaopatrzeni w tanie papierosy trzymane w kieszeniach blezerów. Czasem pojawiał się również alkohol, choć rzadko mocniejszy niż cydr.

Chłopcy byli w większości pozerami albo głupkami, lub pozerami i zarazem głupkami. David Willis od nich odstawał. Trzymał się trochę na uboczu, wcale nie z nieśmiałości czy wyniosłości, ale dlatego, że był raczej powściągliwy, jakby niepewny, czy chce tam być. Dianę często zauważała, że się w nią wpatruje, i przyłapany na tym zawsze odwraca wzrok. Nigdy nie potrafiła oprzeć się wyzwaniu, więc pewnego wieczoru uśmiechnęła się do Davida, a on oblał się rumieńcem i uśmiechnął blado i krzywo.

Od tamtego dnia podczas tych potajemnych schadzki na papierosa nie zwracała sobie głowy żadnym innym chłopcem. Jego ojciec służył w Królewskich Siłach Powietrznych i co dwa lata wysyłano go w inne miejsce, a wtedy cała rodzina pakowała się i przenosiła razem z nim. Piętnastoletni David mieszkał już w sześciu różnych krajach i w oczach Dianę samo to przydawało mu oryginalności, jaką nie odznaczał się żaden inny chłopak. Rodzice Davida przebywali akurat w Kenii. Jego opowieści o tym, jak uczestniczył w safari, na własne oczy widział lwy, słonie i krokodyły, sprawiały, że wydawał się jej wprost nieprawdopodobnie romantyczny.

W niedzielne popołudnia uczniowie i uczennice mogli wychodzić na spacer poza teren swoich szkół - oczywiście nie razem, bowiem w obu placówkach przestawanie z osobami płci przeciwnej uznawano za ciężkie przewinienie. W Elmshurst obowiązywały ściśle określone reguły zachowania podczas tych przechadzek: uczennice spacerowały co najmniej we cztery,

111

zawsze nosiły szkolne mundurki i koniecznie słomkowe kapelusze (te wstrętne kanotiere, którym buntowniczkami wyginały na mokro ronda, by upodobnić się do wyzywających kowbojek). Spacerowało się tylko wyznaczonymi alejkami i ścieżkami, no i przede wszystkim nie wolno było pod żadnym pozorem zapuszczać się na porośnięte wysokimi paprociami faliste wzgórza, które kusząco majaczyły w oddali.

Na zatwardziałe buntowniczkami, takie jak Dianę i Katie, ten ostatni zakaz oddziaływał oczywiście w sposób odwrotny do zamierzonego. Uznanie natury za „teren zakazany” tylko dodało jej uroku. I tak, pewnego parnego popołudnia pod koniec czerwca, porzuciwszy prócz kapeluszy i swetrów dwie chętne do współdziałania koleżanki, Dianę i Katie przechadzały się krętą trawiastą ścieżką wśród paproci w towarzystwie Davida i jego przyjaciela, krostowatego i powłóczącego nogami Henry'ego Littlemore'a, który wzbudził niezrozumiałą namiętność w Katie. Henry dostarczał papierosy, zabójczo

mocne playersy bez filtra, które dzielnie pociągali podczas tego spaceru, starając sienie zakrztusić. Chłopcy znajdowali się jakieś dziesięć jardów przed dziewczętami i rozmawiali o krykiecie, a konkretnie zastanawiali się, czy można porównać rodzimego Denisa Comptona z legendarnym australijskim wybijającym Donaldem Bradmanem.

Cel wędrówki nie został zawczasu wyznaczony. Choć szli w pewnej odległości od siebie, wiedzieli, jakie mają zamiary - czuło się je w powietrzu równie wyraźnie jak zmysłową, wilgotną woń paproci. Ani Dianę, ani Katie nie można było posądzić o brak doświadczenia. W trakcie popołudniowych spacerów tamtego lata już nieraz dochodziło do przytulanek i macanek, które kończyły się pieczołowitym wyjmowaniem

112

sobie z włosów listków i gałązek. Katie miała dużo większą praktykę w tej dziedzinie (tak sądziła Dianę) i jakoby robiła z Henrym rzeczy, które z trudem mieściły się Dianę w głowie. Chłopcy nadal szli przodem, pochłonięci rozmową, gdy Katie ni stąd, ni zowąd zapytała, czy Dianę już zrobiła „to” z Davidem.

- Ciii, Katie!
- Daj spokój, nie podsłuchują. No więc?
- Oczywiście, że nie!
- Niby dlaczego „oczywiście”? Myśmy to zrobili.
- Nie wierzę!
- No wiesz, mniej więcej.
- Nie wydaje mi się, żeby można było mniej więcej... no, sama wiesz.

Katie rzuciła papierosa na ziemię i przydepnęła go obcasem. Daleko w dole widać było rozpościerającą się szeroko szachownicę łąk rozedrganych w upale. W nieruchomym powietrzu rozbrzmiewał śpiew skowronków.

- Nie skrewisz?

Dianę parsknęła śmiechem.

- Chyba nie będziesz czekała na tego jedynego? Słyszac szyderstwo w głosie przyjaciółki, Dianę za nic nie

mogła przyznać, że ten beznadziejny i mieszczański pomysł, jak jej się teraz wydało, rzeczywiście powstał jej w głowie. Powiedziała więc:

- To nie byłby pierwszy raz Davida.
- A skąd wiesz? W tych sprawach oni zawsze kłamią i udają.
- Wierzę mu. Zrobił to zeszłego lata w Kenii. Z Kenijką.

- O rany..

- No właśnie.

113

- I jak? Nie skrewisz?

Dziwne w tym wszystkim było to, że Dianę nie należała do tych lekko stukniętych dziewcząt (a takich znalazło się w Elmshurst kilka), które nie umiały odrzucić wyzwania. Zawsze zastanawiała się, czy przyjemność z zabawy zrównoważy konsekwencje przewinienia, gdyby ją przyłapano. Ale tego popołudnia z jakichś powodów nie pomyślała o tym. Pół godziny później, gdy już znaleźli stosowne bezludne miejsce i każda para umościła się w dyskretnej odległości od siebie w gniazdku wśród paproci, Dianę uprzytomniła sobie, że leży na plecach, a prawie obcy facet gmera przy jej ubraniu, całuje jej sutki i przesuwając rękę coraz wyżej po udzie.

Wtedy powinna była go powstrzymać. Ale tego nie zrobiła. Nawet mu pomagała, gdy ściągał jej majtasy należące do szkolnego ryszunka, a potem przyglądała się, jak on szarpie się ze swoimi guzikami i zsuwa spodenki. Naturalnie widziała już artystyczne wizerunki penisa, lecz nigdy w akcji - był to widok tak komiczny, że niemal parsknęła śmiechem. Chłopak miał zachmurzoną, czerwoną twarz, nie patrzył jej w oczy, tylko położył się na niej i z wahaniem, jakby bał się, że lada chwila zostanie skarcony, wszedł w nią.

Mówiono jej, że to boli, ale nie bolało tak bardzo, jak się spodziewała. Pchnięcia sprawiły jej więcej bólu niż nagły wstrząs rozrywanego ciała. I właściwie zaraz było po wszystkim. Wciągnął gwałtownie powietrze, zadrżał i poczuła w środku jego wytrysk. Następnie stoczył się na bok i padł obok niej na zgniecione paprocie. Miał taką zmartwioną, żalostną i zawstydzoną minę, że z uśmiechem pogłaskała go po twarzy i pocałowała lekko w czoło. Potem leżała na ziemi, wpatrzona

114

w nieruchome chmury i wsłuchana w niemilknące trele skowronków, zastanawiając się, dlaczego ten w ogóle niezadowolający akt uważany jest za mistyczne i doniosłe przeżycie.

Minęły prawie trzy miesiące, zanim poznała odpowiedź na to pytanie. Jej matka, która nigdy nie przejmowała się zbyt chorobami (chyba że własnymi), oczywiście miała podejrzenia, że poranne mdłości jej córki są sprytną próbą opóźnienia powrotu do szkoły. Dopiero we wrześniu, gdy wreszcie wezwano lekarza domowego, by znalazł sposób na tę wyjątkowo przewlekłą odmianę grypy żołądkowej, jak sądzili wszyscy, łącznie z Dianą, ujawnił się faktyczny stan rzeczy.

Doktor Henderson był Szkotem. Z nosa i uszu wyrastała mu rudawa szczecinka. Miał półokrągłe okulary, które nadawały jego twarzy wyraz ciągłego zdziwienia. Doktor grał w golfa z ojcem Dianę i należał do tej samej łązy masońskiej. Tamtego ranka usiadł na łóżku pacjentki, powiedział, żeby pokazała język, a następnie, przyłożywszy zimną końcówkę stetoskopu do jej piersi i pleców, polecił zakasać. Na koniec, w odpowiedzi na coraz intymniejsze pytania, które bardziej krępowały jego niż ją, wyjawiała, przywiązując do tego chyba zaskakująco małą wagę, że od dwóch miesięcy nie ma okresu. Doktor Henderson wydał jakiś dziwny chrypliwy dźwięk, jakby stanęła mu w gardle ość, po

czym udał się na naradę z matką Dianę. Kilka minut później dość spokojny świat rodziny Bedfordów wyleciał w powietrze.

Podczas gdy matka wyplakiwała się mężowi, przekazując mu tę bulwersującą wiadomość przez telefon na parterze, Dianę zdołała za pomocą kieszonkowego kalendarzyka w czerwonej skórze należącego do doktora Hendersona precyzyjnie wskazać tamto niedzielne popołudnie, kiedy w tak szokujący sposób

115

sprzeniewierzyła się swoim zasadom moralnym. Doktor Henderson uczynił wówczas interesujące spostrzeżenie, że tego samego dnia Korea Północna zaatakowała Koreę Południową; fakt ten nadal mógł stać się zarzewiem trzeciej wojny światowej, za którą Dianę niewątpliwie również została by obciążona odpowiedzialnością.

Badania potwierdziły diagnozę czcigodnego doktora i przez następne dni oraz tygodnie w domu panowała tak histeryczna atmosfera, że dziesięć lat później z tamtego okresu pozostało w pamięci Dianę zaledwie kilka niewyraźnych wspomnień. Matka szlocha nieopanowanie w kuchni, nalewa sobie kolejny gin z tonikiem i zawodzi, bo to wstyd, taki wstyd. Ojciec, skulony co wieczór nad telefonem, rozmawia przyciszonym głosem, załatwia coś, o czym Dianę nie ma jeszcze pojęcia, potem ucieka do warsztatu, żeby sklejać porcelanowe kawałki czyjegoś zdruzgotanego szczęścia.

Dianę już od jakiegoś czasu wiedziała, że rodzice latami starali się o drugie dziecko. Zastanawiała się, czy wściekłość matki połączona z uzalaniem się nad sobą nie jest jakoś zabarwiona zazdrością, że córce udało się to, co nie udało się jej. Tak czy owak, matka przedstawiła jej niepodważalny plan postępowania. Przyjaciółka ciotki Vera powiedziała, że zna człowieka w Birmingham, który „zajmuje się” takimi sprawami. Dianę nie od razu zrozumiała, o co matce chodzi, ale gdy to do niej dotarło, wyraziła gwałtowny sprzeciw. Od początku nie miała cienia wątpliwości, że dziecko przyjdzie na świat, i sama była zaskoczona swoją nieustępliwością w tej kwestii.

Blaganiem i groźbą matka próbowała wyciągnąć z niej nazwisko ojca dziecka, ale popełniła taktyczny błąd, mówiąc, że to, co ten chłopak zrobił zaledwie piętnastoletniej dziewczynie,

116

jest niezgodne z prawem i podlega karze więzienia. Dianę wyobraziła sobie Davida za kratkami, w pasiaku, skutego łańcuchem z kulą u nogi. Nie zamierzała tak go urządzić. A zresztą nie chciała, żeby się dowiedział. Sama podjęła decyzję i pozwoliła mu zrobić to, co zrobił, więc weźmie na siebie odpowiedzialność za skutki swojego postępowania. Gdyby ktokolwiek śmiał zasugerować, że w jakimś zakamarku jej umysłu pojawił się sprytny pomysł, iż macierzyństwo uwolni ją z klatki, którą było Elmshurst, zawrzałyby z oburzenia. Co nie znaczy, że ta myśl nie przyszła jej do głowy.

Gdy aborcja już nie wchodziła w rachubę, zainteresowano się innym słowem na „a”: dziecko odda się do adopcji. Dianę oświadczyła jednak, że i do tego nie dopuści. Wówczas matka straciła resztki cierpliwości. Wezwano ciotkę Verę, żeby przemówiła dziewczynie do rozumu.

Ciocia Vera nie należała do rodziny. Bedfordowie nie mieli krewnych. Dziadkowie z obu stron nie żyli, a ojciec Dianę był jedynakiem. Matka miała trochę rozwiązanego brata Teda, który wyemigrował przed

wojną do Australii i prawie zniknął. Co cztery, pięć lat przychodziła pocztówka, za każdym razem z innej miejscowości o niedającej się wymówić nazwie, dowodząc, że Ted wciąż żyje. Vera Dutton była po prostu najbliższą przyjaciółką matki Dianę. Swego czasu pracowały w tym samym zespole maszynistek i łączyły je w istocie mizantropijne poglądy na świat oraz skłonność do ginu. We wtorki po południu grały w wista z dwiema koleżankami, a w piątki jeździły do Birmingham, żeby zrobić zakupy i poprawić trwałą ondulację. Ciocia Vera odznaczała się jeszcze niższym wzrostem niż matka Dianę, zawsze ubierała się na jasnoniebiesko i nakładała na twarz grubą warstwę pudru w pomarańczowym odcieniu. Nie miała dzieci.

117

Jej mąż Reggie, dyrektor banku, był niemal takim samym snobem jak ona i niemal tak samo wszystkich irytował. Spośród osób z zewnątrz tylko ciocia Vera - poza doktorem Hendersonem - znała najnowszy, wstydlivy sekret Bedfordów.

- Twoja mama jest bardzo zmartwiona, kochanie - powiedziała.

Siedziały tylko we dwie na białej drewnianej ławeczce pod wiśnią, w ogrodzie od frontu, popijając herbatę z chińskich białych filiżanek z niebieskim wzorem, wyjmowanych tylko przy specjalnych okazjach. Matka Dianę udawała, że jest zajęta w kuchni.

- Wiem.

- Chce dla ciebie jak najlepiej.

- Wiem.

- Znajdą mu wspaniały dom i rodzinę, która naprawdę go pragnie.

- Ja naprawdę go pragnę.

- Tak ci się teraz wydaje, kochanie. Ale jesteś jeszcze za młoda.

- I za głupia, żeby wiedzieć, czego pragnę? Twarz cioci Very się zachmurzyła.

- Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli.

Z irytacją odwróciła głowę i patrząc w dal, zaciągnęła się głęboko papierosem. Gdy zamrużyła, Dianę zauważyła, że bladoniebieskie cienie na powiekach odpowiadają dokładnie kolorowi sukienki.

- Czy ten chłopiec się z tobą ożeni?

Śmiech Dianę zirytował ciocię Verę jeszcze bardziej.

- Jasne, że nie.

118

- Nie martwisz się, co powiedzą ludzie?

- Nie za bardzo.

- Nawet gdy będą nazywali twoje dziecko bękartem?

Dianę nie zamierzała dawać tej kobiecie satysfakcji, pokazując, że uderzyła w czułą strunę. Z nonszalancką miną pokręciła głową.

- Niech mówią, co im się podoba.

Ciocia Vera westchnęła i rzuciła peta między hortensje.

- No cóż, to twoje życie, kochanie. Od ciebie zależy, czy je sobie zrujnujesz.

- Dlatego nie masz dzieci? Żeby nie zrujnować sobie życia? To była ich ostatnia dłuższa rozmowa. Natomiast kwestia

adopcji pozostała nierozwiązana jeszcze przez co najmniej trzy miesiące. Dianę oczywiście nie wróciła do Elmshurst. Dyrekcję szkoły poinformowano, że dziewczyna zapadła w lecie na płuca, co wymaga specjalistycznej opieki lekarskiej i dłuższej rekonwalescencji w zdrowszym klimacie. Pod koniec października, gdy ciążę trudno już było ukryć, Dianę, w towarzystwie matki została wyekspediowana promem i nocnym pociągami do małego miasteczka w Alpach Szwajcarskich. Wszystko zorganizowano dyskretnie, wykorzystując sieć kontaktów wśród bractwa masońskiego. Umieszczono ją w domu pulchnej wdowy o różowych policzkach Frau Muller, gdzie wraz z dwiema młodymi Angielkami w podobnych tarapatach miała spędzić miesiące pozostałe do rozwiązania.

Matka Dianę przebywała tam tak długo, aż nabrała pewności, że opieka lekarska i pedagogiczna są na zadowalającym poziomie, a możliwości figlowania maksymalnie ograniczone. Nie musiała się martwić. Frau Muller, choć rozdawała dobrotliwe uśmiechy, była surową strażniczką w sukni zapiętej pod

119

szyję i z włosami upiętymi w ciasny kok. Miasteczko zaś, położone nad jeziorem, co zapewniało korzystne warunki higieniczno zdrowotne, było równie nudne, jak piękne.

Należycie ponury z usposobienia lekarz, pracujący w miejscowym szpitalu, odwiedzał dziewczęta raz w tygodniu. Lekcje literatury angielskiej, francuskiego i niemieckiego prowadził dotknięty artretyzmem emerytowany nauczyciel Herr Schneider, natomiast rzeczy bardziej niezbędnych w życiu, na przykład robótek ręcznych i znajomości dobrych manier, uczyła sama Frau Miiller. Dianę rychło poznała właściwy sposób opuszczania pokoju, w którym znajduje się mieszane towarzystwo (skierować się do wyjścia, odwrócić głowę tuż przed otwarciem drzwi, uśmiechnąć się, wyjść), oraz wsiadania do pojazdów mechanicznych i wysiadania z nich, tak by nie pokazywać nóg powyżej dopuszczalnej wysokości (wsiadanie: kolana razem, usiąść na fotelu, zamach nogami; wysiadanie: kolana razem, zamach nogami, zgrabnie wstać z fotela).

Podczas ich wspólnego dwutygodniowego pobytu matka jakby złagodniała. Pogoda była bezwietrzna, słoneczna i dość ciepła. W jeziorze odbijały się sosny i wysokie góry pokryte śniegiem. Popołudniami matka z córką spacerowały brzegiem jeziora, delektowały się strudlem i gorącą czekoladą z bitą śmietaną.

Pewnego razu matka zapytała Dianę, jak chciałaby ułożyć sobie życie, gdyby nie zaszła w ciążę. I wtedy Dianę po raz pierwszy przyznała głośno, że zawsze pragnęła być wyłącznie aktorką. W szkole jedyną przyjemność sprawiały jej wystawiane tam sztuki. Niemal w każdym przedstawieniu dostawała jakąś pierwszoplanową rolę i wszyscy, także nauczyciele, chwalili jej grę. Matka uśmiechnęła się ze smutkiem i kiwnęła głową.

120

- Mogłaś się uczyć w którejś z tych wspaniałych szkół teatralnych - powiedziała i upiła łyk czekolady. - W Londynie. No cóż, trudno.

Nie drążyła tematu, pozwalając, by zawisł między nimi, i córka dopowiedziała sobie resztę. Podtekst był jasny: jeśli dziecko zostanie oddane do adopcji, to marzenie może się jeszcze spełnić. Zmieniła taktykę na znacznie sprytniejszą niż dawne wrogie prowokacje zawarte w pytaniach, jak Dianę i dziecko zniosą hańbę, gdzie będą mieszkali i kto pokryje rachunki za ich utrzymanie. Zasiała ziarno nowej, bardziej wyrafinowanej myśli. Po jej wyjeździe, gdy sypał śnieg i mijały tygodnie, ziarno powoli zapuszczało korzenie.

Współpensjonariuszki Dianę, obie katoliczki - Angela z Bristolu, która ciągle płakała, i Pam, dużo bardziej obyta w świecie dziewczyna z północnego Londynu - zamierzały oddać noworodki. Jak się okazało, Frau Miiller zawierała z klientkami umowę o charakterze transakcji związanej w porozumieniu z miejscowymi siostrami miłosierdzia, których klasztor przycupnął bogobojnie na pagórku za miastem.

Po kolacji dziewczęta szły czytać do saloniku, przytulnego pokoju z żelaznym piecykiem na drewno, gdzie jedyną niedogodnością był wrzaskliwy zegar z kukułką. Pewnego wieczoru, kiedy w powietrzu wciąż wisiał zapach gotowanej szynki z kapustą, Dianę i Pam siedziały po bokach piecyka i uczyły się na pamięć fragmentu Egmonta Goethego, który miały wyrecytować następnego dnia przed Herr Schneiderem. Angela już leżała w łóżku, bez wątplenia zlewając łzami poduszkę. Pam, która była w ciąży miesiąc dłużej niż Dianę, nagle wydała zdławiony okrzyk i położyła obie ręce na brzuchu. Dianę zapytała, co się stało.

121

- Kopnęło! Ooo. Znowu.

Dianę wstała z fotela i przyklękła obok Pam.

- Mogę dotknąć?

Pam umieściła jej dłonie w odpowiednim miejscu i po chwili powiedziała:

- Teraz! Czujesz?

- O kurczę! Jak to jest?

- Tak jakby... coś w środku zatrzepotało.

- Boli?

- Nie. Właściwie jest całkiem przyjemne.

Gdy skończyły się akrobacje, Dianę wróciła na fotel.

- Zastanawiałaś się kiedyś, czy je zatrzymać?

- Dziecko? Wielki Boże, nigdy! Chciałam przerwać ciążę, ale moi rodzice są ortodoksyjnymi katolikami i uważają, że aborcja jest grzechem śmiertelnym.

- Co to jest „grzech śmiertelny“?

- Bo ja wiem? Chyba taki, który sprawia dużo przyjemności.

Dianę się roześmiała.

- Nie chcesz mieć dzieci?

- Pewnie, że chcę, ale nie teraz. Najpierw zamierzam pożyć. Iść do pracy, coś robić. A potem mieć dzieci jak należy, z mężczyzną, którego poślubię i pokocham.

- Więc nie kochałaś ojca tego dziecka?

- Chryste Panie, skądże! To fajdak, jakich mało. Zapadła długa cisza, gdy dziewczyny znów zajęły się nauką.

Ale Dianę nie mogła się skupić.

- Pozwalają zobaczyć dziecko? Po urodzeniu, rozumie się.

- Nie sądzę. Raz dwa je zabierają. No wiesz, żeby na jego widok nie obudziły się w tobie uczucia macierzyńskie.

122

Pam ani trochę nie przejmowała się takim rozwojem wydarzeń. Natomiast Dianę nie mieściło się w głowie, że mogłaby dopuścić, aby coś podobnego stało się z jej dzieckiem. Kukułka wyskoczyła zza drzwiczek, obwieszczając dwudziestą pierwszą.

- Boże, dopomóż - westchnęła Pam - bo uduszę to cholerstwo.

Dianę prawie nie spała tej nocy. Następnego dnia, mimo surowej nagany profesora Schneidera za zmasakrowanie Goethego, myślała tylko o tym, że musi być jakiś sposób, żeby mogła spełnić oba swoje pragnienia: mieć dziecko i, jak to zwiędle ujęła Pam, pożyć.

Podczas Bożego Narodzenia, w porze całkiem stosownej, zaczęto rozmawiać na ten temat. Wiele lat później Dianę wciąż nie wiedziała, co było bardziej zadziwiające: to, że wpadła na ten pomysł, czy to, że rodzice go zaakceptowali.

Przyjechali do Szwajcarii, żeby spędzić z nią święta i powitać nowy rok. Dianę dobrze przygotowała grunt. Znalazła im ładny mały Gasthof przy tej samej ulicy co dom Frau Müller i poświęciła dużo czasu (i dużą część skromnego kieszonkowego) na kupno odpowiednich prezentów. Podarowała ojcu pięknie rzeźbioną fajkę z pianki morskiej i zielony filcowy kapelusz z kępką piórek z boku. Matce

kupiła czarną aksamitną kamizelkę ze ślicznie wyhaftowanymi kwiatkami alpejskimi. Od powitania rodziców na dworcu kolejowym była samą słodyczą.

Matka wyczuła, że coś się święci - to dało się zauważyć. Ale niezachwianie dobry nastrój i usilne starania Dianę, by pokazać im miasto i przedstawić ludzi, z którymi się zaprzyjaźniła, odniosły pożądaną skuteczną. Zwłaszcza ojciec był niezwykle czuły i troskliwy, podczas spacerów nawet trzymał rękę na jej ramionach.

123

W przeddzień Nowego Roku, zgodnie z dawnym zwyczajem, chłopcy i mężczyźni ubierali się na czarno, czernili również ręce i twarze i obnosili po miasteczku sporych rozmiarów krowie dzwonki. Sunęli jeden za drugim uliczkami, potrząsając dzwonkami i zachodząc do hoteli, restauracji i okazałych domów. Widok był makabryczny, dźwięki ekscytujące i zarazem niepokojące - jakby bramy piekieł łomotały na wietrze. Gdy znaleźli się w pensjonacie, gdzie mieszkali rodzice Dianę, podawano właśnie obiad, wszyscy siedzieli przy stołach i przyglądali się przybyłym, a niektórzy, także matka Dianę, zatykali uszy. Procesja przeszła przez salę i wtedy goście zaczęli się śmiać, wznosić okrzyki i toasty za pomyślność w nowym roku.

Dianę czekała na odpowiednią chwilę, żeby przedstawić swą rewolucyjną propozycję, i uznała, że ta pora właśnie nadeszła. Spokojnym, cichym głosem powiedziała na początek, że dużo rozmyślała o tym, co będzie po porodzie - w tym momencie jej matka wyraźnie zeszywniała. Dianę mówiła dalej, że nie może pogodzić się z myślą o oddaniu dziecka: jest jego matką (nie miała wątpliwości, że urodzi chłopca) i nic tego nie zmieni. Nie wyobraża sobie, by mogła stracić go na zawsze. Niemniej... tu matka lekko uniosła brodę i brwi, siedziała jak na szpilkach... niemniej rozumie, że nieślubne dziecko w rodzinie będzie dla nich powodem do wstydu, i z miłości do nich chciałyby im tego oszczędzić.

Umilkła, pozwalając im oswoić się z tymi słowami. Zdenerwowanie, które mogło rozłożyć jej występ, jakoś dziwnie zniknęło. Widok rodziców czekających w napięciu, co jeszcze powie, dodał jej wiary w swoje siły. Uśmiechając się słodko, z właściwą dozą smutku, podjęła temat:

124

- Wiem, jak bardzo pragnęliście drugiego dziecka. I wiem, jak bardzo kochałabym młodszego brata czy siostrę... A zatem... - To był najlepszy moment. Przełknęła ślinę. - Dlaczego nie moglibyśmy potraktować go... jakby tak właśnie było?

Znowu się uśmiechnęła. Rodzice wpatrywali się w nią. Ojciec odchrząknął.

- Wydaje mi się, że nie całkiem...

- To znaczy mamy udawać, że to my jesteśmy jego rodzicami? - włączyła się matka.

Dianę kiwnęła głową.

- W życiu nie słyszałam czegoś bardziej absurdalnego.

- Co w tym takiego absurdalnego? Zawsze chcieliście mieć drugie dziecko.

Matka zachmurzyła się i rozejrzała, wyraźnie zaniepokojona, że ktoś może ich usłyszeć. Dianę pochyliła się i ścisząc głos, powiedziała:

- A kto się dowie? Z nikim się nie przyjaźnicie... Przepraszam, to zabrzmiało okropnie, ale taka jest prawda. Prócz cioci Very, a ona już wie. Pozostałym możecie powiedzieć, że podczas pobytu w Szwajcarii trafiliście do wspaniałego lekarza, który wam pomógł.

- Wielki Boże, dokładnie to sobie przemyślałaś.

- Oczywiście, mamo. Zrobiłam ci straszną rzecz i tak mi wstyd, więc... Łamałam sobie głowę, jak naprawić całą tę sytuację.

Do tej pory wszystko było grą, a teraz nagle działo się naprawdę - później, stojąc na scenie, zdała sobie sprawę, że często trudno odróżnić jedno od drugiego. Rozpłakała się. Ojciec sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Matka znów powiodła wzrokiem po sali, sprawdzając, czy ktoś im się przygląda.

125

- Dianę, proszę cię, nie rób sceny - szepnęła. Ojciec wyciągnął z kieszeni chusteczkę.

- Masz, kochanie - powiedział. - Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

- Przepraszam. Myślałam tylko, że...

Na tym stanęło. Tymczasem. Po powrocie do domu Frau Muller, leżąc w łóżku, Dianę uprzytomniła sobie, że nawet nie napomknęła, iż chce nie tylko mieć dziecko, ale również „pożyć”. Może i dobrze się stało. Gdyby poruszyła kwestię szkoły teatralnej, matka pewnie wybuchnęłaby gniewem i uznała, że to typowy wybieg, kolejny przejaw egoizmu.

W śnieżny poranek następnego dnia cała trójka pojechała saniami zaprzężonymi w konie na dworzec. W krępującym milczeniu stali na peronie w ogólnym zamieszaniu, czekając, aż bagaże zostaną umieszczone w kuszetce. Ojciec miał na głowie nowy kapelusz, a matka wyglądała na zdenerwowaną i rozkojarzoną. Gdy w końcu rozległ się gwizdek konduktora, Dianę zapytała, czy zastanawiali się nad jej propozycją. Ojciec z zadumą pociągnął niezapaloną fajkę z pianki morskiej, wyjął ją z ust i odchrząknął.

- No cóż, będziemy musieli się przeprowadzić, zacząć gdzieś od nowa - powiedział. - Nie martw się, koleżanko. Damy sobie radę.

Rozdział Dziewiąty.

Gabinet Toma znajdował się w tylnej części domu, biurko stało pod oknem z widokiem na potok. Czasem, gdy podnosił wzrok znad komputera, widział sarny szukające pożywienia pod topolami, które rzucały cętkowany cień. Wiosną przed kilkoma laty siedział przez pół godziny i obserwował, jak czarna niedźwiedzica i dwa niedźwiadki pluskają się i ganiają w płytkiej wodzie. Tom pamiętał taki stary dowcip: Dlaczego pisarze nigdy nie wyglądają rano przez okno? Bo nie mieliby co robić przez całe

popołudnie - i wiedział, że pracowałby wydajniej, gdyby odmówił sobie tego widoku i przesunął biurko pod ścianę. Pod wszystkimi ścianami stały jednak regały, których wypełnione książkami półki nieustannie groziły zawaleniem. Choć myśl o pisarzu umierającym pod lawiną książek miała pewien urok, Tom wołał nie przestawiać biurka.

Dawno temu zabrakło miejsca na półkach, wobec tego każdy skrawek podłogi z cedrowych desek, zakrytej tu i ówdzie indiańskimi dywanikami, został zaanektowany na niebezpiecznie chyboczące się stosy książek, segregatorów, papierów

127

i czasopism. Stała tam również obita niewyprawioną skórą kanapa z narzuconym na nią starym wełnianym kocem z włosia bizona, gdzie Makwi wylegiwała się niemal przez całą dzień i potrząsając łapami, goniła we śnie wiewiórki. Za kanapą znajdowała się duża komoda pomalowana na bladym zielonkawo niebieski kolor, tak jak ściany i regały, zastawiona zdjęciami w ramkach. Tylko na dwóch widać było Toma: na jednym pozował razem z kilkoma członkami starszyny Czarnych Stóp, na drugim odbierał nagrodę za swój serial telewizyjny, przyznaną na festiwalu filmowym w Kanadzie. Pozostałe przedstawiały Danny'ego i Ginę na wakacjach: podczas wędrówki po Bob Marshall Wilderness, jazdy na nartach w Big Sky, letniego spływu Missouri w kanoe, gdzie obozowali w nieustannym strachu przed grzechotnikami.

Wszystkie zdjęcia, które z wielu powodów nie nadawały się do oprawienia, Tom przechowywał w dużych brązowych kopertach, opatrzonych dokładnymi opisami i datami, w dolnej szufladzie komody. Od dawna nie miał odwagi do nich zajrzeć. Przesiadywał nad tymi zdjęciami po odejściu Giny, w mętne i rzewne wieczory podlane alkoholem w tak dużych ilościach jak nigdy przedtem - i potem.

Siadał na podłodze z ćwiartką Jacka Danielsa i starał się zrozumieć rozwój wypadków, co tylko wywoływało jeszcze większe przygnębienie, zamęt w głowie i pragnienie szukania zapomnienia. Któregoś wieczoru uzmysłowił sobie w przebłysku jasności, jak rzadko pojawia się na rozrzuconych dokoła zdjęciach. Stojąc za obiektywem, zawsze był niewidoczny. Można by pomyśleć, że dokumentując swoje małżeństwo i pierwsze osiem lat życia Danny'ego, zrobił z siebie postać niewidzialną, wyciął ją. Czasem Gina upominała go, żeby

128

odłożył ten przeklęty aparat i po prostu z nimi był. Kilka lat później, na spotkaniu grupy AA, ktoś zauważył, że podobną funkcję pełni alkohol: pomaga wyciąć człowieka z jego własnego życia.

Wycinanie było, oczywiście, drugą naturą Toma. Uczył się to robić od trzynastego roku życia, od śmierci Dianę. Tamten pełen wstydu rok, gdy chodził do gimnazjum w Los Angeles i Dianę czekała na wykonanie wyroku śmierci, nauczył go, jaką cenę płaci się za to, że inni ludzie znają prawdę: o tym, że jego matka została skazana za morderstwo i trafiła do komory gazowej. Przedstawienie swojego życia w okrojonej wersji i przywrócenie iluzji, że Dianę była jego siostrą, a Joan i Arthur jego rodzicami, znacznie ułatwiło sprawy. W wersji poprawionej - a taką znały najbliższe mu osoby, również Gina i Danny - Dianę zginęła w wypadku samochodowym w Anglii.

Dziwna rzecz, ale kłamstwo powtarzane wielokrotnie może stać się trwałe i niepodważalne. W umyśle człowieka, który je powiela, nabiera mocy i przynosi pocieszenie, tak samo jak prawda. Tom

zastanawiał się niekiedy, już po odejściu Giny, czy wypadki potoczyłyby się inaczej, gdyby powiedział jej prawdę o Dianę. Może potrafiłaby zrozumieć, dlaczego nie radził sobie jako ojciec i mąż. Albo może wzbudziłyby w niej tylko litość. A litość, w jego odczuciu, jest gorsza od wstydu.

Po rozmowie z Giną poprzedniego wieczoru, gdy zadzwoniła z wiadomością, że Danny wrócił z Iraku, Tom postanowił zebrać się na odwagę i jeszcze raz przejrzeć niektóre stare zdjęcia. Wstał, jak ostatnio każdego dnia, koło szóstej i wybrał się nad potok, żeby pobiegać z Makwi. Kolana zaczęły mu szwankować, więc bieg przemienił się właściwie w trucht, a dla Makwi w nie więcej niż szybki spacer. Ale jak zawsze

129

rozjaśnił mu w głowie, poprawił krążenie krwi i pomógł zaplanować resztę dnia.

Był bezchmurny majowy poranek, łąki i brzegi strumienia szybko się zieleniły. Podczas spaceru zgubił Makwi na jakieś dziesięć minut - pobiegła w las za stworzeniem, którego nawet nie dostrzegł, i nie pozostało mu nic innego, jak wołać i gwizdać w nadziei, że to tylko wiewiórka albo w najgorszym razie sarna, a nie kuguar czy niedźwiedź. Psu często przydarzały się wypadki, co kilka miesięcy wracał do domu z krwawiącą raną, którą trzeba było szyć. Wziął go ze schroniska, ale wydawał krocie na weterynarza. Czekając na powrót Makwi, Tom myślał o Danny: jak przyjmie jego wiadomość, którą Gina miała przekazać synowi podczas dzisiejszego spotkania.

Chłopiec jeszcze do niego nie zadzwonił ani nie odpowiedział na e-maile. Gina uważała, że nie należy tego wyolbrzymiać. Danny dostaje sto e-maili dziennie od obcych ludzi, powiedziała, z których jedni podtrzymują go na duchu, a inni już go potępili i życzą mu śmierci. Poprzedniego dnia poleciała razem z Dutchem do San Diego i tego ranka mieli zobaczyć się z Danny w Camp Pendleton.

- Może też powinienem tam polecieć - powiedział Tom poprzedniego wieczoru, choć wiedział, jak Gina na to zareaguje.

- Wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł. Odczekaj trochę.

- Przecież on jest również moim synem.

- Tom, proszę cię, nie zaczynaj.

- Po prostu czuję się... jak to powiedzieć... taki bezradny.

- Wiem.

- Przekażesz mu pozdrowienia ode mnie? Poprosisz, żeby zadzwonił?

130

- Naturalnie.

- Albo powiedz mi, kiedy ja mogę zadzwonić do niego. Czy on ma nowy numer komórki?

- Tak. Zapadła cisza.

- Powiedział ci, żebyś mi go nie podawała?

- Tom, pamiętaj, że nawarstwiło się tyle spraw. Między wami.

- Powiedział?

- Tak.

Te nawarstwione sprawy miał teraz przed oczami, cała przeszłość leżała na jego biurku w brązowej kopercie, którą zostawił tam po wczorajszej rozmowie z Giną. Na kopercie był napis: Danny od 1993... Poprzedniego wieczoru Tom nie czuł się na siłach, by przejrzeć zdjęcia, ale teraz, ze świeżą determinacją na początku dnia, był na to gotowy. Po powrocie ze spaceru wziął prysznic, nakarmił Makwi (nadal ziajała podekscytowana, ale nic jej się nie stało) i zjadł śniadanie, przeglądając „Missoulian”. Z kubkiem kawy poszedł do gabinetu i usiadł przy biurku. Przez chwilę wpatrywał się w kopertę, po czym delikatnie wytrząsnął zdjęcia. Obrazowały końcówkę dzieciństwa Danny'ego, okres nastoletni i przejście w wiek męski. Część z nich Tom zrobił sam, kiedy Danny przyjeżdżał do niego na weekendy, za każdym razem wprawiające w większe skrępowanie. Uśmiechy coraz bardziej wymuszone, spojrzenia coraz trudniejsze do rozszyfrowania. Jego własny syn stawał się z wolna kimś obcym. Część zdjęć pochodziła z późniejszych lat, gdy Danny powiedział, że nie chce u niego nocować. Niektóre przysłała Gina, starając się, żeby pozostała między nimi choć nikła więź. Danny z kolegami z drużyny

131

piłkarskiej; z dziewczętami, których Tom nigdy nie poznał; na uroczystości ukończenia szkoły średniej, ze świeżo ogoloną głową. To zostało zrobione zaledwie kilka miesięcy po ich kłótni.

Choć minęło już pięć lat, Tom nadal mógł przywołać każde wypowiedziane słowo, każdą chwilę. Danny zadzwonił z wiadomością, że przyjeżdża do Missouli i chciałby wpaść w porze lunchu. Rozmawiali pierwszy raz od Bożego Narodzenia. Z tonu głosu Tom wynioskował, że to będzie coś więcej niż zwykła wizyta: syn chciał - całkiem możliwe, że za namową matki - omówić coś ważnego.

Danny pojawił się w południe, zajechał dużym czarnym pick-upem z mnóstwem reflektorów i chromowanych elementów z przodu oraz wymalowanymi na bokach płomieniami. Powiedział, że samochód jest własnością Dutcha, co w ogóle Toma nie zdziwiło. Makwi przywitała Danny'ego z ogromnym entuzjazmem, pomagając przełamać pierwsze lody. Gdy Tom robił dla nich obu omelet z serem i pomidorami i szykował sałatkę, Danny stał oparty niedbale o niski murek i uprzejmie pytał Toma o jego pracę, choć dotychczas w ogóle się tym nie interesował. Wciąż miał ogoloną głowę i tylko na czubku krótką szczecinę. Tom, ze swoją rzednącą siwą grzywą, która wywijiała się nad kołnierzykiem, czuł się przy nim jak stary hipis. Mało brakowało, a rzuciłby jakiś żart na ten temat, ale uznał, że lepiej tego nie robić.

- Co się dzieje? - zapytał w końcu, gdy usiedli do jedzenia.

- Idę do wojska.

Danny powiedział to, nie podnosząc głowy znad talerza.

- Chciałem cię, no wiesz, poinformować.

132

- Do piechoty morskiej?
- No.
- Naturalnie. Rozumiem, że po college'u.
- Nie będę studiował. Przynajmniej nie teraz.
- Sądziłem, że taki miałeś plan. Stanowy Uniwersytet Montany, a po otrzymaniu dyplomu podejmiesz decyzję.
- Już podjąłem.
- Ale nie mając studiów, pójdziesz jako... jak to się mówi? Danny prychnął szyderczo, jakby tylko debil nie wiedział,
co oznacza zaciągnięcie się do wojska.
- Szeregowy.
- Myślałem, że chcesz zostać oficerem.
- Wciąż mogę nim zostać. Z czasem.
- Ale...
- Tato, ten kraj prowadzi wojnę! I tak długo czekałem.
- No cóż, tę wojnę niektórzy z nas...
- Wiem, jakie są twoje poglądy na wojnę. Nic mnie to nie obchodzi, ja po prostu...
- A niby skąd wiesz, jakie są moje poglądy na ten temat? Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek o tym rozmawiali.
- Wiem, i tyle.

Tom wciągnął głęboko powietrze i przez chwilę słychać było jedynie brzęk sztućców. Omlet zaczął nagle rosnąć mu w ustach. Przeklął się w duchu za to, że nie przewidział takiego rozwoju wypadków. Za sprawą Dutcha kariera wojskowa zawsze była na tapecie. Ale w randze "oficera, z dyplomem uniwersyteckim w kieszeni. Tom w swojej naiwności łudził się nadzieją, że czteroletnie studia w college'u zmienią nastawienie syna, skłonią go do ułożenia sobie życia inaczej.

133

- W takim razie przyszedłeś tu, żeby mi to powiedzieć czy spytać mnie o zdanie?

Danny wciąż nie podnosił głowy.

- Mama uważała, że powinienem przyjść i ci powiedzieć.
- Jak to miło. A zatem, jak rozumiem, ona popiera ten plan.

- Oczywiście.

- Dlaczego „oczywiście”? Nie każda matka jest szczęśliwa, gdy jej jedyny syn idzie na wojnę. Zwłaszcza że jest to wojna, w której zdaniem wielu ludzi wcale nie powinniśmy uczestniczyć.

Tom pożałował tych słów, zanim dopowiedział je do końca. Danny odwrócił wzrok i pokręcił lekceważąco głową.

- Być może tak myślą ludzie twojego pokroju, ale...

- Zaraz, zaraz, przepraszam, to znaczy kto? Ludzie jakiego pokroju?

- Ci, którzy wolą stać z boku, patrząc, jak atakuje się nasz kraj, i nie odpowiadając na atak.

Syn patrzył teraz prosto na niego. Pogarda w jego oczach tak wstrząsnęła Tomem, że musiał przełknąć ślinę, zanim znów się odezwał.

- Atak? Masz na myśli jedenasty września?

- Na miłość boską, pewnie, że mam na myśli jedenasty września.

- Tamci ludzie nie byli z Iraku, Danny. Nic ich nie łączyło z tym krajem. Dziś wszyscy to wiedzą.

Danny odsunął talerz i wstał, szurając krzesłem po podłodze.

- Danny, proszę...

- Daj spokój.

- Przepraszam. Usiądź, proszę cię...

- Dlaczego, do cholery, wy, liberałowie, zawsze usprawiedliwiacie tych, którzy chcą nas zabić?

134

- Danny...

- Czy ty tego nie rozumiesz? Niczego nie pojmujesz, prawda? Zwyczajnie niczego nie pojmujesz.

Już był przy drzwiach. Tom podniósł się i rozłożył ramiona.

- Proszę cię, nie odchodź.

Ale Danny wymaszerował z domu. Makwi pobiegła za nim, poszczekując i niewątpliwie sądząc, że to jakaś nowa zabawa. Wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiami pomalowanymi w płomienie. Gdy Tom do niego dobiegł, Danny zdążył już zapalić silnik i ostro ruszył na wstecznym biegu, żłobiąc koleiny w żwirze. Makwi nadal szczekała. Tom sięgnął do klamki.

- Danny, poczekaj!

Ale było za późno. Pick-up szarpnął do przodu i z rykiem wyjechał na drogę.

Tom rozpamiętywał tę rozmowę tysiące razy, wynajdując momenty, gdy mógł się zachować inaczej, nie pozwolić, by jego ego jeszcze bardziej zniszczyło ich wątły związek. Zamiast wysłuchać, od razu się sprzeciwił. Zamiast okazać szacunek i wsparcie, zaczął podważać przekonania syna. Wystarczyłoby chwilę się zastanowić, a wiedziałby, że to się skończy gniewem i urazą. W czasie tej krótkiej wymiany zdań każdy z nich pozostał wierny karykaturalnemu wizerunkowi swojej osoby, jaki powstał w umyśle tego drugiego.

W całej sprawie idiotyczne było to, że Tom wcale nie miał awersji do wojska ani do ludzi służących w wojsku. Wprost przeciwnie, z całym szacunkiem i życzliwością odnosił się do młodych kobiet i mężczyzn wysłanych do Iraku i Afganistanu. Podobnie jak do tych, którzy ryzykowali i tracili życie w Wietnamie trzydzieści lat wcześniej. Awersję budzili w nim jedynie panowie w garniturach, bezpiecznie ulokowani w Waszyngtonie

135

i Londynie, którzy z podejrzanych powodów wysłali tych ludzi na wojnę.

Uprzytomnił sobie również, że kłótnia z Dannym nie miała związku z armią czy z polityką. Wynikła z pobudek osobistych. Z tego, że uważał się nad sobą i był zazdrosny, widząc, że inny mężczyzna zastąpił go w roli ojca. Natomiast teraz, gdy patrzył na świat klarowniej, a nie przez rozedrganą alkoholową mgiełkę, wiedział, że powinien być wdzięczny, iż pojawił się człowiek, którego chłopiec darzy szacunkiem należnym ojcu i podziwia jego system wartości.

Siedząc przy biurku, wpatrywał się w zdjęcie Danny'ego ze szkolnej księgi pamiątkowej. Po dłuższej chwili wrócił do przechowywanych w kopercie fotografii. Ostatnia została zrobiona w bazie szkoleniowej dla rekrutów na północ od San Diego w dniu, gdy Danny dostał orła, kulę ziemską i kotwicę - godło Korpusu Piechoty Morskiej - na znak przyjęcia do jednostki. Tom oczywiście nie otrzymał zaproszenia na uroczystość. Gina przysłała mu zdjęcie jesienią tamtego roku w wyzywającym geście: tylko spróbuj powiedzieć, że nie jesteś z niego dumny! Ale gest ten uzmysłowił mu jedynie to, że więź między nim a synem zanikła. Czuł się tak, jakby patrzył na kogoś obcego. Choć bardzo chciał, żeby było inaczej, to odczucie nie mijało.

Mimo to w porze lunchu pojechał ze zdjęciem do miasta i znalazł odpowiednio elegancką ramkę w sklepie z upominkami przy North Higgins Avenue. Po powrocie do domu postawił oprawioną fotografię nie wraz z innymi na komodzie, lecz na parapecie przed biurkiem. Gdy zajął się pracą, czekając jednocześnie na telefon od Giny albo - złudna nadzieja - od Danny'ego, ilekroć podnosił wzrok znad monitora, patrzyły na niego obce oczy syna.

136

Tom pisał artykuł do „Missoulian” o jezuickiej szkole z internatem dla dzieci z plemienia Czarnych Stóp, otworzonej pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku nad Two Medicine River, nieopodal Browning. Szkoła o nazwie Misja Świętej Rodziny istniała ponad czterdzieści lat. Tom poświęcił jej rozdział w swojej książce. Zbierając materiały, przeprowadził i nagrał rozmowy z kilkoma uczniami z dawnych czasów. Dla odświeżenia pamięci znów przesłuchał teraz taśmy, tak jak dawniej wzruszony opowieściami.

Placówkę założono oczywiście po to, żeby ucywilizować dzikusów i ocalić ich dusze przed wiecznym potępieniem. Wielu pierwszych uczniów, zapłakanych, siłą wywieziono z domów w rezerwacie. Obcięto im warkocze i zabrano ubranie i mokasy z kozłej skóry, a w zamian dano odzież, jaką nosili biali. W razie ucieczki, którą wielu próbowało się ratować, odbierano ich rodzinom racje żywnościowe przydzielane przez agencję rządową i będące częstokroć jedynym pożywieniem. Schwytanych lub odesłanych zbiegów karano chłostą jak za wiele innych przewinień, na przykład rozmowy w rodzimym języku.

Ze szczególnym wzruszeniem zauważył, że niewielu rozmówców nosiło w sercach urazę. W istocie część z nich, choć przyjęła wiarę chrześcijańską, w późniejszych latach należała do najgorliwszych obrońców i krzewicieli pozostałości kultury i języka Czarnych Stóp. Zdolność wybaczenia jest jednym z najbardziej tajemniczych cudów w naszym życiu. Tom żałował tylko, że jego własne serce nie potrafi wybaczyć krzywd o niebo mniej dotkliwych.

Wyłączył komputer koło osiemnastej, gdy cienie topoli położyły się na łące i światło nabrało lekko zamglonej złocistej

137

barwy. Danny, w szykownym mundurze, nadal spoglądał na niego z parapetu okna. A Gina nie zadzwoniła.

Zabrał Makwi na spacer szlakiem wijącym się przez las po drugiej stronie drogi - i patrzył, jak śmiga przez polany wśród daglezji i sosen. W ciepłym powietrzu czuło się mocny zapach żywicy i niemal słychać było rozrastające się szybko podszycie. Doszli do podnóża skały, gdzie kruki już zaczęły budować gniazda. Gdy Tom przyglądał się ptakom, Makwi stała nieopodal, zziębnięta po spatrołowaniu terenu. Po powrocie do domu poszła przez łąkę do strumienia, z godnością się wykąpała, a potem wytarzała w trawie.

Tom włączył stojący w kuchni telewizor i zerkał na program CNN, szykując kolację dla Makwi, a potem makaron z fasolką dla siebie. Dwóch amerykańskich żołnierzy zginęło w wyniku wybuchu miny pułapki na południe od Bagdadu; piętnastu irackich cywilów poniosło śmierć lub zostało rannych na skutek samobójczego ataku bombowego na bazarze w Basrze. Tom właśnie usiadł przy stole, prawie nie słuchając spikera, i już miał zacząć jeść, gdy w reakcji na następną wiadomość jego ręka zawisła w powietrzu.

„Wracamy do kraju. W Camp Pendleton w Kalifornii postawiono zarzut zabójstwa z premedytacją dwóm żołnierzom amerykańskiej piechoty morskiej, uczestnikom incydentu z dwudziestego czwartego stycznia, podczas którego śmierć poniosło siedmiu irackich cywilów...”

I zaraz pojawił się Danny, „kapral Daniel Bedford”, obok drugiego oskarżonego, obaj na zdjęciach. Nie pokazano portretów z kartoteki policyjnej, z profilu, z numerami na tabliczkach zawieszonych na szyjach, ale wychodziło na to samo. W telewizorze i w oczach milionów widzów człowiek jest

138

winny, dopóki nie udowodni się jego niewinności. Relacja była przejmująco krótka. Żadnych informacji o zajściu. Powiedziano tylko tyle, że oskarżeni nie trafili do aresztu, lecz zostali przewiezieni z powrotem do Camp Pendleton, gdzie będą wykonywali swoje obowiązki w ograniczonym zakresie do czasu, aż rozpoczną się „przesłuchania zgodnie z artykułem trzydziestym drugim”. Jeśli zostaną uznani za winnych stawianych im zarzutów, może im grozić kara śmierci.

Tom wyrzucił nietkniętą kolację do śmieci i poszedł prosto do gabinetu, żeby zadzwonić do Giny na komórkę. Serce waliło mu jak młotem, ręce trzęsły się tak, że dwa razy wystukiwał numer. Nie potrafił powiedzieć, czy bardziej rozgniewało go to, czego się dowiedział, czy to, w jaki sposób się dowiedział. Bębniąc palcami w biurko, stał wpatrzony w zdjęcie Danny'ego i czekał, aż Gina odbierze.

- Gina?

- Nie mogę teraz rozmawiać, Tom.

- Oglądałaś Wiadomości!

- Tak. Słuchaj, muszę...

- Widziałaś się z Dannym?

- Tak. Właśnie z nim jesteśmy.

- Nie uważasz, że mogłaś do mnie zadzwonić?

- Przepraszam, to był ciężki dzień...

- Na miłość boską, Gino, chodzi mi o to...

- Tom, oddzwonię, dobrze? Muszę kończyć. Cześć. Połączenie zostało przerwane.

Rozdział Dziesiąty.

Tommy chwycił rewolwer obiema rękami, zmrużył oko, patrząc wzdłuż lufy i starając się nie drgnąć, i czekał, aż zza głazu wychynie Indianin. Miał niklowanego kolta kalibru 45, z siedmialufową lufą i rzeźbioną rękojeścią z kości słoniowej, wymagającego odwodzenia kurka przed każdym strzałem - nigdy dotąd nie trzymał takiego cacka. Z powodu ciężaru trudno było o pewność ręki. Wystrzelił już pięć naboí, za każdym razem chybiając.

- Rozstaw trochę szerzej nogi - powiedział Ray Montane. - I nie wstrzymuj oddechu, tylko wciągaj powietrze bardzo wolno i głęboko. Właśnie tak. Teraz go trafisz, chłopcze. Celuj w klatkę piersiową, bo to jest najszersze miejsce. I nie zapomnij: lekko naciskaj spust. Gotowy?

Tommy kiwnął głową.

- Dobrze. Odbezpieczamy.

Tommy odciągnął kurek. Kątem oka widział, jak Ray znowu kładzie rękę na stalowej dźwigni.

- Raz, dwa, trzy...

140

Ray pchnął dźwignię do przodu, zaskrzybiała napinająca się lina i zza skały znowu wyłonił się Indianin, mierząc do nich ze strzelby, jakby miał zaraz strzelić. Tommy ostatni raz odetchnął głęboko i nacisnął spust. Odrzut i huk sprawiły, że i tak drgnął. Był pewny, że kolejny raz spudłował, ale rozległ się dźwięk inny niż poprzednio: głośny brzęk. Ray i Diane krzyknęli z radości.

- No proszę, partnerze, trafiłeś go!

Diane, która siedziała za nimi na podeście, na drewnianym fotelu z szerokimi podłokietnikami, zerwała się z miejsca, bijąc brawo. Tommy, wciąż z rewolwerem w ręku, odwrócił się do niej uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Hola, hola, kowboju! Uważaj, w co celujesz - zwrócił mu uwagę Ray.

- Jest pusty.

- Wiem. Ale zawsze należy sprawdzić.

Ray wziął od niego rewolwer, wyjął łuski i położył broń na stole, między wysokimi szklankami koktajlowymi a popielniczką z odłożonym papierosem Diane, z którego smużka dymu wiła się w gorącym nieruchomym powietrzu. W trójkę poszli rozpaloną słońcem piaszczystą ścieżką, żeby obejrzeć Indianina.

Tommy szedł, podzwaniając ostrogami i wpatrując się we własny cień. Rondo jego kapelusza było może odrobinę za szerokie, mimo to cała postać robiła wrażenie. Cień prawdziwego kowboja, bez dwóch zdań. Tommy miał na sobie strój, który dostał od Raya następnego ranka po ich przylocie do Los Angeles. Była to wierna kopia w wersji młodzieżowej kostiumu Reda McGrawa w serialu Sliprock. Strój został specjalnie zamówiony w studiu filmowym, jak powiedział Ray, i był znacznie lepszy od tych, które sprzedawano w sklepach z zabawkami.

141

Kurtkę i czapsy, ozdobione frędzlami, uszyto z prawdziwej koziej skóry. Pas na rewolwery zapinał się na srebrną sprzączkę i na całej długości miał namalowane srebrną farbą naboje do złudzenia przypominające prawdziwe. Broń do kompletu była oczywiście nieprawdziwa, w przeciwieństwie do rewolweru Raya, z którego Tommy dopiero co strzelał, ale też miała rękojeść w kolorze kości słoniowej i bębenek na sześć naboji, który się rozkładało, żeby włożyć kapiszony. Huk przy wystrzale był tak głośny, że uszy bolały. Ray dał mu również wiatrówkę Daisy na śrut kulisty, podobną do prawdziwego winchestera. Miała dolny naciąg i strzelała czerwonymi śrucinami, którymi według Raya można było zabić ptaka albo małe zwierzę, na przykład pręgowca. Tommy próbował już parokrotnie, lecz ani razu nie trafił.

- No, no, dobry strzał, chłopie. Zobacz, dostał w samą szyję.

Ray odpiął namalowanego na tekturze Indianina od metalowej ramy i pokazał z bliska Dianę i Tommy'emu. Nad dziurą po kuli znajdowała się twarz pomalowana w barwy wojenne i wykrzywiona w okrutnym grymasie.

- Właśnie zaliczyłeś swojego pierwszego Indiańca.

Ray wyciągnął rękę i Tommy, szeroko uśmiechnięty i zarumieniony z dumy, mocno ją uściskał.

- Teraz kolej na mamę.

- Raczej nie - odparła ze śmiechem Dianę.

- W końcu musisz się nauczyć, kochanie. Co sobie pomyśli ten podstarzały Gary Cooper, gdy zobaczy, że jego partnerka nie umie posługiwać się bronią?

- Gram nauczycielkę, a nie rewolwerowca, a poza tym jestem pewna, że będzie miał to w nosie.

Ray objął ją w talii i przytulił.

142

- Co ty na to, Tommy? Nie uważasz, że powinna spróbować?

- Pewnie! Spróbuj, Dianę!

Jeszcze nie powiedział do niej „mamo” ani „mamusiu”, wciąż zwracał się tak jak dotychczas i nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mogło się to zmienić. Nigdy nie zapomni twarzy swojej mamy - a właściwie babci - gdy Dianę wyjawiała prawdę. I bladego, wymęczonego ojca - dziadka - któremu podczas pożegnania przy bramce na lotnisku nagle oczy zasły łzami. Gdy odchodzili, Tommy odwrócił się, żeby im pomachać, i ze zdziwieniem zobaczył wymizerowanego starszego pana, którego koścista postać jakby ugięła się pod płaszczem.

Tommy nie wiedział też, jak ma się do nich zwracać. Dianę uznała, że może mówić „babciu” i „dziadku” albo choćby po imieniu: Joan i Arthurze. Lecz ani jedna, ani druga forma nie wydała mu się właściwa. Gdy przed kilkoma dniami rozmawiali przez telefon, jakoś udało mu się nie zwracać do nich bezpośrednio, opowiadał tylko o podróży samolotem z Londynu,

o tym, że w Los Angeles jest słonecznie i gorąco i że niedługo zaczną się uczyć w nowej szkole, założonej przez Carla Curtisa, którą już odwiedził razem z Dianą i stwierdził, że wszyscy są tam bardzo mili i przyjaciele, nawet nauczyciele. Nie słyszał za dobrze, bo w słuchawce trzeszczało i ciągle przerywało, ale i tak wyczuł smutek w ich głosach.

Dręczyła go myśl, czy i jemu nie powinno być smutno. Ale nie był przygnębiony, natomiast dziwnie się czuł, nagle nie mając taty. Zdarzało się, że przed zaśnięciem leżał w łóżku i rozmyślał o Davidzie, koledze Dianę, który był jego prawdziwym ojcem. Zastanawiał się, co to za człowiek, gdzie mieszka. Może urodziło mu się więcej dzieci, co by oznaczało,

143

że Tommy ma przyrodnie rodzeństwo. Nie odczuwał z tego powodu zazdrości, a jedynie brak kogoś. Ale z drugiej strony, czy można tęsknić za kimś, kogo się w ogóle nie znało? Albo zazdrościć ludziom, którzy może nie istnieją?

Raczej nie. Wydarzyło się coś bez wątplenia dziwnego, ale to nie powód do zmartwień. Jak mówiła Dianę, oni wszyscy są przecież takimi samymi ludźmi. Poza tym jego tatą jest teraz Ray - czy można

pragnąć lepszego? No i jak tu się smucić, skoro zamiast wracać do Ashlawn, wyjechał do Hollywood i w ogrodzie Reda McGrawa z prawdziwego rewolweru strzelał do Indian?

Od przyjazdu Tommy'ego i Dianę do Stanów minęły już prawie dwa tygodnie. Wynajęli małe mieszkanie przy ulicy odchodzącej od Wilshire Boulevard, ale nocowali tam rzadko, bo i tak mieszkali tutaj, u Raya. Sypialnia Tommy'ego była chyba z dziesięć razy większa niż ta dawna. Każdego ranka po przebudzeniu leżał z zamkniętymi oczami, zastanawiając się, czy gdy je otworzy, wszystko nadal będzie wyglądało tak samo. Potem wstawał z łóżka, szedł na palcach do osłoniętych okiennicami drzwi i wychodził na swój własny balkon, czując pod stopami gorącą posadzkę. Niebo zawsze było niebieskie, słońce grzało skórę, nieznane ptaki śpiewały na gałęziach drzew. Oparty o balustradę patrzył w dół na basen, na palmy i na ciągnące się w dal, zasnuwane mgiełką miasto z rozległą siatką prostych ulic wysadzanych palmami. Ogrodnik Miguel kosił trawę albo podlewał kwiaty, albo wyławiał liście z basenu. Czasem podnosił wzrok i widząc Tommy'ego, machał mu i wołał: „Dzień dobry, paniczu Tommy! Jak się panicz miewa?”.

Dom był wspinały. Miał czerwone dachówki i chropowate bielone ściany pokryte kwitnącymi na różowo i fioletowo

144

pnąciami. W połowie wysypanego czerwoną cegłą podjazdu znajdował się brązowy posąg konia stojącego dęba. Na wewnętrznych ścianach z nierówno bielonej cegły suszonej na słońcu wisiały wypchane łby jeleni, łosi i bawołów oraz mnóstwo obrazów przedstawiających sceny z Dzikiego Zachodu, każdy podświetlony osobnym mosiężnym reflektorkiem. Podłogi na parterze były zrobione ze szlifowanego kamienia, tu i ówdzie leżały krowie skóry i indiańskie dywaniki. W salonie stały fotele, których poręcze wykonano z prawdziwych siodła ze srebrnymi ćwiekami. Telewizor był chyba trzy razy większy od największego telewizora, jaki Tommy widział w Anglii, a przed odbiornikiem stała wielka skórzana kanapa. Gdy Tommy na niej siedział, oglądając telewizję, czuł się tak mały jak Alicja w Krainie Czarów po wypiciu magicznego napoju.

Ray przymocował do ramy następnego Indianina ze stosu plansz opartych o ścianę strzelnicy, po czym cała trójka poszła z powrotem na podest - Ray w środku, obejmując jednym ramieniem Dianę, a drugim Tommy'ego. Pozwolił chłopcu załadować kolta nabojami z kartonowego pudełka leżącego na stole. Tommy zrobił to tak, jak go nauczono: wsunął bębenek aż do zatrzaśnięcia i sprawdziwszy, czy rewolwer jest zabezpieczony, podał go Dianę ręką do przodu.

- No dobra, Annie ma broń - powiedział Ray. - Zobaczmy, jak się sprawi.

Pokazał Dianę, jak trzymać rewolwer i jak z niego mierzyć, po czym stanął z tyłu i trzymając ją za ramiona, udzielił takich samych wskazówek jak poprzednio Tommy'emu. Za pierwszym razem spuściła kłosa, ale potem trafiła Indianina pięć razy z rzędu, w głowę i w pierś. Tommy był niemal w równej mierze

145

zazdrosny i dumny. Ray podniósł Dianę, zatoczył z nią wielkie koło, chwycił w ramiona i długo całował w usta. Często tak się zachowywali, co trochę krępowało Tommy'ego. Zazwyczaj odwracał głowę, udając, że jest czymś zajęty.

Gdy Ray przestał całować Dianę, powiedział, że z głodu zjadłby konia z kopytami, więc wszyscy ruszyli w stronę domu. Wspięli się po czterdziestu dwóch stopniach stromych krętych schodów i dalej wąską zwirowaną ścieżką wśród palm, eukaliptusów i jakichś kolczastych krzaków, które według Miguela nazywały się „paskudztwo”. Gdzie spojrzeć, przemykały małe brązowe jaszczurki. Ray radził mieć oczy szeroko otwarte, bo można było natknąć się na grzechotnika. Na górze pracowały na trawniku zraszacz, tworząc tęczowe łuki. Ray podpuścił Tommy'ego, żeby przebiegł przez strumienie wody. Choć ubranie przemokło prawie na wylot, nie miało to znaczenia, bo rozległ się śmiech i wszystko wyschło w kilka minut na prażącym słońcu.

Przeszli jeszcze parę kroków od trawnika, wokół basenu, do białego marmurowego tarasu, gdzie Dolores, gosposia i kucharka, podała lunch. Czekwały na nich szynka, indyk i pieczeń wołowa na zimno, krewetki i mnóstwo innych dań, a wśród nich najlepsza sałatka ziemniaczana, jaką Tommy kiedykolwiek jadł. Stół był udekorowany białymi i różowymi kwiatami i ustawiony w cieniu wielkiej starej sosny, na której wisiały setki lampek choinkowych, co wieczór po zmierzchu zapalanych wraz ze światłami na dnie basenu i w wodospadzie spływającym jak prawdziwy górski potok. Ten dom należało raczej nazwać pałacem.

Tommy nie wiedział, czy tak mieszkają wszystkie hollywoodzkie gwiazdy - jeszcze nie był u żadnej w domu.

146

Natomiast spotkał kilka z nich. Podczas lotu odrzutowcem linii Britannia z Londynu do Nowego Jorku (co oprócz strzelania z prawdziwego kolta kalibru 45 było chyba najbardziej ekscytującym wydarzeniem w całym jego życiu) stewardesa zaprowadziła go do kabiny pilotów, gdzie poznał kapitana i drugiego pilota, którzy wytłumaczyli mu, do czego służą wszystkie tarcze i przełączniki, a nawet pozwolili kierować przez chwilę samolotem. Wracając, na swoje miejsce, Tommy rozpoznał Charltona Hestona. Aktor siedział zaledwie dwa rzędy przed nimi. Wyglądał zabawnie w sportowej marynarce, a nie w skórzanej spódniczce czy w todze, jak w Ben Hurze. Posłał Tommy'emu szeroki uśmiech. Dianę męczyła go, żeby poprosił pana Hestona o autograf, ale Tommy bardzo się wstydził, nawet gdy chciała zrobić to za niego, a potem zawsze żałował, że do niego nie podszedł.

Kiedy odespali zmęczenie spowodowane różnicą czasu, Ray zabrał ich na przejażdżkę swoim samochodem po Hollywood. Miał jasnyniebieskiego cadillaca eldorado kabriolet z tylnymi reflektorami w kształcie rakiet, potężnymi skrzydłami i białymi skórzanymi siedzeniami, które były tak szerokie, że zmieścili się w trójkę obok siebie. Tommy siedział pośrodku i szukał wzrokiem drążka zmiany biegów, dopóki mu nie powiedziano, że to samochód z automatyczną skrzynią biegów, które zmieniają się same. Ray znalazł w radiu stację z najnowszymi przebojami i pojechali na wschód Hollywood Boulevard, słuchając piosenki Cathyss Clown Everly Brothers, nastawionej tak głośno, że ludzie się za nimi oglądali.

Stanęli na placu przed Chinese Theater Graumana, gdzie gwiazdy filmowe zostawiły odciski rąk i stóp na betonie, a potem obejrzeni nową Aleję Sław, gdzie on the pavement

147

- a raczej on the sidewalk*, jak Tommy musiał uczyć się mówić - były różowo złote gwiazdy ze słynnym nazwiskiem wypisanym na każdej z nich.

[* On the pavement (brytyjska angielszczyzna), on the sidewalk (amerykańska angielszczyzna) - na chodniku].

Ray jeszcze nie miał swojej gwiazdy, ponieważ najpierw muszą je dostać weterani kina, tak twierdził. W pewnej chwili podeszło do Raya kilkoro dziewcząt i chłopców, prosząc o autograf. Pogawędził z nimi i podpisał swoje zdjęcia, które na wszelki wypadek zawsze nosił przy sobie. Ktoś z grupy zapytał Dianę, czy ona też jest sławna, i zanim zdążyła się odezwać, Ray odpowiedział, że wkrótce prześcignie Marilyn Monroe, wobec tego i ją wszyscy poprosili o autograf. Tommy poczuł się kimś naprawdę ważnym.

Wsiedli do samochodu i wolno przejechali obok Max Factor Building, pierwszego drapacza chmur w Hollywood, zbudowanego całkiem niedawno, jak twierdził Ray. Z powodu czarnych szyb w oknach dom wyglądał zdaniem Tommy'ego trochę strasznie. Następnie minęli słynną bramę wytwórni Paramount, gdzie Dianę miała wkrótce korzystać z własnej garderoby, a potem wrócili na Sunset Strip i stanęli przy Schwab's Drugstore - Ray powiedział, że w tym lokalu przesiaduje wiele gwiazd kina. Akurat wtedy nikt słynny tam nie siedział, ale Tommy nie był zawiedziony, bo przy barze wypił napój gazowany z kulką lodów.

Gdy stamtąd wychodzili, z rykiem silnika podjechał otwarty srebrny samochód w kształcie rakiety kosmicznej. Kierowca zatrzymał się tak gwałtownie, że aż zapiszczały hamulce, i wysiadł, przeskakując nad drzwiami. Miał krótkie blond włosy, okulary przeciwsłoneczne, biały podkoszulek i dżinsy. Pomachał im i uśmiechnął się szeroko.

148

- Cześć, Ray! Jak się miewasz?

- W porządku. A ty?

- Całkiem nieźle.

Uścisnęli sobie ręce. Mężczyzna skinął głową Dianę i Tommy'emu, uśmiechając się sympatycznie. Ray najwyraźniej nie zamierzał dokonać prezentacji.

- Słyszałem, że jednak zgodzili się, żebyś robił ten film w Meksyku - powiedział Ray. - Jak poszło?

- No wiesz, czasem było trochę nerwowo.

- Kiedy wejdzie na ekrany?

- Już wkrótce. Jeszcze go nie widziałem, ale Sturges wygląda na zadowolonego, więc... - Wzruszył ramionami. - A co tam u ciebie? Nadal Sliprock!

- Mhm. Szykuje się też parę filmów.

- Taka już nasza dola.

- Właśnie.

Zapadło krępujące milczenie. Mężczyzna znów spojrzał z uśmiechem na Dianę.

- Cześć.
- Cześć.
- Musimy lecieć - powiedział Ray.
- Ja też. Wpadłem po fajki. No to na razie.
- Cześć.

Mężczyzna pochylał głowę i zerknął znad okularów na Tommy'ego. Miał jeszcze bardziej niebieskie tęczęwki niż Ray. Z szerokim uśmiechem puścił oko i wszedł do sklepu.

- Dupek - mruknął Ray.

Gdy wracali do samochodu, Dianę zapytała, kim jest ten człowiek. Steve McQueen, odrzekł Ray, występował w serialu telewizyjnym Wanted: Dead or Alive, o którym Tommy słyszał,

149

ale jeszcze go nie widział. Ray uważał, że serial jest do dupy, na co Dianę zabroniła mu wyrażać się tak przy Tommym. Ray zrobił skruszoną minę, ale upierał się, że to prawda, bo koleś jest beztalenciem, a film, który nakręcił, na pewno też jest do dupy.

- Remake jakiegoś marnego japońskiego filmu - dodał. - Proponowali mi rolę, ale odrzuciłem.

Gdy Tommy zapytał o tytuł, Ray powiedział, że nie pamięta, ale scenariusz był beznadziejny: chodziło o to, że siedmiu rewolwerowców ocala jakąś meksykańską wioskę przed bandą zwykłych oprychów.

Tommy zdążył zauważyć, że Ray z niechęcią wypowiada się o wielu westernach i występujących w nich aktorach - oprócz Johna Wayne'a, Jamesa Stewarta i, oczywiście, Gary'ego Coopera. Tommy, gdy tylko poznał Raya, zapytał, czy zna Roberta Hortona, który grał Flinta McCullough, na co Ray odparł, że nie spotkał gościa, ale jak na zwiadowcę chroniącego karawanę wozów z osadnikami „sprawia wrażenie pedała”. Tommy nie zrozumiał, o co mu chodziło, wyczuł jednak, że to raczej nie był komplement.

Dianę i Tommy widzieli już, choć z daleka, słynny napis HOLLYWOOD. Ray postanowił jednak wrócić do domu krętym kanionem, gdzie zatrzymał samochód i dalej poprowadził ich szlakiem, skąd mieli lepszy widok. Litery były ogromne. Ray twierdził, że mają pięćdziesiąt stóp wysokości i początkowo tworzyły słowo HOLLYWOODLAND, dopiero później ktoś postanowił usunąć ostatnie cztery litery. Dziwna rzecz, ale z bliska wyglądało to trochę smętnie: farba odpryskiwała, podpory z tyłu były zarośnięte i zardzewiały. Ray opowiedział im o młodej brytyjskiej aktorce Peg Entwistle, której nikt nie chciał

150

zaangażować do filmu, a wtedy ona weszła na samą górę litery H, skoczyła i się zabiła.

- Jak to miło, Ray, że przybliżyłeś nam historię tej kobiety - powiedziała Dianę.

Ray zaśmiał się i ją objął.

- Powtarzam raz jeszcze, kochanie: ciebie będzie chciał cały świat.

Kończyli jeść lunch na tarasie. Tommy spałaszował całą sałatkę ziemniaczaną i pochłaniał drugą porcję lodów czekoladowych. Ray i Dianę siedzieli naprzeciwko niego i przyglądali mu się z uśmiechem, paląc papierosy.

- Czy oni w ogóle karmili cię w tej Anglii? - zapytał Ray.

- Nie tak.

Jak zwykle po lunchu Dianę i Ray poszli do sypialni na tak zwaną sjestę, a Tommy, choć wcale nie odczuwał zmęczenia, miał udać się w tym samym celu do swojego pokoju. Nie sprzeciwiał się, bo w taki upał nie można było robić nic innego. Położył się na łóżku, zamierzając przeczytać choć kilka stron książki. Nosiła tytuł Biały Kieł i była dobra, ale jakoś nie mógł się w nią wgryźć. Tak było od przyjazdu. Od nadmiaru nowych wrażeń nieustannie szumiało mu w głowie.

Minione dwa tygodnie były wspaniałe, doskonale się bawił razem z Rayem i Dianę, ale teraz miało się to zmienić. Następnego dnia rozpoczął naukę w szkole Carla Curtisa. Choć podobała mu się, gdy oglądał ją z Dianę, ogarniał go niepokój. Wiedział, że to głupie. Od dawna nie zmoczył łóżka, a poza tym nie będzie mieszkał w internacie. Mimo to dręczył go strach, że ktoś się dowie i znowu będzie go przezywać Moczymajtkiem.,

Tego wieczoru Dianę i Ray wybierali się na przyjęcie, które

151

wydawał Herb Kanter, producent filmu Bez skrupułów. Tommy też chciał pójść, lecz Dianę powiedziała, że przyjęcie zaczyna się późno, gdy powinien już spać, i jest tylko dla dorosłych. W domu zostanie z nim Dolores. Tommy ją lubił. Była niska, bardzo ładna i miała duże ciemnobrązowe oczy. Początkowo sądził, że jest żoną Miguela, ale było inaczej. Zajmowała mały pokój, do którego wchodziło się z korytarza łączącego garaż z kuchnią. Na ścianie wisiał śliczny obrazek Marii Panny z małym Jezusem oraz zdjęcia jej własnego synka, który dziwnym trafem też miał na imię Jezus. Dolores wyjaśniła, że chłopiec mieszka z dziadkami w mieście Meksyk. Tommy odrzekł, że dawniej również mieszkał z dziadkami, tyle że w Anglii.

Gdy Ray i Dianę byli gotowi do wyjścia, Tommy, już w piżamie i szlafroku, siedział w salonie przed ogromnym telewizorem, trzymając na kolanach tacę z kolacją i oglądając sitcom Kocham Lucy. Widział ten program w Anglii i uważał, że wcale nie jest taki śmieszny, jak to się wydaje publiczności przyjmującej każde zdanie wybuchem śmiechu.

Z holu doleciały jakieś odgłosy. Przez duże dwuskrzydłowe drzwi zobaczył Dianę i Raya na łuku szerokich schodów. Wyglądali cudownie. Ray miał czarny garnitur z długą marynarką i wstążkę zawiązaną pod szyją, jak Bret Maverick, tyle że ze srebrną czaszką byka na węźle. Włosy zaczesał gładko do tyłu. Pomachał Tommy'emu i przystanął w holu, czekając na Dianę, która weszła do salonu, chcąc się pożegnać. Miała srebrną suknię bez ramiączek, która migotała przy każdym ruchu, upięte do góry włosy i umalowane jaskrawoczerwoną szminką usta. Położyła dłonie na ramionach Tommy'ego i pochyliła się, żeby go pocałować.

- Dobranoc, skarbie. Bądź grzeczny.

- Przyjdzie tam mnóstwo gwiazd?
- Tak sądzę.
- Ale ty będziesz najpiękniejsza. Zaśmiała się i pocałowała go jeszcze raz.
- Jesteś taki słodki. Ojej, umazałam cię szminką.
- Nie szkodzi. Baw się dobrze.
- Dobranoc, kochanie. Uwielbiam cię.
- Ja ciebie też.

Gdy trzasnęły drzwi, Tommy podszedł do okna. Czarna limuzyna czekała przy posągu konia, szofer w uniformie stał przy otwartych drzwiach. Dianę odwróciła się w stronę domu, jakby wiedziała, że Tommy za nią patrzy, i posłała mu całusa, a potem wsiadła do samochodu. Szofer zamknął drzwi, usiadł za kierownicą i auto wolno ruszyło. Szyby były przyciemnione, więc Tommy nie mógł dostrzec pasażerów, ale na wypadek gdyby wciąż się na niego patrzyli, pomachał jeszcze raz i stał przy oknie, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu.

Rozdział Jedenasty.

Dianę, widząc, jak działa na mężczyzn, zawsze miała mieszane uczucia. Dawno temu stwierdziła, że gdy popatrzy na faceta w określony sposób albo w szczególnej chwili odwzajemni jego spojrzenie znacząco intensywnie, może zawrócić mu w głowie i błyskawicznie przemienić go w drżące, uległe dziecko. Ta umiejętność nie należała do zawodowych sztuczek, których nauczyła się w szkole teatralnej w Londynie i później w teatrze repertuarowym, gdzie jednym susem przeskoczyła pierwsze stopnie kariery - role bezimiennych i niemych dam dworu czy dziewcząt w tłumie - i od razu obsadzono ją w roli mówionej. Zdolność przyciągania uwagi była najprawdopodobniej wrodzona, odziedziczona po jakimś odległym przodku, bo trudno sobie wyobrazić, że cecha ta przybrała u jej rodziców formę utajoną.

Minęło kilka lat, nim zrozumiała, jak przedstawia się sytuacja po drugiej stronie, a mianowicie, że heteroseksualni mężczyźni, choć z całą mocą zapewniają wyłącznie o chęci nawiązania przyjaźni, tak naprawdę mają na myśli seks. Posiadanie takiej

władzy sprawiało Dianę przyjemność, zakłóconą jedynie przykrym uczuciem rozczarowania, że faceci są beznadziejnie i przewidywalnie prymitywni.

Zdawała sobie sprawę, że osoby, które jakoby ją znają, nawet najbliżsi przyjaciele w Londynie, sądzą, iż skoro lubi flirtować i robić wrażenie na mężczyznach, to na pewno prowadzi rozwiązłe życie. Wcale tak nie było. Przez pięć lat po narodzinach Tommy'ego na samą myśl, że zrobiłaby z kimś to samo, co

zrobiła z Davidem Willisem wśród zmysłowo pachnących paproci na wzgórzach Malvern, odczuwała wstręt. Nie dlatego, że ów akt trudno było uznać za porywający ani że w jej pamięci zbyt mocno splótł się z późniejszymi przejściami. Chodziło raczej o poczucie powinności wobec Tommy'ego, które - mimo farsy przy współudziale rodziców odegranej ze strachu przed skandalem - nie pozwalało jej nawiązać tak bliskich kontaktów z mężczyzną, gdyż oznaczałoby to sprzeniewierzenie się macierzyńskim obowiązkom. Fakt, iż na dobrą sprawę scedowała te obowiązki na matkę, w żaden sposób nie zmieniał jej nastawienia.

Panowie zabiegający przez te lata o jej względy - przede wszystkim aktorzy, reżyserzy i producenci, choć również wielu spoza kręgu zawodowego - byli skonsternowani i zawiedzeni. Nie potrafili pojąć, dlaczego tak przychylna im Dianę Reed, gdy rozpoczyna się ostatni akt, wypada z roli. Ci zranieni biedacy (męską dumę w tych sprawach dość łatwo urazić, jak szybko odkryła ku własnemu rozbawieniu), po zainwestowaniu czasu, uczuć i najprawdopodobniej pieniędzy na kilka wystawnych kolacji, zarzucali jej potem, że jest kobietą oziębłą, pozbawioną serca albo - co niewątpliwie uznawali za największą obelgę - zwyczajną podpuszczalską.

155

Gdy wreszcie pozwoliła sobie jeszcze raz pójść z mężczyzną na całość, zrobiła to nie tyle porwana namiętnością, ile na skutek przypadkiem rozbudzonej na nowo ciekawości. Z przyjemnością stwierdziła, że rozczarowanie nie musi być częścią pakietu. Miłość chyba też nie. Pomyślała, że być może miłość, bez względu na jej zabarwienie, występuje w ilościach ograniczonych, każdy dostaje swój przydział i może obdarzyć nią kogokolwiek lub cokolwiek, wedle uznania.

Jeśli tak, Dianę przelała całą miłość na Tommy'ego. Gdy tylko mogła, jechała do domu, żeby go zobaczyć; telefonowała do niego, zanim nauczył się pierwszych słów. Gdy wyjeżdżała na tournée i występowała w jakimś odległym miasteczku na prowincji, po sobotnim przedstawieniu biegła na ostatni pociąg, żeby pobyć z Tommym choć jeden dzień.

Udawanie, że jest po prostu kochającą starszą siostrą, z każdym rokiem było coraz trudniejsze. Widząc, że matka jest znużona chłopcem, jakby opieka nad nim była wyłącznie ciężarem, Dianę czuła się paskudnie i miała coraz większe poczucie winy. Gdy ośmieliła się wysunąć choćby drobne zastrzeżenia, matka przypominała jej, kto wymyślił tę farsę. Zazwyczaj dorzucała jeszcze kilka złośliwości o beztroskim, wygodnickim, a pewnie i rozpustnym życiu, jakie ten układ pozwalał jej prowadzić.

Gdy okazało się, że Tommy wyrasta na niezwykle, choć trochę dziwne dziecko - co musiała przyznać nawet kochająca, aczkolwiek nieujawniająca się matka - jej poczucie winy tylko się pogłębiło. Słabości i dziwactwa chłopca - nocne moczenie, nieustająca fiksacja na punkcie kowbojów i Indian, pochlipywanie przez sen i budzenie się z krzykiem, częste mówienie głośno do siebie i do zdjęć przedstawiających Flinta McCullough,

156

zastraszanie w Ashlawn - to wszystko i nie tylko to przypisywała swojej nieobecności i pozwalającemu zachować twarz kłamstwu, w którym wzięła udział. I tak, stopniowo, zaczęło się to kłaść cieniem na jej sukcesach.

Oczywiście uwielbiała wzbudzać podziw - owacje na stojąco, entuzjastyczne recenzje, tłok przy wyjściu dla aktorów i trzask fleszy. Ale część niej stawiała z boku, przyglądając się temu niemal z drwiną. Martwiła ją ta skłonność do odcinania się od siebie, zwłaszcza że mogła się objawić na scenie. Gdy Igraszki losu podbijały Londyn i wydawało się, że cały świat nie mówi o niczym innym, Dianę łąpała się na tym, że w najbardziej dramatycznych fragmentach spektaklu uderza ją absurdalność całej sytuacji: przecież ci dorośli ludzie udają.

Co dziwne, nigdy nie miało to wpływu na jej grę. Ściszej mówiąc, nikt tego nie zauważał. A ona, naturalnie, nie śmiała nic nikomu powiedzieć, bo prawdziwe aktorstwo zaczynało polegać na tym, żeby być, a nie udawać. Stara szkoła naśladownictwa upadała. Giganci sceny - Gielgud, Redgrave, nawet Olivier - ze swoimi tytułami szlacheckimi, manieryzmami i wibrującą intonacją, byli wyszydzeni jako schorzałe dinozaury. Wszyscy młodzi reżyserzy i aktorzy mówili o Stanisławskim, Lee Strasbergu i o Metodzie, o tym, że gra tylko wtedy jest autentyczna, szczerza i sugestywna, gdy aktor sięga do własnych emocji utrwalonych w głębokich pokładach pamięci i wyczarowuje te emocje w sercu i umyśle postaci, w którą przyszło mu się wcielić.

Dianę zawsze robiła to równie dobrze jak inni aktorzy jej pokolenia. Emocje, które czerpała ze wspomnień, radosne czy bolesne, niezmiennie miały związek z Tommym. Wielu członkom zespołu trzeba było wpuszczać do oczu krople albo psikać

157

roztworem mentolu, żeby popłynęły łzy, natomiast Dianę umiała płakać na zawołanie: wystarczyło, że pomyślała o utraconym synu. Na początku kariery, gdy występowała w Igraszkach losu, wykorzystywała nawet udręki Tommy'ego w Ashlawn, nosiła w kieszeni jego najbardziej rozpaczliwy list i czytała za kulisami przed końcówką, tragiczną sceną. Teraz jednak, gdy zyskiwała rozgłos, myśl o wykorzystywaniu Tommy'ego do własnych celów przepełniała ją wstydem. Paradoks sytuacji, w jakiej się znalazła, niemal budził śmiech. Osiągnęła to, czego cały czas pragnęła: miała dziecko i robiła karierę. Ale jakoś tak się stało, że nie mogła w pełni cieszyć się ani jednym, ani drugim.

Rozwiązanie problemu dzięki miłości dobrego człowieka nie pojawiło się jak nagłe olśnienie - brak logiki byłby wtedy zbyt ewidentny. Przyszło raczej na skutek powolnego gromadzenia się myśli, dojrzewającego przekonania, że gdyby spotkała mężczyznę, którego mogłaby pokochać, a ten byłby gotów wziąć na siebie część odpowiedzialności, znalazłaby się w sytuacji umożliwiającej jej zrobienie właściwego kroku: odzyskałaby syna i tym samym, za jednym pociągnięciem, pozbyłaby się poczucia winy, a Tommy - udręki.

Nigdy nie potrafiła powiedzieć z całym przekonaniem, czy ujrawszy po raz pierwszy Raya Montane'a, odniosła wrażenie, że jest w nim coś, co tę chwilę przybliży.

Poznali się w czerwcu, podczas jej pierwszego pobytu w Hollywood, po sześciu miesiącach utrzymywania się Igraszek losu na afiszu w Londynie. Herb Kanter postanowił zrobić w Londynie zdjęcia próbne, które miały być czystą formalnością, jak powiedział. Szefostwo Paramountu i, co równie ważne, Gary Cooper, chcieli wyrobić sobie o niej zdanie.

158

W opinii Dianę zdjęcia poszły katastrofalnie. Nie była zupełną nowicjuską na planie. Występowała w paru krótkich filmach, bardzo angielskich, i kilku sztukach telewizyjnych, więc trochę wiedziała o różnicy między grą w teatrze i filmie,

o efekcie intymności, który stwarza kamera, o znaczeniu wyrazu oczu aktora i o tym, że mniej zawsze znaczy więcej. Ale gdy kręcono zdjęcia próbne, to wszystko jakby wyleciało jej z głowy.

W obskurnym kącie Elstree Studios Herb (ubrany tego dnia w błyszczącą marynarkę jeszcze bardziej przypominał lwa morskiego) przyglądał się zza okularów, jak Dianę odgrywa scenę ze scenariusza Bez skrupułów, partnerując młodemu aktorowi - niewątpliwie zatrudnionemu raczej ze względu na niską gażę niż talent - który zastępował Gary'ego Coopera. Zrobili siedem czy osiem powtórek, za każdym razem coraz gorszych i wywołujących u Dianę coraz większą złość na siebie. Po zakończeniu zdjęć zdobyła się na żart z tej sesji, a nawet została chwilę, by pogawędzić i wypalić papierosa. Ale gdy tylko wsiadła do taksówki i kazała kierowcy jechać do Paddington, załała się łzami i płakała przez całą drogę. Miała swoją wielką szansę i ją zmarnowała.

Dopiero później dowiedziała się, że Herb sprytnie kazał operatorowi kręcić dalej i że szefostwo wytwórni ostatecznie przekonało się do niej, zobaczywszy jej naturalny, przezabawny i autoironiczny występ po zakończeniu próby. Oglądając taśmę, Gary Cooper oświadczył podobno, że Dianę jest sensacją. Wszyscy chcieli ją poznać. Gdy skończyły się występy w londyńskim teatrze, zaraz kupiono jej bilet pierwszej klasy na samolot do Hollywood.

Wpadła w dwutygodniowy wir spotkań, przyjęć, lunchów i kolacji. Poznała kierowników i agentów, ludzi od reklamy

159

i dyrektorów studiów. Nie widziała się chyba tylko z Coopem, jak go powszechnie nazywano. Mieli zjeść razem lunch w stołówce wytwórni, ale został odwołany z powodów rodzinnych, nagłych i nie do uniknięcia. Coop przysłał uroczy, odręcznie napisany liścik, w którym przeprosił ją i powiedział, że nie może się doczekać, gdy zaczną razem pracować.

Dianę zaproponowano kontrakt na trzy filmy i na początek gażę w wysokości ośmuset dolarów tygodniowo, którą jej nowo zatrudniony agent z Los Angeles Harry Zucker - niski, elegancko ubrany pan z muszką i charakterystyczną gardenią w butonierce - zdołał podnieść do tysiąca dolarów. Dianę byłaby szczęśliwa, nawet gdyby pracowała za darmo. Aby to uczcić, na koniec jej pierwszego tygodnia w Hollywood Harry wydał dla niej przyjęcie w biurze agencji przy Sunset Boulevard. I tam pojawił się Ray Montane.

Nie był zaproszony. Tak się złożyło, że tego wieczoru odwiedził swojego agenta, a ten zabrał go na przyjęcie. Dianę zwróciła uwagę na Raya, gdy tylko stanął w drzwiach. Gdyby przyszedł w kowbojskim kapeluszu, zapewne by go rozpoznała, ponieważ starała się śledzić zainteresowania Tommy'ego telewizyjnymi westernami i znała większość jego ulubionych bohaterów seriali, także Reda McGrawa, z fotosów na ścianach pokoju chłopca. A tak zobaczyła jedynie wysokiego mężczyznę, szczupłego i opalonego, w rozpiętej czarnej marynarce ze skóry, w białej koszuli zapinanej na zatraski i czarnych dżinsach (jeszcze nie zdołała dostrzec kowbojskich butów robionych na miarę). Miał krótkie ciemne włosy, długie baczki i przystojną twarz o ostrych rysach - patrząc na nią, trudno było dokładnie

określić jego wiek. Przypuszczała, że ma ze trzydzieści pięć lat. Od razu dało się zauważyć, nawet z drugiego końca pokoju,

160

że to człowiek o silnej osobowości, swobodny i pewny siebie, a tacy mężczyźni zawsze jej się podobali.

Harry wygłosił krótką mowę, uroczą i zabawną. Powiedział, że jest przejęty i dumny, mogąc wraz z pracownikami agencji reprezentować nową młodą angielską gwiazdę pierwszej jasności, pannę Sensację (przezawisko już się przyjęło w branży), to znaczy Dianę Reed. Wzniósł toast na jej cześć i wszyscy zaczęli bić brawo, a Dianę podziękowała w kilku słowach, skromnie, acz z wdziękiem - w stylu Audrey Hepburn - i na koniec zorientowała się, że obdarza uśmiechem stojącego przy drzwiach mężczyznę i rzuca mu wymowne spojrzenie, z którego powodu „tysiąc okrętów” frustracji wypłynęło na morze w ojczystym kraju. Ray Montane odpowiedział uśmiechem i uniósł kieliszek w geście konfidencyjnego toastu, na co Dianę, ku własnemu zdumieniu, zarumieniła się, gdyż ostatni raz oblała się rumieńcem w wieku dwunastu lat.

Pod koniec następnego tygodnia, po serii długich i późnych kolacji w restauracjach *Ciro's* i *Romanof's*, spacerach plażą, tańcach w nocnym klubie *Mocambo*, po tym, jak jej pokój w hotelu *Beverly Wilshire* wypełnił się ofiarowywanymi przez Raya kwiatami i wyglądał jak szklarnia, najnowsza młoda angielska gwiazda pierwszej jasności uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy w życiu się zakochała.

Ray odznaczał się jakimś staroświeckim i nieodpartym wdziękiem kowboja, a jednocześnie był na czasie. Orientował się w najnowszych zespołach rockandrollowych, co więcej, utrzymywał kontakty towarzyskie z kilkoma muzykami. Znał nawet Jacka Kerquaca. Do tego był życzliwy, troskliwy, interesujący i przede wszystkim potrafił ją rozśmieszyć. Był również najbardziej pewnym siebie i sprawnym kochankiem, jakiego

161

miała. Gdy się kochali, przenikało ją niekiedy poczucie zagrożenia, które ku jej zaskoczeniu działało na nią podniecająco. Podczas jej ostatniego wieczoru w Hollywood, gdy siedzieli na tarasie w jego okazałym domu na wzgórzach, pod drzewem z lampkami choinkowymi, Ray poprosił ją, żeby za niego wyszła. A ona odmówiła.

- Czy to „nie” oznacza „nigdy”?

- Nie. Oznacza „nie teraz”.

Siedzieli obok siebie. Dianę wzięła jego dłoń w obie ręce i powiedziała, że chce mu wyjawić coś ważnego. I opowiedziała o Tommym. Słuchał, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Gdy na koniec - oczywiście zalana łzami - wyznała, że marzy o tym, by pewnego dnia, niedługo, być dla chłopca prawdziwą matką, otwarcie, na oczach całego świata, i zajmować się nim tak, jak powinna się zajmować przez te wszystkie lata, Ray ujął jej twarz w swoje duże ogorzone dłonie, scałował jej łzy i patrząc jej w oczy, zapytał z prostotą:

- Co cię powstrzymuje? Zróbmy to. Od razu. Powiedział jej, że był żonaty i się rozwiódł. Jego żona

Cheryl, aktorka, cierpiała na ostrą depresję. Chciał mieć dzieci, ale ona nie. Wyszła ponownie za mąż, znalazła dobrego psychiatrę i teraz mieszka w Oregonie i jest w miarę szczęśliwa. Przez dwa i pół miesiąca, które upłynęły od dnia, gdy Dianę oznajmiła Tommy'emu, że jest jego matką, Ray emanował siłą i spokojem. Przyleciał z Los Angeles i razem wynajęli dom na wsi niedaleko Pinewood Studios. W trójkę mieszkali tam jakby w stanie zawieszenia między szczęściem a niedolą, a jednocześnie odbywały się przygotowania do ich przeprowadzki do Kalifornii. Matka Dianę starała się jak najbardziej

162

utrudnić i uprzykrzyć im życie. Z pomocą drogich londyńskich prawników i dzięki uporczywym zabiegom dyplomatycznym Raya w końcu im się udało. Złożono oświadczenia, na których podstawie można było oficjalnie zmienić akt urodzenia Tommy'ego. Postarano się o paszport dla niego i o amerykańską wizę. Ray uparł się, że pokryje wszystkie koszty.

Decydujące znaczenie dla Diane miało to, że Ray umiejętnie postępował z Tommym, był cierpliwy, troskliwy i zabawny. Chłopiec, gdy już przezwyciężył nieśmiałość i otrząsnął się z szoku, jakim było zamieszkanie z jednym z jego ulubionych bohaterów seriali, zaczął rozkwitać. Gdy patrzyła z okna wiejskiego domu, jak żartują, śmieją się i ganiają po ogrodzie, serce niemal pękało jej ze wzruszenia, a oczy wypełniały się łzami. Za tym tęskniła. Stanowili prawdziwą rodzinę. Zawsze doszukując się w dobrym czegoś złego, zastanawiała się, czy nie postąpiła pochopnie, czy powodowana poczuciem winy i pragnieniem, by poprawić los Tommy'ego, nie związała się z tym mężczyzną za mocno i za szybko. Ale wszystko przemawiało za tym, że miała szczęście, spotykając tego człowieka.

Julian, jej agent w Londynie, został zarzucony propozycjami. Każdy angielski producent chciał ją zaangażować, ale Diane wszystkim odmawiała. Dopóki nie nadejdzie grudzień i nie zaczną się zdjęcia do Bez skrupułów, pragnęła grać tylko jedną rolę: być dla swojego syna dobrą matką w pełnym wymiarze godzin. Zaspokajać jego potrzeby, bawić się z nim, gotować mu, odprowadzać go do nowej szkoły i odbierać po południu, robić to wszystko, czego zabraniano jej przez te długie lata życia w kłamstwie.

163

Dwa tygodnie przed zaplanowanym wyjazdem Dianę i Tommy'ego Ray musiał wrócić do Los Angeles na jakieś spotkanie. Dianę tęskniła tak, że o mało się nie rozchorowała. Pierwszego wspólnego wieczoru, na tarasie domu na wzgórzach, gdy Los Angeles skrzyło się w dole jak morze obietnic, a Tommy spał w swojej nowej sypialni, Ray wręczył Dianę małe zamszowe pudełeczko. Pierścienek był zrobiony z różowego złota, na kwadratowym polu z brylantów znajdowały się szafiry tworzące splecione litery D&R. Pasował idealnie. Postanowili wziąć ślub w Boże Narodzenie.

Rozdział Dwunasty.

Dom Herba i Ellie Kanterów należał do tych, które budziły zawiść w sercach wszystkich gości, o ile nie byli ludźmi wyjątkowo wielkodusznymi lub krótkowidzami. Stał we wspaniałym miejscu, w zakolu skalistego wąwozu w Beverly Hills, z widokiem na gaje drzewek oliwnych i cytrynowych. Na czterech akrach posiadłości, zaprojektowanej przez słynnego toskańskiego architekta i pielęgnowanej przez armię ludzi w zielonych uniformach, znajdowały się lądowisko dla helikopterów, kort tenisowy i pole do krokieta oraz dwa domki dla gości, każdy z osobną łaźnią parową, basenem i dużą wanną do gorących kąpieli na świeżym powietrzu.

Salę bankietową w głównym budynku były przestronne i cudownie oświetlone, wyłożone płytami z polerowanego wapienia, zawieszono obrazami ze słynnej kolekcji Herba Kantera. Gauguiny i monety wisiły w salonie, cezanne'y i picassy w holu. Tylko prawnik i księgowy pana domu wiedzieli, że wszystkie te dzieła są doskonałymi kopiami, bo oryginały przechowywano w klimatyzowanym skarbcu o stalowych

165

ognioodpornych ścianach, w podziemiach wydrążonych w skale pod suteroną, gdzie znajdował się garaż.

Takie właśnie połączenie wyrafinowania i rozważliwej finansowej znamionowało przebieg kariery Herba. Jego filmy nie tylko odnosiły sukcesy kasowe, ale również prawie zawsze zgarniały furę Oscarów w różnych kategoriach - wszystkie statuetki, w tym trzy za najlepszy film, były skromnie umieszczone w zaciszu jego gabinetu (ale podświetlone, by nie umknęły uwadze). Herb miał opinię człowieka bezwzględniego i skąpego, a zarazem uczciwego na tyle, na ile można było być w tej branży.

Przed wszystkim Herb był ustosunkowany. Wraz z Ellie należał do hollywoodzkiego wewnętrznego kręgu skupionego wokół młodego i olśniewającego kandydata na prezydenta, Johna F. Kennedy'ego. Podczas konwencji demokratów w Los Angeles tego samego lata jedli kolację razem z Jackiem* i Jackie w sali numer jeden restauracji La Scala, gdzie później zainstalowano specjalny prezydencki telefon.

[* Jack jest zdrobnieniem imienia John].

Kiedy Jack i Bobby przylecieli helikopterem na lunch z Lawfordami do ich nadmorskiego domu, niegdyś własności Louisa B. Mayera, w Santa Monica, wśród wielu znakomitości byli tam również Herb i Ellie. Bywało, że gdy któryś z braci potrzebował cichego gniazdko na bardziej intymne spotkanie, Herb udostępniał mu dyskretnie jeden z domów gościnnych na terenie swojej posiadłości.

Zaproszenie na przyjęcie do Kanterów oznaczało zatem przekroczenie progu hollywoodzkich świętych miejsc i obracanie się wśród bogów i bogiń, którzy wieczerzali na zgromadzeniach

166

sław z listy A. Dianę Reed oczywiście nie trafiła jeszcze na żadną listę. Tymczasem miała w ręku tę najbardziej ekscytującą, choć niepewną kartę, umożliwiającą wejście na wszystkie możliwe pola, czyli potencjał.

Przez ostatnie kilka miesięcy Herb robił to, co lubił najbardziej: rozpuszczał wieści. Podczas kolacji w Bistro, koktajli w Polo Lounge, lunchu w Brown Derby i w stołówce Paramountu opowiadał tym, którzy niezawodnie rozgłoszą tę wiadomość, że odkrył nowy wielki talent.

Dianę Reed, mówił cicho i w zaufaniu, to druga Liz Taylor, podobna do Marilyn, ale bystrzejsza i trzeźwiejsza, podobna do Audrey Hepburn, ale z cyckami, na których widok cenzorzy z biura Haysa dostaliby zbiorowego ataku serca. Herb nie chciał robić za dużo szumu zbyt wcześnie, rozpowszechniał jedynie strzępy odpowiednich informacji w odpowiednich miejscach. I to już zaczynało działać. Nie dalej jak przed tygodniem te konkurujące królowe plotkarstwa w fabryce snów, Hedda Hopper i Louella Parsons, wspomniały o niej - również o Bez skrupułów, rzecz jasna - w swoich rubrykach.

Rozparty na kanapie luksusowej limuzyny, która przejechawszy przez bramę, sunęła krętym podjazdem do rezydencji Kanterów, Ray Montane wcale nie czuł się tak swobodnie, jak można by sądzić. Trzymał Dianę za rękę, ale oboje byli pogrążeni w myślach, ślizgając się wzrokiem po pochodniach świecących w gąszczu palm i krzewów po obu stronach drogi. Wyglądało to jak dekoracje do filmu o Tarzanie.

Ray ani trochę nie cieszył się, że idzie na to przyjęcie. Zazwyczaj nie zapraszano go na takie wytworne imprezy. Znalazł się tu tylko z powodu Dianę, co było oczywiste dla wszystkich gości. Choć udawał, że nie przejmuje się takimi

167

blahostkami, wiedział, że nie figuruje na liście A. W rzeczywistości ledwie trafił na listę B.

Tak czy owak, całe to gadanie o listach było bzdurą. Zdobył sławę, jaką nie mogła się poszczycić znaczna część tych nadętych palantów, którzy przybyli tu tego wieczoru. Sliprock miał większą widownię niż ich cholerne filmy razem wzięte. Wystarczyło, że Ray przeszedłby się jakąkolwiek ulicą w jakimkolwiek mieście w Ameryce, a byłby oblegany. Zaledwie przed trzema tygodniami na otwarciu supermarketu we Fresno pojawiło się prawie tysiąc osób, które chciały zobaczyć, jak przecina wstęgę. Wielu z tych tak zwanych gwiazdorów nikt by nie rozpoznał, nawet gdyby mieli nazwiska wymalowane na czołach. Poza tym wiadomo, że kina wpadły w tarapaty. Telewizja zepchnęła wytwórnie na równię pochyłą. Już nie wiedziały, jak się ratować. Wyrzucały coraz więcej pieniędzy na każdy kolejny film, a te robiły coraz większą klapę. Szerokie ekrany, cinerama, filmy w 3D, jasna cholera, w desperacji zaczęto kręcić nawet filmy z zapachami. Niemniej jednak, gdy nie zalewała go żółć, wiedział, że telewizja była i zawsze będzie ubogim krewnym. W Hollywood tak naprawdę liczy się wyłącznie długi metraż.

Nie można powiedzieć, że Ray nie miał szansy. Zrobił z tuzin filmów, albo i więcej, ale żaden nie odniósł sukcesu. To wszystko były produkcje klasy B, które dzieciarnia oglądała w sobotnie popołudnia w kinach sieci Hitching Post. Ze sto razy mówił Enid, swojej agentce, że nie chce już grać kowbojów, że ma mu szukać ról w filmach innego gatunku, współczesnych, w jakich występują Brando albo Jimmy Dean. Na miłość boską, przecież on też jest obdarzony taką jak oni posępną charyzmą. Doskonale wypada przed kamerą. Do niczego jednak nie doszło. To samo równie często powtarzał szefostwu Warnera, a oni

168

mówili: „Jasne, Ray, doskonały pomysł. Poszukamy czegoś”. Wciskali kit. Zależało im tylko na jeszcze jednej kilkumiesięcznej serii Sliprock.

Przed paroma laty niewiele brakowało, aby mu się powiodło i dołączyłby do facetów, którzy zawsze grali u Jacka Forda, tworząc tak zwaną stałą ekipę w składzie: John „Duke” Wayne, Ward Bond, Ben Johnson i Dobę Carey. Ray znał tę paczkę, czasem się z nimi upijał i był równie dobrym aktorem jak oni - no, może nie dorównywał Duke'owi, ale na pewno dorównywał pozostałym, nawet był lepszy.

Ford szukał wtedy obsady do Konnicy i przesłał wiadomość, żeby Ray wpadł do jego biura. Zdaniem Enid sprawa była załatwiona. Ray uważał, że spotkanie przebiegło całkiem dobrze, ale gość nie zadzwonił. Potem Ray dowiedział się pocztą pantoflową, że Fordowi nie spodobała się jego postawa, zadzieranie nosa czy coś takiego. Gdy spotkali się ponownie, Ray potraktował tego naburmuszonego zgreba jak powietrze. Film i tak był gówniany, więc może i dobrze, że się w to nie wmieszał.

Cień tych kwaśnych myśli zapewne przemknął przez jego twarz, ponieważ Dianę ścisnęła go za rękę, uważnie mu się przyglądając. Uznał, że musi wziąć się w garść, bo inaczej zepsuje jej ten wielki wieczór. Byli już prawie na miejscu, auto zajeżdżało przed marmurowy portyk przypominający grecką świątynię z jakiegoś planu filmowego. Chłopcy w kamizelkach w czerwono żółte pasy śmigali niczym wiewiórki, otwierając drzwi, i natychmiast odprowadzali samochody. Ray uśmiechnął się do Dianę, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Wyglądała tak cholernie seksownie, że z trudem trzymał ręce przy sobie. Nigdy dotąd nie miał takiej cudownej dupy. Powinien dziękować Bogu.

169

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Nabijasz się ze mnie?

- O czym myślałeś?

Chłopcy już otworzyli tylne drzwi z obu stron.

- O tym, że jestem największym szczęściarzem na ziemi. Pochylił się i pocałował ją lekko w usta.

- Powal ich na kolana, mała.

Pewnie miało to związek z lejącym się strumieniami szampanem, bo Dianę czuła się tak, jakby tego wieczoru nie obowiązywało prawo grawitacji i jakby unosiła się nad podłogą, płynąc przez pokoje z nieschodzącym z ust uśmiechem ledwo skrywanej ekstazy.

Jeszcze nigdy nie widziała tylu znanych twarzy w jednym miejscu. Herb przedstawił ją niemal wszystkim znakomitościom. Podczas kolacji podanej na tarasie, który oświetlały pochodnie i owiewał zapach jaśminu napływający znad koron drzew, siedziała między Billym Wilderem a Davidem Selznickiem. Rayowi, któremu przydzielono miejsce po przeciwnej stronie stołu, też powiodło się nie najgorzej - po bokach miał Jennifer Jones i Merle Oberon. Byli tam również William Holden, Natalie Wood i John Huston. Wpadł nawet Frank Sinatra, ale z powodu innych zobowiązań nie mógł zostać na kolacji. Gdy Herb przedstawiał ją Sinatrze, ten przytrzymał jej dłoń, wbił w nią niebieskie oczy i powiedział, że dużo o niej słyszał. Niewątpliwie kłamał, ale Dianę się tym nie przejmowała. Na

przyjęciu zabrakło jedynie Gary'ego Coopera, którego jeszcze nie miała okazji poznać. Przebywał w Anglii, gdzie kręcił film z Deborah Kerr zatytułowany Nagie ostrze.

170

Byli tam też inni ludzie, mniej znani, ale dużo ważniejsi, grube ryby z agencji, jak na przykład Lew Wasserman z Music Corporation of America, najbardziej wpływowy człowiek w Hollywood, jak się wyraził Herb. Podczas rozmowy z nim Dianę zauważyła, że w pobliżu kręci się nerwowo drogi Harry Zucker, udając, że wcale nie podsłuchuje.

Po kolacji Connie Francis zaśpiewała kilka piosenek, stojąc przy białym fortepianie, który wytoczono na zewnątrz i ustawiono przy basenie z tysiącami białych i złotych baloników pływających na wodzie. Potem były tańce. Dianę twistowała z Billem Holdenem i pod koniec piosenki zaczęła się tak śmiać, że o mało nie wpadła do basenu, ale partner otoczył ją ramieniem i zaprowadził do baru. Ray stał przy barze sam, trzymając w ręku szklankę z czystym burbonem. Nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Dianę przedstawiła go Billowi Holdenowi i panowie uścisnęli sobie dłonie. Ray nawet nie zdobył się na uśmiech, a Holden szybko wyczuł sprawę i się oddalił.

- Dobrze się bawisz? - spytała Dianę. Ray wzruszył ramionami.

- Jasne. Ciebie nawet nie trzeba pytać.

- Nigdy w życiu tak się nie bawiłam.

- Świetnie.

Ich rozmowę przerwał Herb, przyprowadzając młodego pisarza, który nazywał się Steve Shelby i podobno nie mógł się doczekać, kiedy pozna Raya. Shelby miał grzywę potarganych kręconych włosów i wyglądał na czternastolatka.

- To dla mnie zaszczyt - powiedział, ściskając dłoń Raya. - Jestem pana wielkim fanem.

Pierwszy raz od początku przyjęcia Dianę zobaczyła uśmiech

171

na twarzy Raya. Gdy panowie wdali się w rozmowę, Herb odciągnął ją na bok.

- Nie wiedziałem, że masz syna - szepnął.

- Ma na imię Tommy. Jest światłem mojego życia.

- Wspaniale. Ile ma lat?

- Dziewięć.

- Staraliśmy się o chłopca, ale po trzech dziewczynkach zrezygnowaliśmy.

- Założę się, że nie oddałbyś ich za żadne skarby świata.

- Masz stuprocentową rację.

Przez chwilę milczeli. Orkiestra grała jedną z ulubionych piosenek Tommy'ego, o Biegnącym Niedźwiedziu i Małej Białej Gołębiczy*.

[* Piosenka Running Bear (Biegnący Niedźwiedź) była popularna w Stanach Zjednoczonych na początku 1960 roku. Opowiada o nieszczęśliwej miłości młodego indiańskiego wojownika (Biegnący Niedźwiedź) i młodej Indianki (Mała Biała Gołębica), którzy pochodzą z dwóch wojujących ze sobą plemion].

- A zatem, Dianę, przepraszam za to pytanie, jesteś rozwiedziona czy...

- O nie. Nie wyszłam za męża. Tommy... no cóż, byłam bardzo młoda.

- Rozumiem.

Wolnym krokiem podeszli do balustrady. Nagle powiał wiatr, szczyty drzew zakołysały się i zaszeleściły w ciemnym dole wąwozu. Dianę wstrząsnął dreszcz.

- Wiesz, Dianę, to takie dziwne miasto. Można by sądzić, że toczy się tu nowoczesne swobodne życie, że wszystko wolno. Ale jest też ciemna strona medalu. Ludzie gadają i podchwytyją, to ci, którzy żyją z plotek. Bywa, że wytwórnicy stają się nieco... hmm... drażliwi w pewnych kwestiach.

172

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

- Wybacz, że pytam... Ale czy ty i Ray zamierzacie się pobrać?

Dianę pokazała mu pierścionek i wtedy Herb się uśmiechnął.

- Chcemy wziąć ślub w Boże Narodzenie.

- Moje gratulacje. Cieszę się z waszego szczęścia... i Tommy'ego. Mimo wszystko chciałbym ci kogoś przedstawić, dobrze?

Ray wciąż rozmawiał z poważnym młodym pisarzem, co najwyraźniej poprawiło mu nastrój. Dianę, wzięwszy Herba pod ramię, przeszła dokoła basenu, między grupkami gości, w kierunku szerokich kamiennych schodów prowadzących do domu. Herb tymczasem wyjaśnił, że chce ją poznać z Vernonem Drewe'em, adwokatem i zarazem najlepszym gościem w Los Angeles od kreowania wizerunku.

Znaleźli go przy jednym z gauguinów w długim salonie, w towarzystwie żony Herba. Był wysokim eleganckim mężczyzną, prawdopodobnie tuż po pięćdziesiątce, i mówił tak cicho, że trzeba było się pochylić, żeby go usłyszeć. Wyrzucił radość ze spotkania z Dianą, pogawędził z nią chwilę i na koniec powiedział, że chętnie służy jej pomocą, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dianę miała wrażenie, że Herb zdążył mu dużo o niej opowiedzieć, wszystko z nim omówił i załatwił. Dostała od Vernona wizytówkę i obiecała zadzwonić.

Wyszli niedługo po północy i wsiedli do limuzyny wyprowadzonej z ciemności przez chłopców w pasiastych kamizelkach. Ray od razu zaczął jej opowiadać o Stevie Shelbym i o scenariuszu z główną rolą przeznaczoną właśnie dla niego.

173

Było to coś w rodzaju współczesnego westernu, trochę jak Skłócenie z życiem, do którego Gable i Marilyn właśnie skończyli zdjęcia. Steve niewątpliwie odniesie sukces, mówił Ray. Gość miał wystać mu rano scenariusz.

- Wspaniale - powiedziała Dianę.
- No cóż, zobaczymy.
- Nie mów tak. Przecież to wspaniała wiadomość. Objął ją, a ona przytuliła się do niego.
- Przepraszam, że byłem trochę... boja wiem... nie w humorze.
- Miałeś minę jak na pogrzebie.

Roześmiał się. Mało brakowało, a powiedziałby jej prawdę - że był zazdrosny jak diabli, widząc, jak ona bawi się z innym facetem. Na dodatek z tym Billem Holdenem, kobieciarzem, jakich mało. Czegoś takiego Ray jeszcze nie przeżył. Do licha, dotąd to one zawsze były zazdrosne o niego. I zawsze kończyło się tak samo: wielką awanturą z wrzaskami, strumieniami łez i najczęściej jednym czy dwoma szturchańcami, gdy jakaś nowa dziewczyna wpadła mu w oko i za bardzo się nią zainteresował.

Dianę była inna. Choć minęły cztery miesiące, nie pamiętał chwili, by nie chciał jej pieprzyć. A ona najwyraźniej też tego chciała. Zupełnie jakby ich oboje dotknęło jakieś chorobliwe pożądanie. Na myśl, że robi to z nią inny mężczyzna albo choćby coś takiego przemyka mu przez głowę, wzbierały w Rayu mroczne uczucia.

Pocałował ją w szyję i poczuł bijące od niej ciepło oraz zmieszaną z perfumami woń spoconego po tańcach ciała. Takiego zapachu nie można kupić za żadne pieniądze, uderza mężczyznę prosto w łędźwie. Dianę to wyczuła i dokładnie w tym miejscu położyła rękę. Boże, zlituj się.

174

Dolores oglądała telewizję w salonie, gdy Dianę zapytała ją przyjaznym tonem, czy u Tommy'ego wszystko w porządku. „Oczywiście”, odpowiedziała dziewczyna, nawet się nie uśmiechnąwszy, jakby to pytanie zawierało jakąś krytykę. Ray domyślił się, że biedaczka wciąż ma do niego słabość i krzywo patrzy na Dianę. Doszło do tego, że musiał zwrócić dziewczynie uwagę, żeby była miłsza. Po raz kolejny wyrzucał sobie, że za bardzo szafował uczuciami. Ale ostatecznie pieprzył się z nią tylko trzy albo cztery razy. Dlaczego, u licha, kobiety traktują te sprawy tak poważnie? Przeszła koło niego do wyjścia, obrzucając go ukradkowym spojrzeniem tych swoich wielkich smutnych oczu. Chyba trzeba będzie się jej pozbyć.

Rozpiął suwak sukni Dianę, gdy wchodziła przed nim na schody. Przystanąła i oparła się o niego plecami, a wtedy on wsunął dłonie pod suknię i objął jej piersi. Odwróciła głowę i go pocałowała.

- Tylko zajrzę do Tommy'ego - szepnęła.

Ray poszedł do sypialni, rzucił marynarkę i koszulę na oparcie krzesła i udał się do łazienki. Patrząc w lustro, stwierdził, że widok nie jest przyjemny. Kontury twarzy zamazywały się od nadmiaru whisky i od jointa, którego wypalił przy polu krokietowym Kanterów. Zgasił światło, wrócił do pokoju i siedząc na łóżku, zdjął buty. Świece, lubi świece. Zaczął szukać zapalek w szufladzie szafki nocnej, odsuwając na bok torebkę z trawką oraz smitha & wessona o krótkiej lufie kalibru 38. Dianę ciągle narzekała, że trzyma tu i jedno, i drugie.

Zapalił świece na obu szafkach i opadł na łóżko. Leżał na plecach - oddychając głęboko, z zamkniętymi oczami - i zmagał się z alkoholem, od którego wirowało mu w głowie. Gdzież ona się podziewa, do diabła? Na schodach kutas stał

175

mu jak drąg, ale zaczynał już więdnąć. A niech tam. Życie nie kończy się dzisiaj. Pomyślał o tych miłych słowach, jakie usłyszał od młodego pisarza. Wreszcie ktoś go rozumie i zdaje sobie sprawę, jak daleko Ray może zajść przy pierwszej sprzyjającej okazji. Gość niewątpliwie zna się na rzeczy. Skończył Uniwersytet Stanforda, psiakrew, wiedział wszystko o kinie francuskim i tych wymyślnych filmach artystycznych. A królowa balu, którą pożerał wzrokiem każdy facet na tym bankiecie, zostanie jego żoną. Jasny gwint, ale z nich będzie para. Burton i Taylor. Bogart i Bacall. Montane i Reed. Jeszcze pokaże tym draniom. Jeszcze się zdziwią.

Rozdział Trzynasty.

Tom zauważył kota kilka sekund przed Makwi. Szli przez las i nagle się na niego natknęli: siedział na drzewie, które zważyło się na pobocze szlaku biegnącego pod górę. Wśród plam światła i cienia Tomowi wydawało się w pierwszej chwili, że to wiewiórka, ale zaraz dostrzegł obrózkę i błysk metalowego identyfikatora. W tym samym momencie Makwi wyczuła zapach i wystrzeliła jak rakietą. Tom wołał ją, ale bezskutecznie. Zadziałał instynkt i zwierzę było głuche na wszystko.

Tom nigdy nie darzył kotów szczególną sympatią. Obejrzał w telewizji wystarczająco dużo filmów przyrodniczych, by wiedzieć, że domowy buras różni się od tygrysa jedynie wielkością. Ten drugi jest dostatecznie duży, żeby zabić człowieka, natomiast ten pierwszy nie jest taki duży, ale też by to zrobił, gdyby mógł. Widać w jego oczach, że traktuje człowieka jak ofiarę, i tyle. Gdyby ten kot był mądrzejszy, miałby jakąś szansę. Ale za długo zwlekał, pochylając łeb i strosząc ogon, a gdy się zorientował, o co chodzi, i zeskoczył z drzewa, właściwie było już po sprawie. Na szczęście Tom nie widział

177

jego końca. Rzucił się za zwierzętami przez krzaki, wrzeszczał, potykał się i raz upadł tak, że nie mógł przez chwilę oddychać. Znalazł oboje przy potoku - Makwi stała nad swoją zdobyczą z nieśmiałą dumą.

- A niech to szlag, Makwi, nie widziałaś obroży? Obroża oznacza „nie wolno”, jasne?

To nie był zwykły stary kot, należał do którejś z tych wymyślnych ras, syjamskiej albo birmańskiej, coś w tym rodzaju, i niewątpliwie kosztował małą fortunę. Tom podniósł go z ziemi. Na futrze nie pojawiła się ani kropla krwi. Makwi po prostu przetręła mu kark. Na identyfikatorze zobaczył wyryte nazwisko O'Keefe i numer telefonu. Gdy niósł kota do domu, czuł, jak odpływa z niego ciepło. Skruszona Makwi szła przy nodze.

Nikt nie podnosił słuchawki i po chwili odezwała się automatyczna sekretarka. Tom uważał, że najlepiej nie owijać w bawełnę. Zachowując odpowiedni, jak sądził, ton głosu, powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale jego pies zabił w lesie kota, który miał na obróżce ten numer telefonu. Zostawivszy swoje nazwisko i telefon, odłożył słuchawkę. Spojrzał na ciało leżące na kuchennym stole, nie wiedząc, co, u licha, ma z nim zrobić.

Następnego dnia z samego rana leciał do Kalifornii. Domem i Makwi miała się zająć jego przyjaciółka Liz, więc odbierze telefon, gdyby właściciel kota nie zadzwonił jeszcze tego wieczoru. Zastanawiał się, czy w taki upał nie powinien trzymać zwłok w lodówce, ale z drugiej strony właściciel mógłby być niezadowolony, dostając sztywnego, zamrożonego ulubieńca.

Tom wyjął pocztówki ze starego pudełka po butach, wyścielił dno małym ręcznikiem i włożył kota. Przez chwilę nie odrywał od niego wzroku. Zwierzę miało przechylony łeb podparty czerwonym ręcznikiem i emanowało jakimś komicznym dostojeństwem,

178

niczym zabalsamowany koci faraon. Przykrył pudełko wieczkiem i poszedł wziąć prysznic.

Leciał do Kalifornii zobaczyć się z Dannym. Nie znaczy to, że syn poprosił go o odwiedziny czy choć trochę się z nich ucieszył. Ale przynajmniej się nie sprzeciwił. Gina wreszcie dała Tomowi telefon do niego i wieczorem, dwa dni temu, po wielu godzinach zbierania się na odwagę i zastanawiania się, co powiedzieć, Tom wybrał numer. Wymienili kilka sztywnych zdań, ledwie zasługujących na miano rozmowy. Danny mówił raczej powściągliwie niż wrogo, ale Tom czuł się jak akwizytor telefoniczny. Potem uzmysłowił sobie, że właściwie zachowywał się jak ktoś taki - zachwalał pojednanie człowiekowi, który miał na głowie ważniejsze sprawy.

Planując rozmowę z synem, uznał, że lepiej nie okazywać, jak bardzo mu zależy. Powiedział, że ma kilka spotkań w Los Angeles, co nie było prawdą, i tak czy owak wynajmie samochód, wobec tego może przyjechać do leżącego przecież nieopodal Camp Pendleton. Może zjedzą razem lunch albo coś w tym rodzaju? Wyszło nie tak - jakby nie zamierzał odbyć tej podróży tylko po to, żeby zobaczyć się z synem, i jakby przykładał do tego spotkania niewielką wagę.

- Lunch? A dlaczego?

- Albo coś takiego, boja wiem? Bardzo chcę cię zobaczyć. Tęsknię za tobą.

Zapadła długa cisza. Tom słyszał, jak Danny nabiera powietrza.

- Postuchaj, nie wiem, czy to dobry pomysł...

- Danny, proszę cię.

Potem był przekonany, że syn zadzwoni i odwoła spotkanie. A raczej zrobi to za pośrednictwem Giny. Ale gdy do niego zadzwoniła,

179

nie przekazała mu takiej wiadomości, lecz poprosiła, żeby postępował łagodnie, nie robił Danny'emu wykładu ani go nie krytykował.

- Gina, czy ty naprawdę masz mnie za głupca?
- Nie, skądże, przepraszam. Ale on jest teraz bardzo drażliwy.
- Naprawdę? Dziękuję, że mnie poinformowałaś.
- Nie bądź taki, Tom. Dali mu pracę za biurkiem, i to doprowadza go do szału, podobnie jak prawnicy.

Tom już miał znowu poruszyć kwestię wynajęcia niezależnego prawnika, ale się rozmyślił. Porozmawia o tym bezpośrednio z synem.

Jedząc kolację, obejrzał Wiadomości. Nie wspomnieli o Danny'm. Od kilku dni nic nie mówiono o tej sprawie, tylko klepano jak zwykle o zamachach samobójczych, wybuchach min pułapek, o przypadkowej śmierci i zrujnowanym życiu anonimowych ludzi. Już miał położyć się spać, gdy zadzwonił telefon.

- Rozmawiam z Tomem Bedfordem? Kobięcy głos zabrzmiał znajomo.
- Tak.
- Tu Karen O'Keefe. Nazwisko nic mu nie mówiło.
- Hm... - bąknął.
- Poznaliśmy się na promocji książki twojego przyjaciela Troopa.

Przypomniał sobie tę kobietę. Jej telefon nawet mu pochlebił i przyprawił go o dreszcz ekscytacji.

- Przepraszam. Oczywiście. Co u ciebie?
- Świetnie. Twój pies dopiero co zabił mojego kota. Nie sprawiała wrażenia przygnębionej, była raczej zaintrygowana, że to on jest właścicielem zabójcy. Wyjaśniła, że tak

180

naprawdę kot należy do jej matki, która mieszka po drugiej stronie wzgórza. Ona spędza u mamy lato.

- Gdzie jest ciało?
- W pudełku na stole kuchennym.
- Przyjadę po nie.
- Jak to? Teraz?

- Pasuje ci?

Podał jej adres i wskazówki, jak trafić. Następnie udał się do sypialni, włożył elegantszą koszulę i obejrzał się w lustrze. Po dwudziestu minutach podjazd zalały światła reflektorów.

Wyszedł przed dom, uściśli sobie ręce, po czym zaprowadził ją do kuchni. Zapomniał już o jej uderzającej urodzie. Gęste włosy jak na obrazach prerafaelitów, zielone oczy i te piegi jakby rozświetlające twarz. Miała na sobie krótką czerwoną spódniczkę i obcięty różowy podkoszulek, który nie sięgał pępka. Przyłapała go, jak rzucił ukradkowe spojrzenie. Makwi powitała ją nazbyt poufale, wsadzając mokry nos pod jej spódniczkę. Tom odciągnął psa.

- To ten morderca, zgadza się?

- Ano tak.

Zdjął wieczko pudełka i cofnął się o krok, robiąc jej miejsce. W milczeniu patrzyli przez chwilę na kota.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Kiwnęła głową i wtedy zadrżały jej ramiona. Zastanawiał się, czy ma ją objąć na pocieszenie, czy nie. Nagle dotarło do niego, że ona nie płacze, lecz się śmieje. Zastoniła dłonią usta, ale nie mogła się powstrzymać. Nie wiedział, jak się zachować.

- Przepraszam. To nieładnie z mojej strony. Opanowała się i zrobiła stosownie zatroskaną minę, ale po

chwili znowu parsknęła śmiechem tak zaraźliwym i dziwnym,

181

że Tom też nie mógł się powstrzymać. Potem zaczęła kastać, więc podał jej szklankę wody z kranu. Dopiero po kilku łykach i kolejnych wybuchach śmiechu zdołała ochłonąć.

- Zazwyczaj nie jestem taka nieczuła - powiedziała. - Wszystko przez ten czerwony ręcznik. Zwierzak wygląda majestatycznie, jak Lenin czy Mao. Szczerze mówiąc, wolę psy niż koty.

- Jak miał na imię?

- Maurice.

To znowu ją rozśmieszyło, ale szybko się pohamowała i upiła łyk wody.

- Masz coś ciut mocniejszego?

Zawsze trzymał w szafce kilka butelek wina, wyłącznie dla gości. Czuł się silniejszy, wiedząc, że ma w domu alkohol i nie nachodzi go pokusa. Karen wybrała pinot noir. Nalał jej kieliszek wina, a sobie szklankę wody. Tymczasem Karen zamknęła pudełko z Maurice'em, mówiąc, że to, co się stało, jest w istocie wybawieniem z kłopotów. Jej matka, którą na początku roku porzucił przyjaciel, zamierzała dokonać poważnych zmian w swoim życiu, a to wiązało się z przeprowadzką do Francji. Nie wiedziała tylko, co zrobić z kotem. Teraz nie będzie miała wymówki, oświadczyła Karen.

Usiedli na tarasie, który wychodził na potok. Tom zapalił świece w słoiczkach stojących na balustradzie i przez ponad godzinę rozmawiali. O jej rodzicach, pracy, zajęciach w ostatnim czasie. Zauważył, że w ogóle nie napomknęła o swojej sympatii. Wspomniała za to o jego artykule dotyczącym Misji Świętej Rodziny, który z przejęciem przeczytała w „Missoulia”.

- Wiem, że już podejmowałeś ten temat w serialu telewizyjnym - powiedziała - ale uważam, że można o tym zrobić wspaniały osobny film.

182

- Tak myślisz?

- Zdecydowanie.

- Mam dużo niewykorzystanych materiałów na taśmach. Może powinniśmy go zrobić.

- Bardzo bym chciała.

Powiedział, że zadzwoni do niej po powrocie z Los Angeles. Nie wspomniał o Danny'm ani o prawdziwym celu tej podróży. Uznał, że wyrze na niej większe wrażenie, mówiąc tę samą nieprawdę, co Danny'emu - że ma tam kilka spotkań. Nie dodał nic więcej, tylko pozwolił jej sądzić, że chodzi o jakieś kontrakty filmowe i pogaduszki z hollywoodzkimi ważniakami. Było to tak żałosne, że słysząc własne słowa, aż się skręcał w środku. Myślał o niej, gdy leżał w łóżku tego wieczoru i następnego dnia w samolocie do Los Angeles. Idiotyzm, oczywiście - dzieli ich taka różnica wieku, że mógłby być jej ojcem.

Danny poinformował go - jak zwykle za pośrednictwem Giny - że nie chce spotkać się w bazie. Zaproponował restaurację Fisherman's w San Clemente. Samolot wylądował przed czasem i choć na autostradzie międzystanowej numer pięć był duży ruch, Tom przyjechał pół godziny za wcześnie. Restaurację postawiono na palach przy plaży. Na otwartym drewnianym tarasie znajdowały się stoliki pod niebieskimi parasolami. Z tyłu rosły palmy, a z przodu ciągnęło się molo wchodzące do wody. Ocean był gładki jak tafla szkła, zasnuty lekką różowawą mgłą.

Tom poszedł na molo. W górze krążyły z piskiem mewy. Koło sklepu z przynętami grupka chłopców o brązowych ciałach pokrytych warstewką soli łowiła ryby, przekładając wędki przez

183

barierkę. Zachowywali się hałaśliwie, czym denerwowali kilku starych rybaków, którym tego dnia nie dopisywało szczęście. Jeden z chłopców wyciągnął dużą srebrną rybę podobną do tuńczyka i pozostali, krzycząc, starali się ją przytrzymać, by kolega mógł wyjąć haczyk. Potem któryś wbił nóż w łeb ryby. Przez chwilę rzucała się na boki, nim wreszcie znieruchomiła w coraz większej kałuży lśniącej szkarłatnej krwi. Jeden z chłopców umoczył rękę w krwi i odcisnął dłoń na plecach drugiego, który popędził za nim z wrzaskiem.

Gdy Tom wszedł do restauracji, Danny już siedział przy stoliku w odległym rogu tarasu. Tom spodziewał się, że syn będzie w mundurze, ale miał na sobie dżinsy, białą koszulę z krótkimi rękawami i duże okulary przeciwsłoneczne. Na widok ojca wstał i czekał, nie podchodząc do niego na powitanie. Tom zdjął okulary, Danny nie.

- Cześć, Danny!

- Cześć.

Zgodnie z ułożonym wcześniej planem Tom zamierzał objąć syna, ale zorientował się po mowie jego ciała, że to chyba nie jest dobry pomysł, więc wyciągnął rękę, którą Danny uściśnął z przelotnym, niemal oficjalnym uśmiechem.

- Przepraszam, przyjechałem wcześniej i spacerowałem po...

- Tak, widziałem.

Miał ogoloną głowę. Skóra wyglądała tak, jakby nie dotknął jej promień słońca. Danny był chudy jak nigdy dotąd. Na przedramieniu miał wytatuowane godło Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Widząc, że Tom zauważył tatuaż, lekko wzruszył ramionami i jakby się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Na stoliku stała przed nim szklanka z mrożoną herbatą. Tom przywołał kelnera i zamówił to samo.

184

- Co nowego? - zapytał, opierając się plecami o krzesło i udając rozluźnionego.

Głupio zaczął i zasłużył na ironiczną odpowiedź.

- Nowego? Niech pomyślę...

- Przepraszam, Danny...

- Mógłbyś tak mnie nie nazywać?

- Dan, przepraszam. Mama mi mówiła.

To nie był rewelacyjny początek. Tom chciał poprosić go, by zdjął okulary, żeby przynajmniej mogli spojrzeć sobie w oczy. I tak wystarczająco dużo ich dzieli. Czuł jednak, że nie ma do tego prawa. Nie ma żadnych praw, jeśli o to chodzi.

- Co słychać u Kelly?

- Wszystko dobrze. Była tu w zeszłym tygodniu.

- Słyszałem. Zdaje się, że wspinała z niej dziewczyna.

- Rzeczywiście.

- Chętnie bym ją poznał.

- Hmm.

Na chwilę zapadła cisza. Tom posmutniał. Na molo jakaś stara kobieta rzucała okruchy wrzaskliwym mewom.

- Jak się udały spotkania?

Ton pytania graniczył z sarkazmem, ale Tom nie wiedział, co Danny ma na myśli.

- W Los Angeles. Mówiłeś, że wybierasz się na jakieś spotkania.

- A tak. Wszystko w porządku. Dziękuję.

- Wspaniale.

Tom przełknął ślinę. Teraz uważał, że to kłamstwo było głupie. Pragnął wyjawić prawdę, przyznać się, że nie było żadnych spotkań, ale coś go powstrzymywało. Pochylił się do przodu.

- Chciałem ci powiedzieć, synu, jak mi przykro z powodu tego, co zaszło między nami. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. I nie zastanawiał się, jak naprawić nasze stosunki.

Danny obrócił się lekko i spojrzał w bok. Tom zobaczył naprężone mięśnie jego szyi. Wydawało się, że chłopak jest na skraju wytrzymałości psychicznej i wystarczy byle powód, by wybuchnął albo rzucił się na kogoś. Kelnerka przyniosła mrożoną herbatę oraz dwie karty dań i zaczęła wymieniać specjalności lokalu takim tonem, jakby była na przesłuchaniu do roli w sitcomie. W pewnej chwili Tom miał wrażenie, że dziewczyna zaraz zrobi piruet. Danny zamówił homara z grilla, a Tom, nie chcąc się zastanawiać nad wyborem, poprosił o to samo. Po odejściu kelnerki podjął temat. Cichym, wyważonym, jak sądził, tonem, powiedział, że bardzo żałuje słów, które padły w trakcie ich ostatniego spotkania, kiedy Danny poinformował go o swoim zamiarze wstąpienia do wojska. Że nie miał prawa go oceniać i powinien być po prostu zaofiarować wsparcie.

Danny w ogóle się nie odzywał, tylko siedział schowany za okularami jak ksiądz za kratą konfesjonatu podczas spowiedzi. Słuchał z zaciśniętymi ustami i kamienną twarzą. Tom czuł, że ogarnia go desperacja, i chcąc wywołać jakąś reakcję, jakkolwiek, mówił dalej:

- W rzeczywistości, synu, byłem zazdrosny. Ciągle byłem zazdrosny.

- Zazdrosny? Z jakiego powodu?

- Z powodu twojego ojczyma. Dutch był dla ciebie lepszym ojcem niż ja. Niż może kiedykolwiek byłbym. A ty poszedłeś w jego ślady. - Roześmiał się. - Co nie znaczy, że warto było iść w moje. Mogłem cię tylko nauczyć pić.

Już słysząc te słowa, wiedział, że posunął się za daleko.

186

Przeprosiny, od których zaczął, przeszły w ckliwe użalanie się nad sobą. No i na to Danny zareagował. Pokręcił głową i oparł się plecami o krzesło.

- Nie dam rady, tato. Nie teraz.

- To znaczy?

- Nie potrafię zajmować się teraz naszymi sprawami, grzebać w przeszłości i w ogóle. Mam za dużo na głowie.

- Wiem. Przepraszam. Chciałem tylko...

- Nie! Mówię ci przecież: ani słowa!

Uniósł obie ręce. To było polecenie. Ludzie zaczęli odwracać się w ich stronę. Tom kiwnął głową i akurat wtedy nadeszła kelnerka z homarami. Niewątpliwie wyczuła napięcie między nimi, bo uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy i wykonywała swoją robotę prawie bez słowa. Tom patrzył na ocean. Mgiełka trochę się rozwinęła. Na horyzoncie rysował się ogromny tankowiec zmierzający na południe.

- Może to nie był dobry pomysł - powiedział Danny. Wpatrywał się w swój talerz z ogromnym homarem i Tomowi

przemknęła głupia myśl, że chłopiec żałuje wyboru dania.

- Mama ciągle suszyła mi głowę, że powinienem się z tobą zobaczyć, ale...

- Danny, Dan, proszę. Czy nie możemy po prostu iść dalej?

- Jasne. Wszystko jedno.

Słyszając ten sarkazm, Tom aż się skrzywił. Danny zauważył jego minę i zorientował się, jak ostro zabrzmiały jego słowa.

- Postuchaj - rzekł już łagodniej - mam teraz dużo spraw na głowie i...

Znów spuścił wzrok na swój talerz i widząc, że homar jakby odpowiada mu smętnym spojrzeniem, mimowolnie się uśmiechnął. A potem zaczął się śmiać. I nagle Tomowi mignął przed

187

oczami chłopiec, którego kiedyś znał, i też wybuchnął śmiechem. Chyba ponad minutę obaj śmiali się nad homarami. Siedzący w pobliżu goście odwracali się w ich stronę. Wszystko będzie dobrze, pomyślał Tom. Wszystko znowu będzie dobrze. I wtedy zorientował się, że Danny'emu wciąż drżą ramiona, ale nie od śmiechu, tylko od płaczu. Po chwili szlochął spazmatycznie, cały się trząsał. Tom dotknął jego ramienia.

- Synu...

Danny odsunął się i oparł plecami o krzesło, ale nie przestawał płakać. W końcu wstał, kręcąc głową, po czym szybkim krokiem przeciął taras i wyszedł na zewnątrz. Tom ruszył za nim, ale uprzytomnił sobie, że nie może opuścić restauracji, nie zapłaciwszy rachunku. Wetknął więc sto dolarów pod szklanę na stoliku i pobiegł za Dannyem.

Rozejrzał się przed restauracją, ale nie dostrzegł syna. Na parkingu też go nie było. Nie zdążyłby odjechać, a poza tym na pewno nie chciałby zakończyć spotkania w taki sposób. Po chwili Tom zobaczył biegnącego plażą człowieka w białej koszuli. Puścił się za nim, wykrzykując jego imię, ale Danny ani się nie odwrócił, ani nie zatrzymał. Tom z trudem biegł po miękkim piasku, szybko się zasapał.

- Danny! Proszę, Danny! Synu!

Wreszcie Danny przystanął. Nie odwrócił się, tylko stał na brzegu, zasłaniając twarz dłońmi. Gdy Tom do niego dobiegł, nie mógł złapać tchu ani wykrztusić słowa. Danny wciąż stał do niego tyłem, więc

delikatnie położył ręce na jego szerokich ramionach, prawie spodziewając się, że zostanie odtrącony. Ale Danny odwrócił się i z łkaniem padł mu w objęcia. Stali tak, przytuleni do siebie, a spieniona woda zalewała im buty.

Rozdział Czternasty.

Szkoła Carla Curtisa, do której zaczął chodzić Tommy, mieściła się na wschodnim krańcu Beverly Hills, tuż obok małego parku i zoo, gdzie można było jeździć na kucykach i głaskać inne nieszczęsne stworzenia tam mieszkające. Budynek, nie tak duży ani tak okazały jak Ashlawn, stał na terenie o powierzchni pół akra i mieścił siedem sal lekcyjnych. Obok było wyasfaltowane boisko i basen.

Tommy w ogóle nie czuł się jak w szkole. Nawet nie musiał nosić mundurka, wkładał zwykłą niebieską bluzę z nazwą szkoły na przodzie. To miejsce różniło się od Ashlawn tym, że chodziły tam również dziewczęta i wszyscy byli przyjacielscy, także personel.

Uczyły w większości kobiety i tylko dwóch mężczyzn. Dyrektor, pan Curtis, miał czarne włosy, okulary i bardzo jasną twarz. Każdego ranka stawał przy bramie i witał przychodzące dzieci. Drugi nauczyciel, pan Badham, na którego wszyscy mówili Baddy, ciągle opowiadał kawały i robił żarty, na przykład próbował wycygnąć od kogoś kanapkę w porze lunchu. Baddy

189

prowadził zajęcia sportowe, a było ich dużo. Z początku budziły w Tommym obawy, bo w Ashlawn stwarzały okazję szkolnym brutalom do znęcania się nad innymi, i to bezkarnie. Ale dzięki Baddy'emu wszystkie dzieci naprawdę lubiły zajęcia sportowe, poza tym najwyraźniej nie było w tej szkole dręczycieli.

Uczniowie mieli lekcje wychowania fizycznego, skakali z trampoliny, grali w koszykówkę i dwa razy w tygodniu chodzili na basen. Chłopcy ćwiczyli również boks i okazało się, że Tommy - może dlatego, że w Ashlawn musiał tak często się bronić - jest w tym całkiem dobry. Podczas pierwszej walki tak przyłożył swojemu koledze Wally'emu Freemanowi, że tamtemu poszła krew z nosa. Wally nie przejął się tym za bardzo i potem nadał Tommy'emu przydomek Floyd, po Floydzie Pattersonie, mistrzu świata wagi ciężkiej.

Dzień rozpoczynał się od salutowania fladze. Uczniowie zbierali się na boisku, każdy kładł rękę na sercu i recytował przysięgę wierności. Tommy, jako Brytyjczyk, z początku nie wiedział, czy powinien to robić. Ale zawsze podobała mu się amerykańska flaga, a do tego nie chciał odstawać od innych, więc dołączył do reszty, jakby był prawdziwym Amerykaninem. Bo tak naprawdę zawsze chciał nim być. Amerykanie wydawali mu się nowocześniejsi - bardziej super, jak powiedziałby Wally - od Anglików. Wystarczyło popatrzeć na ich nowego prezydenta. Był młody i uśmiechnięty, miał małe dzieci i piękną żonę, a brytyjski premier, śmieszny pan Macmillan, miał ze sto lat i wyglądał jak mors, któremu wypadły kły.

Szkoła Carla Curtisa urządziła własne głosowanie: dwóch uczniów szóstej klasy odgrywało role kandydatów i w dniu wyborów każdy uczeń miał oddać głos albo na jednego, albo na drugiego. Chłopiec, który udawał senatora Kennedy'ego,

190

pobił konkurenta na głowę, co nie ucieszyło niektórych nauczycieli, w większości republikanów. Wynik prawdziwych wyborów nie ucieszył również Raya, który też był republikaninem i nie znosił senatora Kennedy'ego. Twierdził, że nowy prezydent spełnia wszystkie warunki, żeby doprowadzić do katastrofy, i jest za młody, by na czymkolwiek się znać. Co najgorsze, jest lewicowcem, a to oznacza, że nie stawi czoła Rosjanom, którzy mają setki ogromnych rakiet z bombami atomowymi, wycelowanych w Amerykę. Przy ulicy prowadzącej ze szkoły zamontowano syreny przeciwlotnicze i raz w miesiącu testowano ich sprawność na wypadek napaści Rosjan. Wally mówił, że najprawdopodobniej stanie się to nocą, gdy ludzie śpią.

Ze wszystkich przedmiotów Tommy najbardziej lubił angielski. Pani Hancock, nauczycielka tego przedmiotu, była pełna podziwu, gdy się dowiedziała, że Tommy przeczytał tyle książek, i poprosiła go, żeby opowiedział o kilku z nich na lekcji. Nie przejmowała się, gdy pisał zgodnie z zasadami angielskiej, a nie amerykańskiej ortografii i mówił trousers, jak w Anglii, zamiast pants, jak w Ameryce. Niektóre dzieciaki naśmiewały się z jego akcentu, ale dziewczynom się podobał. Jedną z nich, Wendy Carter, wymyślała i kazała mu powtarzać zwariowane zdania z samogłoskami inaczej wymawianymi przez Anglików. Ponieważ miała długie blond włosy związane w koński ogon i była chyba najładniejszą dziewczyną w szkole, robił jej przyjemność, naśladowując wymowę angielskich wyższych sfer, a wtedy ona piszczała ze śmiechu i też próbowała tak mówić.

Lubił też historię. Lekcje wyglądały inaczej niż w Ashlawn, gdzie musieli recytować nudne ciągi dat i wymieniać wszystkich królów i królowe Anglii. Pani Hancock wspomniała właściwie tylko o jednym królu, o Jerzym III, powiedziała, że stracił

191

i rozum, i kolonie. Wkrótce mieli uczyć się o tym, jak zdobyto zachód Ameryki i zbudowano linie kolejowe, jak pokonano i ucywilizowano Indian. Tommy nie mógł się doczekać.

Dianę z kolei była zajęta przygotowaniem do filmu Bez skrupułów - zdjęcia miały się rozpocząć za kilka tygodni. Brała lekcje aktorstwa w wytwórni Paramount i często spotykała się z twórcami kostiumów, charakteryzatorami i ludźmi od reklamy. Gdy będą kręcić film, do szkoły i do domu miał go wozić Miguel, tymczasem robiła to codziennie Dianę. Po szkole zazwyczaj jechali do Warner Brothers, żeby spotkać się z Rayem, który miał dużo pracy przy nowej serii Sliprock.

Przebywanie na planie i przyglądanie się, jak powstaje prawdziwy film - albo przynajmniej odcinek serialu telewizyjnego - nie ekscytowało Tommy'ego tak bardzo, jak sobie wyobrażał. Po pewnym czasie stawało się zwyczajnie nudne. Ciągle trzeba było czekać, aż ustawią światła i poprawią aktorowi charakteryzację. A potem powtarzali tę samą scenę drugi raz, trzeci i czwarty. Całe trzy dni kręcili odcinek, który oglądało się niecałe pół godziny. Tommy nie mógł zrozumieć, dlaczego to trwa tak długo, na co Ray powiedział, że porządne filmy kręci się, jeszcze wolniej.

Ilekoć przychodzili na plan, Ray robił wokół nich mnóstwo hałasu. Za pierwszym razem oprowadził Tommy'ego po studiu, przedstawił aktorom i ekipie technicznej. Reżyser podniósł go, żeby mógł spojrzeć przez kamerę, a kamerzysta pokazał mu, co się robi, żeby w słoneczny dzień wszystko wyglądało jak w nocy. Ten efekt nazywał się day for night*.

[* Day for night - noc amerykańska].

Wiele scen, z pozoru nakręconych w plenerze, w rzeczywistości powstało w studiu.

192

Był tam nawet człowiek, którego praca polegała na tym, że stał za krzakami i poruszał nimi tak, jakby kołysały się na wietrze.

Tego dnia jednak nie wybrali się do studia. Pojechali za miasto na ranczo, gdzie kręcono wszystkie trzymające w napięciu sceny akcji. Tommy przez cały dzień cieszył się na myśl o tej wycieczce.

Przepełniała go duma, gdy widział, jak Dianę czeka na niego w nowym samochodzie, który kupił jej Ray. Był to jasnożółty ford galaxie kabriolet z czarnymi skórzanymi siedzeniami. Do szkoły Carla Curtisa chodziło wiele dzieci, których matki czy ojcowie pracowali w przemyśle filmowym, ale nie byli tak olśniewający jak Dianę. Wally Freeman mówił o niej „lala” i tego dnia rzeczywiście wyglądała jak lala. Miała białą niebieską sukienkę w kropki, wielkie okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, a na głowie jasnoróżowy szal. Tommy wsiadł do samochodu i pocałował Dianę. Podczas jazdy Sunset Boulevard przebrał się w ubranie, które mu przywiozła. Będąc na planie, lubił dopasować się ubiorem do sytuacji. Za pierwszym razem włożył swój młodzieżowy kostium Reda McGrawa, ale czuł się trochę głupio, więc zaczął nosić najczęściej koszulę w kratę i nowe dżinsy, które Dolores wyprała kilkanaście razy, żeby wyglądały na spłowiałe i znoszone, jak dżinsy Raya.

Wkrótce zjechali z autostrady na wąską krętą drogę, która wznosiła się wśród wzgórz. Było ciepło. W powietrzu czuło się słodki zapach. Dokoła rosły kaktusy, jaszczurki leżały na różowych skałach skrzących się w rozgrzanym powietrzu. Tommy opowiadał Dianę, jak mu minął dzień i że wygrał kolejną walkę bokserską. Z przejścia dopiero po pewnym czasie zauważył, że Dianę nie zadaje mu pytań, jak to zwykle robiła, i chyba go nawet nie słucha.

193

- Wszystko w porządku? Rozpogodziła się.

- U mnie? Oczywiście. Przepraszam, kochanie. Jestem trochę zmęczona.

Zajechali na ranczo i zaparkowali przy samochodach ekipy filmowej. Jeden z asystentów reżysera wysłał kogoś z wiadomością dla Raya o ich przybyciu i po kilku minutach Ray powitał ich z szerokim uśmiechem, jak zawsze robiąc dużo szumu. Poszli gruntową drogą do miejsca, gdzie kręcono zdjęcia. Ray szedł w środku i ich obejmował. W takiej sytuacji Tommy zawsze czuł, że robi mu się ciepło w środku, że jest bezpiecznie i normalnie. Miał takie przyjemne, radosne i atrakcyjne życie, ale czasem nachodziła go myśl, że to musi się kiedyś skończyć.

Ray powiedział, że kręcą scenę, w której Red McGraw wpada w zasadzkę zastawioną przez jakichś ludzi wyjętych spod prawa, chowa się wśród skał i wybucha strzelanina. Potem gwizdże na Amigo,

swojego słynnego białego konia, i gdy ten nadbiega, wskakuje mu na grzbiet. Zrobiono już zbliżenia, gdy Ray strzela, gwizdże i szykuje się do skoku, a teraz filmowano scenę, gdy Cal Matthieson wskakuje na konia.

Tommy słyszał o Calu i nie mógł się doczekać, kiedy go pozna - a to dlatego, że Cal był nie tylko specjalistą od koni, ale także półkrwi Indianinem z plemienia Czarnych Stóp. Tommy jeszcze nigdy nie spotkał prawdziwego Indianina, ale przeczytał w jakiejś książce, że Czarne Stopy należały do najbardziej zawziętych i budzących przerażenie plemion. Cal był też dublerem Raya, a to oznaczało, że musiał udawać Reda McGrawa, gdy toczyła się bójka albo Red skakał z konia czy z dachu, albo robił coś, co byłoby dla Raya zbyt niebezpieczne.

194

Ray mówił, że z łatwością zrobiłby wszystko sam, ale nie pozwalają mu na to agenci ubezpieczeniowi, z którymi wytwórnia podpisała umowę.

Lada chwila zaczęli kręcić. Cal Matthieson, ubrany tak samo jak Ray, kucał na skale i dawał ostatnie instrukcje kowbojowi, który stał pod nim i trzymał Amiga. Skok miał być wykonany z wysokości około dziesięciu stóp. Kowboj kiwnął głową i przeprowadził konia jakieś sto jardów, zawrócił i czekał. Cal schował się wśród skał i przykucnął. Gdy wszyscy byli gotowi, pierwszy asystent reżysera zarządził ciszę na planie, a wtedy stojący za kamerą reżyser krzyknął: „Kamera!” i „Akcja!”.

Cal gwizdnął, Amigo postawił uszy i pobiegł. Gdy znalazł się przy skale, prawie galopował. Cal przebiegł po kamieniach, skoczył i wylądował w siodle, a Amigo nawet nie drgnął, tylko popędził dalej.

- O rany! - wykrzyknął Tommy.

Wszyscy na niego spojrzeli. Przypomniało mu się, że na planie trzeba być cicho, i zrobiło mu się tak głupio, że aż spąsował. Nie stało się nic wielkiego. Ray parsknął śmiechem i klepnął go po plecach, a pozostali klaskali i wznosili okrzyki, podziwiając udany za pierwszym podejściem skok.

- Łatwizna, gdy się wie, jak to zrobić - skwitował Ray. Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając złociste promienie.

Ray powiedział, że to tak zwana magiczna pora, ulubiona przez reżyserów, bo wtedy wszystkie zdjęcia wychodzą pięknie. Została mu jeszcze jedna scena, więc poszedł do przyczepy charakteryzatora, a Tommy i Dianę postanowili przyjrzeć się koniom w korralu. Kilka minut później przyjechał tam Cal Matthieson na Amigu. Pozdrowił Dianę, uśmiechając się i dotykając kapelusza.

195

- To było naprawdę imponujące - powiedziała Dianę.

- Dziękuję, ale pochwała należy się raczej temu koleźce. Pogłaskał Amiga po szyi, a koń prychnął i potrząsnął łbem,

jakby przyznawał Calowi rację.

- Widzicie? Nawet rozumie po angielsku. Roześmiali się. Cal zsiadł z konia i ucisnął im ręce.

- Mam na imię Dianę, a to jest Tommy.

- Wiem. Miło cię poznać, Tommy. Dużo o tobie słyszałem. Miał lśniąco czarne włosy i łagodne brązowe oczy z drobnymi

zmarszczkami po obu stronach. Tommy wiedział, że Indianie wcale nie mają czerwonej skóry, ale Cal nawet nie był brązowy - wyglądał po prostu na opalonego jak wszyscy. Śmiesznie się prezentował w stroju Raya.

- Jak tam, młody człowieku, umiesz już jeździć konno?

- Jeździłem tylko na kucyku w zoo.

- Chciałbyś spróbować?

- Na Amigu? Poważnie?

- Jasne. Jeśli mama się zgodzi.

Tommy wyczytał z twarzy Dianę, że się zgadza. Cal skrócił strzemiona i posadził go na koniu.

- No i jak?

- Wspaniale.

- To teraz jazda galopem i skok przez barierkę - rzucił Cal.

- Nie sądzę... - wtrąciła Dianę, ale zaraz domyśliła się, że to żart, i parsknęła śmiechem.

Cal pokazał Tommy'emu, jak siedzieć i trzymać wodze, i co zrobić, żeby koń zaczął iść. Gdy Amigo ruszył, Cal też zrobił kilka kroków w pewnej odległości od konia, nie dotykając go, żeby Tommy czuł, że radzi sobie sam.

- Jaki piękny - szepnął Tommy.

196

- Masz rację. Najlepszy Amigo ze wszystkich.

- Jest ich więcej?

- Cztery. Są dobre w różnych rzeczach: jeden dobrze pada, drugi skacze, trzeci nie boi się strzału przy uchu. A ten koleżka umie wszystko. Ruszaj biodrami, żeby wpaść w jego rytm. O tak. Bardzo dobrze. Tak to ma wyglądać. Spróbuj sam objechać tamto drzewo i wróć.

Dianę zaczęła oddychać swobodniej. Na wzgórzach powietrze było świeże i czyste, o zachodzie słońca świat znowu stawał się bardziej przyjazny. Widok tak szczęśliwego syna zawsze podnosił ją na duchu. Tommy jechał w stronę drzewa na pięknym białym koniu. Na czerwonej pylistej ziemi kładły się połączone cienie jeźdźca i zwierzęcia. Dianę podeszła do Cala Matthiesona i stanęła przy nim, krzyżując ręce na piersi, a on zerknął na nią z uśmiechem. Tommy właśnie okrążył drzewo. Można było sądzić, że jeździł konno od zawsze.

Gdy po przyjeździe na rancho Ray ich przywitał, rozdając pocałunki i uściski, cały w uśmiechach, Dianę musiała bardzo nad sobą panować, żeby nie zrobić awantury. Przez cały dzień miała ochotę rzucić się na niego z krzykiem i udusić tego wstrętnego kłamcę. Teraz chciała tylko porozmawiać i poznać prawdę.

Być może doszło do jakiegoś nieporozumienia.

Rano zadzwonił telefon, akurat gdy szła do samochodu, który miał ją zawieźć do studia. Dolores odebrała w holu i stanęła w drzwiach wejściowych, wołając pannę Dianę zaledwie o ton grzeczniej, niż wołałaby psa.

- Tu Louella Parsons.

197

- Do Raya?

- Do ciebie, droga Dianę.

Dianę nie znała tej kobiety, nigdy z nią nie rozmawiała. Nagle zaczęła trząść się w środku. Jak wiele osób w Hollywood często czytała słynną rubrykę w „Examinerze” i pochlebiały jej pozytywne wzmianki na jej temat. Louella Parsons zbliżała się do osiemdziesiątki i nie była już tak wpływowa jak kiedyś, ale jeśli od niechcenia rzuciła kilka zjadliwych słów, nadal mogła zrujnować człowiekowi karierę. Skoro o tej porze zadzwoniła do domu Raya, żeby porozmawiać z Dianę, to niewątpliwie wiedziała, że mieszkają razem.

- Droga Dianę, tak się cieszę, że cię zastałam. Tyle dobrego o tobie słyszę.

Jej przesłodzony głos brzmiał tak fałszywie, że niemal karykaturalnie. Oczami wyobraźni Dianę zobaczyła różowego pająka, tłustego i włochatego.

- Naprawdę? To miło.

- O tak. Drogi Herb jest nieprzeciętnie inteligentny, prawda? I taki kochany. Ty z Coopem. Nie mogę się doczekać. To będzie jak Vivien Leigh z Clarkiem Gable'em. Kochany Clark, niech spoczywa w pokoju. Jakaż to strata dla nas wszystkich. Znałaś go?

Clark Gable zmarł na atak serca zaledwie przed dwoma tygodniami. Hollywood nadal było w żałobie.

- Niestety, nie, ale...

- Cudowny człowiek. Od zawsze występował w moim programie radiowym.

- Tak, ale...

- Przechodząc do rzeczy, kochanie. Doszły mnie słuchy, że ty i Ray zamierzacie się pobrać.

198

- No więc...

- Och, nie krępuj się, moja droga. Louelli możesz powiedzieć.

- Chcemy wziąć ślub w Boże Narodzenie.
- Wspaniale. Moje gratulacje. Ray jest taki czarujący, nieprawdaż? Do trzech razy sztuka. Teraz na pewno znajdzie szczęście. Swoją drogą nie wiedziałam, że już jest po rozwodzie.

Dianę zeszywniała.

- Halo? Dianę?
- Właściwie to...
- Na pewno wiedziałaś, że był żonaty.
- Tak, oczywiście. Przepraszam, Louello, spóźnię się na spotkanie. Mogę zadzwonić do ciebie później?
- Naturalnie, kochanie. Jeszcze jedno. Twój syn, hmm...
- Tommy.
- Otóż to! Jak mogłam zapomnieć. Dla pewności, żebym się nie pomyliła. Kto jest jego tatą?

Przynajmniej na to pytanie, dzięki przezorności Herba Kantera i Vernona Drewe'a, Dianę była przygotowana.

- Jego ojciec nie żyje. Zmarł wkrótce po narodzinach Tommy'ego.
- Jak mi przykro. To potworne.
- Rzeczywiście.
- Na co?
- Słucham?
- Na co umarł?
- Na gruźlicę.
- Straszne. Na pewno byłaś zdruzgotana.
- Tak.
- Jak się nazywał, kochanie?

199

- Louello, czy musisz o tym pisać? Nie chcę martwić Tommy'ego.
- Oczywiście, kochanie. Ale tak dla naszkicowania tła, jak nazywał się ojciec?
- David.
- David Reed.

- David Willis.

Odłożyła słuchawkę. Gdy tylko zebrała myśli i znów mogła oddychać, zadzwoniła do Vernona Drewe'a i powtórzyła mu przebieg rozmowy. Prawnik, chcąc ją uspokoić, powiedział, że doskonale sobie poradziła i nie ma się czym martwić. Dobrze zna Louellę i skontaktuje się z nią, żeby nie było żadnych nieporozumień. Dianę nie wspomniała o uwadze Louelli na temat rozvodu Raya. Najpierw musiała zapytać jego. Ray pracował jednak na ranchu przez cały dzień i nie mieli okazji porozmawiać.

Tommy wracał na Amigo. Niebo za nimi jarzyło się różem i oranżem.

- Ten chłopiec ma wrodzony talent - powiedział Cal.

- Mam wrażenie, że Amigo wziął go pod opiekę.

- To prawda.

- Należy do ciebie?

- Właściwie należy do siebie, ale byłem przy jego narodzinach, nawet przy poczęciu.

- A reszta koni? Też są twoje?

- Część z nich. Większość należy do mojego wspólnika Dona Maxwella. Choć trudno to nazwać spółką. Don jest właścicielem posiadłości, a ja wykonuję całą robotę.

- Mieszkasz tutaj?

- Uhm. W małym domku za tamtym wzgórzem. Tak blisko miasta to dla mnie w sam raz.

200

Spojrzał na nią i oboje się uśmiechnęli. Umilkli na chwilę, jakby żadne z nich nie wiedziało, co jeszcze powiedzieć.

- Podobno będziesz grała z Garym Cooperem.

- Tak. W przyszłym miesiącu zaczynamy zdjęcia.

- Jest najlepszy.

- Podobno. Jeszcze go nie poznałam.

- Bardzo miły gość. Pochodzi z Montany, więc nic dziwnego.

- Ty też jesteś z Montany?

- Jak się domyśliłaś?

Dianę parsknęła śmiechem. Tommy był już blisko. Cal kazał mu odchylić się do tyłu w siodle i lekko ściągnąć wodze. Koń zatrzymał się tuż przed nimi.

- To był żart, gdy mówiłeś, że nigdy dotąd nie siedziałeś na koniu, co, Tommy?

- Wcale nie. Słowo daję.
- No to powiem tak: jeśli mama się zgodzi, mógłbyś tu czasem przyjeżdżać na lekcje, choć wydaje mi się, że prawie wszystko już załapałeś.
- Naprawdę? Mógłbym tu jeździć?
- Zapytaj mamę.
- Oczywiście - zgodziła się Dianę. - Jeśli pan Matthieson pozwoli.
- Pan Matthieson pozwala. A w ogóle mów mi Cal.

Skończyli zdjęcia po zmroku. Ray odesłał szofera ze służbowym samochodem i wsiadł z Dianę, Tommy między nimi, do forda galaxie. Wracali drogą nad oceanem. Tommy zasnął, oparłszy głowę na ramieniu Dianę. Objęła go i patrzyła w dal, gdzie szkarłatna smuga nad horyzontem przechodziła w fiolet i w czern.

201

Ray rozwodził się na temat reżysera, który jest tępy i do niczego, ciągle ustawia kamerę w złym miejscu. Dianę słuchała jednym uchem i bąkała coś krótko, gdy pytał, jak jej minął dzień, aż w końcu umilkł i zapadła cisza zmacona jedynie szumem wiatru i przejeżdżających samochodów.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Ray.
- Dobrze.
- Nieprawda. Co się stało?
- Później ci powiem.
- No, mów, skarbie.
- Nie teraz!

Gdy zajechali pod dom, przywitał ich Miguel i zaprowadził auto do garażu. Ray zaniósł Tommy'ego na górę do sypialni, po czym zostawił go Dianę. Tommy trochę się kręcił, gdy go rozbierała, a potem naciągała piżamę na chude, bezwładne ręce i nogi. Jego twarz i dłonie były pokryte warstewką czerwonego pyłu. Dianę nie miała jednak serca budzić syna i zmuszać do kąpieli, wołała wytrzeć najbrudniejsze miejsca gąbką zmoczoną w ciepłej wodzie. Ułożyła go do snu, usiadła obok i patrzyła na niego przez chwilę. Odgarnęła mu włosy z czoła. Jak szybko rósł, jego twarz robiła się pociągła, nabierała twardszego wyrazu. Dianę zgasiła lampkę nocną i pocałowała syna w policzek. Pachniał koźmi. Miłość do niego czasem przypominała rozdzierający serce ból.

Gdy zeszła na dół, w salonie czekały dwie margarity, które przyrządził Ray. Dolores klęczała przy ogromnym żeliwnym kominku, rozpalając ogień. Wstała, wygładziła fartuch i przeszła obok Dianę bez pozdrowienia czy uśmiechu, patrząc na nią z ukosa.

- Dobranoc - powiedziała Dianę.

Dolores mruknęła coś i wyszła.

- Co jej jest? Co ja zrobiłam?

- Nic. - Ray podszedł do Dianę. - To pewnie kwestia terytorium. Porozmawiam z dziewczyną jeszcze raz.

Wziął Dianę w ramiona, ale ona stała nieruchomo.

- Ważniejsze jest to, co ja zrobiłem.

Zawahała się. Nie chciała wyjść na idiotkę ani na neurotyczkę. Ray trzymał ją teraz za ramiona i próbował wyczytać coś z jej oczu.

- No, mów - nalegał.

- Czy wciąż jesteś żonaty?

- Co takiego?

- Mówiłeś mi, że się rozwiodłeś. To prawda?

- Skarbie, z kim ty rozmawiałaś?

- Och, tylko z Louellą Parsons.

- Chryste Panie! Co ta wredna suka ci nagadała? Dianę, posłuchaj...

- Rozwiodłeś się, Ray? Tak czy nie?

- Formalnie nie do końca, ale...

- Więc mnie okłamałeś.

Usiłowała ściągnąć pierścionek zaręczynowy, ale to cholerstwo ani drgnęło.

- Dianę...

- Ty kłamco! Może ustalimy, o który rozwód nam chodzi? Z żoną numer jeden czy z żoną numer dwa?

- Dianę, na miłość boską, pozwól mi wyjaśnić. Pierścionek wreszcie zszedł. Rzuciła go na szklany blat stolika z taką siłą, że zadrżały kieliszki i rozlały się koktajle.

- Możesz go sobie zabrać.

Ruszyła do wyjścia, ale złapał ją za nadgarstek.

- Dianę, posłuchaj, proszę cię.

- Słucham.
- Papiery będą gotowe lada dzień. Wszystko jest ustalone. Mam tylko podpisać. Za tydzień, może dwa, będzie...
- Mówiłeś, że się rozwiodłeś, a wcale tak nie jest.
- Wiem, przepraszam. To czysta formalność...
- Ach tak? A tamto małżeństwo? O którym jakoś zapomniałeś mi powiedzieć. Też czysta formalność?
- Byliśmy dziećmi, Dianę. Trwało dziesięć miesięcy.
- I dlatego nie przyszło ci na myśl, żeby o nim wspomnieć?
- Dianę...
- A to następne? Trwało trochę dłużej? Jedenaście miesięcy czy dociągnąłeś do roku?
- Skarbie, nie rób tego.
- Nie mów do mnie „skarbie”!

Wziął ją za drugą rękę i trzymał przed sobą, żeby nie mogła się ruszyć.

- Puść!
- Dianę, spójrz na mnie. Spójrz na mnie!

Widząc błysk w jego oczach, przez chwilę myślała, że ją uderzy.

- Kocham cię bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek w całym swoim życiu. Ty i Tommy staliście się dla mnie wszystkim. Nie każdy człowiek jest tak doskonały jak ty. Popełniłem wiele błędów, wiele rzeczy chciałbym odkręcić. Ale wiem coś o nas: tworzymy dobraną parę, jesteśmy sobie przeznaczeni. Dla ciebie zrobiłbym wszystko. I dla Tommy'ego. Chryste, Dianę, umarłbym za was.

Te słowa przesądziły sprawę, choć wciąż była zbyt dumna i rozszuszczone, żeby mu pokazać, jak na nią podziały. Gdyby

204

mówił tylko o swojej miłości do niej, pewnie kazałaby mu cierpieć dużo dłużej. Może nawet (ta myśl rzeczywiście przyszła jej do głowy) zabrałaby śpiącego syna i odeszła na dobre. Ale uwzględnienie Tommy'ego w tym ckliwym wyznaniu miłości sprawiło, że nie wytrwała w swoim postanowieniu. A to z kolei wprowadziło ją w taki gniew - nie na niego, lecz na siebie - że uderzyła go mocno w twarz.

Przyjął policzek, nawet się nie krzywiąc, jakby na niego zasłużył. Gdy zobaczyła czerwieniejący ślad po uderzeniu, opuściła głowę i zaczęła płakać, a on wziął ją w ramiona i pocałował w czoło. Powoli doprowadził ją do kanapy i usiadł przy niej w milczeniu, trzymając zapłakaną w objęciach.

Kiedy mogła już mówić, chłodnym tonem wypytała go o poprzednie małżeństwa. Co rusz przerywał wyjaśnienia przeprosinami za to, że zachował się wobec niej nieuczciwie, wszystko dlatego, iż bał się

stracić - teraz wiedział to z niezbitą pewnością - miłość swojego życia. Godzinę później zaprowadził ją na górę do sypialni i zaczął rozbierać, całując jej szyję i piersi. Stała przed nim dumna i niewzruszona, ale miała mętlik w głowie i wątpliwości, czy wybaczyć. A potem, aż po głęboką noc, wymierzała mu karę za jego kłamstwa.

Gdy się kochali, od samego początku był w tym akcie jakiś cień przemocy, niczym obecność drzemiącego dzikiego stwora, którego utajone możliwości i konieczność trzymania go w zamknięciu podniecały ich oboje. Ale tej nocy Dianę otworzyła klatkę. Biła, drapała paznokciami do krwi, szarpała za włosy i wyginała mu członek tak, że Ray krzyczał z bólu. Aż ten śpiący stwór, który miał ich ostatecznie pożreć, przebudził się i wy dostał na wolność, i zaczął grasować.

Rozdział Piętnasty.

Ray czekał już ponad pół godziny i był wściekły jak rozdrażniony grzechotnik. Prawie dwa lata nie rozmawiał z pułkownikiem* sam na sam i gdy już nadarzyła się okazja, nie chciał zawalić sprawy, tracąc nad sobą panowanie.

[* Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do drugiej wojny światowej, wszyscy dyrektorzy wytwórni filmowych otrzymali patenty oficerskie. Jack Warner został podpułkownikiem].

Przecież oni chcą człowieka zastraszyć i pokazać mu, że jest nikim, więc należało zachować spokój i udawać, że ma się to gdzieś.

Pretensjonalny przepych, jakim otaczali się szefowie wytwórni, budziłby strach, gdyby nie jego groteskowość. Szerokie koliste podjazdy, majestatyczne drzewa i wytworne trawniki, imponujące schody, przestrzenie recepcyjne, gdzie w nabożnej ciszy trzymała straż za biurkiem jakaś jędza w kostiumie, z ciasno upiętymi włosami i w urzędniczych okularach. Spotkanie z Jackiem Warnerem wyglądało jak audyencja u Mussoliniego.

Ray siedział na wielkiej kanapie, jednej z kilku, kartkując brązowe czasopisma i dokładając wszelkich starań, by sprawiać

206

wrażenie odprężonego. Od czasu do czasu odzywał się telefon wewnętrzny na biurku i jędza mówiła do słuchawki: „Tak, panie Warner”, „Oczywiście, panie Warner”. Parę razy otwierały się drzwi do sanktuarium i pojawiała się dziewczyna z grona sekretarek pułkownika, ponętna, w obcisłej spódnicy. Podchodziła drobnymi kroczkami do biurka i dawała jędzy jakąś paczkę. Jedną z nich, blondynka z ogromnymi cyckami, które ten piernik na pewno miał już w swoich łapach, posłała Rayowi uśmiech i weszła z powrotem do gabinetu. Jack Warner zbliżał się do siedemdziesiątki, ale wciąż uganiał się za prawie każdą spódniczką, której furkot dobiegł do jego uszu. Podobno w gabinecie były zamaskowane drzwi, a za nimi sekretne schody, którymi dyskretnie podążały żądne sławy aktoreczki. Telefon znowu zabrzączał

- Tak, panie Warner, jest tutaj. Powiem mu - odrzekła jędza.

Podeszła do Raya.

- Pan Warner przeprasza, ale umówione na dziesiątą spotkanie nieco się przedłużyło. Na pewno wkrótce skończy. Może chciałby pan jeszcze kawy?

- Dziękuję, wystarczy. Ładne okulary.

- Cieszę się, że się panu podobają.

Rzucił czasopismo na blat stolika i wziął elegancki album ze zdjęciami, który od dłuższego czasu starał się omijać wzrokiem. Zawierał całostronicowe fotosy gwiazd wytwórni Warner Brothers. Byli tam Bogart i Bergman, Jimmy Cagney, Errol Flynn, Henry Fonda, nawet ci, z którymi wytwórnia darła koty i których chętnie by ukatrupiła, na przykład Bette Davis. Na końcu książki znajdował się niewielki dział poświęcony sławom telewizji, dwa zdjęcia na stronie. Ray przerzucał strony

207

- Clint Walker, James Garner, Ty Hardin, czyli Bronco, Will Hutchins z Sugarfoot - i powoli zalewała go krew. Nie wierzył własnym oczom. Ci dranie go pominęli. Choć nie, zamieścili jego zdjęcie. Na końcu, za Rin Tin Tinem.

Zamknął książkę, rzucił na stolik i poszedł się odlać. Nadal był obolały w dolnych partiach. Umył ręce i obejrzał się w lustrze. Na szczęście ślady po wyczynach Dianę były w większości niewidoczne, prócz zadrapania tuż nad kołnierzykiem. Jezu, westchnął, co za noc. Wrócił do recepcji, usiadł i czekał dalej.

Nie zamierzał jej okłamywać. Nigdy nikogo nie zamierzał okłamywać. Po prostu robił to odruchowo. Kłamał od tak dawna i tak często, że już nie zdawał sobie sprawy, co mówi. Większość ludzi uważała, że trzeba się liczyć ze skutkami kłamstw, więc kłamała niechętnie i rzadko. Ale Ray miał inne doświadczenia: właśnie mówienie prawdy zawsze wpędzało go w kłopoty. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego prawdomówność jest w cenie. Ludzie mieli dość prawdy na co dzień. Zazwyczaj cholernie ich unieszczęśliwiała. Tak naprawdę pragnęli kłamstw. Przecież do tego sprowadza się Hollywood: handluje się tu kłamstwami, które stanowią pożywkę dla marzeń i poprawiają samopoczucie.

Nie chodziło o filmy same w sobie. Niemal wszyscy zaangażowani w produkcję musieli uciekać się do różnego rodzaju łgarstw. Na tym między innymi polegała ich praca. Najlepszymi blagierami byli producenci. Żeby ruszyć z filmem, trzeba było okłamać wszystkich po kolei, żonglować pięcioma bujdami, tak żeby każdy sądził, iż pozostali uczestniczą w świetnym przedsięwzięciu, a wtedy, jeśli dobrze poszło, bujdy stawały się prawdą i nie wymykały się z rąk.

Aktorzy na ogół kłamali tylko dlatego, że tak chcieliby producenci i wytwórnie. Jeżeli czyjeś imię i nazwisko brzmiało

208

nie najlepiej, po prostu wymyślano mu inne. Nic w tym złego. Zwykła konieczność. Kto, do diabła, usłyszałby o Johnie Wayne czy Carym Grancie, gdyby zachowali swoje prawdziwe nazwiska: Marion Morrison i Archibald Leach? Kto by zaangażował biednego Ty Hardina, gdyby pozostał przy Orisonie Whipple'u Hungerfordzie juniorze?

Ray tak naprawdę nazywał się Lennie Gulewicz. Ale nikt o tym nie wiedział. Gdy dziennikarze pytali o jego dzieciństwo, odmalowywał życie, jakie chciałby wieść, gdyby mógł zmienić przeszłość, zgodne z wyobrażeniami, jakie niegdyś miał świat o bohaterach westernów. Opowiadał, jak tata brał go na kolana i siedzieli na ganku domu na ich ranczu w zachodnim Teksasie, jak pomagał mamie piec chleb kukurydziany i ubijać masło, jak mając zaledwie pięć lat, uczył się pętać i znakować młode byczki. Powtarzał to tyle razy, że praktycznie zapomniał, iż w ogóle tak nie było.

W najlepszych kłamstwach zawsze tkwi ziarno prawdy. Rzeczywiście mieszkał w Teksasie, ale nie na ranczu. Flaki sobie wypruwał, wierząc szyby i ciągnąc rury dla różnych kompanii naftowych, aż zmądrzał i podłapał pracę jako wykidajło w nocnym klubie w Houston. Gdy pewnej nocy rzucił się na kogoś przy wejściu do lokalu, zauważył go młody fotograf, któremu zlecono zrobienie reklamy papierosów. Gość zapytał go, czy umie jeździć konno. „Jasne, urodziłem się na koniu”, odparł Ray i dostał robotę. Z trudem nauczył się trzymać w siodle i w rezultacie nie lubił koni - ze wzajemnością. Ale zauważono go w tej reklamie. Nie minęło pół roku, a już mieszkał w Los Angeles, znalazł sobie agenta i wspólnie wymyślili nowe imię i nazwisko: Ray Montane, oraz bardziej odpowiednią historię życia.

Sporo wysiłku wymagało teraz przypomnienie sobie tej prawdziwej. Że czterdzieści dwa lata temu - osiem lat wcześniej,

209

niż się przyznawał - mały Lennie Gulewicz urodził się w piekielnym cieniu huty w Pensylwanii; że na kolanach u tatusia znalazł się tylko raz, gdy ten drań o morderczych instynktach złał go prawie do nieprzytomności pasem, kijem czy co tam wpadło mu w rękę; że mamusia była najczęściej zbyt pijana, wykończona albo zajęta pieprzeniem się z jakimś obcym facetem w sypialni, żeby choć zaparzyć kawę; że mały Lennie zwiął z domu przy pierwszej okazji i w wieku lat kilkunastu co rusz ładował w poprawczaku, zwykle za kradzież, ale raz za to, że dźgnął nożem i niemal zabił jakiegoś skurwiela, który go zakapował.

Co zabawne, obecnie pojawiali się w Hollywood młodzi aktorzy, którzy zapłaciliby spore pieniądze, by mieć taką przeszłość. Małolaty wychowane w przyzwoitych domach, w przyjemnej dzielnicy, z kochającymi mamusiami i tatusiami, z nianiami, z pieskami i nowymi rowerami na każde przekłęte Boże Narodzenie. I właśnie tacy ludzie rozpuszczali wysane z palca historie o życiu w niedoli i niedostatku, co teraz było cool i mogło sprawić, że w oczach publiczności jawiliby się jako nowe wcielenia Marlona Brando czy Jamesa Deana, posępni i podli, udręczeni, skrzywieni i seksowni.

Nie miał im tego za złe, skądże znowu. Psiakrew, gdyby był młodszy o dwadzieścia lat, w ogóle nie musiałby kłamać. I nie wpadłby w sztapkę, udając mężczyznę w białym kapeluszu, pozytywnego bohatera, którego nie mógł ścierpieć. Przemysł filmowy już pojął, że można mieć gwiazdę na piersi i brudną twarz oraz jeszcze brudniejszą przeszłość. Telewizja natomiast tkwiła w pętli czasu i wciąż jej się wydawało, że Ameryka chce oglądać te śmiechu warte papierowe postacie o czystych rękach, bohaterów, którzy nie puszczejają bąków i nie chodzą do łazienki.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wciąż nie mógł uwierzyć,

210

że udało mu się znaleźć - i, jak na razie, utrzymać przy sobie - kobietę takiej klasy jak Dianę. Młodą, zachwycającą i tak utalentowaną, że mogłaby mieć każdego. Również tego bezczelnego gnojka McQueena, który puścił do niej oko jakiś czas temu przed Schwab 's Drugstore i którego główniany film Siedmiu wspaniałych dupków sprzedawał się wkurzająco dobrze na całym świecie. Na bankiecie u Kanterów i na każdym innym przyjęciu faceci wyłazili ze skóry, żeby się do niej dobrać. Ale ona - dopóki swojego nochała nie wpakowała ta plotkara Louella Parsons - widziała tylko jego. Kurczę, nawet chciała za niego wyjść.

Ray nie był głupi. Dość wcześnie zorientował się, że droga do jej serca prowadzi przez Tommy'ego. Przepelniona poczuciem winy, że przez tyle lat podawała się za jego siostrę, zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by mu to wynagrodzić. Gdy pierwszy raz zobaczył ją z synem, podczas uroczystości rozdania nagród w szkole, natychmiast zauważył jej rozrzucone spojrzenie, ilekroć zaczynał cackać się z chłopcem. Szybko wyczuł, z jaką desperacją Dianę pragnie znaleźć dziecku ojca i zapewnić mu życie w prawdziwej rodzinie. Do tego chłopak miał bzika na punkcie kowbojów, a więc któż pasowałby do tej roli lepiej niż stary dobry Ray Montane?

Tak to ujmując, można sądzić, że wszystko sobie dokładnie wykalkulował: zajęcie się Tommym miało być ceną za zdobycie Dianę. Sprawa wyglądała jednak inaczej. Oczywiście często żałował - teraz również - że nie są tylko we dwoje, on i ona, bez dodatkowego balastu. Mimo to, nim minęło kilka miesięcy, polubił dzieciaka. Zgoda, mały był trochę dziwny, ale pojętny, i wcale nie okazał się mięczakiem, jak to z początku wyglądało. Tak naprawdę wyrastał na twardego skurczybyka.

Ray wciąż był oszołomiony tym, co się wydarzyło minionej nocy, i jeszcze bardziej tym, co się wydarzyło tego ranka. Seks był rewelacyjny,

211

najlepszy, jaki z nią miał. Po takiej nocy uznał, że mu wybaczyła i że wszystko znów będzie dobrze. Ale rano spakowała rzeczy i oznajmiła, że wyprowadza się z Tommym do swojego małego mieszkania. Na odchodne rzuciła zimnym, drwiącym tonem, że może ją zawiadomić, gdy przestanie być czyimś mężem. Nie miał pojęcia, co powiedziała Tommy'emu, ale gdy odjeżdżali, biedak miał nieszczęśliwą minę.

Podczas przesłuchania, jakie mu urządziła poprzedniego wieczoru, odpowiadał mniej więcej zgodnie z prawdą. Gdyby zadała nieco lepsze pytania, prawdopodobnie wyjawiłby jej dużo więcej. Kto wie, czy nie przyznałby się nawet, że ma córkę. Może należało o tym powiedzieć i mieć to za sobą. A może nie. Zapewne ta informacja przelałaby czarę goryczy. Tak czy owak, zero ryzyka, że Dianę się dowie. Właściwie nie znał tej małej, nie widział jej od lat. Chybaby jej nawet nie rozpoznał, gdyby wpadł na nią na ulicy. A ona wiedziała - od tej suki, swojej matki - że lepiej nie dzwonić do niego i nie zawracać mu głowy.

Drzwi do gabinetu pułkownika uchyliły się i doleciał zza nich wybuch śmiechu. Wyszedł któryś z agentów - Ray nigdy nie mógł zapamiętać jego nazwiska, jeden z podkomendnych Wassermana z MCA - z ładną młodą damulką w żółtej sukience i z przesadnie umalowanymi na czerwono ustami. Pewnie jakąś aktoreczką, która właśnie podpisała kontrakt i wkrótce będzie się wspinała po tamtych sekretnych schodach. Jack Warner ich obejmował. Wszyscy sprawiali wrażenie tak cholernie

zadowolonych z siebie, że rzygać się chciało.

Pożegnawszy się skinieniem dłoni i wymownymi spojrzeniami, agent i aktorka udali się schodami na dół, a Warner poprawił jedwabny niebieski krawat i podszedł do Raya. Stary drań

212

jak zwykle wyglądał elegancko. Szary garnitur szyty na miarę, idealny różek jasnoniebieskiej jedwabnej chusteczki wystający z kieszonki na piersi. Włosy gładko zaczesane do tyłu, brwi uniesione szyderczo, cienki wąsik nad wargą i wyszczerzony uśmiech.

- Ray! Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać. Ray wstał i uściśnął mu dłoń.

- Żaden kłopot, panie pułkowniku. Cieszę się, że pana widzę.

- No pewnie. Wejdz.

Ray wziął teczkę i mijając jędrę za biurkiem, udał się za nim do sekretariatu, gdzie blondyna znowu posłała mu uśmiech, i dalej do gabinetu z imponującym biurkiem i kanapą, na której zaczęła się niejedna kariera. Pułkownik Warner spoczął na tronie za biurkiem, a Ray usiadł przed nim na tronie znacznie niższym. To wszystko było częścią wciąż tej samej idiotycznej gry, która zmierzała do tego, by człowiek poczuł się mały i stracił wiarę w siebie.

Termin spotkania został ustalony przed miesiącem, gdy wpadli na siebie podczas lunchu w stołówce. Ray powiedział, że dobrze byłoby kiedyś porozmawiać, o przyszłości i w ogóle, a pułkownik przytaknął, dodając, że od jakiegoś czasu chciał się z nim skontaktować. Ray potraktował to jako oznakę, że ten stary drań wreszcie, dzięki Bogu, nabrał rozumu i zamierza dać mu rolę w porządnym filmie.

Ray przygotował się do spotkania. Miał przy sobie scenariusz, który przysłał mu Steve Shelby, ten młody pisarz poznany u Kanterów. Nad rolą dla Raya trzeba było jeszcze popracować, rozbudować ją, ale i tak wyglądała całkiem nieźle jak na pierwszą wersję. Wyjął scenariusz i położył na biurku. Jack Warner

213

siedział rozparty w fotelu i złączywszy czubki palców, przyglądał się Rayowi.

- Co u pana słychać, panie pułkowniku?

- No wiesz, niespokojna ta głowa, co deskę klozetową nosi. Ray już to słyszał, ale uśmiechnął się jak należało. Warner

spojrzał na zegarek i odrobinę się wyprostował.

- O wpół do muszę być na zebraniu zarządu, więc lepiej przejdźmy do rzeczy.

- Oczywiście. No więc mam kilka...

- Kończymy ze Słiprock. Ray wbił w niego oczy.

- Co takiego?
- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie cieszy się taką popularnością jak dawniej. Nadawca jest niezadowolony.
- Hm, liczby, które ostatnio widziałem, nie były...
- To nie twoja wina. Serial jest zwyczajnie niedzisiejszy.
- No właśnie. Od dawna to powtarzam. Mówiłem tym idiotom...
- Jakim idiotom? Dan i Lew są doskonałymi producentami.
- Wiem, przepraszam. Wielokrotnie twierdziłem, że musimy się sprężyć. Zamówić scenariusze z jajem. Wystarczy zobaczyć kilka odcinków Wagon Train. Można by ściągnąć paru tych koleśków, żeby dla nas pisali. No i znaleźć kogoś przed sześćdziesiątką, żeby reżyserował co któryś odcinek. W mieście jest paru fantastycznych młodych gości. Wcale nie takich drogich. Niech mi pan wierzy, panie pułkowniku, gadałem do utraty tchu...
- Posłuchaj, Ray. Serial idzie na dno. Gdy statek tonie, człowiek nie pieprzy się z meblami.

Ray nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

214

- Dni westernów się skończyły.
- Ależ, panie pułkowniku, nie sądzę, żeby kiedykolwiek...
- Wierz mi. Ludzie już ich nie chcą. Nie zrozum mnie źle: to nie stanie się jutro. Dobre seriale, takie jak ten twój Wagon Train czy Bonanza, jeszcze pociągną. Ale za dziesięć lat nikt nie będzie produkował westernów. Zapamiętaj moje słowa. Może od czasu do czasu pojawi się jakiś film długometrażowy, ale z telewizji... znikną.

Zapadła długa cisza. Ray pokręcił głową.

- Nie wiem, co powiedzieć. Ale, wie pan, może to jest sprzyjająca chwila. Prawdę mówiąc, właśnie o tym chciałem z panem dzisiaj porozmawiać. Pan wie, że kusi mnie długi metraż. Nie mam na myśli tego, co leci w sieci Hitching Post w sobotnie popołudnia, chodzi mi o porządny film...

Pułkownik westchnął lekko i spojrzał na czubki palców. Ray wziął scenariusz z biurka. Ręka mu się trzęsała. Nagle dotarło do niego, że jest w żałosnej sytuacji i zachowuje się jak mazgaj.

- ...i mam parę świetnych pomysłów. Scenariusz, który panu przyniosłem, jest dokładnie taki, jakiego nam potrzeba.
- Dam komuś do przejrzania.
- Chłopak, który go napisał, Steve Shelby, mówię panu, panie pułkowniku, to naprawdę ktoś. Zdaniem Herba Kantera jest genialny...

- Oczywiście. Przeczytamy. Ale zostawiając na boku kwestię scenariusza, muszę ci powiedzieć, Ray, że po zrobieniu tej serii nie przedłużymy z tobą kontraktu.

Rozdział Szesnasty.

Śnieg padał od świtu. Gruba powłoka tłumiła wszystkie dźwięki prócz szurania butami, gdy szli za trumną z kościoła na cmentarz. Dzień był bezwietrzny. Duże puszyste płatki osiadały na odkrytych głowach i ramionach odzianych w czarne płaszcze panów, którzy nieśli trumnę. Przy drzwiach stał przedsiębiorca pogrzebowy i podawał czarne parasole.

Kondukt szedł między grobami. Gdy jeden z panów, którzy nieśli trumnę, poślizgnął się i trumna się zachybotła, Tommy pomyślał, że zaraz roztrzaska się o ziemię i wypadnie z niej ciało babci. Ale pozostali panowie podparli trumnę, a mężczyzna odzyskał równowagę i zleciał tylko wieniec z róż, czerwona plama w czarno białym świetle.

W tym kościele Tommy został ochrzczony. Budowla miała sześćset lat. Na cmentarzu wiele nagrobków mocno się przechyliło i pokryło mchami i porostami, które zasłaniały napisy. Jego babcia nie wierzyła w Boga. Mówiła, że „to wszystko bzdury”, i nigdy nie chodziła z nimi do kościoła w Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Ale jakoś tak się stało, że właśnie

216

tu miała zostać pochowana. Wykopany dla niej grób znajdował się obok starego rozrośniętego cisa, którego gałęzie ugięły się pod ciężarem śniegu. Tommy'emu przypomniało się, że wyczytał gdzieś, iż cisy są drzewami czarownic.

Panowie postawili trumnę na płóciennych pasach przy grobie, znów lekko ją unieśli i wolno opuścili między gładkimi ścianami zamrażającej ziemi. Tommy zobaczył po drugiej stronie grobu doktora Hendersona, wujka Reggiego i ciotkę Verę, która głośno płakała przez całą uroczystość w kościele i jeszcze teraz na cmentarzu. Nikt inny nie płakał. Ale stali tam w większości mężczyźni, a mężczyźni przecież nie płaczą. Tommy był tak otępiały i pusty w środku, że nie mógł płakać. I trząsał się z zimna. Stopy mu zlodowaciały. Ubrał się w stary mundurek z Ashlawn i żałował, że nie włożył grubszego swetra.

Dianę wciąż nosiła ciemne okulary. Może wolą nie pokazywać, czy płacze, czy nie. Tommy stał obok niej, więc widział, że nie płakała. Trzymała parasol nad nim i nad ojcem, co było dość trudne, bo starszy pan jakby przebywał w swoim świecie, ciągle się przechylał i patrzył w niebo ze znużoną, a przy tym lekko zdziwioną miną, mrugając, ilekroć płatek śniegu wpadł mu do oka.

Parasole wyglądały jak igloo. Nos starego proboszcza zrobił się fioletowy z zimna, z ust leciała para, gdy w pośpiechu mówił to, co miał do powiedzenia. Prochem jesteś i w proch się obrócisz. Garść zamrażającej ziemi stuknęła o wieko trumny.

Telegram, który dostarczono do mieszkania w Los Angeles w niedzielę rano, trochę więcej niż tydzień przed świętami, zawierał wiadomość, by Dianę zadzwoniła jak najszybciej do domu. Słuchawkę podniosła ciocia Vera. Powiedziała, że Joan

217

umarła na skutek rozległego zawału serca. Arthur znalazł ją na podłodze w kuchni, gdy wrócił z pracy.

Ray odwiózł ich na lotnisko po południu tego samego dnia. Właściwie przestali go widywać, choć dzwonił codziennie. Tommy bardzo za nim tęsknił i było mu go żal, gdy okazało się, że wytwórnia już nie będzie kręcić Sliprock. Od tamtej awantury Dianę traktowała Raya okropnie, ale nie chciała powiedzieć Tommy'emu, o co poszło. Oświadczyła, że jest za mały, żeby zrozumieć. Można się wściec, gdy dorosły mówi coś takiego. W drodze na lotnisko Ray był naprawdę miły. Miał trochę smutną, zmieszaną minę i zrobił się jakby mniejszy. Dianę prawie się do niego nie odzywała, tylko patrzyła przez okno. Przez cały czas rozmawiał z Tommym. W samolocie, gdy zjedli kolację i zgasły światła, Tommy zapytał, dlaczego wciąż jest taka nieprzyjemna dla Raya.

- Bo kłamał w pewnej sprawie. Bardzo ważnej sprawie.
- Jakiej? Dianę westchnęła.
- Że był przedtem żonaty.
- Nawet ja to wiedziałem.
- Dwa razy.
- Co w tym złego?
- I że nie rozwiódł się, jak należało to zrobić, z ostatnią żoną.
- Może zapomniał?

Dianę nie mogła powstrzymać śmiechu.

- O takich rzeczach się nie zapomina. Po namyśle Tommy zapytał:
- A jaka jest różnica między tym, że on ci tego nie powiedział, a tym, że ty nie powiedziałaś mi przez tyle lat, że jesteś moją prawdziwą mamą?

218

Dianę milczała, patrząc na niego ze smutnym uśmiechem.

- Jak to się stało, że wyrósł z ciebie taki bystrzak? - odezwała się po chwili. - Spróbujmy się przespać.

Proboszcz skończył mówić. Wszyscy wsiedli do samochodów i pojechali do domu, żeby zjeść to, co przyszykowały ciocia Vera i Dianę. Tommy najpierw pomagał roznosić kanapki i zupę, a potem chodził wśród gości z dzbankiem parującego ponczu z owocami, do którego wujek Reggie wlał wszelki alkohol, jaki znalazł w domu. Wszyscy byli bardzo spragnieni - może z zimna. Wypytywali Tommy'ego,

jak się żyje w Kalifornii, a wujek Reggie, który najwidoczniej wypił za dużo ponczu, mówił z amerykańskim akcentem: „Siemasz, partner!”, ilekroć Tommy koło niego przechodził.

Dziwnie się poczuł, gdy po przyjeździe przed dwoma dniami zobaczył wszędzie w domu rzeczy babci. Jakby przed chwilą wyskoczyła do sklepu. Jej fartuch wisiał koło drzwi w kuchni, kapcie stały na podłodze przy wycieracze, papierosy i zapalniczka leżały jak zawsze na kredensie. Dianę wiele z tego wyniosła, a potem poszli kupić choinkę, żeby zrobiło się trochę weselej. Koniec końców, mimo ozdób świątecznych, dom wyglądał smutniej. Tommy wyczuwał jeszcze jedną dużą zmianę, ale dopiero po dłuższym czasie uprzytomnił sobie, że to cisza - Joan zawsze miała włączone radio.

Wraz z opróżnianiem się dużej misy z ponczem rumowym narastał zgiełk. Gdy nikt już nie zwracał uwagi na Tommy'ego, wymknął się na górę. Jego dawna sypialna została odnowiona i zamieniona na pokój gościnny, położono w niej zielone tapety ze wzorem w kwiaty i obrzydliwy żółty dywan. Tommy stanął przy oknie z widokiem na ogród od tyłu. Ściemniało się coraz bardziej. Przypomniał sobie, że zawsze był podekscytowany,

219

gdy padał śnieg, a teraz wszystko wydawało mu się nijakie i nudne. Wcale nie przypominało domu. Nie umiał powiedzieć, gdzie jest teraz jego dom.

Dianę nie mogła się doczekać, kiedy wszyscy wyjdą. W końcu się pożegnali, ale ciocia Vera została i uparła się, że posprząta. Tommy i wujek Reggie siedzieli w salonie, oglądając telewizję. Ojciec Dianę już dawno temu uciekł po cichu do swojego warsztatu.

- No i gdzie jest ten film, w którym miałas występować z Garym Cooperem? Jaki on miał tytuł?

Vera stała przy zlewie i kończyła zmywanie. Dianę wycierała naczynia, mając ochotę rozbić je na głowie ciotki. Przez całe popołudnie Vera trajkotała jak najęta, o wszystkim wyrażała się z pogardą i złościwością. Dianę nabrała powietrza.

- Bez skrupułów. Prace nad filmem się przedłużają.

- Znowu?

- Ciągłe tak się dzieje.

- Ach tak? Kosztowna sprawa. Ci filmowcy mają chyba więcej pieniędzy niż rozumu.

Dianę nie zamierzała zrobić przyjemności tej kobiecie, informując ją, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa film nie powstanie. Zaledwie w zeszłym tygodniu Herb Kanter powiedział jej, że Gary Cooper ma raka i zostało mu kilka miesięcy życia. Ponieważ niewiele osób o tym wiedziało, poprosił, żeby zachowała tę wiadomość dla siebie. Twierdził, że uda im się obsadzić kogoś nowego w tej roli, ale Dianę w to nie wierzyła.

Zapadła długa cisza i słychać było jedynie brzęk naczyń w zlewie i śmiech z telewizora stojącego w sąsiednim pokoju.

220

- Oczywiście nigdy tego nie przeboleła - odezwała się Vera.
- Słucham? Kto nie przeboleł czego?
- Twoja matka. Tego, że powiedziałaś Tommy'emu o... no wiesz. To złamało jej serce.
- Dlaczego nie powiesz tego wprost?

Ciocia Vera wbiła w nią wzrok. Na twarzy miała wypieki od alkoholu.

- Niby czego?
- Że ją zabiłam. Najwyraźniej tak uważasz.
- Nie dramatyzuj.
- Wynoś się - powiedziała cicho Dianę.
- Co?
- Wkładaj płaszcz, zabieraj tego swojego pijusa i idź sobie. No już!

Nie padło już ani jedno słowo. Gdy wyszli, Dianę usiadła na kanapie obok Tommy'ego.

- O co poszło z ciocią Verą? Słyszałem, jak się kłóciłyście.
- Właściwie o nic. Przestałam nad sobą panować.
- Cieszę się, że już poszli. •
- Ja też. Przytul się do mnie. Objęła go i przygarnęła do siebie.
- Kocham cię - szepnęła.
- Ja ciebie też.

Długo tak siedzieli, oglądając telewizję. Nadawano pełną wymuszonej świątecznej wesołości rewię, w której dwaj mężczyźni przebrani za renifery odstawiali jakiś komediowy numer taneczny. Nastrój programu był tak odległy od tego, co czuła Dianę, że równie dobrze mógł być transmitowany z Marsa.

Początkowo zadowolona z pozbycia się cioci Very Dianę

221

zaczynała mieć poczucie winy. Niemniej złość dodała jej pewności siebie. Były to pierwsze autentyczne emocje, jakich doświadczyła od śmierci matki. Dotychczas wypełniała ją tylko bolesna pustka. Dianę nie uroniła ani jednej łzy. Powtarzała sobie, że to zupełnie normalne, że jest w szoku. Ale bez przekonania. Musiała powoli zmierzyć się z prawdą, że w istocie nigdy nie kochała swojej matki ani nie czuła się przez nią kochana. Całe życie była dla niej irytującym kłopotem.

Dianę zastanawiała się czasem, jak taki brak miłości mógł na nią wpłynąć. Czy niekochane dziecko kiedykolwiek nauczy się kochać własne potomstwo? Być może z konieczności stała się tak bardzo samolubna, tak skupiona na tym, by przetrwać i udowodnić sobie, że jest coś warta, iż utraciła

zdolność kochania. Była przekonana (przynajmniej w takiej mierze, w jakiej, jak jej się wydawało, można być co do tego przekonanym), że jej uczucie do istoty, którą wydała na świat i która teraz się do niej tuli, do tego dziewięciolatka, ale wciąż dziecka, które łatwo zranić, to właśnie miłość, prawdziwa i gorąca miłość, jaką czuje każda matka. Czasem bolesna nie do wytrzymania. A może ten ból to tylko zakamuflowane poczucie winy? Poczucie winy i - ta myśl tak przeraziła Dianę, że ledwie zdołała ją dopowiedzieć - litość.

W korytarzu zabrzączał telefon. Dianę pocałowała Tommy'ego w czoło i poszła odebrać. Telefonistka wymieniła jej nazwisko, upewniając się, że rozmawia z właściwą osobą, i powiedziała, że ma rozmowę międzynarodową ze Stanów Zjednoczonych.

Dzwonił Ray. Zapytał, jak przebiegł pogrzeb, jak się czują Dianę, Tommy i jej ojciec. Od tygodni, od wyprowadzki z synem, Dianę była zimna i nieugięta, ilekroć Ray zadzwonił.

222

On przyjmował to bez słowa, nie skarżył się i nie przestawał dzwonić. Ale po tym wszystkim, co się stało, dalsze wymierzanie mu kary wydało jej się małostkowe i niesłuszne. Ray wyczuwał, że następuje pewne ocieplenie stosunków.

Dianę opowiedziała mu, jak minął dzień, i jednocześnie zdała sobie sprawę, jaką pociechą jest dla niej to, że może z nim porozmawiać, że ma kogoś, kto ją zna, wysłucha i wesprze. Gdy usłyszała, że wyrzuciła z domu ciocię Verę, parsknęła śmiechem.

- Moja dzielna dziewczynka.

Te słowa zawisły w ciszy, która nagle zapadła.

- Nie mogę dłużej rozmawiać - powiedziała w końcu Dianę.

- Rozumiem.

Oboje milczeli przez chwilę.

- Tęsknię za tobą, skarbie. Nie odezwała się.

- Bardzo cię kocham.

- Och, Ray...

- W porządku. Nie musisz nic mówić. Po prostu chciałem ci powiedzieć... Przyszło orzeczenie rozwodu.

Nie wiedziała, jak zareagować.

- Chciałaś, żebym cię powiadomił - przypomniał, chcąc wypełnić ciszę.

- Dziękuję.

- Sama widzisz. Pozdrów Tommy'ego. I przekaż moje kondolencje ojcu.

- Przekażę.

Zapaliła papierosa i przez chwilę stała w kuchni, rozmyślając o Rayu. Zgasiła niedopałek w popielniczce, włożyła płaszcz

223

i przeszła przez ogród do garażu, gdzie przebywał ojciec. Śnieg przestał padać. Mróz nadal trzymał i niebo było rozgwieżdżone.

Dostrzegła ojca w kręgu światła, pochylonego przy warsztacie na końcu długiego ciemnego garażu. Na czole miał lampkę, w oku lupę i ostrożnie zamalowywał ostatnie spojenie na biało niebieskim porcelanowym wazonie. Dianę stanęła przy nim, patrząc, jak pracuje, i szczerzej owinęła się płaszczem.

- Wszyscy poszli? - zapytał, nie podnosząc głowy.

- Tak.

- Dzięki Bogu.

Od lat nie widziała go przy pracy. Zapomniała, jakie ma zręczne palce. Odłożył pędzelek i delikatnie obrócił wazon, uważnie mu się przyglądając. Nikt by nie pomyślał, że wazon kiedyś się stłukł.

- Wygląda dobrze.

- Hm, całkiem, całkiem. Był w siedmiu kawałkach.

- Tato?

Wyjął lupę z oka i dopiero teraz spoglądając na Dianę, dostrzegł łzy spływające po jej policzkach. Poklepał ją po ramieniu.

- No, nie trzeba, koleżanko.

- Bardzo przepraszam, tato.

- Za co, u licha?

Otarła oczy, ale łzy nadal płynęły.

- Bo ja wiem? Za wszystko.

Wstał, zdjął z czoła lampkę i położył ją na blacie, po czym niezdarnie objął córkę. Gdy jej nozdrza wypełnił zapach dymu fajkowego, mydła i kulek przeciw molom, którymi przesiąkło

224

jego ubranie, znów poczuła się jak dziecko i ogarnął ją jeszcze większy smutek. Szlochająca wtulona w jego ramię.

- Zrujnowałam jej życie - wykrztusiła.

- Nie, nie - odparł chrypliwym szeptem, gładząc ją po włosach.

- O tak.
- Skądże. Sama je sobie zrujnowała.

Rozdział Siedemnasty.

- Był czwartek w nocy - mówił Danny. - Od kilku dni właściwie panował spokój. Parę razy ostrzelano z moździerzy bazę, ale nic poważnego, nikt nie został ranny. Jeden z żołnierzy miał urodziny i jego kumpel, który pracował w kuchni, zrobił niesamowity tort czekoladowy w kształcie humvee. Wychodziliśmy na patrol syci i zadowoleni.

Przerwał, kierując wzrok na ocean. Fale urosły. Zerwał się gorący wiatr i rozprasał resztki mgły, niosąc słone morskie powietrze. Tom i Danny siedzieli na piasku, w cieniu pochylonych palm. Przed nimi stały obok siebie ich buty i suszyły się na słońcu. Danny miał podwinięte do kolan nogawki zamoczonych spodni i leniwymi ruchami otrzepywał nogi z piasku. Tom czekał, aż syn podejmie wątek.

Początkowo prawie nie rozumiał opowieści syna. Tyle w niej było slangu i wojskowego żargonu, tyle akronimów i cierpkich eufemizmów, że czasem brzmiała jak w obcym języku. Tom wiedział, co to jest NCO, a co RPG, ale nie miał pojęcia, co

226

to takiego IED, NVG, QRF i SAW*.

[* NCO (non commissioned officer) - podoficer.

RPG (rocket propelled greuade) - granatnik przeciwpancerny.

IED (improvised explosive device) - improwizowany ładunek wybuchowy, tzw. mina pułapka.

NVG (night vision goggles) - gogle noktowizyjne.

QRF (quick reaction forces) - siły szybkiego reagowania.

SAW (squad automatic weapori) - broń automatyczna piechoty: karabin maszynowy M249 SAW].

Danny roześmiał się, gdy Tom zapytał, co znaczy WTF*, i jeszcze raz, gdy zapytał, ilu ludzi siedziało w hummerze.

[* WTF (What the fuck) - Co jest, kurwa?].

- Co w tym śmiesznego?

- Mówimy „humvee”, tato. „Hummer” oznacza obciążanie druta.

Wtedy Tom uznał, że lepiej się nie wtrącać, tylko słuchać.

Baza kompanii Danny'ego znajdowała się jakieś czterdzieści mil na północ od Bagdadu, w opuszczonych zakładach przetwórstwa spożywczego, które zamieniono w fortecę. Roilo się tam od szczurów i karaluchów i okrutnie śmierdziało, więc prawdopodobnie dlatego pierwsza zmiana nazwała bazę Mordor. Dokoła były przeważnie pola uprawne, winnice i sady, z siatką kanałów nawadniających i dróg nieumieszczonych na mapach, oraz gdzieś tam rozległe miasteczka i wioski.

Miejscowa ludność, także w wielu innych regionach, powitała oswabadzających kraj najeźdźców z otwartymi ramionami, mówił Danny. Ale z czasem zaczęła wyrażać swoje uczucia nocnymi ostrzałami moździerzowymi i raketowymi bazy i coraz bardziej pomysłowymi minami pułapkami. Robiono je zazwyczaj z pocisków artyleryjskich kalibru 155 milimetrów i zakopywano na nieutwardzonym poboczu drogi albo w niewidocznym przepuście, a bywało, że chowano w ciele martwego psa lub kozy i odpalano zdalnie za pomocą telefonu komórkowego.

227

- Mina, na którą najechaliśmy tamtej nocy, tkwiła w ciele martwego osła - opowiadał Danny. - Mieści ci się w głowie, że można zrobić coś takiego? Chryste. Gdybyśmy tylko pociągnęli nosami, zapewne wyczulilibyśmy to cholerstwo z odległości stu jardów.

W skład ich oddziału szybkiego reagowania wchodziły trzy hunwee. Danny jechał w trzecim. Ci na czele powinni byli zauważyć minę i prawdopodobnie tak by się stało, gdyby tamtej nocy księżyc nie zbliżał się do pełni. Wzeszedł późno i był ogromny, mówił Danny, padały ostre cienie. I właśnie w cieniu, pod drzewem na skraju mizernego sadu, leżał osioł. W zielonym świetle zalany blaskiem księżyca, jaki oglądali przez gogle noktowizyjne, wyglądał jak jeszcze jedna nierówność na pofałdowanym terenie.

- Patrzyłem przed siebie, gdy nastąpił wybuch. Rozbłysło niesamowite białe światło i jadący na przedzie hunwee stanął dęba jak byk na rodeo albo coś takiego. Podmuchał mnie z siedzenia. Przemknęło mi przez myśl, że dostaliśmy i my, ale tak nie było. Gdy opadły dym i kurz, zobaczyliśmy, że trafiony pojazd zarył przodem w rowie po drugiej stronie drogi. Tylne koła kręciły się w powietrzu. Dolna część prawego boku się oderwała. Stalowy pancierz był odgięty jak płatki jakiegoś niesamowitego kwiatu.

Danny pokręcił głową i zamilkł na parę minut.

- A potem już nic, tylko ta upiorna cisza. No wiesz, osłupieliśmy. Każdy myśli: Kurwa, to naprawdę się wydarzyło? Czyja wciąż tu jestem? I raptem, jakby ktoś znów wcisnął klawisz „play”, wszystko z wolna wraca do życia. Ludzie wrzeszczą i klną, wołają do siebie po imieniu. Do tego gadanina przez radio, pytają, co się stało, podają pozycje, wzywają wsparcie.

228

Danny odwrócił się i spojrzał z powagą na Toma, jakby chciał dobrze objaśnić sytuację.

- To nie panika. Raczej coś w rodzaju kontrolowanego szaleństwa, rozumiesz? Każdy wie, co robić. Po to go szkolili. Ale jest w szoku, skacze mu adrenalina, ma mętlik w głowie i dzwoni mu w uszach po wybuchu, jednak szybko przebija się przez ten chaos i sobie przypomina. I to jest niebezpieczna

chwila, bo gdy jesteś otumaniony i starasz się ogarnąć sytuację, ci skurwiele, którzy podłożyli minę i przyglądali się zabawie, zaczynają walić do ciebie z karabinów.

Właśnie tak się stało, mówił Danny. Gdy żołnierze wyskoczyli z drugiego i trzeciego samochodu (choć trudno mówić o wyskakiwaniu, dorzucił, kiedy człowiek dźwiga sto funtów sprzętu i uzbrojenia i ma na sobie kewlarową kamizelkę), usłyszeli trzaski i świsty rozpoczynającego się ostrzału. A potem odezwały się moździerz.

Na szczęście rebelianci zazwyczaj nie umieli prowadzić precyzyjnego ostrzału moździerzowego. Wyglądało na to, że zaczęli się w wysokich i gęstych trzcinach, które rosły nad kanałem może w odległości dwustu jardów w głąb sadu. Atak trwał krótko, bo obróciły się wieżyczki dwóch sprawnych humvee i strzelcy walnęli z półcalowych wukaemów, a ci na ziemi z karabinów M16, prowadząc ogień osłaniający i ozdabiając niebo dymem z pocisków smugowych.

- No i zaraz trzciny zwiślały w strzępach, drzewa w sadzie poszły w drobny mak. Zostały same kikuty i drzazgi. A ci dranie albo byli już martwi, albo robili w gacie i próbowali ratować dupy, bo atak ustał.

Kierowca trafionego humvee zginął i prawdopodobnie nawet nie wiedział kiedy. Urwało mu obie nogi. Pozostali dwaj żołnierze

229

odnieśli ciężkie rany. Jeden z nich był najlepszym przyjacielem Danny'ego. Nazywał się Ricky Peters i pochodził z Pasadeny, niedawno skończył dwadzieścia lat. Rzadko się spotykało tak zabawnego człowieka, twierdził Danny, wszyscy go uwielbiali.

Gdy Danny'emu udało się przebiec przez drogę i schronić za rozwalonym samochodem, ktoś już złożył zestaw do kroplówki, wbił igłę w ramię Ricky'ego i pozwolił mu odpłynąć w morfinowy sen. Wyszczerbiona stalowa płyta tkwiła w jego pachwinie, nogi były zalane krwią i wyglądały jak kawał oprawionego mięsa.

- Na twarzy miał ten swój niesamowity uśmieszek - opowiadał cicho Danny. - Próbował coś powiedzieć, ale tylko bełkotał jakiś chory żart na temat swoich jaj. Mogłem go jedynie obejmować i gładzić po czole.

Danny przetłknął ślinę i przez chwilę wpatrywał się w piasek. Mój syn, myślał Tom, mój chłopiec, to wprost niewyobrażalne, że był świadkiem takich okropności. Położył rękę na jego ramieniu. Danny uspokoił się i opowiadał dalej.

Śmigłowiec Black Hawk do ewakuacji rannych wylądował po kilku minutach. Przepatrzone teren i znaleziono jedną nogę kierowcy, drugiej nie udało się odszukać. Danny wyjaśnił, że ze względu na rodzinę zawsze odsyłano do kraju ciała na tyle kompletne, na ile to było możliwe. Ratownicy medyczni zabierali tylko rannych, ale tym razem załadowano również zwłoki. Śmigłowiec uniósł się w powietrze i zakręcił na tle tarczy Księżycy.

Oddział Danny'ego się przegrupował. Ich zadanie polegało teraz na znalezieniu skurwieli, którzy dokonali zamachu. Miny pułapki często aktywowano za pomocą telefonu komórkowego,

230

ale tę zdetonowano pociągnięciem za druty. Jeden z dowódców oddziału szybkiego reagowania, sierżant Marty Delgado, wezwał Danny'ego i razem poszli wzdłuż drutów przez zielony sad w poświacie Księżycy. Nad nimi przelatywał tam i z powrotem śmigłowiec Apache, omiatając reflektorami trzciny i kanały.

Stosunki między Danny'm a Delgadem nie układały się dobrze. Ścisłe mówiąc, już się nie układały. W piechocie morskiej służą z definicji twardziele, ale Delgado nadał temu słowu nowy sens, twierdził Danny. Był twardzielem klasy tytanu i nigdy nie marnował okazji, żeby pokazać to światu.

- Gra mięśni i tatuaże jak u osiłka - opisywał go Danny. - Gość ogląda się w każdym lustrze. I zawsze ma w plecaku dodatkowy sprzęt, gdyby niespodziewanie musiał wejść na Everest, nurkować z akwalungiem albo coś takiego.

Parę tygodni wcześniej byli w bazie, wspominał Danny, i Delgado głądził, ile to razy potrafi wycisnąć jakiś nadludzki ciężar, leżąc na ławce. Trochę później Danny i Ricky byli w łazience i w żartach naśladowali Delgada. Nie robili tego złośliwie, po prostu dla śmiechu, bez świadków. A przynajmniej tak im się wydawało.

Danny napomknął coś o rozmiarach fiuta Delgada (miał wyjątkowo małego, dodał na marginesie), a tu raptem kto wyłania się zza ściany - on sam. Danny poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, i miał tylko nadzieję, że Delgado nie usłyszał. Wkrótce okazało się, że jednak usłyszał, bo od tamtego dnia zaczął się go czeplić o byle co. Nazywał go ofermą i poniżał przed całym plutonem.

Najbardziej wkurzające było to, że tamtej nocy, gdy podłożono osła z miną, ten podlec miał powód. Kiedy znaleźli

231

kryjówkę zamachowca (pozostało po nim przytulne gniazdko w trzcinach i druty nadal podłączone do dwunastowoltowego akumulatora samochodowego), Danny potknął się i zjechał na plecach do kanału nawadniającego. Betonowa okładzina kanału była gładka i pokryta szlamem, więc nie miał się czego złapać. Wpadł po pachy do cuchnącej wody.

- Na śliskiej powierzchni, obciążony kamizelką kuloodporną, zjeżdżałem za każdym razem, gdy próbowałem się wydostać. Delgado gapił się na mnie z góry, bez słowa, tylko kręcił głową, jakby pierwszy raz widział takiego kretyna. Po chwili wyjął z plecaka linę i mnie wyciągnął.

Danny był na siebie wściekły, mamrotał pod nosem jakieś obrazowe i dosadne słowa o tym, co zrobi zamachowcy, temu pieprzonemu hadzi, gdy go dopadną. Delgado rzucił mu ostrym tonem, żeby wziął się w garść.

Szli ścieżką przez trzciny, bez wątplenia przygotowaną jako droga ucieczki - Danny ociekał jak cedzak, smród bił od niego na milę, chlupało mu w butach. Przez radio otrzymali informację, że widziano mężczyznę w kurtce w barwach ochronnych i białych spodniach (dość dziwne połączenie, coś w rodzaju „raz mnie widać, a raz nie”, zauważył Danny), który biegł w kierunku zabudowań gospodarskich znajdujących się kilkaset jardów przed nimi. Delgado zameldował, że szukają tego człowieka.

Przebiegli przez wąski drewniany mostek na jednym z kanałów i dopiero gdy wydostali się z trzciny, zobaczyli gospodarstwo: skupisko rozpadających się szop i stodół z kamiennych bloków, pokrytych zardzewiałymi blaszanymi dachami, a dalej wyższe białe ściany głównego budynku. Wyleciał do nich ujadający pies, którego Delgado zastrzelił na miejscu serią z M16.

232

Gdy znaleźli się jakieś pięćdziesiąt jardów od zabudowań, ktoś ostrzelał ich z kałasznikowa. Na terenie były krzaki i nadające się na szmelc maszyny rolnicze, które mogli wykorzystać jako osłonę. Odpowiedzieli ogniem i w kilku rzutach dopadli do pierwszej stodoly. W chwili gdy się za nią schronili, zobaczyli faceta w kurtce w kamuflażu, z kałasznikowem, jak wyskakuje zza szopy i chowa się za rogami budynku gospodarczego. Stało się to w mgnieniu oka. Strzelili, ale zniknął.

Jak było do przewidzenia, mówił Danny, gdy sami wyszli zza budynku, tamten się rozpułnął. Zobaczyli natomiast kilkanaście kobiet i dzieci oraz paru mężczyzn, w większości starców, którzy zbili się w gromadę na gównianym podwórku, wśród szczekających psów i rozgdakanych kur. Nieprzytomni ze strachu.

- Dwie kobiety stały z niemowlakami w ramionach. Wszyscy krzyczeli, piszczeli, trzymali ręce w górze. To dziwne, ale widziani przez gogle robili przerażające wrażenie. Mieli białe oczy, wyglądali jak upiory, jak banda żywych trupów.

Chwilę później czterech żołnierzy wpadło drugim wejściem na podwórze, jednocześnie nad dachem pojawił się śmigłowiec i zawisł w górze, kierując snop światła prosto na gromadę ludzi, których wrzaski i krzyki przerażenia natychmiast zamieniły się w autentyczną histerię. Diabli wiedzą, gdzie przepadł gość z kałasznikowem.

Danny urwał i znowu przełknął ślinę. Siedząc z nogami przyciągniętymi do piersi, dotknął czołem kolan, jakby chciał zebrać siły na dalszą opowieść. Tom położył mu rękę na ramieniu i czekał w milczeniu. Na brzegu stała młoda kobieta, rzucała do wody kij dużemu czarnemu psu. Wiatr się wzmógł, zaczął wiać od morza, wzbijając wysokie fale, w których pies

233

kotłował się, ale za każdym razem wracał z kijem w pysku, wciąż chętny do zabawy.

Po kilku minutach Danny odezwał się tak cicho, że Tom musiał się pochylić, by go usłyszeć. Powiedział, że Tomowi pewnie trudno będzie sobie wyobrazić, jacy oni byli nabuzowani tamtej nocy. Nie mógł przestać myśleć o swoim przyjacielu Rickym, który leżał zalany krwią i uśmiechał się, rzucając jakiś ponury dowcip o tym, że urwało mu jaja. No i jeszcze te rozwrzeszczane, zawodzące kobiety. W Danny'ego gotowało się z nienawiści, ze strachu i Bóg wie z czego, niemal rozsadzało mu głowę.

Wtedy Delgado rozkazał jemu i młodemu szeregowcowi, który nazywał się Eldon Harker, pilnować ludzi na podwórzu, a sam razem z trzema żołnierzami zamierzał przeszukać dom. Danny zakwestionował jego polecenie, ponieważ to on widział strzelającego do nich mężczyznę i rozsądek nakazywał włączyć go do grupy prowadzącej poszukiwania. Delgado kazał mu się zamknąć i wykonać

polecenie. Harker pochodził z Cleveland, dopiero co przyjechał na służbę. Danny prawie go nie znał. Biedak miał przerażenie w oczach.

Delgado wszedł z tamtymi do budynku, zostawiając ich dwóch na podwórzu. Stali tam zaledwie parę minut, gdy śmigłowiec nad nimi przechylił się i skręcił. I wtedy Danny popełnił błąd: podniósł wzrok i oślepiło go światło reflektorów. W tej samej chwili z budynku doleciały krzyki, brzęk tłuczonego szkła i seria z karabinu.

Gdy wciąż trochę oślepiony światłem spojrzął ponownie na schwytanych nieszczęśników, ktoś lub coś poruszyło się za plecami kobiety z dzieckiem. To był mężczyzna, nieco młodszy od reszty. Danny miał pewność - prawie pewność - że jeszcze przed chwilą ten człowiek tam nie stał.

234

- Był ubrany w białą koszulę i białe spodnie, patrzył mi prosto w oczy. I nagle przeleciało mi przez myśl: O kurwa, to on, to jego szukamy. Ten drań po prostu zrzucił kurtkę i jak gdyby nigdy nic wmieszał się w gromadę. Wtedy krzyknął Harker, więc uznałem, że też tak pomyślał.

To było zaledwie kilka sekund. Nawet mniej. Coś jakby przedłużona chwila. Z oczu tego faceta dało się wyczytać, że wie, iż go rozszyfrowano. Trząśnięcie, kiwało, jakby chciał zwiać. Ni stąd, ni zowąd pochylił się, Harker znów krzyknął, któraś z kobiet wrzasnęła i Danny usłyszał - z całą pewnością usłyszał wyraźnie - trzask, taki sam jak podczas przeładowywania broni. I wtedy ją dostrzegł.

- Błysk lufy wystającej zza biodra kobiety. Ten skurwiol podniósł kałacha i szykował się do strzału.

Danny krzyknął i razem z Harkerem otworzyli ogień z M16.

Siedmiu zabitych. Starzec, trzy kobiety, pięcioletnia dziewczynka i niemowlę. No i ten młody mężczyzna, który sięgał po broń. Tylko że wcale jej nie miał. Trzymał metalową kulę. Facet był inwalidą, bez nogi.

Dziewczynka i niemowlę leżeli obok siebie, ciała zakrwawione i poszarpane kulami, ale twarze nietknięte. Dziewczynka miała otwarte oczy. Ten widok wrył się Danny'emu w pamięć.

- Co noc widzę jej twarz - szepnął. - Wystarczy, że zamknę oczy, a ona się pojawia i wpatruje się we mnie.

Tom objął syna i przyciągnął do siebie. Długo milczeli, słuchając, jak fale uderzają o brzeg, i patrząc, jak rozmigotane i pokryte smugami słońce chowa się w wodzie.

- Wystawią mnie do wiatru, tato. Powiedzą, że mam się bujać.

Rozdział Osiemnasty.

Tom leciał z Los Angeles do domu dopiero następnego popołudnia, wobec tego zawczasu zarezerwował nocleg w hotelu sieci W Hotels w Westwood. Przydzielono mu elegancki, komfortowy pokój wielkości mniej więcej garderoby. Tom był zmęczony, lecz tyle myśli kłębiło mu się w głowie, że

nie mógł zasnąć i szedł na dół do baru. Były tam przyciemnione lustra, stonowane oświetlenie i goście młodszy od niego o połowę i niemożliwie urodziwi. Usiadł przy kontuarze, zamówił wodę mineralną i pierwszy raz od wielu lat poczuł, że ma ochotę na coś mocniejszego.

Wróciwszy do pokoju, położył się na łóżku na wpół ubrany i zaczął oglądać wywiad Jaya Leno z jakimś nieznanym mu młodym aktorem, który miał na twarzy parodniowy zarost. Próbował się skoncentrować, ale bezskutecznie. Mógł myśleć tylko o Dannym i o tym, co go czeka. Nie wiadomo kiedy zapadł w niespokojny półsen, w którym przeszukiwał bagna porośnięte wysokimi trzcinami, rozchylał je i raz po raz wołał Danny'ego, aż znalazł się nad ciemnym stawem. Spojrzał w dół

236

i zobaczył pokrytego szlamem syna, który wyciągał ręce, wzywając pomocy. Tom obudził się zły potem, z wytrzeszczonymi oczami; potarł twarz, żeby odpędzić resztki snu. Gdy tylko przymknął powieki, sen powrócił. Tom patrzył na twarz Danny'ego, bladą, upiorną, wystraszoną. Położył się na ziemi i usiłował go ratować, ale chłopiec był za daleko. Tak mało brakowało, żeby ich wyciągnięte ręce się zetknęły. I wtedy zauważył, że jest tam nie tylko Danny, że na wodzie unosi się wiele ciał.

Wstał koło szóstej, wziął prysznic i wymeldował się z hotelu. Od lat nie odwiedzał Los Angeles, żeby nie spotkać duchów przeszłości. Prawie pustymi ulicami przejechał przez miasto do West Hollywood, mijając miejsca zapamiętane z dzieciństwa. Wszystko się zmieniło. Szkoła Carla Curtisa została przeniesiona dawno temu, zabudowano teren małego parku, do którego przychodził głaskać zwierzęta. Pojechał w górę La Cienega, dalej Sunset Boulevard i na wzgórze, trasą, którą wybierała Dianę, wioząc go ze szkoły do domu Raya. Gdy pokonał ostatni zakręt, zobaczył, że nie ma już znanej mu bramy i zniknął czerwony dach w głębi. Dom został zburzony, stanął tam elegancki pałac z betonu i szkła.

Zawrócił drogą w dół kanionu, skierował się autostradą na wschód i potem na północ, do krematorium, gdzie odbyły się uroczystości pogrzebowe Dianę. Wówczas budynek stał na otwartym terenie, a teraz każda piędź ziemi została zabudowana, więc poszukiwania zabrały mu dużo czasu.

Cmentarz był dużo mniejszy niż w jego wspomnieniach. Dianę nie miała grobu ani nagrobka. Pewnie dlatego, że jej śmierci towarzyszyła atmosfera wstydu, a może dlatego, jak sądził wtedy Tom po jakiejś lekturze, że skazany morderca nie miał prawa

237

spocząć w grobie. Potem dowiedział się, że takie było życzenie Dianę. Jej prochy zostały rozsypane w tak zwanym Ogrodzie Pamięci. Tom znalazł to miejsce i w mocnym porannym słońcu przeszedł wolnym krokiem wśród klombów. W altanie z białych i różowych róż stała kamienna ławka. Zapach róż niezmiennie przywodził mu na myśl Dianę. Usiadł i zamknął oczy, myśląc o niej i próbując ją sobie wyobrazić. Najpierw pojawiał się zawsze obraz, gdy widział ją ostatni raz. Ubrana na białą stoi w smudze słońca w celi więziennej. Jakże żałował, że tamtego dnia nie był dla niej miłszy.

Pojechał na lotnisko LAX, oddał wynajęty samochód i zgłosił się do odprawy na długo przed czasem. W poczekalni przeczytał wszystkie dzienniki i tygodniki. Dużo pisano o Iraku, ale w żadnej gazecie nie znalazł niczego o Dannym. Media straciły zainteresowanie tym incydentem. Na początku przypuszczał, że na jego progu pojawi się ekipa telewizyjna - nic takiego się nie stało. Zadzwoń

jedynie znajoma reporterka z „Missoulian”, która, nie wymieniając Toma z nazwiska, napisała krótką notatkę zamieszczoną gdzieś w środku gazety.

Gina miała znacznie gorzej. Przez tydzień reporterzy próbowali wydobyć jakieś słowo od rodziny i grzebali w jej przeszłości, ale Dutch szybko ich pogonił. Dość dużo pisano o tej sprawie w Internecie, choć bez porównania mniej niż o Al Hadisie, poza tym trzeba było sporo się naszukać. Może wynikało to z czystej arytmetyki. W Al Hadisie zginęło dwudziestu czterech cywilów. Zaledwie siedem ofiar prawdopodobnie nie zasługiwało już na uwagę.

Wylądowali w Missouli o czasie. Tom z przyjemnością odetchnął czystym i chłodniejszym niż w Los Angeles powietrzem. Znalazł swój samochód i pojechał na wschód, do miasta,

238

potem na drugą stronę Clark Fork River i dalej do sklepu z ekologiczną żywnością przy Trzeciej Ulicy, żeby kupić coś na kolację. Znow stał się zwolennikiem zdrowego odżywiania (mijało mu to mniej więcej po tygodniu). Akurat ładował do wózka ekologiczne pomarańcze, gdy zadzwoniła jego komórka. Odezwała się kobieta i nie podając nazwiska, jakby powinien ją rozpoznać, zaczęła rozmowę.

- Cześć. Jak poszło?

Tom nie miał pojęcia, kto mówi ani czego dotyczy pytanie. Powiedział więc: „Cześć. Nieźle” i wtedy synapsy, na szczęście, zaskoczyły - uprzytomnił sobie, że rozmawia z Karen O'Keefe.

- Podpisałeś kontrakt na ten wielki film? Przypomniał sobie kłamstwa, których jej nagadał o swoich spotkaniach w Los Angeles.

- Gdzie tam. To jeszcze nie ten etap.

- Aha.

- Prawdę mówiąc, właśnie wróciłem.

- O, przepraszam.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Co u ciebie? Jak mama? To znaczy, w związku z kotem... Jak on się nazywał?

- Maurice. Nie posiada się ze szczęścia. Zabrzmiało to tak, jakby była podłą babą, co? W każdym razie jest podekscytowana, a jednocześnie trochę gryzie ją sumienie. Chce cię poznać. Masz ochotę na kolację?

- Jak to? Z twoją mamą?

Karen O'Keefe się roześmiała. Bardzo lubił jej śmiech.

- Nie, ze mną. Ale jeśli chcesz, zabiorę mamę.

- Może innym razem. Posłuchaj, mógłbym zrobić dla nas jakieś zakupy. Akurat jestem w sklepie...

- Ja też.
- Słucham?
- Też tu jestem. Spójrz w prawo.

Stała zaledwie dwadzieścia jardów od niego, uśmiechnięta od ucha do ucha. Zatrzasnęła klapkę telefonu i ruszyła w jego stronę. Tom, czując lekki dreszczyk, znowu powiedział sobie, że ma nie być głupcem.

- Najpierw kot, teraz to - zagadnęła. - Na pewno myślisz, że cię śledzę.
- Nie krępuj się.

Zaproponowała, że postawi mu kolację, ale Tom powiedział, że skoro znajdują się wśród tych fantastycznych produktów, a on uwielbia gotować, to może zjedzą u niego. Wzruszyła ramionami, rzuciła: „Jasne” i przeniosła swoje nieliczne zakupy do jego wózka, po czym zaczęli krążyć po sklepie i zastanawiać się, co zrobić na kolację.

Tom pchał wózek i przyglądał się, jak Karen dokonuje oględzin, obraca w rękach towary, maca owoce, czy są dojrzałe, czyta etykiety. Podobało mu się, jak przygryza w skupieniu wargę, jak marszczy pokryte piegami czoło, jak zakłada włosy za uszy. Tak naprawdę wszystko mu się w niej podobało. A przede wszystkim podobało mu się, że ktokolwiek na nich spojrzy, może uznać, iż są parą. Już zapomniał, jaka to przyjemność.

Kupili steki, warzywa na sałatkę, kilka francuskich serów, świeże maliny i jakieś wykwintne lody, o których Tom nigdy nie słyszał, ale Karen twierdziła, że są najpyszniejszą rzeczą na świecie. Do diabła z dietą. Chciała zapłacić, ale się nie zgodził.

Wsiadła do swojego volvo kombi, żółtego grata pokrytego

grubą warstwą brudu, i ruszyła za Tomem. Gdy zajechali pod dom, Makwi wypadła w podskokach, robiąc takie zamieszanie wokół swego pana, jakby nie było go kilka lat. Liz, znajoma, którą zatrudnił do opieki nad psem i domem, gdzie się spieszyła, więc Tom wręczył jej należność i podziękował. Potem razem z Karen wzięli Makwi na spacer przez las do kruczych skał.

Tom zwykle dochodził tylko do podnóża urwiska, ale tego wieczoru poszli dookoła zboczem i wspięli się na samą górę. Na ostatnich stu jardach ścieżka była pokryta drobnymi kamykami i tak stroma, że Tom musiał dwa razy podać Karen rękę. Weszła na szczyt zasapana, więc usiedli obok siebie na skalnej płycie i podziwiali widok na korony drzew.

Gdy patrzyło się z tego miejsca, dom Toma nił w zieleni, widać było jedynie łuk potoku, topole nad brzegiem i łąkę, gdzie Gina trzymała konie. Zabarwione błękitem światło przygasało łagodnie, a o zachodzie przeciwniegi stok doliny pokrywała ciemna plama. Podczas spaceru prawie nie przestawali rozmawiać, a teraz siedzieli w niekrępującej ciszy. Para kruków odstraszała jastrzębia, który prawdopodobnie zanadto zbliżył się do ich piskląt. Wrzaskliwe krakanie niosło się echem po dolinie.

Wchodząc na urwisko, rozmawiali o rodzicach Karen, o znacznie starszym od matki ojcu, który od dawna nie żył i którego Karen właściwie nie знаła. Teraz Tom odpowiadał na jej pytania o rodziców. Powiedział, że też nigdy nie poznał swojego ojca, że w istocie nigdy go nie widział i nie wie, czy jeszcze żyje.

- Nie jesteś ciekaw?

- Trochę. Ale nie aż tak, żeby się dowiadywać.

- Wiesz, gdzie mieszka?

241

- Wiem, gdzie mieszkał trzydzieści lat temu. Raz go widziałem.

Umilkł. Zielone oczy wpatrywały się w niego, czekając na dalszy ciąg historii. Tylko Ginie o tym powiedział. Karen O'Keefe nagle zorientowała się, że dotknęła delikatnego tematu.

- Przepraszam. Wtykam nos w nie swoje sprawy.

- W porządku. Nic się nie stało.

Wtedy opowiedział jej, jak to piętnastoletnia Dianę zaszła w ciążę, jak dziadkowie udawali, że są jego rodzicami, i jak dużo później, gdy miał dwadzieścia kilka lat, zaczął szukać ojca i, o dziwo, bez trudu znalazł jego adres. David Willis zbliżał się wówczas do czterdziestki, mieszkał w Tunbridge Wells, w południowo-wschodniej Anglii. Tom zastanawiał się, czy napisać do niego list, ale uznał, że byłoby to dla biedaka zbyt dużym szokiem - przecież Dianę nie poinformowała go o ciąży.

W końcu, podczas którejś z nielicznych podróży do Anglii, Tom wynajął samochód, pojechał do Tunbridge Wells i znalazł dom stojący przy podmiejskiej ulicy pełnej zieleni.

- Był słoneczny niedzielny poranek. Ludzie kosili trawę w ogródkach. Wolno przejechałem koło domu i zobaczyłem tego człowieka: mył samochód na niewielkim podjeździe. Volvo, jak twoje, tylko dużo czystsze.

Karen O'Keefe roześmiała się uroczo, jak to ona.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, szczupły, przystojny. Jak widać, odziedziczyłem te geny.

- I co dalej?

- Minąłem dom, zakręciłem, wolno wróciłem i zaparkowałem pod drzewami po przeciwnej stronie. Siedziałem, obserwując tego człowieka.

242

Po jakimś czasie wyszła z domu pięć, może sześćioletnia dziewczynka. Mężczyzna udawał, że zamierza skierować na nią strumień wody, a ona piszczała rozbawiona, jakby chciała powiedzieć: „Nie odważysz się mnie oblać”. A potem on wziął ją na barana i opłukał samochód.

- Twoja młodsza siostra.
- Pewnie tak. Przyrodnia siostra.
- No i?
- Włączyłem silnik i odjechałem.
- Nigdy się z nim nie skontaktowałaś? Tom uśmiechnął się i pokręcił głową.
- Dlaczego?
- A co bym powiedział? „Cześć, mam na imię Tom. Jestem twoim synem, o którego istnieniu nie miałaś pojęcia”. Wydawało mi się, że gdybym miał mu zrobić coś takiego, podłożyć taką bombę, musiałbym mieć powód. I to dobry. Sama ciekawość nie wystarczała. A tak naprawdę powodowała mną tylko ciekawość. Nie czułem... związku.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- A twoja matka? Żyje?
- Nie, umarła dawno temu.
- Jakieś rodzeństwo?
- Siostra. Zginęła w wypadku samochodowym, gdy miałem trzynaście lat.
- Przykre.
- O tak.

Kłamstwo wydało mu się stare i wyświechtane. Nie posługiwał się nim od dawna i nagle zapragnął wyznać, jak naprawdę umarła Dianę. Ale czy będzie umiał powiedzieć tej prawie zupełnie obcej kobiecie to, czego dotąd nie zdołał

243

powiedzieć nikomu? Nawet na terapii, nawet Ginie. Miałby zbyt dotkliwe poczucie zdrady. Tak to już jest z kłamstwami. Jak sękate powyginane sosny, które rosły na stokach gór Front Range, kłamstwa z upływem czasu nabierają mocy. Kruk zatoczył tuż przed nimi łuk, zniesiony powiewem ciepłego wiatru. Tom uznał, że należy zakończyć rozmowę, i wstał.

- Zgłodniałem, a ty?
- Jasne. Pora na kolację.

Zawołali Makwi, która zdyszana wybiegła kłusem spośród drzew, niewątpliwie po kolejnym ekscytującym polowaniu. - Będziemy musieli szukać ciała? - zapytała Karen. - Czy twoja mama wzięła następnego kota?

Szli w dół niemal bez słowa do samego domu. Tom nalał Karen kieliszek wina, sobie wodę gazowaną, i wziął się do steków. Karen zapaliła świece na tarasie, a potem usiadła przy stole w kuchni i zaczęła

robić sałatkę. Podczas ich ostatniego spotkania Tom dał jej taśmy, na których nagrał wywiady z leciwymi Indianami z plemienia Czarnych Stóp na temat szkoły Misji Świętej Rodziny. Teraz rzucała pomysłami, jak wykorzystać te materiały w filmie, który jej zdaniem muszą razem nakręcić. Tom stał oparty o niski murek i patrzył, jak Karen rwie sałatę, nie przestając mówić. Lubił jej akcent, przeciąganie samogłosek charakterystyczne dla mieszkańców zachodnich stanów, ton jej głosu, bezceremonialny i zarazem poważny.

Steki były smaczne. Przy kolacji namówił ją, żeby opowiedziała o sobie. Studiowała w college'u w Boulder, a potem w szkole filmowej na Uniwersytecie Kalifornijskim. Zrobiła kilka filmów dokumentalnych, które dotyczyły głównie kwestii społecznych i środowiska naturalnego i były dość radykalne

244

zarówno pod względem wizualnym, jak i ujęcia tematu. Jeden z nich - o zawodach w zabijaniu kojotów, urządzanych w małym miasteczku w Wyomingu - otrzymał w zeszłym roku nagrodę na festiwalu filmowym w Sundance. Któryś z myśliwych napisał do niej list z wiadomością, że jeśli znowu pojawi się w miasteczku, zostanie powitana tak samo jak kojoty. Teraz pracowała nad filmem o weteranach wojny w Iraku. Tom upił łyk wody.

- Naprawdę?

- Tak. Będzie miał tytuł Chodzące ofiary. Chcę w nim powiedzieć, że zazwyczaj uważa się, iż ofiarami wojny są ranni i zabici, co na pewnym poziomie jest oczywiście prawdą. Ale moim zdaniem prawdziwe ofiary pozostają niewidoczne, ci wszyscy młodzi ludzie, wśród nich również kobiety, którzy widzieli i robili takie rzeczy, że wracają do domu popierdoleni i ich całe życie jest w rozsypce, nie wspominając o życiu tych, do których wrócili.

Umilkła. Wyraźnie czekała, aż Tom się odezwie.

- Brzmi interesująco.

Ogarniało go coraz większe przygnębienie. A więc to tak. Czuł się jak kretyń - oślepiła go próżność, wyobrażał sobie, że zadzwoniła do niego, bo ją pociąga. A ona po prostu chciała mieć dojsię do Danny'ego.

- Przestałeś ze mną rozmawiać.

- Przepraszam.

- To ja przepraszam. Wiem o twoim synu. Powinnam była coś powiedzieć.

- Niby dlaczego?

- Bo teraz uważasz, że jestem tu tylko z tego powodu.

- Nasunęła mi się taka myśl.

245

- Cholera!

Podniosła się z krzesła i stanęła przy balustradzie, patrząc w dół na strumień i obejmując się ramionami, jakby było jej zimno. Wśród topoli krzyknęła sowa. Świece migotały w słoiczkach. Refleksy światła kołysały się na sukience Karen. Tom widział, że jest zmartwiona i zażenowana, i nagle dotarło do niego, że zachowuje się podle. Do diabła, czy to ważne, dlaczego tu przyszła? Jakiegokolwiek miałyby powody, i tak przyjemnie spędził czas w jej towarzystwie i tylko to powinno się liczyć. Gdyby był na jej miejscu, prawdopodobnie postąpiłby tak samo. Uznał, że czas skończyć z tą dziecinadą.

- Karen?

Odwróciła się i zobaczył, że jest bliska łez.

- Przepraszam. Nie chcę, żebyś tak myślała.

- Wcale tak nie myślę. Chodź do stołu.

- Bo to nieprawda.

- Chodź.

Wolnym krokiem wróciła na swoje miejsce, wciąż obejmując się mocno ramionami.

- Zjemy te najlepsze lody na świecie? - zapytał.

- Nie, dzięki. Nie przetknęłabym.

- Opowiem ci o Dannym.

- Nie trzeba, Tom.

- Chcę ci opowiedzieć. Naprawdę.

Nalał jej wina i usiadł. W kilku słowach opowiedział o swoim rozwodzie i ochłodzeniu stosunków z synem. O zazdrości z powodu Dutcha. O urazach, poczuciu winy i okropnej kłótni z Dannym, gdy postanowił iść do wojska. Potem wyjawiał prawdziwy powód wyjazdu do Kalifornii i powtórzył relację Danny'ego o wydarzeniach tamtej nocy, gdy doszło do zabicia cywilów.

246

Karen wysłuchiwała go, nie przerywając ani razu, wyraźnie przejęta. Sięgnęła przez stół i wzięła Toma za rękę. Siedzieli tak bez słowa, nie wiedząc jak długo. Zgasły wszystkie świece prócz jednej.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Tom uśmiechnął się i skinął głową.

- Czy on ma dobrego adwokata?

- Przydzielonego przez wojskowych. Od początku uważałem, że powinien mieć niezależnego prawnika. Ale Gina i Dutch nie chcą o tym słyszeć.

- A co sądzi Danny?

- Najpierw się z nimi zgadzał. Teraz twierdzi, że staje się kozłem ofiarnym, i nie jest już taki pewny. Musimy znaleźć mu kogoś dobrego.

Delikatnie cofnął rękę, na której wciąż leżała dłoń Karen.

- Robi się zimno - powiedział.

Mimo jego sprzeciwu sprzątnęła ze stołu, zaniósła naczynia do kuchni i jeszcze włożyła je do zmywarki.

- Odkurzacz jest w garderobie, gdybyś się nudziła. Parsknęła śmiechem i odwróciła się do niego twarzą. Patrząc

jej w oczy, miał przelotne wrażenie, że gdyby zrobił krok do przodu i ją pocałował, nie zostałby odepchnięty. Nie był pewny, co go powstrzymało. Może różnica wieku albo cień wątpliwości co do jej pobudek.

- Twoja mama będzie się zastanawiała, gdzie jesteś.

To było beznadziejne stwierdzenie i zaraz sklął się w duchu.

- O rany, rzeczywiście. Dostanę szlaban na wychodzenie z domu.

- Przepraszam, nie to...

- Masz rację. Czas na mnie.

247

Gdy odprowadzał ją do samochodu, podziękowała mu za kolację i mile spędzony czas. Makwi wyszła razem z nimi. Karen pogłaskała psa na pożegnanie i dała Tomowi niewinnego całusa w policzek. Patrzył za nią, aż zniknęły światła reflektorów i nastała cisza, a potem zerknął na psa. Makwi przyglądała mu się zniechęconym wzrokiem, jakby mówiła: „Schrzaniłeś okazję”.

- Co się tak gapisz? - mruknął i poszli razem do domu.

Rozdział Dziewiętnasty.

Szlak ciągnął się przed nimi z boczem grani. Czerwona pylista droga wiła się na północ jak wstęga wśród srebrno zielonej szatwii. Po obu stronach leżały głazy. Jeden z nich, wielki jak dom, wystawał nad drogą, więc żeby przejechać, musieli położyć się na szyjach koni. Na zboczu poniżej rosły dęby, których liście szumiały i kołysały się na wietrze, a między nimi co i raz prześwitywała jaskrawa zieleń doliny, gdzie w dole płynął strumień i rosła trawa.

Dobiegał koniec maja, z każdym dniem robiło się odrobinę cieplej. Co nie znaczy, że w Los Angeles następowało coś takiego jak zmiana pogody. Zawsze było słonecznie i ciepło. Jeśli pojawiały się jakieś narzekania, to tylko na smog.

Tommy jechał przodem na Chesterze, pewnie stąpającym srokatym koniku, na którym zawsze jeździł. Towarzyszył mu Cal na Amigu. Tommy lubił ich wspólne przejażdżki, choć cieszył się, gdy dołączała do

nich Diane, a ostatnio robiła to często. Musiała nauczyć się jeździć konno do filmu, w którym miała występować razem z Rayem, i dzięki Calowi była już

249

całkiem niezła. Tego popołudnia wybierała się z nimi, ale zadzwoniono z wytwórni, że zaraz chcą robić próby fryzur i makijażu.

Za trzy dni kończył się rok szkolny i w weekend wyruszyli do Arizony, gdzie rozpoczynały się zdjęcia do filmu. Tommy był tak przejęty, że ostatnio właściwie nie mówił o niczym innym. Przez całe dwa miesiące mieli być „w plenerach”. Ray powiedział, że pojedą zobaczyć Monument Valley, gdzie John Ford kręcił swoje wspaniałe filmy. No i Cal też tam jechał, żeby zajmować się końmi i zastępować Raya w niebezpiecznych ujęciach.

Nagle Chester odskoczył w bok i stanął dęba. Tommy w ostatniej chwili uchwycił się rogu na siodle, żeby nie spaść. Cal podjechał do niego i szybko uspokoił konia.

- Co mu się stało?

Cal wskazał miejsce na zboczu, gdzie biało czarny wąż wślizgiwał się w szczelinę między skałami.

- Jejku, grzechotnik?

- Kalifornijski wąż królewski.

- Jadowity?

- Nie. Jadowite są tu tylko grzechotniki. Brawo, Tom, utrzymałeś się w siodle.

Podobało mu się, że Cal mówi do niego Tom. Tak naprawdę Cal podobał mu się jeszcze z wielu innych względów. Znał nazwę każdej rośliny i zwierzęcia. Tommy zadreślał go pytaniami i starał się zapamiętać wszystko, co usłyszał. Wiedział, że w Kalifornii występuje siedem gatunków jastrzębi, osiem gatunków jaszczurek i osiemnaście gatunków węży, choć prawie żadnego nie widział. Żałował tylko, że na jednej z pierwszych przejażdżek chwalił się, iż strzelał z wiatrówki do ptaków w ogrodzie Raya. Cal ściągnął brwi.

250

- Zabiłeś je, żeby mieć co jeść?

- Pewnie, że nie.

- No to po co?

Tommy nie wiedział, co powiedzieć. O mało nie zwałił wszystkiego na Raya, który nauczył go strzelać do ptaków. Ale to byłoby nieuczciwe, bo tak naprawdę strzelanie sprawiało mu przyjemność, lubił podchodzić do ptaków i cieszył się, że jest dość dobrym strzelcem. Wally Freeman też lubił sobie postrzelać, gdy czasem przychodził do niego po szkole. Obaj przebierali się i udawali Sokole Oko i Chingachgooka na polowaniu w lesie.

Cal zawstydził go tym pytaniem. Później, po zastanowieniu, Tommy uświadomił sobie, że robił to ze zwykłej ciekawości. Ptaki umiały korzystać ze swobody i były takie bystre, że w ogóle nie dało się do nich zbliżyć. Dopiero gdy padły od strzału, można było ich dotknąć, wziąć je do ręki i zobaczyć, jakie są piękne. Ale kiedy minęły emocje związane z zabijaniem i trzymał bezwładne, martwe ciało, czując, jak uchodzi z niego ciepło, zawsze odczuwał żal. Po rozmowie z Calem przysięgł sobie, że już nigdy nie zastrzeli żywego stworzenia.

Cal opowiadał, że na tych wzgórzach przyroda była kiedyś bogatsza, ale rozrastające się miasta zmuszają zwierzęta do ucieczki. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu wyjechali z rancza inną drogą i gdy zatrzymali konie na wzgórzu, w dole zobaczyli buldożery, które oczyszczały teren pod autostradę i wzbijały kłęby pyłu. Cal powiedział, że do pana Maxwella, właściciela rancza, wielokrotnie zgłaszała się agencja nieruchomości, która chciała budować tu domy, i proponowała spore pieniądze za sprzedaż ziemi. Za każdym razem odmawiał, a oni przychodzili znowu, oferując jeszcze więcej. Cal uważał, że to tylko kwestia czasu.

251

Tamtego dnia widzieli jelenia mulaka, susły i kojota. Ale największe wrażenie zrobiły na nich ślady kuguara pozostawione na zaschniętym błocie przy strumieniu. Odcisk łapy był ogromny. Cal mówił, że w okolicy jest dużo kugarów, ale rzadko sieje widzi, chyba że skoczą z drzewa i odgryzą komuś czubek głowy - w taki sposób najbardziej lubią atakować. Odtąd Tommy przyglądał się każdemu drzewu, pod którym przejeżdżali. Według Cala w Montanie też żyło wiele kugarów. I mnóstwo niedźwiedzi grizzly, które są jeszcze niebezpieczniejsze, zwłaszcza gdy napotka się matkę z małymi. Kiedyś były tam również wilki, ale wszystkie wyłapano albo zastrzelono.

Tommy uwielbiał słuchać opowieści Cala o tym, jak dorastał w Montanie. Jego matka była pełnej krwi Indianką z plemienia Czarnych Stóp, urodzoną w rezerwacie niedaleko Browning, dość ponurego miasta, jak twierdził Cal. Ojciec był biały. Mieszkali na małym ranczu położonym bardziej na południe w paśmie Front Range w Górach Skalistych. Pradziadek ze strony matki miał prawie sto lat i pamiętał czasy polowań na bizony. Kiedyś żyły w olbrzymich stadach, tak dużych, że ziemia robiła się czarna. Ale potem wybudowano kolej i wszystkie wybito. Pięćdziesiąt milionów zwierząt w ciągu niewiele ponad dziesięciu lat.

- No jak? Dostałeś już rolę w filmie? - zapytał Cal. Tommy się roześmiał.

- Jeszcze nie. Ray mówi, że nad tym pracuje.

- Będziemy musieli coś wykombinować. Może po prostu zatrudnię cię do opieki nad końmi.

Film nosił tytuł Porzuceni. Wszyscy twierdzili, że scenariusz jest znakomity. Tommy chciał go przeczytać, ale numeracja scen

252

i opisy pracy kamery - scena we wnętrzu, na zewnątrz, wyciemnienie, panorama, wózek i różne takie rzeczy - przeszkadzały zrozumieć treść. W końcu Dianę wyjaśniła mu przebieg akcji. Ścisłe mówiąc, to nie był western, a przynajmniej nie taki, jakie lubił Tommy. Ludzie jeździli samochodami, latali samolotami, rozmawiali przez komórki i nie pojawiał się ani jeden Indianin.

Przede wszystkim była to historia o miłości. Dianę grała Angielkę o imieniu Helen, która wyszła za mąż za bogatego Dextera Dearborna. Mieszkali na pięknym ranchu na skraju pustyni, ale Dexter traktował ją nieładnie, jak zresztą wszystkich. Miał firmę naftową i ciągle jeździł w interesach albo cichaczem odwiedzał swoją przyjaciółkę w mieście, więc Helen była bardzo smutna, znudzona i samotna. Aż pojawił się brat Dextera, Harry, i z nimi zamieszkał.

Tę postać grał Ray. Harry słynął kiedyś z występów na rodeo, ale doznał poważnej kontuzji i musiał zrezygnować. Teraz nie miał pieniędzy, wiódł smutne, samotne życie, za dużo pił, ale w gruncie rzeczy był bardzo sympatycznym gościem. Chcąc mu pomóc, Dexter przyjął go do pracy na ranchu. Jak to w filmie, Helen i Harry zakochali się w sobie i przez pewien czas wszystko było misiu pysiu i cacy cacy, jak mówiła Dianę. Ale niedługo. Pewnego wieczoru Dexter wrócił niespodziewanie do domu i nakrył ich, jak się całowali. Zaczął bić Helen, a wtedy Harry rzucił się jej na pomoc. W bójkę zabił Dextera i został skazany na krzesło elektryczne, więc wszystko skończyło się płaczem. Chyba nikt nie wiedział, dlaczego ten film nazywa się Porzuceni. Ray uważał jednak, że to bez znaczenia - wystarczy, że tytuł jest dobry.

Po przejściach z końca poprzedniego roku postępy w pracy

253

nad filmem przepełniały wszystkich radością. No i oczywiście ślub.

Ray i Dianę pobrali się w zeszłym miesiącu, dzień po tym, jak Rosjanie wysłali w kosmos Jurija Gagarina (Ray twierdził, że to oszustwo nagrane w studiu telewizyjnym i że pierwsi znaleźli się w przestrzeni kosmicznej Amerykanie, gdy trzy tygodnie później wystrzelili raketę z Alanem Shepardem).

Ray chciał urządzić huczny ślub z mnóstwem gości, ale Dianę się sprzeciwiła i w końcu byli tylko we troje. Pojechali cadillakiem kabrioletem do Las Vegas i wynajęli ogromny apartament we wspinałym nowym hotelu Tropicana. Obsługiwano ich jak rodzinę królewską i nawet udostępniono rolls royce'a z szoferem do zwiedzania okolicy. Następnego dnia wstali przed świtem i wiele godzin przemierzali samochodem pustynię, żeby zobaczyć Wielki Kanion, który był taki ogromny i taki dziwny jak krajobraz na Księżycu albo na Marsie.

Następnego wieczoru, po powrocie do Las Vegas, Ray i Dianę wzięli ślub w małej kaplicy udekorowanej tysiącami lampek choinkowych. Dianę wyglądała fantastycznie. Miała suknię z białego atłasu wyszywaną strasem i białe lilie we włosach. Tommy był ubrany w biały garnitur uszyty specjalnie dla niego przez projektanta kostiumów w wytwórni Paramount. Ray też był w białym garniturze. Obaj włożyli białe stetsony do kompletu i bola z ozdobną zapinką. Duchowny o kruczonych włosach zaczesanych gładko do tyłu wyglądał jak Elvis i Tommy'emu wydawało się przez chwilę, że naprawdę patrzy na Elvisa.

Ślub miał się odbyć potajemnie, ale ktoś cichaczem zawiadomił prasę. Gdy wyszli z kaplicy, czekał na nich tłum fotografów, więc musieli stać we trójkę na stopniach uśmiechnięci i oślepieni strzelającymi fleszami aparatów, a zewsząd dobiegały

254

okrzyki: „Dianę! Ray! Tutaj! Dianę!”. Ktoś krzyknął również: „Tommy!”. To wtedy, pierwszy raz w życiu, poczuł się sławny. Następnego dnia polecili w podróż poślubną na Hawaje. Tam też byli fotografowie. Zdjęcie całej trójki - girlandy z kwiatów na szyjach - ukazało się na pierwszej stronie miejscowej gazety.

- No dobra, Tom. Damy im pobiegać?

Tommy i Cal zjechali już między dębami do doliny, gdzie było bardziej płasko i zielono, a w ciepłym powietrzu czuło się słodki zapach. Tommy lekko ścisnął piętami boki Chestera, tak jak nauczył go Cal, i konik wystrzelił do przodu. Pędzili susami brzegiem strumienia i przez ostatnie sto jardów pozwolili koniom galopować. Tommy uwielbiał ogłuszające dudnienie kopyt i podmuchy ciepłego wiatru na twarzy. Zwiało mu kapelusz z głowy, ale Cal przechylił się w siodle i zgarnął go z ziemi, a potem, gdy zwolnili do stępa, oddał Tommy'emu. Wyjechali z doliny na wąską ścieżkę, która okalała ostatnie wzgórze, i po jakimś czasie zobaczyli korrale, domek Cala stojący trochę niżej i Dianę, która czekała na nich przy żółtym fordzie galaxie. Pomachała im.

- Jak się miewa moja najlepsza uczennica? - zapytał Cal, gdy do niej podjechali.

- Zaraz, zaraz. To nie ja jestem twoim najlepszym uczniem? - wtrącił Tommy.

Roześmiali się.

- On tak mówi wszystkim swoim uczniom - powiedziała Dianę. - Szkoda, że nie mogłam z wami jechać. Jak było?

- Widzieliśmy kalifornijskiego węża królewskiego.

- Naprawdę?

- Nie jest jadowity. Jadowite są tu tylko grzechotniki.

255

Chester się wystraszył, ale utrzymałem się w siodle, prawda, Cal?

- Fakt. Siedział jak przyklejony. Dobrze się spisał. Jak tak dalej pójdzie, zostanę bez pracy.

Zsiedli z koni i zaprowadzili je do korrala. Tommy rozpiął popręg, zdjął siodło i powiesił na ogrodzeniu, a potem wytarł spocony grzbiet Chestera. Cal mówił, że konie to uwielbiają. Tommy zaprowadził zwierzęta do poidła i patrzył, jak piją, a tymczasem Cal i Dianę gawędzili przy samochodzie. Odkąd Dianę zaczęła jeździć konno, bardzo się zaprzyjaźnili.

W drodze do domu Tommy zapytał, dlaczego taki fajny człowiek jak Cal nie ma żony, na co Dianę odpowiedziała, że niekiedy potrzeba dużo czasu, żeby znaleźć odpowiednią osobę, a poza tym nie wszyscy pragną małżeństwa. Są ludzie, którzy wolą żyć sami.

- Gdybyś poznała Cala, zanim poznałaś Raya, chciałabyś za niego wyjść?

Dianę się zaśmiała.

- Co w tym śmiesznego?

- Nic. Ty jesteś śmieszny, z tymi swoimi pytaniami.

Polecieli do Arizony samolotem Lockheed Lodestar należącym do Herba. Przez szybę widzieli przesuający się pod nimi cień kadłuba. Góry były różowe, pofałdowane, przecięte suchymi korytami rzek i poprzetykane tajemnymi jeziorami, w których odbijały się jaskrawe promienie zachodzącego słońca. Tommy po raz drugi miał okazję zobaczyć Wielki Kanion. Wypatrywali miejsca, gdzie byli przed miesiącem, ale nie potrafili go znaleźć na tak ogromnym terenie. Potem na prośbę

256

Herba pilot zboczył z kursu, żeby pokazać im Monument Valley. Lecieli nisko, przechyleni na bok, i krążyli wśród wież płonących czerwienią, wielkich jak ogniste fortece jakiejś wymarłej rasy wielkoludów, zacienione od wschodu, fioletowe na tle pomarańczowego nieba.

Herb siedział obok Tommy'ego przy oknie i ciągle wskazywał charakterystyczne punkty, miejsca, gdzie Ford kręcił słynne sceny z Poszukiwaczy i Dylizansu. Tommy siedział z szeroko otwartymi oczami i nawet Ray, który już widział Monument Valley, też patrzył z dziecięcym podziwem. Obejmował Dianę, a ona uśmiechała się, wtulała w jego szyję i go całowała.

Ray nigdy nie wierzył w los, przeznaczenie czy cokolwiek innego, czemu ludzie przypisują z wdzięcznością lub rozgoryczeniem to, co ich spotyka. Gdyby wszystko było z góry ustalone, zapisane w niebie jakąś niewidzialną wszechmocną ręką, bez możliwości dokonania wyboru czy zmiany, to jaki, u licha, byłby sens przebywania na tej ziemi? Filozofia Raya sprowadzała się do tego, że życie jest jak wredny glina, który przy pierwszej lepszej okazji da ci kopa w jaja. Czasem jednak ogarnia skurwysyna znużenie, odwraca wzrok i wtedy ma się swoją szansę, można zagarnąć, ile się da, jak złodziej w sklepie, napełnić kieszenie, zanim jego złe oko znów na nas spocznie. Przetrawanie było jedynie kwestią chamskiego sprytu i nie miało nic wspólnego z łutem szczęścia. Ray musiał jednak przyznać, że przez ostatnie kilka miesięcy uwaga gliniarza rozproszyła się bardziej niż zazwyczaj.

Już mu się wydawało, że przegrał z kretesem - stracił karierę, narzeczoną, poczucie własnej wartości, wszystko - a tu nagle buja w chmurach razem z ważnym hollywoodzkim producentem, ma za żonę kobietę swoich marzeń i wkrótce

257

będzie - w co nie wątpił i na co zasługiwał - prawdziwym gwiazdorem filmowym.

Jack Warner nie zadzwonił i nie powiedział, co sądzi o Porzuconych. Ten kretyn pewnie wyrzucił scenariusz do kosza zaraz po spotkaniu. W końcu nie jest to takie zaskakujące - ten sam geniusz uznał, że nie warto kręcić Przemineło z wiatrem, bo kto by chciał oglądać kolejny film o wojnie secesyjnej. Z mściwą satysfakcją Ray pomyślał, że stary drań niewątpliwie już wie, iż Porzuceni zostaną wyprodukowani bez jego udziału, w innej wytwórni.

Stało się tak wyłącznie dzięki Herbowi Kanterowi i jego niezachwianej wierze (oraz znacznym nakładom finansowym) w Dianę. Był to najszybszy kontrakt, o jakim Ray słyszał. Gdy Dianę wróciła po świętach Bożego Narodzenia, przebaczyła mu i wszystko znów się między nimi ułożyło, wreszcie przeczytała scenariusz Steve'a Shelby'ego. Była zachwycona i przekonała się, że jest tam dla niej wspaniała rola. Pokazała scenariusz Herbowi, ten przeczytał go jeszcze tego samego wieczoru i też był

zachwycony. Wzięli do współpracy reżysera Terence'a Redfielda, wysłali scenariusz do Paramountu, i po wszystkim: następnego dnia szefostwo zapaliło zielone światło.

Ekipa, która miała robić film z Garym Cooperem, po prostu została niemal w komplecie skierowana do Porzuconych. Biedaczek Coop w końcu wykorkował, zaledwie przed paroma tygodniami. Razem z całym narodem Ray wyraził swoje odczucia w odpowiednich słowach: „Co za tragedia”, „Co za niepowetowana strata” i tak dalej. W głębi duszy uważał jednak, że zejście wielkiego aktora jest korzystną okolicznością, ponieważ będzie mniejsza konkurencja.

Później dowiedział się, że ten podstępny gnojek Redfield

258

chciał zaangażować Steve'a McQueena albo Billa Holdena do roli Harry'ego, choć przecież ta rola, cały ten film, do cholery, został stworzony z myślą o Rayu. Na szczęście te dupki były zajęte i Herb zdołał przekonać Redfielda, że obsadzenie dawnego Reda McGrawa w roli wypalonej gwiazdy rodeo będzie miało wydzwięk, który przypadnie publiczności do gustu. Co więcej, film zyska rozgłos dzięki temu, że Ray i Dianę są parą w prawdziwym życiu. Już się okazało, że co do tego Herb się nie mylił. Zarówno Louella Parsons, jak i Hedda Hopper napisały o ich małżeństwie i wszystkie gazety i czasopisma, które zamieściły zdjęcia ze ślubu, wymieniły również tytuł filmu. Poinformowanie tych pstrykaczy w Las Vegas było najlepszym posunięciem Raya od dawien dawna.

Oczywiście nie wszystko wyglądało różowo. Jego gaża wynosiła tyle co nic, a budżet filmu i harmonogram zdjęć wyśrubowano do niemożliwości. Wszystko dlatego, że nie występowali aktorzy o znanych nazwiskach i Paramount borykał się z coraz większymi kłopotami finansowymi. Bez wątpienia czeka go ciężka praca. Ale co tam. Będzie grał w długim metrażu, prawdziwym filmie wyświetlanym na dużym ekranie. Montane i Reed wreszcie razem. Na samą myśl niemal dostał wzwołu.

Gdy dotarli do Medicine Springs, słońce już zaszło, lądowisko wyglądało jak niewyraźna czarna szrama na blaknącej czerwieni pustyni. Gdy samolot dotknął ziemi i uderzony podmuchem wiatru zaczął podskakiwać i chwiać się, wszyscy wstrzymali oddech, lecz po chwili odzyskał równowagę i rozległy się śmiechy. Wyszli na wciąż gorące powietrze. Dianę stanęła z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko, i po chwili powiedziała, że uwielbia zapach pustyni. Ray udał, że się zgadza

259

z Dianę, ale tak naprawdę pustynia kojarzyła mu się z platformą wiertniczą, katorżniczą pracą i znoszeniem upokorzeń na jakiejś zakazanej teksaskiej równinie.

Frank Dawson, kierownik produkcji, czekał na nich ze swoim zastępcą i kilkoma nowiutkimi chevroletami pick-upami. Ray nigdy dotąd nie pracował z tym gościem, natomiast słyszał o nim same dobre rzeczy: podobno jest twardy, ale sprawiedliwy. Miał sześć stóp i sześć cali wzrostu i klatkę piersiową kowboja, który powala byczki na rodeo. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie i Frank załadował bagaże na pakę jednego z samochodów. Herb musiał odbyć kilka spotkań, więc od razu odjechał razem z zastępcą kierownika. Nim ruszył w drogę, powiedział, że wróci za parę godzin i zaprasza całe towarzystwo na małe przyjęcie w barze Hungry Horse. Frank miał ich zawieźć do motelu.

Miasteczko Medicine Springs, przecięte jedną ulicą, przycupnęło zapomniane u podnóża kopulastego wzniesienia z czerwonego piaskowca, które, jak twierdził Frank, ma tysiąc stóp wysokości i które Indianie uznawali niegdyś za święte miejsce. Podobno na górze znajdowały się prastare malowidła skalne. W miasteczku był sklep z narzędziami, pralnia samoobsługowa, sklep spożywczy, stacja benzynowa, cztery bary (wśród nich Hungry Horse) i, jak się przekonali podczas jazdy, rekordowa w skali światowej liczba wyliniałych psów. Dawson musiał trzy razy stawać i trąbić, żeby te parszywce zeszły z drogi. Na chodnikach stały grupy młodych Indian z papierosami w ustach. Odwracali się i bez cienia uśmiechu patrzyli, jak sławy kina przejeżdżały swoimi lśniącoymi samochodami.

- To są Indianie? - zapytał Tommy.

- Z plemienia Nawaho - powiedział Dawson.

260

- Nie wyglądają na zadowolonych.

- Nie ma co do tego wątpliwości.

Na potrzeby ekipy filmowej wynajęto wszystkie pokoje w miasteczku. Dawson zapewnił Raya i Dianę, że zamieszkają w ładniejszym z dwóch moteli, ale gdy podjechali pod budynek, słowo „ładniejszy” nie było tym, które natychmiast przyszło im na myśl. Stał na lekkim wzniesieniu na południowym krańcu miasteczka. Od frontu zdobił go duży plastikowy kaktus i czerwony neon z napisem Motel Casa Rosa. Lampy w dwóch ostatnich literach się zepsuły: trzeszczały i migotały.

Recepcja o powierzchni może dziesięciu stóp kwadratowych była pomalowana na jasnozielono i oświetlona pojedynczą sufitową jarzeniówką. Za ladą stała niska Meksykanka o smutnych oczach. Skinęła z uśmiechem głową, gdy Dawson przedstawił Raya i Dianę jako parę pierwszoplanowych aktorów, którzy właśnie przylecieli z Hollywood.

- Chryste Panie, to ma być ładny motel, Frank? - szepnął Ray, gdy recepcjonistka odwróciła się, sięgając po klucz.

- Powiedziałem: ładniejszy. Powinieneś zobaczyć, gdzie ja mieszkam.

Dostali pokoje numer sześć i siedem, najlepsze w całym motelu. Są połączone drzwiami i widać z nich góry, mówiła Meksykanka, prowadząc ich do tylnej części budynku. Widać z nich było również zardzewiały żółty buldożer w głębokim dole otoczonym wałem ziemi, gdzie miał być basen, jak wyjaśniła z dumą.

- Wspaniale - mruknął Ray.

Gdy kobieta otworzyła drzwi, coś zaszurało po podłodze. Pokój był mały, duszny i obskurny, a siatka w oknie podarta. Na miniaturowym stoliku stał duży bukiet kwiatów i kosz

261

owoców, z liścikiem od Herba, który życzył im powodzenia na planie.

- Jak to miło - ucieszyła się Diane. - Dziękuję.

Spośród owoców wylał karaluch i pędem zniknął za krawędzią stolika. Diane niczego nie zauważyła, ale Tommy spojrzał znacząco na Raya.

- Możemy zamienić dwa słowa, Frank? - odezwał się Ray. - Diane, pokaż Tommy'emu jego pokój.

Dawson wyszedł za Rayem na dwór. Stanęli twarzą w twarz nad wykopanym dołem. Ray zapalił papierosa, nie częstując Franka.

- Czyżby pomyliły mi się daty? Mamy dziś pierwszy kwietnia?

- Słucham?

- To jakiś żart? Co ci przyszło do głowy, żeby ulokować nas w tej norze?

- Postuchaj, Ray, dostałeś najlepsze zakwaterowanie z możliwych. W plenerach człowiek czasem żyje skromnie. Trzeba to uwzględnić.

- Uwzględnić?! Na miłość boską, mamy ze sobą dziecko! Widziałeś tego karalucha? Ten budynek powinien być zrównany z ziemią. I nie mów mi, jak to jest w plenerach. Nie mam mleka pod nosem.

Stali przez dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem. Obserwowała ich recepcjonistka. Dawson mrugnął pierwszy.

- Porozmawiam z Herbem.

- Słusznie, porozmawiaj. Nie zostajemy tutaj. Jasne? Diane uważała, że zareagował za ostro. Na co Ray powiedział

jej, że ona nie wie, jak działa przemysł filmowy. Tym facetom płaci się za to, żeby wykorzystywali każdego cholernego centa

262

do maksimum, żeby stosując takie sztuczki, sprawdzali, ile człowiek jest skłonny tolerować. Jeśli im się nie postawisz, to cię zdepczą. Od początku trzeba im pokazać, że mają ci okazywać szacunek.

I rzeczywiście - nie minęło dwadzieścia minut, a zadzwonił Herb z przeprosinami i wiadomością, że już szuka dla nich lepszego miejsca. Samochód do ich wyłącznej dyspozycji jest w drodze i czy pasuje im, żeby Leanne, dziewczyna zatrudniona do opieki nad Tommym, przyszła z samego rana?

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, Ray, dzwoń do mnie bez wahania.

- Widzisz? - powiedział Ray, odłożywszy słuchawkę.

Rozdział Dwudziesty.

Bar Hungry Horse mieścił się w wolno stojącym budynku w połowie Main Street. W ścianie od frontu, pokrytej bieloną cegłą suszoną na słońcu, znajdowały się wahadłowe drzwi z listewek, jak w

saloonach na Dzikim Zachodzie. Wewnątrz panował mrok i unosił się zapach piwa i dymu z domieszką jakichś innych woni, których lepiej nie nazywać, natomiast z tyłu znajdował się przyjemny dziedziniec, a na nim długie drewniane stoły i ławy, sznury kolorowych lampek i drzewo jacaranda. Jedzenie było proste: steki, żeberka, hamburgery i chili con carne tak ostre, że dymiło się z uszu.

Nad tym wszystkim królował siedzący na wysokim stołku za kontuarem, przy szafie grającej ustawionej na tylnej werandzie, chudy jak szczapa Norweg, który z nieznanых powodów mówił o sobie Chico, a do innych hombre albo señorita. Na ścianach wisały opatrzone autografami zdjęcia, na których obejmował skrępowane, sądząc po minie, osobistości mniejszej rangi. Wyraźnie przejęty tym, że po raz pierwszy od lat do miasteczka zawitało kino, Chico starał się ugościć całą ekipę.

264

Ponieważ w promieniu co najmniej pięćdziesięciu mil Hungry Horse nie miał konkurencji, szybko stał się głównym miejscem spotkań aktorów i techników.

Właśnie tam Herb wydał przyjęcie w ten pierwszy weekend. Fetowano i wznoszono toasty za Raya i Dianę, a Terry Redfield wygłosił krótką, choć wielkoduszną mowę powitalną do całej ekipy i przyznał, że czuje się zaszczycony, mogąc pracować z tak utalentowanymi ludźmi. Ray, po wypiciu zbyt dużej ilości tequili, odpowiedział w tym samym tonie, tyle że bardziej rozwlekłe, więc Dianę musiała pociągnąć go za połę marynarki i zmusić, by wreszcie usiadł.

Tydzień później zdjęcie Raya i Dianę wraz z Chikiem wisało na honorowym miejscu na ścianie za kontuarem i cała ekipa znów gościła w barze. Następnego dnia miała wolne, więc wszyscy byli ożywieni i rozluźnieni. Chuck i Tony, kowboje pracujący z Calem, grali na gitarach piosenki country i najnowsze hity rockandrollowe. Zagrali nawet Running Bear dla Tommy'ego, zanim usnął na ramieniu Dianę. Leanne dopiero co zabrała go do domu. Od przyjazdu chłopiec spędzał całe dni z Calem i jego pomocnikami, pomagając przy koniach. Jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawił. Wracał do domu błogo zmęczony, a przy kolacji zamykały mu się oczy.

Herb znalazł im lokum kawałek dalej za ranczem, które stanowiło główny plener filmu i gdzie kręcono większość zdjęć. Dom był niewielki, urządony spartańsko, ale odpowiadał im dużo bardziej niż Casa Rosa. Herb zajmował mniejszy dom pół mili dalej. Oba domy oraz ranczo należały do mieszkającego we Flagstaff potentata na rynku nieruchomości, który niewątpliwie tak samo jak Chico cieszył się, że Hollywood zawitało do miasteczka.

265

Dianę też była zadowolona. Wypiła tylko dwa piwa, ale uderzyły jej do głowy. Z przyjemnością znów zabrała się do pracy i miała satysfakcję z tego, co zrobiła przez tydzień. Dokuczał jej tylko upał. Jeszcze nigdy nie przebywała w miejscu, gdzie temperatura późnym rankiem znacznie przekraczała sto stopni Fahrenheita. Dom nie miał klimatyzacji, a gdy się wyszło boso na dwór, podeszwy stóp niemal skwiercały jak steki. Ale przynajmniej wilgotność powietrza była niska i wieczorami zazwyczaj wiał wietrzyk.

Siedziała na końcu długiego stołu razem z Herbem i Johnem Graylingiem, który grał w filmie jej męża. Był jasnowłosy i przystojny jak bożyszcze kobiet sprzed wojny i prawdopodobnie dlatego Ray się do niego uprzedził. Dianę bardzo go lubiła. Był przyjacielski i zabawny i zawsze miał niewyczerpany zapas

pikantnych historyjek o gwiazdach, z którymi pracował. Właśnie rozśmieszył ich do łez, opowiadając, jak to pewnego dnia, obwiązany w pasie ręcznikiem, utknął w windzie hotelowej razem z Laną Turner i kochliwym szympansem.

Johnny Grayling odznaczał się nie tylko umiejętnością opowiadania zbereźnych historyjek, lecz również talentem aktorskim. Razem z Dianę nakręcili już dwie ważne sceny i wyczuwało się między nimi silne wibracje. Dianę jeszcze nie widziała tego materiału, ale Terry i Herb nie posiadali się z zachwytem. Niestety, dokonania Raya wzbudzały nieporównanie mniejszy entuzjazm.

Cokolwiek zrobił, wywoływało niezadowolenie. Terry kazał powtarzać prawie każde ujęcie. Nie dalej jak tego wieczoru Ray przyszedł do domu wściekły i powiedział, że jeśli to będzie trwało dłużej, udusi faceta. Dianę wzięła go w ramiona i próbowała udobruchać, mówiąc, że dopiero się rozkręcają i z czasem wszystko się ułoży, ale tylko jeszcze bardziej go rozżłościła.

266

Minionych kilka miesięcy przeżyli w szczęściu, jakiego wcześniej nie zaznali. Natomiast przez ostatnie dwa dni Ray chodził z ponurą, zamyśloną miną i ledwo bąkał coś do Dianę czy Tommy'ego. Poprzedniej nocy, gdy powiedziała, że nie chce się kochać, bo jest zbyt zmęczona, wypadł z domu wściekły i wrócił tuż przed świtem. Nie miała pojęcia, gdzie się podziewał.

- Chodź, Dianę, zatańczymy.

Chuck i Tony zaczęli grać Lets Twist Again. Johnny wyciągnął rękę do Dianę. Wstała roześmiana, a on poprowadził ją w stronę skrawka spalonej słońcem ziemi, który pełnił funkcję parkietu do tańca. Wkrótce za ich przykładem poszło kilka osób. Johnny nie był najlepszym tancerzem i w dodatku udawał gorszego niż w rzeczywistości - wszystko po to, by rozbawić partnerkę.

Dianę rozejrzała się za Rayem, ale nigdzie go nie było. Podczas imprezy dużo wypił i zaczął zachowywać się hałaśliwie. Zauważyła wtedy, że jest nieźle naćpany. Wiedział, że nie akceptuje palenia trawki, i wiele razy obiecywał, że przestanie. Nigdy nie dotrzymał słowa - zwyczajnie wymykał się i palił ukradkiem. Prawdopodobnie właśnie to robił teraz. Pod łóżkiem trzymał walizkę, a w niej papierową brązową torbę z marihuaną i rewolwer o krótkiej lufie, który zawsze brał ze sobą w podróż, nawet gdy jechali wziąć ślub w Las Vegas. Twierdził, że nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Wreszcie go dostrzegła: wchodził na dziedziniec furtką od strony parkingu. Towarzyszył mu Denny, ostatnio jego najlepszy kumpel, członek ekipy budowlanej, młody gość, który zawsze miał potargane włosy, nosił skórzaną kamizelkę i chyba nigdy nie zdejmował okularów przeciwsłonecznych.

Nietrudno było

267

zgadnąć, że palili. Ray zauważył, że Dianę tańczy z Johnnym, a gdy mu pomachała, odwrócił głowę, nawet się nie uśmiechając. Podszedł do Tony'ego i Chucka, coś im powiedział i zaczęli grać Johnny B. Goode*.

[* Gra słów - brzmi tak samo jak Johnny, be good (Johnny, bądź grzeczny)].

Można by to uznać za żart, gdyby nie jego złośliwe spojrzenie. Johnny tylko się uśmiechnął.

- Czyżby pan i władca chciał przez to coś powiedzieć?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Znowu zachowywał się jak na tamtym przyjęciu u Herba, zżerany zazdrością, że tańczyła z Billem Holdenem. Niech to diabli - nie da się zastraszyć i pozbawić dobrej zabawy. Wzięła Johnny'ego za rękę i zaczęli tańczyć jive'a. Wychodziło mu to dużo lepiej niż twist. Szybko się zgrali i przyciągnęli uwagę reszty towarzystwa, które nagrodziło ich okrzykami i brawami.

Dianę wiedziała, że Ray ich obserwuje, ale miała to w nosie.

- Akcja!

Ray wyszedł z siodłem ze stodoły i zbliżał się do korrala, a obok niego, w odległości kilku stóp, jechała na wózkach kamera. Koń był przywiązany do ogrodzenia. Ray miał zarzucić mu siodło na grzbiet. I wtedy postać grana przez Dianę, Helen Dearborn, wypowiada jego imię, a on odwraca się i spogląda na nią. To była ważna scena w filmie - Harry pierwszy raz widzi kobietę, w której się zakocha - i pierwsze zbliżenie twarzy Raya. Dianę stała poza kadrem gotowa wypowiedzieć swoją kwestię. Po raz kolejny. Kręcono piąty dubel.

- Teraz Helen.

268

- Pewnie jesteś Harry - powiedziała Dianę.

Ray odwrócił się i spojrzał na nią, napinając mięśnie szczęki i lekko unosząc brew. Wiele razy widział, jak robił to Gary Cooper. I Cary Grant. Miała to być nie tyle opóźniona reakcja spowodowana zaskoczeniem, ile powolne uświadamianie sobie, jak piękną kobietę poślubił jego brat.

- Cięcie! - krzyknął Terence Redfield. Odszedł od kamery.

- Powtarzamy.

Charakteryzatorka już szykowała się, by wytrzeć pot z twarzy Raya, ale Redfield poprosił, żeby poczekała minutę. Położył rękę na ramionach Raya i odszedł z nim parę kroków na bok, żeby nikt ich nie słyszał. Ray kipiał ze złości, lecz starał się tego nie okazać. To była jego pierwsza scena z Dianę, a ten napuszony gnojek najwyraźniej chciał go upokorzyć na jej oczach. Redfield nadal obejmował go ramieniem niczym jakiś autorytet albo mentor.

- Teraz było lepiej, Ray, ale...

- Wiem, mówiłeś mi już sto razy. „Mniej znaczy więcej”, tak?

- Chodzi o coś jeszcze. Chcę, żebyś był sobą. Ona jest piękną, oszałamiającą kobietą. Patrzysz na nią może trochę... hmm...

- Trochę jak?

- Może... trochę za bardzo.
- Otóż to. „Mniej znaczy więcej”.

Zerkając przez ramię Redfielda, Ray widział, jak wszyscy, również Dianę, starają się na niego nie patrzeć, gawędzą, jakby nic szczególnego się nie działo, w ogóle nie zwracają na nich uwagi. Nawet Tommy, który pomagał Calowi przy koniach, unikał jego spojrzenia. Jednak napięcie wisiało w powietrzu.

269

- Chodzi o to, Ray, że masz silną, wyrazistą twarz. Wystarczy, że...
- Nie chrzań.
- Przepraszam. Próbuję tylko...
- Czy ja jestem, kurwa, jakimś małym chłopcem?
- Nie przyjmuj tego w ten sposób, Ray.
- Czyli jak? Czepiasz się mnie od pierwszego dnia. Te twoje protekcyjne gadki, że nie robimy serialu. Co ty sobie wyobrażasz? Że jesteś jakimś Cecilem, kurwa, B. DeMille'em?
- Przykro mi, że tak to odbierasz.
- Słuchaj, koleś. Wiem, że od początku nie zgadzałeś się na mnie...
- To nie...
- Wiem o wszystkim! Rozumiesz? Przynajmniej mógłbyś okazywać mi odrobinę szacunku.

Teraz gapił się na nich cały zespół. Ray miał wrażenie, że jest w szkole średniej. Redfield odwrócił się i cicho zawołał Joela Davisa, asystenta reżysera.

- Zjemy wcześniej lunch, Joel?
- Tak, proszę pana.

Joel zarządził przerwę i kazał wszystkim wrócić na plan za godzinę.

- Porozmawiajmy o tym później, gdy ostygną emocje - rzekł Redfield.
- Jak sobie życzysz.
- Zaufaj mi, Ray. Będzie dobrze.
- Pewnie.

Redfield odszedł, a Ray przez chwilę stał z opuszczoną głową, wpatrując się w swoje buty i cież na czerwonej ziemi, po czym kopnął zamasyżycie kamień, który potoczył się po korralu.

W jego przyczepie było gorąco jak w piekle. Zdjął koszulę i wyciągnął się na kanapie. Długo patrzył w sufit, aż dziewczyna z obsługi gastronomicznej zapukała w otwarte drzwi i weszła jak zwykle ze stekiem, sałatką i szklanką soku pomarańczowego. Podziękował i poprosił, żeby postawiła jedzenie gdziekolwiek - nie był głodny.

Nie wytrzyma już w tym gównie. Może powinien po prostu odejść, powiedzieć, że rezygnuje. Przez te wszystkie lata pracował z dziesiątkami reżyserów -jedni byli dobrzy, drudzy kiepscy, jeszcze inni wręcz beznadziejni. Poradził sobie prawie ze wszystkimi. Nie należał do tak zwanych trudnych ludzi. Umiał słuchać wskazówek. W istocie zawsze był otwarty na sugestie, nawet je przyjmował, zawsze cieszył się z dobrych rad. Ale nigdy, przez tyle lat, nikt nie posunął się tak daleko, żeby powątpiewać w jego zdolności czy kwestionować jego technikę, jak ten głupi chuj.

Najwyraźniej chodzi tu o coś innego. O co? - głowił się Ray. Może ma to jakiś związek z Dianą? Wszyscy są na nią napaleni, pracownicy obsługi planu, kowboje, ten pedał Grayling, który wczoraj nie umiał trzymać łap przy sobie. Nawet Herb Kanter. Każdy z nich, kurwa. Gapią się z wywieszonymi językami, ilekroć koło nich przechodzi. Może do tego zmierzał Redfield. Ostatecznie reżyser zawsze chce przelecieć odtwórczynię głównej roli i często mu się udaje. O ile nie wyprzedzi go odtwórca głównej roli. Ten gnojek prawdopodobnie wykombinował sobie, iż jeśli usunie Raya z drogi, uprzykrzy mu życie tak bardzo, że ten odejdzie, to wtedy będzie miał szansę. Niech się goni. Ray miałby odejść? Takiego wała.

- Ray?

W drzwiach stał Tommy.

- Cześć, chłopcze. Wejdz.

Zamaszyście spuścił nogi z kanapy i usiadł. Dzieciak zdążył się ładnie opalić. Ray zapraszająco klepnął ręką miejsce obok siebie.

- Jak leci? Dogadałeś się z końmi?

- Tak.

- A jak się spisuje ta dziewczyna, Leanne?

- Dobrze. Jest miła.

- Pewnie ma niewiele pracy, skoro całe dnie spędzasz z Calem, co?

- Chyba tak. U ciebie wszystko dobrze?

- Jasne. Dlaczego pytasz?

- Bo ja wiem. Nie wyglądałeś na zadowolonego. Wtedy z panem Redfieldem.

- Wszystko w porządku, kolego. Ludzie mają czasem różne zdania i sytuacja robi się trochę napięta. Ale się ułoży. Gdzie mama?

- Poszła coś zjeść z panem Redfieldem. Kazała ci powiedzieć, że zaraz przyjdzie.

- Aha. Dzięki za wiadomość.

Milczeli przez chwilę. Tommy patrzył przed siebie, uderzając w kanapę obcasami nowych butów kowbojskich. Rayowi nagle zrobiło się przykro, że ostatnio poświęcał chłopakowi tak mało uwagi.

- Może wieczorem wybierzemy się we troje na przejażdżkę?

- Jedziemy z Calem na szczyt góry, żeby zobaczyć malowidła skalne.

- Ach tak.

- Na pewno zgodzi się, żebyś pojechał z nami.

272

- Zobaczymy.

- Pójdę już.

Po wyjściu chłopca Ray wstał, przeciągnął się i podszedł do wysokiego lustra w drzwiach szafy, wycierając pot z piersi. Miał mizerną twarz, ściągniętą skórę wokół oczu. Boże, zaczyna się starzeć. Stał bokiem i spróbował wejść w postać. Jest zajęty siodłem, Helen niepostrzeżenie staje przy nim. „Pewnie jesteś Harry”. Odwrócił się i znów spojrzął w lustro. Mniej napięte mięśnie szczęki, może tak. Rozluźnić uniesioną brew. Zagrać oczami, samymi oczami. Intensywne spojrzenie, widzi ją, poznaje. Właśnie tak. To jest dobre.

W rogu lustra nagle zobaczył Dianę. Stała na progu za jego plecami.

- Cześć.

- Cześć.

- Mogę wejść?

- Jasne.

Podeszła do niego niepewnie, jakby nie wiedziała, jakiego powitania może się spodziewać. Na jej widok poczuł gniew i jednocześnie pożądanie. Nie rozmawiali od poprzedniego wieczoru. Wyszła z imprezy przed nim i już spała, gdy wrócił do domu. Rano musiała być na planie wcześniej niż on. Gdy się obudził, jej już nie było. Nie kochali się od tygodnia.

Stała przed nim i dotknęła dłońmi jego nagiej piersi.

- Gdzie byłeś? - zapytała cicho.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co mam na myśli. Stałeś się taki zimny, nieobecny.

- Jestem tutaj.

Uniosła głowę i niezdecydowanie pocałowała go w usta. W pierwszej chwili, zachowując się absurdalnie, jak dziecko,

273

nie odpowiedział, ale zaraz otworzył usta i oddał pocałunek. Położył ręce na jej biodrach, wsunął pod koszulę i powoli wodził po krągłościach ciała, aż objął piersi.

- Chcę cię zerznąć - szepnął.

- Nie teraz, kochanie.

- No, chodź.

- Później.

- Bujaj się.

Odepchnął ją. Upadła plecami na stół, zrzucając na podłogę tacę z jedzeniem i sokiem.

- Na miłość boską, Ray, co się z tobą dzieje?

- Wynoś się.

Dotarli na szczyt kopulastego wzniesienia niedługo przed siedemnastą. Konie stukały i szurały kopytami o nagrany piaskowiec. W zachodniej części nieba gromadziły się bulwiaste, płaskie u dołu chmury. W scenach kręconych tego popołudnia nie pojawiały się konie ani nie występowała Dianę, wobec tego, widząc, że Ray nie chce jej pomocy, postanowiła wybrać się na przejażdżkę z Calem i Tommym. Potrzebowała towarzystwa, ale wciąż była zbyt urażona, żeby z kimkolwiek rozmawiać, więc jechała z tyłu. Tommy dwa razy odwrócił się, pytając, czy wszystko w porządku, na co odparła, że nic jej nie jest i nie ma powodu tak się przejmować. Przez całą drogę Tommy i Cal nie przestawali rozmawiać. Dzięki Bogu, pomyślała Dianę, że w życiu chłopca jest przynajmniej jeden rozsądny i zrównoważony mężczyzna.

Choć Cal znalazł w Medicine Springs starego Indianina z plemienia Nawaho i dowiedział się, jak trafić do skał z malowidłami,

274

poszukiwania i tak zabrały im dużo czasu. Wreszcie znaleźli opisany przez starca żleb. Biegł z północy na południe, w dół po łuku kopuły i przypominał przecięty nożem czubek jajka na twardo. Zostawili konie, żeby skubały szałwią, i zeszli do zacienionego, chłodnego żlebu. W niektórych miejscach zbocze opadało stromo i pojawiły się nierówne stopnie wycięte w skale, ale część z nich się pokruszyła albo wytarła, więc Cal musiał przenosić Tommy'ego i niemal równie często Dianę.

Z jednej strony żlebu biegła półka skalna, szeroka na jakieś sześć stóp, gdzie wydrążono w skale płytkie groty. Cal powiedział, że kiedyś mieszkali tu ludzie, których teraz nazywa się Asanazi, choć to pewnie nie jest ich prawdziwa nazwa. W dawnym języku Nawahów oznaczała wroga.

- Opowiadałeś, że tak samo było z Siuksami - przypomniał Tommy. - Tę nazwę nadali im ich wrogowie.
- Zgadza się. Plemiona Oglala i Lakota, i jeszcze inne nigdy nie mówiły o sobie Siuksowie.
- Co się stało z dawnymi mieszkańcami? - zapytała Dianę.
- Nikt nie wie. Zniknęli jakieś tysiąc lat temu.
- Może sami byli swoimi najgorszymi wrogami? - podsunęła Dianę.
- Zdarza się i tak.
- Oj, zdarza.

Cal spojrział na nią z życzliwym uśmiechem, dając do zrozumienia, że wie, iż miała na myśli Raya.

Znaleźli malowidła pod nawisem na krańcu półki. Zaledwie dwadzieścia jardów dalej żleb zwęzał się w stromą rynnę długości tysiąca stóp i w dole widać było peryferie miasta. Cal wybadał, gdzie mogą bezpiecznie stanąć w trójkę, i stamtąd

275

przyjrzeni się malowidłom. Dianę przypomniała sobie, że kiedyś widziała zdjęcia malowideł znajdujących się w jakiejś jaskini we Francji. Tamte również przedstawiały sceny polowań, proste rysunki postaci, które rzucały dzidami i strzelały z łuków do biegnących zwierząt. Ale te wyglądały zupełnie inaczej i dopiero po pewnym czasie zorientowała się, co przedstawiają. Był tam rząd tak jakby wazonów albo butelek, wysokich na może sześć, siedem stóp. Jedne stały po kilka razem, inne osobno, wszystkie krwistoczerwone na tle skały koloru ochry. Okazało się, że to są zarysy postaci zwężające się ku dołowi. Każda miała głowę i ramiona, i coś w rodzaju peleryny albo całunu, bo nie było widać rąk ani nóg. Przypominały jakieś nieme zgromadzenie duchów, które obserwują i czekają. Dianę przeszedł dreszcz.

Jedna z postaci była większa i miała jakby skrzydła. Tommy zapytał Cala, kogo przedstawia, ale ten nie wiedział i tylko domyślał się, że to może być bóg-orzeł albo szaman. Widział już takie postacie w kanionie w Utah, sto mil stąd na północ.

- Niektóre malowidła na skałach w tej części świata mają tysiące lat - rzekł.
- Te postacie jakby mówią, żebyśmy sobie poszli - zauważył Tommy.
- No to może chodźmy.

Wspięli się na brzeg żlebu, usiedli na wąskim kamieniu jak na ławce i obserwowali cienie chmur padające na czerwoną równinę w dole, która przybierała bardziej stonowany odcień. Tommy powiedział, że chmury płaskie u dołu wyglądają jak pływające lody. Te, które wisiały nad górami,

zaczęły powoli różowieć. Koń Dianę, przysadzista gniada klacz, gdzieś się zawieruszył, więc Tommy poszedł po niego przez łąkę pełną

276

szaławii. Dianę i Cal zostali sami i przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na góry.

- Jak długo znasz Raya? - zapytała Dianę.
- Dziesięć, może dwanaście lat.
- Widziałeś kiedyś, żeby był taki podenerwowany?

Cal nie odpowiedział. Zerwał gałązkę szaławii i zaczął obrywać listki.

- Przepraszam za to pytanie.
- Nie ma za co. Jest mu ciężko, a ten film znaczy dla niego więcej niż wszystko, co nakręcił do tej pory. Miałaś rację. Ray staje się czasem swoim najgorszym wrogiem. Nie pamięta, kto jest jego przyjacielem.
- On chyba nie ma przyjaciół.
- Rzeczywiście, jest trochę samotnikiem. Zamierzał coś dodać, ale się rozmyślił.
- Co chciałaś powiedzieć?
- Tylko tyle, że w mojej pracy, gdy coś pójdzie nie tak, po prostu to naprawiasz i następnym razem starasz się bardziej. Natomiast w aktorstwie nie może być pomyłek. Aktor jest sam. Robi coś nie tak, i to uderza w sam środek tego, kim jest. Przepraszam, nie umiem tego wyjaśnić.
- Rozumiem.
- Nie mówię, że gra nie wymaga umiejętności i techniki. Oczywiście, że wymaga. Aktor musi być we właściwym miejscu, zdawać sobie sprawę, co widzi kamera, i takie tam różne rzeczy. Ale jak przyjdzie co do czego, jest sam, pozostaje tylko z tym, kim jest. I gdy ktoś to odrzuca, mówi, że nie jest dość dobre, wtedy odrzuca nie pracę, którą aktor wykonał, ale jego. A coś takiego każdemu trudno znieść. Aktorom szczególnie, bo... O rany, nie powinienem tak do ciebie mówić.

277

- Dokończ.
- Bo na ogół cholernie brak im pewności siebie. Chcą uznania. Chcą być kochani. Wszyscy tego chcemy, wiadomo, ale bywają aktorzy, którzy są tego głodni. I jeżeli tego nie dostaną, mogą się załamać.
- Nie przesadzaj, Cal. W wielu zawodach ciężiej zarabia się na życie.
- Ale niewiele zawodów może tak zniszczyć poczucie własnej wartości. Nie zrozum mnie źle. Uważam, że wy wszyscy jesteście swego rodzaju czarodziejami. Zwłaszcza ty. Obserwowałam cię i wiem, że dokładnie na tym to polega. Masz wielki dar.

Tommy szedł w ich stronę, prowadząc konia Dianę. Cal wstał.

- Dobra robota, Tom. Lepiej wracajmy. Niedługo zrobi się ciemno.

Zjeżdżali z góry niemal bez słowa. Dianę słuchała stuku kopyt i spadających odłamków skalnych, wdychała zapach szaławii, pinii i jałowca, patrzyła, jak chmury czerwienieją, stają się fioletowe i równinę pokrywa ciemność, w której zaczynają rozbłyskiwać jeden po drugim maleńkie jak łąpek od szpilki światła miasta. Myślała o tym, co powiedział Cal, o życiu, które stworzyła sobie i swojemu synowi, temu rozkwitającemu dziecku, które jedzie między nią a Calem. I o postaciach namalowanych na górskiej skale, pozostających w czujnym oczekiwaniu.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy.

To Karen O'Keefe wpadła na pomysł, żeby skontaktować się z Troopem. Nie zносиła faceta, a może jego samczych książek, ale jej zdaniem Tom musiał przyznać, że propozycja jest rozsądna. Ponieważ Troop miał liczne kontakty wśród wojskowych, mógł pomóc w znalezieniu dobrego cywilnego obrońcy dla Danny'ego. Przekonanie Toma zajęło dużo czasu. Nie zносиł prosić o pomoc nawet przyjaciół, a Troop byłby ostatnią osobą, do której zwróciłby się z czymkolwiek.

- Posłuchaj, facet może się przydać pod wieloma względami - tłumaczyła Karen. - Wyszukałam go w Google. Jest najpopularniejszym pisarzem w amerykańskich siłach zbrojnych. Byłoby niezłe, gdyby Danny miał go po swojej stronie. Pomyśl o rozgłosie.

- Choćby dlatego lepiej go w to nie wciągać. Prawdopodobnie wykorzysta nas wszystkich w swojej powieści.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Karen. - To ja nakręcę film.

- Wydawało mi się, że już kręcisz.

- Ups.

279

Gdy Gina i Dutch dowiedzieli się, że Danny pozwolił Tomowi poszukać cywilnego prawnika, zareagowali, jak było do przewidzenia, złością. Wyraźnie poczuli się odstawieni na bok. Z kolei Tom wiedział, że musi wywiązać się z tego, co obiecał - i to szybko. Po tygodniu starań i po wielu bezowocnych rozmowach telefonicznych wyczerpał swoje możliwości i uznał, że Karen może mieć rację. Chowając dumę do kieszeni i tłumiąc zawiść, którą na zasadzie odruchu Pawłowa wywoływało każde wspomnienie o Troopie, podniósł słuchawkę po raz ostatni.

Traf chciał, że słynny literat przebywał w swojej rezydencji w Montanie, gdzie bez wątpienia zamierzał machnąć kolejny trzymający w napięciu hit, który przyniesie mu dziesięć milionów dolarów. Troop kazał Tomowi natychmiast wsiąść w samochód i przyjechać. „Chata”, jak o niej mówił, znajdowała się pięć mil od Hamilton, niecałą godzinę jazdy od Missouli, i, jak należało się spodziewać, bardziej przypominała pałac, tyle że z drewna. Wysoka metalowa brama otworzyła się

automatycznie, niczym w filmie grozy, a kamery zaszumiały i zaczęły śledzić przejazd samochodu krętą drogą, która biegła przez milę lasem. Na trawniku stał mały czarny helikopter, a nieopodal ganku lśniący hummer, rubin i chrom, do którego miała zaraz wskoczyć piękna młoda blondynka. Tom sądził w swej naiwności, że jest córką Troopa, ale rzecz jasna okazało się, że to jego dziewczyna. Troop wyszedł przed dom i śmiało uściskał Toma, obdarzając go spojrzeniem pełnym współczucia. Przedstawił gościa Kriście, która powiedziała słodko „cześć” i „pa”, pocałowała Troopa przeciągle w usta i odjechała z rykiem silnika.

Z domu rozciągał się widok na góry, jaki można znaleźć w ulotkach biura podróży. Wnętrze odznaczało się przepychem

280

i zachodnią elegancją, przypominało dom Raya, tylko zmodernizowany i gustowniej urządzone. Wszędzie było polerowane drewno, kamień i grube kremowe dywaniki. Na ścianach wisały łby łosi i bizonów oraz obrazy przedstawiające sceny z Dzikiego Zachodu, wśród nich jeden Charlie Russell, znany Tomowi. Gabinet wyglądał jak wojskowy ośrodek dowodzenia o powierzchni małego boiska do piłki nożnej, z rzędami komputerów, monitorów i migających urządzeń, które prawdopodobnie miały łączność z Pentagonem. Znajdowały się tam zdjęcia Troopa z żołnierzami piechoty morskiej, generałami i politykami, także z George'em W. i Laurą przed Białym Domem, oraz mnóstwo oprawionych w ramki list bestsellerów, na których książki pana domu zajmowały oczywiście pierwszą pozycję.

Usiedli na skórzanej kanapie przy oknie i rozmawiali przez godzinę. A raczej Tom mówił - o Danny'm i o tym, co się wydarzyło tamtej nocy w Iraku. Troop słuchał, popijał herbatę żeńszeniową i z powagą gładził brodę.

- Jest tylko jeden człowiek, który może tu pomóc - rzekł, gdy opowieść dobiegła końca.

Zabrzmiało to jak cytaty z jego dreszczowca, a może z każdego jego dreszczowca. Tom już się spodziewał, że usłyszy muzykę filmową i furgot łopata śmigłowca. Troop usiadł za swoim ogromnym biurkiem i podniósł słuchawkę jednego z telefonów.

Prawnik nazywał się Brian McKnight. Miał kancelarię prawną w Detroit i specjalizował się w sprawach o zaniedbania zarzucane żołnierzom. Zdaniem Troopa rzadko przegrywał. Panowie gawędzili i żartowali przez chwilę, a potem Troop wyjaśnił, z czym dzwoni, przełączył na tryb głośnomówiący i przedstawił Toma.

281

Jak się okazało, McKnight znał tę sprawę całkiem dobrze.

- A więc pan też jest żołnierzem piechoty morskiej - powiedział.
- Nie ja, lecz ojczym Danny'ego.
- Czy on zgodził się na zaangażowanie niezależnego prawnika?
- Jeszcze nie. Chyba uważa, że to byłoby niełojalne albo coś takiego.

- No tak. Niekiedy trzeba czasu, żeby zrozumieć, że są granice lojalności. Sprawy takie jak ta mają charakter polityczny. Muszę jednak uzyskać zgodę wszystkich państwa.

- Pracuję nad tym.

Ustalili, że porozmawiają za parę dni, gdy Tom naradzi się z Giną i Dutchem.

Troop wrócił na kanapę.

- Niedawno oglądałem na DVD twój film o Czarnych Stopach - powiedział. - Fantastyczna robota.

- Dziękuję.

- Pamiętam, jak pewnego razu, dawno temu, gdy chodziliśmy na kurs pisarstwa na uniwersytecie, przeczytałeś swoje opowiadanie o młodym chłopcu z plemienia Czarnych Stóp, który żył w rezerwacie. W życiu nie słyszałem niczego tak dobrego. I pomyślałem wtedy: cholera, gdybym był choć w połowie taki dobry.

Tom się roześmiał. Komplementy zawsze go krępowały.

- Poważnie.

- Dzięki. Myśmy patrzyli na ciebie z nabożnym podziwem.

- Uprawiałeś potem beletrystykę?

- Jak wielu, mam szufladę pełną nieskończonych powieści. Dochodziłem do połowy i trafiałem na mur.

282

- Szkoda. Zapadła cisza.

- Dzięki za to, co dla nas robisz - powiedział wreszcie Tom.

- Proszę bardzo. Jeśli będziesz potrzebował czegoś jeszcze, daj znać.

Dużo szybciej, niż mógł się spodziewać, przekonał Ginę, że powinni przynajmniej spotkać się z Brianem McKnightem. W następnym tygodniu polecili w trójkę do San Diego. Przez te wszystkie lata po odejściu Giny Tom i Dutch tak naprawdę ani razu ze sobą nie rozmawiali. Co więcej, widywali się tylko wtedy, gdy Tom zabierał albo przywoził Danny'ego. Tom miał w pamięci obraz wysokiego, potężnego gościa, takiego niedźwiedzia z fryzurą na jeża. Ale gdy spotkali się we troje na lotnisku, Dutch wcale tak nie wyglądał. Był niższy od Toma i ani trochę nie przypominał niedźwiedzia. Tom zorientował się, że stworzył sobie obraz, który pasował do obiegowego wizerunku żołnierza piechoty morskiej. Uścisnęli sobie ręce, a Gina patrzyła na nich, starając się nie okazywać niepokoju.

W samolocie siedzieli w tym samym rzędzie, Tom pośrodku. Przez pewien czas czuł się dziwnie, mając koło siebie faceta, którego nienawidził przez lata, który ukradł mu żonę i jedyne go syna, który spowodował - a przynajmniej dużo za tym przemawiało - że Danny znalazł się tam, gdzie jest teraz: na ławie oskarżonych. A tu raptem jedli precele, popijali kawę i prowadzili uprzejmą rozmowę, podczas gdy Gina udawała, że jest pochłonięta lekturą książki.

McKnight wynajął na to spotkanie pokój w hotelu Bristol

283

przy Pierwszej Alei. Gdy Tom, Dutch i Gina przybyli na miejsce, prawnik i Danny już na nich czekali. Danny wyglądał tak, jakby zapomniał, co to sen. Miał bardzo podkrążone oczy. Miesiące oczekiwania niewątpliwie odcisnęły na nim piętno. Przywitał się z Tomem i Dutchem w taki sam wyważony sposób.

McKnight nosił okulary w złotych oprawkach i rude wąsy, dość bujne i opadające, jakie widywało się w latach siedemdziesiątych. Miał surowy, sztywny sposób bycia. Podczas dwugodzinnego spotkania, kiedy to ani razu nie przemknął po jego twarzy uśmiech, okazało się, że jest byłym żołnierzem piechoty morskiej oraz oficerem śledczym i adwokatem w Kryminalnym Biurze Śledczym Marynarki Wojennej i zna wszystkie zakamarki labiryntu, w którym utknął Danny. Przeczytał już całą dokumentację sprawy i wyraził poważne wątpliwości co do działań obrońcy Danny'ego.

Wszystko zależy teraz od przesłuchania zgodnie z artykułem trzydziestym drugim, które wyznaczono na pierwszy tydzień stycznia, oświadczył. Na tym powinni skoncentrować swoje wysiłki.

- O co dokładnie chodzi w tym przesłuchaniu? - zapytał Tom.

- To wojskowy odpowiednik wielkiej ławy przysięgłych. W gruncie rzeczy należy stwierdzić, czy oskarżenie jest zasadne.

- A jeśli będzie zasadne?

- Wówczas sprawa zostanie przekazana sądowi wojskowemu.

Gina odchrząknęła.

- Co najgorszego może się wydarzyć? McKnight umilkł. Spojrzał na Danny'ego.

- Proszę pani, pani syn to wie. Amerykańscy wojskowi nie orzekli kary śmierci dla swojego człowieka od wielu lat. Ale

284

muszę pani powiedzieć, że przepisy, które im to umożliwiają, nadal są w mocy.

Podczas podróży powrotnej mało rozmawiali. Gdy zegnali się na lotnisku, Dutch uściśnął rękę Tomowi i przez chwilę ją przytrzymał.

- Dziękuję za twoje starania - rzekł. - Niesłusznie sprzeciwiałem się zaangażowaniu prawnika z zewnątrz. Wciąż trudno mi w to uwierzyć, ale zdaje się, że oni chcą, żeby ten biedny dzieciak zebrał baty. Z pomocą tego McKnighta może ma jakąś szansę.

Tej nocy, po raz pierwszy od lat, Tomowi przyśniła się Dianę. Sen był jakby zaktualizowaną wersją innego, który dręczył go przez rok, zanim Dianę została stracona w komorze gazowej. Budził się i chował w kącie sypialni, trzymając się za głowę i krzycząc, aż cały dom stanął na nogi. Nigdy nie śniła mu się sama egzekucja. Poprzedzała ją atmosfera narastającej podstępnie grozy: siedzi z Dianę w

zaciemnionej celi, coraz bliższe kroki na korytarzu, cień pod drzwiami, oko w zakratowanym okienku, szcęk klucza w zamku, drzwi powoli się otwierają.

To Karen O'Keefe utrzymywała go w równowadze, gdy mijał tydzień po tygodniu i lato przechodziło w jesień. Często wyjeżdżała, żeby zbierać materiały i kręcić wywiady do Chodzących ofiar. Ale ilekroć przebywała u swojej matki w Missouli, wpadała do niego kilka razy w tygodniu. Jedli lunch albo kolację, a potem przez parę godzin przeglądali notatki i nagrania do ich filmu o Misji Świętej Rodziny. Karen chciała zrobić dokument fabularyzowany i napisała już szkic, zdaniem Toma bardzo dobry. Poza tym wygrzebała całkiem interesujące nowe materiały, w tym zdjęcia, o których istnieniu Tom nie wiedział.

285

A przede wszystkim odnalazła dziennik napisany przez jednego z włoskich jezuitów prowadzących szkołę.

Chodzili na spacer z Makwi, która lubiła Karen tak samo jak Tom. Czasem nawet biegali z psem. Ich znajomość nadal była czysto platoniczna, choć Tom musiał zachowywać dużą powściągliwość. Jak to wyglądało ze strony Karen, nie był pewny. Ale darzyła go wielką sympatią. Teraz sporo już o niej wiedział. Miała trzydzieści trzy lata i przez ostatnie siedem mieszkała w Vail z instruktorem narciarstwa, który ciągle obiecywał, że zostawi żonę, lecz nigdy tego nie zrobił. W końcu Karen zostawiła jego.

Tom nie mógł się rozeznąć w swoich uczuciach do Karen (a ściślej mówiąc, nie był pewny, czy są one stosowne - pożądanie jest bowiem krnąbrną bestią, którą trudno poskromić). Ale co tam. Dobrze się razem czuli. Potrafiła go rozbawić, przy niej odmłodził, nabrał wigoru, od lat nie był tak ożywiony. Co ważne, przestał się zastanawiać nad pobudkami jej postępowania. Nie kryła, że chce poznać Danny'ego i, jeśli się zgodzi, przeprowadzić z nim wywiad do Chodzących ofiar.

Okazja do tego mogła się nadarzyć podczas Święta Dziękczynienia. Danny miał wrócić do domu i spędzić wolne dni z Giną i Dutchem w Great Falls. Rodzina utrzymywała teraz tak przyjacielskie stosunki, że Gina, rzecz zdumiewająca, zaprosiła Toma na świąteczny obiad. Był wzruszony, ale nie przekonany, czy jest na to gotowy, więc odmówił, okazując wdzięczność i tłumacząc się wcześniejszym zaproszeniem. Danny wybierał się do Missouli w weekend. To inne zaproszenie, choć nie wcześniejsze, okazało się prawdziwe - dzień później Karen zaprosiła Toma na świąteczny obiad do swojej mamy.

286

- Ona doprowadza mnie do szału, ciągle pyta, kiedy cię pozna. Powiedziała, że jeśli się nie pojawisz, sama cię dopadnie.

- Nie wiem, co byłoby bardziej ekscytujące.

- Obiad, możesz mi wierzyć.

Co najmniej przez dziesięć lat Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie jakby dla Toma nie istniały. Wymawiał się tyle razy, że już nikt go nie zapraszał. Gdyby to zaproszenie nie wyszło od Karen, też by je odrzucił. W dniu święta cieszył się, że jednak je przyjął.

Lois O'Keefe wyglądała na minimum pięć lat młodszą, niż zdaniem Toma musiała być w rzeczywistości - ponadto podobieństwo matki i córki robiło niesamowite wrażenie. Miała cięty dowcip i droczyła się z Tomem, gdy tylko przekroczył próg, przede wszystkim na temat nieżyjącego i najwyraźniej nieopłakiwanego znanego Maurice'a.

- Prawda jest taka, że to nieszczęsne stworzenie kupił Norm - powiedziała.

- Norm?

- Mój były przyjaciel. Przepadał za nim. Bardziej niż za mną, jak się okazało. Mieli nawet takie same niebieskie oczy. Gdy Norm czmychnął, spojrzenie tego kota trochę mnie krępowało. Miałam wrażenie, że Norm wciąż tu jest, przygląda się, kontroluje. Należysz do porzucających, Tom?

- W sensie technicznym raczej do porzucanych.

- A zatem mamy coś wspólnego. Zdrowie porzucanych. Poza Tomem i Karen, goście stanowili czarującą mieszankę

rozwodników i przesiedleńców. Była tam urocza leciwa ciotka z Chicago, kardiochirurg z Vancouver, niewątpliwie stara miłość Lois (jedna z wielu, twierdziła Karen), pani profesor botaniki z Uniwersytetu Montany ze swoim partnerem, tępowym osiłkiem,

287

oraz szarmancki nowojorczyk o smutnych oczach, który miał na imię Gunter, robił coś nie do pojęcia z pieniędzmi innych ludzi i jakby trochę się tego wstydził.

Tom siedział między Lois a Karen i czuł się tym zaszczycony. Jedzenie było pyszne, a rozmowa zabawna.

- Słyszałem, Lois - powiedział, gdy nałożyła mu na talerz drugi kawałek placka dyniowego - że przeprowadzasz się do Francji.

- Sama nie wiem.

- Nieustannie zmienia plany - wtrąciła się Karen. - W zeszłym tygodniu jechała do Prowansji, w tym tygodniu do Toskanii.

- Ach, ta Toskania - westchnął Gunter, unosząc kieliszek do ust.

- Dlaczego Francja ci nie odpowiada? - zapytał kardiochirurg. - Pomijając, oczywiście, Francuzów.

- Uwielbiam Francuzów - oświadczyła Lois.

- Nie ulega wątpliwości, że oni nie lubią nas.

- Nas nikt nie lubi. Tom, jeśli wolno zapytać, otóż wiem, że mieszkałeś tu prawie przez całe życie, ale wciąż jesteś Angolem czy...

- Nie mam bladego pojęcia, kim jestem. Wszyscy się roześmiali.

- Nadal mam brytyjski paszport, jeśli o to ci chodzi.

- A kim się czujesz?

- Mówisz jak moja terapeutka. - Zastanowił się chwilę. - Szczerze mówiąc, nigdy nie miałem poczucia przynależności do jakiegoś miejsca, kraju czy plemienia. Co nie znaczy, że nie chciałem przynależeć. W każdym razie nikt już nie lubi Angoli, więc jedziemy na tym samym rozklekotanym wózku.

288

- Bzdura. Kocham Brytyjczyków - zapewniła Lois. - Ilekroć nadarza mi się okazja.

- Mamo - jęknęła Karen. Lois uniosła kieliszek.

- Za sang froid.

Wszyscy posłusznie wzniesli toast.

- Co to znaczy sang froid? - szepnął przyjaciel pani profesor.

- Po francusku „zimnokrwistość” - wyjaśnił Tom. - Jak u gadów.

- Gdzie tam - sprzeciwiła się Lois. - To coś więcej, coś bardziej chwalebne. Chodziło mi o... opanowanie, przytomność umysłu.

Gdy Tom wychodził - Karen stała za plecami matki, uśmiechając się szeroko i kręcąc głową - Lois przytrzymała jego dłoń, spojrzała mu w oczy i powiedziała, że spotkanie z nim sprawiło jej wielką przyjemność.

- Nie zdążyliśmy porozmawiać o twojej cudownej książce o Indianach i o fantastycznym filmie. Miałam do ciebie mnóstwo pytań. Mieszkam tuż za wzgórzem...

- Nic dodać, nic ująć,- zażartowała Karen.

- Nie zwracaj uwagi na tę impertynentkę, Tom. Obiecuj, że mnie odwiedzisz, gdy nie będzie tu tej hałastry.

Obiecał. Położyła ręce na jego ramionach i pocałowała go w oba policzki.

Dwa dni później Danny i Kelly przyjechali z Great Falls na lunch. Danny nie był już taki blady i wymizerowany, od czasu gdy Tom widział go przed mniej więcej miesiącem, przybrał na wadze kilka funtów. Przywitali się długim uściskiem, a potem Danny przedstawił Kelly. Była niska i ładna. Gdy Tom uścisnął

289

jej rękę, odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i spojrzeniem, które mówiło, że ona wie o nim dużo więcej niż on o niej.

Przy posiłku rozmawiali z pewnym skrępowaniem. Kwestia przesłuchania nie została poruszona, lecz wisiąca w powietrzu. Tom pytał Kelly o jej rodzinę i pracę. Była córką sierżanta piechoty morskiej i pracowała na cywilnej posadzie w administracji bazy lotniczej Malmstrom. Sprawiała wrażenie

bardzo inteligentnej. Młodzi niewątpliwie przepadali za sobą. Co jakiś czas, nie przenosząc wzroku, Kelly brała Danny'ego za rękę.

Przy kawie podanej w salonie Danny odchrząknął i oznajmił, że się zaręczyli. Powiedział też, że nie chcą wielkiego przyjęcia i zamierzają wziąć cichy ślub po Bożym Narodzeniu. Kelly się zarumieniła. Tom powiedział, że to wspiana wiadomość, i pobiegł wygrzebać butelkę szampana z którejś z szafek kuchennych. Gdy szampan się chłodził, przyjechała Karen. Tom zaprosił ją na lunch, ale uznała, że będzie lepiej, jeśli wpadnie później.

Przywiozła stos dokumentów dotyczących Misji Świętej Rodziny i parę kaset. Miało to świadczyć o charakterze - czysto zawodowym - jej znajomości z Tomem, ale spojrzenie Danny'ego powiedziało Tomowi, że nie dał się tak do końca przekonać. Gdy Karen gawędziła z Kelly i Dannyem, Tom przetarł kieliszki. Wzniesli toast letnim szampanem - gospodarz wodą mineralną - za zbliżający się ślub, którego data pozostała jeszcze do ustalenia.

Danny, jakby stosując się do scenariusza, zapytał Karen, jakiego rodzaju filmy kręci. Opisała kilka, pomniejszając wagę radykalnych poglądów w nich zawartych, i na koniec, zupełnie od niechcienia, wspomniała o Chodzących ofiarach. Tom przyglądał się uważnie synowi - z lekkim poczuciem winy -

290

żeby sprawdzić, czy podejrzewa jakąś znowę, ale nic na to nie wskazywało. A Kelly, poczciwa dusza, nawet zaproponowała, żeby Karen zamieściła w filmie wywiad z Dannyem.

- Popatrzcie, co oni robią nam wszystkim - powiedziała, biorąc narzeczonego za rękę. - Człowiek ryzykuje życie dla kraju, a oni tak go traktują.

Danny poklepał ją po kolanie, dając znak, że to wystarczy. Ale gdy Karen wychodziła, spytał ją o numer telefonu i podał swój.

Nie zważając na sprzeciw, Kelly postanowiła sprzątnąć ze stołu i pozmywać naczynia. Oczywiście zależało jej na tym, żeby ojciec i syn mieli trochę czasu dla siebie. Ubrali się i wzięli Makwi na spacer do lasu. W połowie drogi Danny zapytał, czy Tom i Karen są parą. Tom roześmiał się, może trochę za głośno, i stanowczo zaprzeczył, wyjaśniając, że pracują razem nad filmem o szkole Misji Świętej Rodziny. Danny chyba odetchnął z ulgą.

- Wydawało mi się, że ona jest jakby... no wiesz... trochę... młoda.

- Oczywiście.

- To nie znaczy...

- W porządku, masz rację. Mógłbym być jej tatą. Doszli do kruczych skał i usiedli tam, patrząc na dolinę.

W oddali na grani leżały wstęgi śniegu, niebieskie zimowe światło szybko gasło. Tom zapytał o przygotowania przed zbliżającym się przesłuchaniem. Danny zapewnił go, że razem z McKnightem wielokrotnie wszystko omówili i dołożyli starań, żeby jak najlepiej się przygotować. Jego zdaniem prawnik wypowiadał się o ich szansach z dużym optymizmem, ale prawdopodobnie zawsze ma takie nastawienie.

- Cóż, nieczęsto przegrywa.

- Tato, stawiane mi zarzuty są dość poważne. Gdy Delgado zacznie składać zeznania... Ten facet nienawidzi mnie do żywego.

Umilkli na chwilę. Tom objął Danny'ego.

- Po prostu trzymaj się prawdy, synu. Będzie dobrze. Danny kiwnął głową.

- Mamy z Kelly dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. Nie przeszła mi przez gardło przy Karen.

- O czym?

- Kelly jest w ciąży.

Tom nie wiedział, co powiedzieć. Danny przyglądał mu się uważnie.

- O rany. Czy dziecko, no wiesz... było zaplanowane?

- Oczywiście.

- Ile ma... to znaczy, kiedy się spodziewacie...

- Kelly jest w dwunastym tygodniu. Urodzi na początku czerwca.

- Wspaniała wiadomość, synu. Moje gratulacje.

- Dzięki.

- Zastanawiający moment na podjęcie decyzji.

- O to właśnie chodzi, tato. Jeżeli sprawa zostanie przekazana sądowi wojskowemu i tam orzekną moją winę, to... Wiesz, jaki może być wyrok. Kelly chce być pewna, że my... że ona ma jakąś... rozumiesz... kogoś...

Tom wziął syna w objęcia i mocno przytulił. Cholera, zaraz się popłacze, a tak chciał być silny w oczach Danny'ego. Przełknął ślinę i powstrzymał łzy. Potem roześmiał się i klepnął syna w plecy.

- Jasny gwint. Będę dziadkiem.

Trzy tygodnie później przyszedł przedwczesny prezent gwiazdkowy od Korpusu Piechoty Morskiej. Brian McKnight został poinformowany telefonicznie, że wycofano zarzut morderstwa postawiony drugiemu oskarżonemu Eldonowi Harkerowi. Zawarto jakiś układ. Harker będzie zeznawał przeciwko Danny'emu. Sytuacja zdecydowanie się zmieniła. Termin przesłuchania został wyznaczony na początek maja.

Najpierw musiało być lepiej, żeby mogło być gorzej. Choć patrząc z perspektywy czasu, gdy wszystko runęło, Tommy doszedł do wniosku, że nigdy nie było dobrze, i na karb własnej głupoty złożył to, że przedtem myślał inaczej. Prawdopodobnie zaślepiała go wciąż żywa fascynacja Redem McGrawem, nieistniejącym idolem, kowbojem, który nie mógł się obyć bez kaskadera, nawet nie umiał dobrze jeździć konno, był nieprawdziwy i niedorzeczny jak jego kostium i sześciostrzałowiec obracany na palcu. Gdyby Dianę poznała Cala, zanim poznała Raya, wszystko by się ułożyło i byłiby szczęśliwi.

Tommy nie był aż tak zaślepiony, by nie zauważyć nerwowości podczas pierwszych paru tygodni w plenerach. Zdawał sobie sprawę, że Ray i pan Redfield nie zgadzają się ze sobą - cała ekipa zdawała sobie z tego sprawę i ciągle o tym mówiła. Wyczuwał również napięcie między Rayem a Dianę, widział, jak on na nią patrzył, gdy z radością spotykała się na planie z Johnem Graylingiem, i jak niegrzecznie zachował się wobec Cala tamtego wieczoru, gdy późno wrócili do domu po obejrzeniu

294

malowideł na skałach. Domek, w którym mieszkali, miał cienkie ściany i niemal co wieczór Tommy słyszał, jak Ray i Dianę krzyczą na siebie.

Potem atmosfera jakby się uspokoiła i przez następne kilka tygodni wszyscy mieli lepszy nastrój. Pan Redfield nie kazał Rayowi robić tylu dubli i nie było już tych długich przerw, gdy odchodzili na bok, a reszta musiała czekać, aż skończą się kłócić. Tommy widział jednak raz czy drugi, jak pan Redfield wzdychał albo posyłał panu Kanterowi ukradkowe spojrzenie, świadczące o tym, że nie był tak zadowolony, jak pozwalał Rayowi sądzić.

W tym czasie Tommy bawił się jak nigdy dotąd. Codziennie dowiadywał się od Cala czegoś nowego, czy to o jeździe konno, czy o wypasaniu koni i bydła, czy o roślinach i zwierzętach. Najbardziej cieszył się, gdy namówił Cala na opowieści o Czarnych Stopach, o historii jego rodziny, o tym, jak żyli i w co wierzyli, o obrzędach związanych z polowaniem i o ceremoniach, o zawiniątkach ze świętą fajką i z uzdrawiającymi przedmiotami mocy, o różnych takich sprawach. Cal nawet nauczył go paru słów w języku Czarnych Stóp. Zdarzało się, że wieczorem, gdy we dwóch jechali na pustynię, żeby konie się wybiegały, Tommy prosił Cala o sprawdzian.

- No dobrze, jak się mówi „kuguar”?

- Omachk-atayo.

- A co to znaczy?

- Duży wyjec.

- Dobrze. A jak jest „wilk”?

- To łatwe. Makwi.

- A „łoś”?

- A niech to, zawsze zapominam.

- Przypomina kichnięcie.
- Siks-tsisoo!
- Bardzo dobrze! Co to znaczy?
- Coś, co przechodzi. Czarne! Czarne, co przechodzi.
- No, no, Tom. Niedługo będziesz w tym naprawdę dobry. A jak się mówi „przyjaciół”?
- Nitakau.

Jechali obok siebie. Cal położył rękę na ramieniu Tommy'ego i powiedział:

- Nitakau.

Pewnego dnia, po powrocie z takiej przejażdżki, zaledwie dwa tygodnie przed zakończeniem zdjęć w Arizonie, Tommy nakrył Raya.

Zmierzchało. Cal znajdował się po przeciwnej stronie korrala, oglądając konia, który uderzył się w nogę. Prócz beznadziejnego podstarzałego strażnika, który stał kilkaset jardów dalej, przy bramie wjazdowej na ranczo, nikt więcej tam się nie kręcił. A raczej na to wyglądało. Tommy właśnie zaniósł siodła do stajni. Wychodząc, usłyszał śmiech kobiety i zaraz ktoś ją uciszył. Głosy dochodziły od strony parkingu ogrodzonego liną i oddalonego o jakieś dwadzieścia jardów, gdzie stały pick-upy i przyczepy aktorów. W żadnej nie paliło się światło, więc Tommy pomyślał, że się przesłyszał, że to tylko zarząta koń albo krzyknęła sowa, kojot czy coś takiego. A potem zobaczył, jak otwierają się drzwi przyczepy Raya i wychodzi jakaś kobieta. Zamarł. Rozejrzała się, ale go nie zauważyła. Odeszła szybkim krokiem. To była Leanne, bez wątpienia.

- No dobrze, młody człowieku, odprowadzimy cię do domu - rozległ się głos Cala. - Mama będzie się zastanawiała, co z tobą zrobiłem.

Tommy nic nie powiedział. Cal pewnie nie zauważył Leanne. Wsiedli do pick-upa, Cal zapalił silnik i włączył światła. Gdy przejeżdżali obok przyczepy, Tommy spojrzął w bok i dostrzegł, z całą pewnością, twarz Raya zerkającego przez okno.

Światła reflektorów padły na Leanne. Odwróciła się i uśmiechnęła, zasłaniając oczy. Cal zwolnił i zapytał, czy ją podwieźć, ale podziękowała, mówiąc, że wyszła na spacer.

Gdy zajechali pod dom, Dianę wyszła na dwór.

- Czy wy dwaj nigdy się sobą nie znudzicie? - zapytała.

Cal zaśmiał się, powiedział „do widzenia” i odjechał.

Dianę już napełniła wannę i przygotowała Tommy'emu kąpiel. Leżał w wodzie, zaniepokojony tym, co przed chwilą widział, ale nie potrafił tego ocenić, bo nie należało do jego dziecięcego świata. Może się

mylił, może to nie było nic złego i da się wyjaśnić. Ponieważ większość czasu spędzał z kowbojami, Leanne miała niewiele pracy i stała się kimś w rodzaju asystentki, przede wszystkim Dianę, choć również Raya. Jeździła do miasteczka po sprawunki, przyjmowała wiadomości przez telefon i takie tam rzeczy. Może z taką sprawą poszła do przyczepy. A potem przypomniał sobie inne sytuacje, gdy widział ich razem: Ray zawsze droczył się z dziewczyną i ją rozśmieszał. Zaledwie wczoraj na planie uważnie oglądał wnętrze jej dłoni, udając wróżbitę. Niekiedy wystarczyło zobaczyć, jak ludzie na siebie patrzą, i już miało się rozeznanie. Może powinien powiedzieć Dianę. Na pewno powinien. A jeżeli to wcale nie było tak? Czasem wspominał coś o Rayu i miał tylko kłopoty. Na przykład gdy podsłuchał, jak Ray mówi do Denny'ego:

„Co powiedzieć kobiecie, która ma podbite oboje oczu?”.

„Nie mam pojęcia”.

„Nic nie mówić. Mówiono jej już dwa razy”.

297

Tommy nie zrozumiał dowcipu, ale Denny zaśmiał się głośno, więc na pewno było z czego. Gdy chciał przetestować żart na Dianę, ze złościła się i zabroniła go opowiadać.

Tommy wykąpał się, wytarł, a potem umył zęby nad umywalką. Dianę siedziała na jego łóżku, powtarzając jakąś zabawną historyjkę Johna Graylinga. Tommy udał, że słucha jej cały czas. Włożył piżamę i wskoczył do łóżka.

- W ogóle się nie odzywasz - zauważyła Dianę. - Wszystko w porządku?
- Chyba jestem zmęczony. Uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie.
- Popatrz no, zupełnie zjaśniały ci włosy.
- Długo tu jeszcze będziemy?
- Dwa tygodnie. Potem zostaną tylko sceny we wnętrzach. Nakręcimy je w studiu. A co? Myślałam, że dobrze się bawisz.

Kiwnął głową.

- Spać mi się chce.

Pocałowała go w policzek, powiedziała, że go kocha, i życzyła słodkich snów.

Zeszła na dół i niedługo później usłyszał, jak Ray wchodzi do domu i woła do Dianę, że idzie na górę wziąć prysznic. Gdy Ray zajrzał do jego pokoju, udał, że śpi. Potem słyszał ich śmiechy w salonie, a jeszcze później, gdy poszli na górę, doleciały go odgłosy z sypialni, uderzenia łóżka o ścianę, krzyk Dianę i głos uciszającego ją Raya. Tak samo uciszał Leanne. Tommy zatkał uszy i gdy wreszcie zapadła cisza, długo leżał, wpatrzony w sufit, z nienawiścią myśląc o Rayu i czując się głupio, że kiedykolwiek go lubił.

298

Dopiero niedawno Rayowi przyszła do głowy zabawna myśl na temat władzy: ludzie, którzy najbardziej się nią chwalą, nie zawsze ją mają. Ci ważni producenci i dyrektorzy chcą cię przekonać, że wszystko im zawdzięczasz, że powinieneś paść na kolana i lizać im buty w podziękowanie za angaż, że mogą cię wyłać, kiedy im się tylko zachce, i zatrudnić innego frajera. Ale to gówno prawda. Dobrze wiedzą, że jeśli rzeczywiście by cię zwolnili, w gruncie rzeczy przyznaliby się przed swoimi spasionymi szefami do tego, że zawalili sprawę. Wówczas wyniuchają to te sępy z branży i kolorowych gazet (w Hollywood nic nie ma tak ostrego zapachu jak porażka), opiszą sprawę i - patrzcie państwo! - film zdycha, nadaje się na śmietnik, zanim ktokolwiek go obejrzy.

Prawda jest taka, że gdy człowiek się postawi, ci dranie nie mają żadnej władzy. Na szczęście Ray pojął to w samą porę. Przez pierwsze dwa tygodnie pozwalał, żeby ten przygłup reżyser tłamsił go i poniżał na oczach wszystkich. Siedział przy stole naprzeciwko Redfielda i Herba Kantera (który też był palantem, ale odgrywał sympatycznego wujaszka, kurwa, ciepłego i chętnego do pomocy) i słuchał, jak go niszczą, w zasadzie mówią, że się nie nadaje, w życiu nie będzie dobrym aktorem, powinien trzymać się telewizji, bo tam jest jego miejsce. Oczywiście nie tak to ujmowali - pletli bzdety o „motywacji odtwarzanej postaci”, „intencjach autora”, „podtekście”. Chrzanić to. Pieprzyć ich wszystkich. Podtekst był taki, że oni, kurwa, nie mogli go wywalić, bo rozpierdoliliby ten cholerny film.

Wystarczyło, że zaczął się bronić, a nie umieli sobie z tym poradzić. Gdy miał robić kolejny dubel, a uważał, że poprzedni był dobry, nie wkurzał się, po prostu ignorował wskazówki

299

i powtarzał ujęcie, nic nie zmieniając, aż w końcu ten gnojek Redfield ustępował. Poskutkowało. Wkrótce gość odpuścił. Rzecz jasna, Ray widział jego westchnienia, zrezygnowane miny, ale miał to gdzieś.

Już nie chciało mu się chodzić na przeglądanie materiału, co Redfield niewątpliwie przyjmował z ulgą. Te widziane wcześniej upewniły go, że na ekranie wypada dobrze. Nawet więcej niż dobrze. Scena bójk z Johnem Graylingiem była świetna. Podczas ostatniego ujęcia, gdy nie zdołał się pohamować i rąbnął go z całej siły, na twarzy tego pedzia pojawiło się autentyczne zaskoczenie - kapitalny widok. Siniak na szczęście jeszcze mu nie zszedł. A gdy kręcili scenę miłosną z Dianą na sianie, ta cholerna stodoła omal nie stanęła w ogniu. Tamtego dnia nie musiał wysłuchiwać wykładów o „motywacji”.

Zupełnie inną kwestią były stosunki między nimi poza planem. Nigdy w życiu nie przypuszczałyby, że Dianę okaże się oziębłą. Dotychczas w tej dziedzinie działali na siebie elektryzująco, od roku nie potrafili trzymać rąk przy sobie. Dianę zawsze chciała tego tak samo jak on, jeśli nie bardziej. A nawet chciała tego w taki sposób, jaki zazwyczaj kobietom się nie podoba.

Ślub był oczywiście błędem. Mógł to przewidzieć, cholera. Ludzie się pobierają i nie wiedzieć kiedy koniec z seksem. Jasne, od czasu do czasu im się zdarzało. Z rzadka, jeśli akurat nie była zmęczona. Ale nie wyglądało to jak dawniej. Bogu dziękować za tę swawolną klaczkę Leanne. Czarny koń w pełnym tego słowa znaczeniu. Zaledwie osiemnastolatka, a zna więcej sztuczek niż dziwka z Vegas.

Musieli jednak cholernie uważać. Czasem niewiele brakowało.

Parę razy Diane o mało nie przyłapała ich w domu, choć sądził, że jest na planie albo na zebraniu. No i tamtego wieczoru, gdy nie wiedział, że Tommy i Cal wybrali się na konie - gdyby wrócili trochę wcześniej, zobaczyliby, jak cała przyczepa trzęsie się w posadach od igraszek z Leanne. Potem nawrzeszczał na tego starego pijusa przy bramie, który go nie ostrzegł, mimo że Ray napychał mu kieszenie pieniędzmi.

No i jeszcze zauroczenie Tommy'ego Calem. Ray nie wiedział, co o tym myśleć. Z początku działało mu to na nerwy, nawet budziło zazdrość. Ale przecież sam był temu winny. Tak się zafiksował na własnych kłopotach z Redfieldem, że nie poświęcał dzieciakowi wystarczająco dużo uwagi. Z drugiej strony Cal był całkiem przywoitym facetem, jak na mieszańca, a Tommy przyjemnie spędzał czas i uczył się wielu nowych rzeczy. Miało to jeszcze ten plus, że uroczą Leanne mogła korzystać ze swobody, więc nie zamierzał się wtrącać. Tak czy owak, wszystko niedługo się skończy. Za tydzień spakują manatki i wrócą do Los Angeles, żeby kręcić w studiu.

Była niedziela wieczorem. Ray miał się stawić na planie dopiero następnego popołudnia, natomiast Diane wyznaczono zdjęcia z samego rana, więc wcześniej poszła do łóżka, żeby przygotować się do ostatniej sceny z Graylingiem. Leanne wybierała się do baru Hungry Horse i tam Ray obiecał się z nią spotkać. Przy odrobinie szczęścia i dzięki zręcznym manewrom może uda im się wymknąć do przyczepy. Na myśl o Leanne Ray poczuł drgnięcie w spodniach. Świeżo po prysznicu, w nowej białej koszuli i czarnych dżinsach, przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze łazienkowym. Do diabła, ależ z niego przystojniacha.

Zgasił światło i stanął w drzwiach sypialni, obserwując Diane.

Siedziała w łóżku, oparta o poduszki, miała na nosie małe okulary do czytania i robiła notatki na marginesie scenariusza. Jak belferka, psiakrew. Cholernie pilna, do znudzenia. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

- Wychodzisz?

- Mhm. Denny ma dziś urodziny. Chłopaki umówili się na piwo w HH. Obiecałem wpaść.

Pocałował ją w czoło.

- Nie zabawię długo.

Zaparkował samochód na końcu ulicy i poszedł dalej chodnikiem. Chętnie tak robił, bo czasem tłoczyli się wokół niego chłopcy, którzy pamiętali go ze Sliprock, i prosili o autograf. Powszechnie znano charakterystyczny gest Reda McGrawa: dłoń ułożona w kształt rewolweru i zdmuchnięcie dymu z końca lufy. Tego wieczoru chłopców nie było. Ale rozpoznawali go wszyscy przechodnie, niektórzy się uśmiechali i pozdrawiali skinieniem głowy, a on odpowiadał uśmiechem w królewskim stylu i uchylał kapelusza.

Znajdował się mniej więcej w połowie ulicy, gdy zobaczył grupę młodych Indian. Zawsze kręcili się przy HH i najwyraźniej uważali się za największych elegantów w mieście. Czterech ruszyło w jego

stronę niedbałym krokiem, z papierosami w ustach i minami zbitego psa. Psiakrew, czy te wałkonie nigdy nie nauczą się uśmiechać?

Jakby czytali w jego myślach, wszyscy jednocześnie uśmiechnęli się z wyższością. Stanęli naprzeciwko niego, tarasując chodnik i wyraźnie nie zamierzając zejść mu z drogi. Jeden z nich mruknął coś pod nosem, pozostali parsknęli śmiechem. Ray wiedział, że jest obiektem złośliwych żartów, ale nie zamierzał dać się sprowokować. Kiwnął im głową i usunął się

302

na bok. Trzech chłopaków przecisnęło się obok niego, ale czwarty nie ustąpił.

- Cześć, Red - rzucił z drwiną.

Tamci zatrzymali się i odwrócili, patrząc, co będzie dalej. Jeden z nich zachichotał. Ray spojrział uważnie na tego, który się odezwał, i kiwnął głową.

- Dobry wieczór - odrzekł.

Chłopak zaciągnął się papierosem i rzucił peta na ulicę. Patrząc Rayowi prosto w oczy, wolno unioś rękę i zrobił gest Reda McGrawa, tyle że lufę rewolweru tworzył jeden palec - środkowy. Chłopak wypuścił cały dym z płuc na koniec palca i uśmiechnął się od ucha do ucha. I wtedy Ray powalił go lewym prostym w szczękę.

Wybuchła awantura. Pozostałych trzech doskoczyło do Raya, jeden miał w ręku butelkę i wałnąłby go w głowę, lecz Ray zobaczył, co się szykuje, i pierwszy kopnął go mocno w jaja. Indianiec jęknął i zgiął się wpół, natomiast tamci dwaj zaatakowali Raya. Jeden był na tyle silny, że chwycił go od tyłu w kleszczowy uścisk, a jego kumpel wymierzył mu parę porządnych ciosów. I wtedy przez drzwi wahadłowe HH wylecieli Chico, Denny i jeszcze kilku członków ekipy budowlanej, dopadli zasrańców i dali im wciery, może trochę przegięli, bo gdy opadł kurz, okazało się, że jeden jest nieprzytomny, a drugi ma złamaną szczękę.

Przyjechała policja, zgarnęła dwóch, którzy jeszcze trzymali się na nogach, pozostałych dwóch zabrała karetka. Sanitariusze chcieli zabrać również Raya, ale powiedział, że nic mu się nie stało. Wyglądał gorzej, niż się czuł. Nowa biała koszula była zakrwawiona, ale z nosa już nie ciekła krew i chyba nie był złamany, tylko trochę bolał. Koledzy zaprowadzili go do baru,

303

Chico dał mu butelkę jima beama i T-shirt z reklamą Hungry Horse i wszyscy przyszli posłuchać, co się stało. Leanne, słodka dziewczuszka, przyniosła miskę z ciepłą wodą i ręcznik, żeby go obmyć.

Ktoś musiał zadzwonić do Herba Kantera, bo wkrótce i on się pojawił. Był przejęty i zaczął gdakać jak kwoka i zadawać pytania, na które całe towarzystwo znało już odpowiedzi. Ray posadził go, dał mu drinka i w okamgnieniu znowu robiło się miło, spokojnie i przyjemnie. Po wyjściu Herba Denny i Ray wymknęli się za bar zapalić jointa. Gdy wrócili, Ray zauważył, że Leanne już nie ma, chętką na nią też zniknęła, za to bardziej rozboleł go nos, wobec tego pożegnał się, niepewnym krokiem poszedł do samochodu i pojechał do domu.

Obudził się wcześniej, niżby wolał, słysząc krzyk Dianę. W nocy znowu zaczął krwawić i zaplamiał całą poduszkę. Dianę i Tommy stali przy łóżku i patrzyli się na niego z przerażeniem.

- Chryste Panie, co się stało?

Zbagatelizował sprawę i podobnie starał się zachować później, gdy razem z Herbem Kanterem przyjechał młody zastępca szeryfa hrabstwa, żeby go przesłuchać. Urzędnik był niedoświadczony, poważny i bardzo zdenerwowany. Stwierdził, że ma dowody na to, iż Ray uderzył pierwszy, czemu Ray oczywiście zaprzeczył. W końcu dzieciakowi zabrakło pary i tylko siedział z żalosną miną. Odprowadzając go do samochodu, Herb położył rękę na jego ramionach i powiedział coś, co wyraźnie podniosło chłopaka na duchu. Odjechał uśmiechnięty, machając ręką. Gdy Herb wrócił do domu, Ray zapytał go, co takiego powiedział.

304

- Obiecałem mu dwa bilety na premierę.

Może jednak producentom należy się dobre słowo.

Cal zjawił się dwadzieścia minut przed Frankiem Dawsonem, który miał odwieźć ich na lądowisko. Torby stały w holu. Pakując ostatnie rzeczy i sprzątając dom, Dianę co i raz wyglądała przez okno, zastanawiając się, czy Cal pożegna się z nimi, jak obiecał. Wreszcie zobaczyła jego pick-upa na drodze gruntowej, a za nim rozwiewającą się chmurę czerwonego pyłu.

- Tommy! Cal przyjechał.

Właściwie pożegnali się poprzedniego wieczoru na przyjęciu z okazji zakończenia zdjęć. Wszyscy doskonale się bawili. Nawet Ray był zadowolony. Tańczył z nią, zachowywał się wobec niej miło, prawie jak za dawnych czasów. Tylko wciąż nie wiedziała, co zaszło między nim a Tommym. Tommy nie odzywał się do Raya, chyba że musiał. Ray też nie rozumiał jego zachowania. Ilekroć próbowała wypytać Tommy'ego, tracił humor albo wpadał w złość i mówił, że nic się nie stało, wszystko jest w porządku.

Podczas przyjęcia Dianę rozdała prezenty ekipie i innym aktorom i ze wzruszeniem przyjęła mnóstwo prezentów przygotowanych dla niej. Wszyscy mówili, że praca z nią sprawiła im ogromną przyjemność i że będą tęsknili za Tommym, który stał się jakby maskotką przedsięwzięcia. Herb Kanter podarował mu klaps z napisem: „T. Bedford, kowboj”.

Tommy brał udział w zabawie, aż minęła północ. Wszystkie kobiety prześcigały się, żeby z nim zatańczyć. Dianę nie mogła pojąć, gdzie nauczył się twista. Tańczył rewelacyjnie. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby zachowywał się tak swobodnie.

305

Minusem było to, że tego ranka nie mogła ściągnąć go z łóżka. Za każdym razem, gdy go budziła, stękał i przewracał się na drugi bok. Teraz chyba już wstał i się ubierał (oby). Ray chwilę wcześniej pojechał do miasteczka po papierosy, jak powiedział. Całe pudełko leżało na swoim miejscu na kredensie. Pewnie nie zauważył.

- Tommy! Słyszalesz mnie?

- Już schodzę.

Dianę otworzyła drzwi i razem stanęli na progu, osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem i patrząc, jak Cal wysiada z samochodu. Pomachał im i ruszył stromą ścieżką w stronę domu. Oczywiście też był na przyjęciu, jak wszyscy. Dianę liczyła na to, że poprosi ją do tańca, ale tego nie zrobił. Zamierzała sama go poprosić, ale nie nadarzyła się po temu okazja. Tommy będzie bardzo za nim tęsknił. Ona też.

- Cześć. Przepraszam za spóźnienie.

- Już traciliśmy nadzieję.

Stanął przed nimi, trzymając pod pachą dużą torbę z brązowego papieru. Zdjął kapelusz i uśmiechnął się, a gdy Dianę zapytała, czy napije się kawy, poszedł za nią i Tommym do kuchni. Położył na stole kapelusz i pakunek i usiadł. Dianę zaczęła parzyć kawę.

- No i jak, Tom? Dobrze się bawiłeś? Wszystko na to wskazywało.

- Było dobrze.

- Może dla ciebie. Dziewczyny chciały tańczyć tylko z tobą.

- Ty też nie możesz narzekać - wtrąciła się Dianę. - Niektóre nie miały szansy.

- Kowboje nie dopchają się do królowej balu.

306

- Było raczej na odwrót.

Cal spojrział na nią z uśmiechem. Między nimi przemknął błysk porozumienia. Dianę dostrzegła w jego oczach tkliwy smutek, pierwszy raz od początku ich znajomości. Odwróciła się szybko i zajęła kawą.

- Gdzie jest Ray?

- Pojechał po papierosy. Wróci lada chwila.

Tommy zapytał, jak długo będzie trwało przewiezienie wszystkich koni z powrotem do Los Angeles. Cal uważał, że kilka dni, bez pośpiechu, zważywszy na upał.

- Kiedy będziemy mogli znowu u ciebie jeździć?

Cal się nie odezwał. Dianę spojrziała na niego i wyczuła, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało, Cal?

- Już wcześniej chciałem z wami o tym porozmawiać. Ale parę dni temu zadzwonił do mnie Don Maxwell. Sprzedaje ziemię. Miał trzech kupców, podbijali cenę i w końcu doszła tak wysoko, powiedział mi, że tylko głupiec odrzuciłby ofertę. No więc... to już koniec rancza.

- On nie może tego zrobić! - wykrztusił Tommy.

- Niestety, może, Tom. Jest właścicielem. Zawsze wiedzieliśmy, że kiedyś to nastąpi.
- A co z tobą? - spytała Dianę. - Znajdziesz nowe ranczo? Jest wiele takich, gdzie kręci się filmy.
- Jasne. U Iversona, u Disneya. Ale wiesz, Dianę, już chyba nie chcę się tym zajmować.
- To co będziesz robił?
- Wrócę do Montany. Będę pomagał tacie. Rodzice zaczynają się starzeć. Przydam im się. Jest tam dla mnie miejsce. Są pastwiska dla koni.

307

Tommy patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami. Jakby osłupiał.

- Kiedy?
- Kiedy co, chłopcze?
- Kiedy wyjedziesz?
- Jeszcze nie wiem. Załatwienie spraw zajmie z miesiąc. Buldożery wjadą na początku jesieni. Do tego czasu chcę się wynieść. Wolę na to nie patrzeć.

Uśmiechnął się do Dianę.

- Z kawą wszystko w porządku?

Gdy nalewała kawę, usłyszeli warkot samochodu i chwilę później wszedł Ray, ożywiony, wesół, hałaśliwy, klepnął Cala po plecach, zmierzwił włosy Tommy'emu. Tommy nawet na niego nie spojrział.

- Co to?, Ktoś umarł?! - wykrzyknął.
- Wiedziałaś, że ranczo Cala będzie sprzedane? - zapytała Dianę.
- Ach tak, zapomniałem ci powiedzieć. Straszne, prawda? Ale są inne miejsca...
- Cal wraca do Montany. Ray spojrział na niego.
- Naprawdę? O tym nie wspomniałeś. To znaczy, że rezygnujesz z kaskaderstwa i tego wszystkiego?

Cal kiwnął głową.

- Jasny gwint, no to kto będzie moim dublerem?

Przed wyjściem Cal wypakował papierową torbę i wręczył wszystkim prezenty zawinięte w białą bibułę i przewiązane czerwonym sznurkiem. Tommy zapytał, czy może od razu otworzyć swój prezent, i Dianę oczywiście pozwoliła. Ray dostał kłamerę do paska, na której był napis: „Medicine Springs”,

308

Tommy zaś fajkę Nawahów, wyrzeźbioną z rogu jelenia, ozdobioną futrem, piórami i turkusowymi koralikami. Obaj podziękowali Calowi. Cal powiedział, że fajkę zrobił ten stary człowiek, od którego dowiedział się, jak trafić do skał z malowidłami.

- Ale żebyś nie zaczął palić, dopóki mama ci nie pozwoli. Dianę dostała wyszlifowany czerwony kamień, na którym

namalowano dwie ciemnoczerwone postacie, identyczne z tymi na skale w górach.

- Piękny - powiedziała po prostu, obracając go w rękach. Poczula, że napływają jej do oczu głupie łzy. Położyła kamień

na stole i szybko wyszła z kuchni, wołając przez ramię, że oni również mają coś dla niego. Prezent leżał przy torbach w holu. Stała tam chwilę, wycierając oczy i powtarzając sobie, że ma się wziąć w garść.

Zdjęcie zrobiła sama podczas którejś z ich popołudniowych przejażdżek, zamówiła odbitkę u fotografa w miasteczku i znalazła doskonale pasującą ramę z sękatego drewna piniowego. Przedstawiało Tommy'ego i Cala na koniach, obok siebie, na ich twarze pada wieczorne słońce, w tle wznoszą się góry. Uśmiechają się do obiektywu. Cal trzyma rękę na ramieniu Tommy'ego.

- Od nas wszystkich - powiedział Ray.

To była nieprawda, ale Dianę nie chciało się zaprzeczać. Cal i tak wiedział. Dłuższą chwilę patrzył na zdjęcie, potem kiwnął głową i spojrzał tylko na Dianę.

- Dziękuję.

- Nie, Cal - odparła cicho. - Tobie należą się podziękowania.

Przyjechał Frank Dawson. Włożyli torby do samochodu

309

i ruszyli na lądowisko, a za nimi pick-upem Cal z Tommym. Herb już czekał, samolot był gotowy do startu. Cal pomógł im załadować bagaże i zaczęły się pożegnania przy schodkach do samolotu. Cal uściśniętą rękę Rayowi i potem Tommy'emu, który nie mógł wydobyć głosu.

- Zobaczmy się po naszym powrocie - powiedział Cal.

Tommy kiwnął głową i wbił wzrok w ziemię. Dianę pocałowała Cala w policzek. Żałowała, że nie może zatrzymać dotyku i zapachu jego skóry.

Samolot wystartował na wschód, a gdy się przechylił, skręcając z powrotem na zachód, zobaczyli w dole Cala, jak idzie do swojego samochodu. Uniósł głowę, zatrzymał się i stał, machając kapeluszem, aż samolot nad nim przeleciał. Tommy patrzył przez okno, milczący i opuszczony.

Rozdział Dwudziesty Trzeci.

Był trzeci tydzień sierpnia, upał i ani tchnienia wiatru, który poruszyłby wysokimi eukaliptusami poniżej tarasu. Między nimi widać było centrum Los Angeles przyduszone warstwą żółtobrązowej mgiełki. Taka pogoda utrzymywała się od ich powrotu z Arizony i choć powietrze na wzgórzach było czystsze, Tommy miał czasem wrażenie, że się dusi.

Wieczorami zbierały się chmury i czuło się, że lada chwila powietrze rozerwie eksplozją. Burze były krótkie i gwałtowne. Tommy wychodził z łóżka i stawał w otwartych drzwiach balkonowych, patrząc, jak w świetle błyskawic wyłaniają się z ciemności drzewa, i słuchając grzmotów przetaczających się w kanionach. Nagle zrywał się deszcz tak rzęsy, że ulica na końcu podjazdu tonęła w wodzie i zamieniała się w rwącą rzekę.

Nie tylko z powodu pogody przestał mieć ochotę na cokolwiek. Atrakcje w Arizonie przyćmiły wszystko, co mógł robić w Los Angeles. Po raz ostatni wybrał się na przejażdżkę z Callem, smutną, bo ranczo już likwidowano. Większość koni została sprzedana, a te, które należały do Cala, wywieziono do

311

Montany, także Chestera. Cal zabrał się razem z nimi. Niedługo miał przyjechać po meble i swój dobytek, a z końcem października wyprowadzić się na dobre. Tommy bardzo za nim tęsknił i czasem żałował, że się w ogóle poznali.

Do tego Dianę i Ray prawie ze sobą nie rozmawiali, tylko cały czas krzyczeli. Zwykle nie kłócili się w jego obecności, awantury zaczynały się, gdy poszedł do łóżka. Burze w domu były czasem gorsze niż te na dworze. Wrzaski i krzyki, trzaskanie drzwiami, a jednego wieczoru, tuż po powrocie z Arizony, okropny brzęk tłuczonego szkła. Rankiem Tommy zastał Dolores w salonie, jak zbierała ostatnie kawałki wielkiego lustra. Dianę powiedziała, że przewróciło się podczas burzy, ale wiedział, że to nieprawda.

Dwa razy przyłapał ją na płaczu. Drugi raz zaledwie w zeszłym tygodniu. Leżał w łóżku i słuchał, jak się kłóć przy stole jadalnym na tarasie. Potem rozległ się trzask drzwi frontowych i ryk silnika cadillaca, którym odjechał Ray. Tommy wstał z łóżka i poszedł poszukać Dianę. Leżała na łóżku zalana łzami. Gdy zapytał, co się stało, powiedziała po prostu (jakby sam nie widział), że nie układa jej się teraz z Rayem. Tak się często zdarza, dodała, gdy ludzie się pobiorą i muszą się do siebie przyzwyczaić, a jednocześnie ciężko pracować. Gdy skończą kręcić Porzuconych, mówiła, wszystko się uspokoi i wróci do normy.

- Wciąż go kochasz?

Miał nadzieję, że usłyszy „nie”, a wtedy nareszcie będzie mógł powiedzieć jej o Leanne, ale ona tylko się uśmiechnęła, kazała mu się nie wygłupiać i oświadczyła, że oczywiście wciąż kocha Raya. A potem zmierzwiła Tommy'emu włosy i długo trzymała go w ramionach.

312

- Wszystko jest dobrze, kochanie. Naprawdę. Skończymy film i znowu będziemy szczęśliwi, jestem tego pewna. Wszyscy troje. Może dokądś wyjedziemy. W jakieś ładne miejsce, nad morze. Chciałbyś?

- Chyba tak. A moglibyśmy wyjechać tylko my?
- Tommy, nie możesz dłużej odnosić się tak do Raya. On cię kocha. Nie umiem powiedzieć, jak mu przykro, że się do niego nie odzywasz ani nie chcesz z nim przebywać. Kochanie, dlaczego tak się zachowujesz?
- Już ci mówiłem. Jest dla ciebie niemiły. Nie podoba mi się, że na ciebie krzyczy.
- Proszę cię, bądź bardziej sympatyczny. Proszę cię. Tak bym chciała, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi.
- Dobra.

Tak jakby można było pstryknąć i być szczęśliwym. W rzeczywistości Tommy rzadko widywał Raya - i nie tak znowu często Dianę. Przez cały dzień byli w studiu. Tommy siedział sam w domu, oglądał telewizję albo leżał na łóżku i czytał. Kiedy go to znudziło, pomagał Dolores w kuchni czy razem z Manuelem mył samochody, kosił trawę lub wyławiał liście z basenu. Dianę ciągle powtarzała, żeby zaprosił do domu jakiegoś chłopca, ale wszyscy koledzy ze szkoły Carla Curtisa nadal byli na wakacjach.

W końcu, dwa dni temu, gdy już myślał, że zwariuje z nudy i przygnębienia, zadzwoniła mama Wally'ego Freemana z wiadomością, że syn wrócił z obozu. Tommy zaproponował, żeby Wally przyjechał do niego i zanocewał. Dianę się zgodziła i uzgodniła szczegóły z panią Freeman.

Od przyjazdu Wally'ego wczoraj po południu chłopcy ani na chwilę nie przestali śmiać się i gadać. Wally spał na łóżku,

313

które wstawiono do pokoju Tommy'ego, choć trudno mówić o spaniu, ponieważ rozmawiali do drugiej nad ranem. Tommy relacjonował ze szczegółami pobytu w Arizonie, a potem mało nie pękł ze śmiechu, gdy Wally opowiadał, jakie to figle wyczyniali w Oregonie: jak podkładali kolegom żaby do łóżek i jak zostawili najwredniejszego wychowawcę na wyspie na jeziorze, na której podobno mieszkały niedźwiedzie.

Rano obudziły Tommy'ego krzyki w holu. Dolores wrzeszczała na kogoś, żeby sobie poszedł i nie wracał. Wally nawet się nie obudził, ale Tommy wstał z łóżka i gdy otworzył drzwi na korytarz, zobaczył ubraną w szlafrok Dianę, która właśnie wyszła spod prysznicy i miała równie zdziwioną jak on minę. Ze szczytu schodów krzyknęła do Dolores, pytając, co się dzieje, a ta odpowiedziała, jak zawsze nieprzyjemnym tonem, że „jakiś dzieciak przyszedł na żebry”.

Dianę i Tommy wyrzeli przez wysokie okno na podeście schodów i zobaczyli na podjeździe nastolatkę, która wlokła się w stronę bramy. Miała kręcone blond włosy związane w kucyk i żółtą sukienkę, za dużą i nadającą się do prania. Dziewczyna chyba wyczuła, że na nią patrzą, bo odwróciła się i spojrzała spode łba na dom. Na skurczonej twarzy malowała się złość i uraza. Dianę wzruszyła ramionami i poszli do jej sypialni. Tommy usiadł na łóżku i opowiedział jej o przygodach kolegi na obozie, a Dianę w tym czasie wysuszyła włosy i się ubrała.

Niedługo potem Dianę pojechała do pracy, a Tommy obudził Wally'ego, zjedli śniadanie i poszli popływać. Do południa bawili się w Indian, podchodzili jeden drugiego i zastawiali na siebie pułapki.

Wally chciał znowu strzelać do ptaków z wiatrówki, ale Tommy powiedział, że już tego nie robi i że nie należy

314

zabijać żadnych stworzeń, chyba że człowiek nie ma co jeść. Wally uznał, że to zawracanie głowy.

Znowu poszli nad basen. Pływali, wyławiali monety, siedzieli na brzegu, mocząc nogi w wodzie i debatując, która z trzech pań M - Marilyn Monroe, Jayne Mansfield czy Marnie Van Doren - ma najładniejsze cycki. Wally oznajmił, że gdy zacznie się szkoła, Wendy Carter na pewno pozwoli mu się pocałować, na co Tommy odrzekł z przekonaniem, że Wendy prędzej pocałowałaby psa w zadek, co z kolei doprowadziło do pojedynku zapaśniczego, wrzucania się nawzajem do wody i ochlapywania się z tak niepohamowanym zapałem, że Dolores wybiegła z domu i kazała im przestać.

Gdy przebierali się w suche ubrania, Wally wyraził chęć zobaczenia jeszcze raz kolekcji broni, którą Ray z dumą zaprezentował podczas jego poprzedniej wizyty. Tommy powiedział, że broń jest zamknięta w piwnicy i tylko Ray ma klucz.

- Ale jest rewolwer, którego nie trzyma w piwnicy.
- Naprawdę?
- Wydaje mu się, że o tym nie wiem. Chcesz zobaczyć?
- A jak myślisz?

Tommy zabrał Wally'ego do domu i upewnił się, że Dolores jest zajęta w kuchni, więc ich raczej nie przyłapie. Poszli na górę, potem na palcach przez podest do sypialni Dianę i stanęli przed szafką nocną Raya.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz.
- Obiecuję.
- Dostanie szafu, jak się dowie, że ci pokazałem.
- Przecież obiecałem.
- Słowo honoru?
- O Jezu. No dobra, słowo honoru.

315

Tommy otworzył szufladę. Stali obok siebie, patrząc na rewolwer. Miał jakiś tajemniczy, lekki pobłysk.

- O rany. Smith and wesson - wykrztusił Wally.
- Trzydziestka ósemka. Taki sam nosił sierżant Friday z Dragnet.

Wally wyciągnął rękę, ale Tommy nie pozwolił mu dotknąć rewolweru.

- Dlaczego? Nikt się nie dowie.
- Jest naładowany.
- No to co? Wszystko gra. Nie pietraj się.

Wziął rewolwer i trzymał go ostrożnie obiema rękami.

- O rany. Ale piękny.
- Tylko uważaj.
- Wiem, wiem.

Zacisnął prawą rękę na rękojeści i wycelował w Tommy'ego.

- Ręce do góry.
- Nie rób tak, kretynie! Jest naładowany!
- Dobra, dobra. Nie ma strachu. Przecież widać, że zabezpieczony.
- Odłóż go. W tej chwili! Wally westchnął, ale posłuchał.
- O, a co my tu mamy?

Wziął plastikową torebkę, którą Ray też tam zawsze trzymał.

- To tylko tytoń albo herbata czy coś w tym rodzaju.
- Herbata? To trawka, głupku.
- Jaka trawka?
- Taki narkotyk. Do palenia. Znasz Scotty'ego Lewisa z szóstej klasy? Jego starszy brat ciągle to pali. Od tego robią się takie śmieszne różowe oczy. Chłopie, twój tata może pójść do więzienia za posiadanie czegoś takiego.

316

- On nie jest moim tatą. Odłóż to na miejsce, Wally, natychmiast!
- No dobra, nie gorączkuj się.

Hollywood było miejscem wielu złudzeń, a jedno z nich dotyczyło przyjaźni. Pierwszą osobą, która ostrzegła o tym Dianę wkrótce po jej przyjeździe przed rokiem, była Edith Head, legendarna projektantka kostiumów w wytwórni Paramount. Edith Head zaskakiwała swoim wyglądem: farbowane włosy podobne do hełmu i wielkie okulary z okrągłymi granatowymi szklami, przez które podobno widziała, jak kostium będzie się prezentował w czarno białym filmie. W wieku sześćdziesięciu czterech lat miała na swoim koncie siedem Oscarów i w swojej karierze ubierała prawie wszystkie pierwszoplanowe aktorki stulecia, od Marleny Dietrich i Mae West do Sophii Loren i Grace Kelly. Z jakichś powodów polubiła Dianę od pierwszego spotkania.

- Nigdzie na świecie nie zyskuje się i nie traci przyjaciół tak szybko jak tu - powiedziała.

Dianę stała przed nią w czerwonej atlasowej sukni balowej, jednej z wielu zachwycających kreacji Edith Head do zarzuconego projektu filmu z Garym Cooperem.

- Zapamiętaj sobie, że w Hollywood najważniejsze są interesy. Ważniejsze od przyjaźni. Nie należy brać jednego za drugie.

Wtedy Dianę nie do końca ją zroszciała. Dopiero teraz pojęła sens jej słów. Mieszkała tu już rok i poznała wiele kobiet, które lubiła i uważała za swoje przyjaciółki. Wszystkie, w ten czy inny sposób, były związane z przemysłem filmowym

317

albo miały mężów czy sympatie, którzy tam pracowali. Dzwoniły do siebie, spotykały się na kawę lub lunch, przychodziły ze swoimi partnerami na koktajle lub kolacje. Ale nie znalazła się wśród nich taka, której Diane mogłaby zaufać i z którą mogłaby otwarcie porozmawiać o Rayu i ich kłopotach. Dopiero w październiku, gdy jej stare przyjaciółki, Molly i Helen, przyjechały w odwiedziny, Diane uprzytomniła sobie, jak bardzo brakuje jej długich rozmów prowadzonych w tamte zimne londyńskie noce, kiedy to siedziały w szlafrokach, skulone przy piecyku gazowym.

Wybrały się na dwutygodniową wycieczkę do Kalifornii, a ponieważ chciały zwiedzić jak najwięcej, mogły zostać u Diane tylko parę dni. Obwiozła je po okolicy i pokazała im słynne miejsca, tak jak Ray przed rokiem, gdy przyjechała z Tommym. Zasypały ją pytaniami na temat jej pracy i poznanych ludzi. Diane sprawiała wrażenie zadowolonej i pełnej entuzjazmu.

Następnego dnia, w sobotę, Tommy przekonał je, że nie mogą wrócić do domu, nie zobaczywszy Disneylandu. Był tam już trzy razy i jeszcze nie napatrzył się do syta. Ray powiedział, że nie może im towarzyszyć, więc pojechali w czwórkę do Anaheim i tak się tam bawili, że po powrocie wszystko ich bolało od śmiechu i krzyku.

W czasie kolacji Ray był czarujący i uprzejmy, raczył panie zabawnymi, a przy tym pochlebny dla siebie historyjkami z filmowego podwórka. Diane znała te opowieści na pamięć, natomiast przyjaciółki były coraz bardziej olśnione. Niedługo potem Ray wstał od stołu, mówiąc, że jest umówiony w mieście, a one po tylu latach na pewno mają ochotę na babskie pogaduszki. Ledwie znalazł się poza zasięgiem słuchu, Molly wykrzyknęła przyciszonym głosem:

318

- Facet jak marzenie!

Oparła się plecami o krzesło i spojrzała na basen, na dom i lampki choinkowe zawieszane na gałęziach drzewa nad ich głowami. Z westchnieniem pokręciła głową.

- Tylko popatrzcie na to wszystko. Po prostu raj. Masz szczęście, Dianę.

- Wiem.

Dianę uśmiechnęła się i zapaliła kolejnego papierosa. Helen, zawsze bystrzejsza od Molly, wyczuła jakąś powściągliwą melancholię.

- Jest jakieś „ale”? - zapytała.

- Skądże.

- Przestań, Di. Za dobrze cię znam. Powoli wyciągnęły z niej prawdę.

Z początku można było sądzić, że niepokoje Dianę mają związek z Hollywood, że jej zdaniem życie tu jest często płytkie i obłudne, a w takim miejscu nie powinno się wychowywać dziecka. Powiedziała, że ze wszystkich ludzi na świecie one wiedzą najlepiej, jak bardzo pasjonowała się swoją pracą, ale jakoś tak się stało, że po przejściu opieki nad Tommym straciła serce do aktorstwa.

Potem, sprytnie wypytywana przez Helen, zaczęła opowiadać, jak wyglądają sprawy z Rayem. Najpierw złożyła wszystko na karb przeszłości, dając do zrozumienia, że stosunki między nimi się poprawiły. W pewnym sensie rzeczywiście się poprawiły. Najgorsze były tygodnie po powrocie z Arizony, gdy kręcili sceny w studiu. Ray zachowywał się jak rozkapryszony dzieciak, a czasem i gorzej. To, że Terry Redfield i Herb Kanter znosili jego napady złości, należało uznać za mały cud. W domu ani trochę się nie hamował. Pijany i wściekły robił awantury,

319

wskakiwał w samochód i jechał do miasta, był ciągle zazdrosny i zarzucał jej „oziębłość” albo jakiś romans, który wymyślił w swojej głupocie. Dianę oszczędziła przyjaciółkom - a może sobie - najgorszego. Tego, jak któregoś wieczoru rzucił w nią szklanką i zbił lustro w salonie albo jak kochał się z nią, mściwie i ze złością, gdy od czasu do czasu zgadzała się powodowana litością lub poczuciem winy. Powiedziała jednak wystarczająco dużo, by łuski spadły im z oczu. O tym, że potrafi być wredny, że znika i pojawia się w domu o świcie, pijany, naćpany albo jedno i drugie.

- Czy cię kiedyś uderzył? - zapytała Helen.

- O Boże, nie - odparła Dianę.

W zasadzie nie uderzył, ale było blisko.

- On jest czasem, no wiesz, trochę... szorstki.

Molly, zdaje się nieco skrępowana tematem rozmowy, szybko przeszła do ogólniejszej kwestii.

- Moja mama mówi, że początki małżeństwa zawsze są najgorsze. Po ślubie z tatą przepłakała cały rok. Co rano, gdy poszedł do pracy, zalewała się łzami. Ale jej zdaniem człowiek się do tego przyzwyczaja.

- To okropnie przygnębiające - westchnęła Helen.

- Ale posłuchaj. Było tak samo, gdy wysłali mnie do szkoły z internatem. Płakałam co noc. Miesiącami. A potem było dobrze. Rzeczywiście jakoś tak... człowiek się przyzwyczaja.

- No wiesz, ci biedacy zamknięci w obozach koncentracyjnych w czasie wojny też się przyzwyczaili, ale to nie znaczy, że nic się nie stało.

- Helen, słowo daję, zawsze przekręcasz moje słowa. Chcę tylko powiedzieć, że w małżeństwie nie jest łatwo. Trzeba nad nim pracować.

- Tak bym chciała, żeby grało - odezwała się Dianę. - Przede wszystkim ze względu na Tommy'ego. Po części dlatego wyszłam za Raya. Żeby Tommy miał ojca, rodzinę.

Ich stosunki też się odrobinę poprawiły. Przynajmniej znów rozmawiali ze sobą, choć gdy Ray warknął na nią albo był nie w humorze, widziała, że Tommy patrzy na niego wilkiem.

W pewnej chwili smutek Dianę musiał być wyraźnie widoczny, bo Molly i Helen przysunęły krzesła i usiadły po jej bokach, obejmując ją.

- Będzie dobrze, Di - powiedziała Molly. - Zobaczysz. Gdy film wejdzie na ekrany i ludzie zaczną mówić, jacy jesteście cudowni, Ray przestanie być niespokojny i podminowany i wszystko się ułoży. Jesteśmy z ciebie takie dumne!

- Bardzo dumne - przytaknęła Helen. - Tylko nie daj się uderzyć. Jeżeli to zrobi, odchodzisz, jasne?

- Och, Helen, naprawdę...

- Obiecuj.

- Obiecuję. Przytuliła je do siebie.

- Tęsknię za wami.

- My za tobą też.

Kampania reklamowa Porzuconych, którą obmyślił Herb Kanter wraz z ludźmi od marketingu w wytwórni, była niemal tak samo wyczerpująca jak kręcenie filmu. Miał trafić na ekrany pod koniec lutego, uroczyste premiery zaplanowano w Hollywood i w Nowym Jorku. Tymczasem Herb wykorzystywał każdą chwilę, by cały świat dowiedział się o Dianę Reed, rewelacyjnej nowej gwiazdzie Paramountu.

Następnego dnia po odprowadzeniu Molly i Helen na pociąg do San Francisco Dianę rozpoczęła długą serię wywiadów

i sesji zdjęciowych. Zazwyczaj odbywały się w studiu albo w apartamencie, który Herb wynajął w tym celu w hotelu Beverly Hills. Dziennikarze z bardziej wpływowych gazet i czasopism mieli być zaproszeni na lunch w Brown Derby lub w Bistro. Temat, który pojawiał się najczęściej, dotyczył stosunków między Dianę a Rayem Montane'em na ekranie i poza nim. Pytania stawały się do bólu znajome.

- Jak się poznaliście?

- Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Co czuliście, kręcąc sceny miłosne?

Dianę była jednak dobrą aktorką i zawsze odpowiadała tak, jakby pytanie padało po raz pierwszy. Chwaliła dziennikarzy za ich przenikliwość; uśmiechała się, jak to ona, słodko i niepewnie, jakby nie wierzyła w siebie, albo lekko ściągała brwi, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią. Skromna, profesjonalna, czasem odrobinę kokieteryjna, stosownie do sytuacji, lubiła sprawiać wrażenie, że swoimi wnikliwymi pytaniami wyciągnęli z niej więcej, niż zamierzała ujawnić.

Dużo trudniejsze były wywiady, których udzielała razem z Rayem. Siedzieli obok siebie na kanapie i udawali przed całym światem, że życie jest piękne, a ich miłość dozgonna. Zdarzało się, że w trakcie wywiadu Ray - taki słodki, troskliwy i delikatny, że aż mdliło - brał ją za rękę, obejmował albo całował w policzek, a potem, ledwie zamknęły się drzwi za dziennikarzem i rzecznikiem prasowym i zostawali sami, wybuchali:

- Czy ja jestem, kurwa, niewidzialny? Ten kutas o nic mnie nie pytał. „Dianę, jak się czujesz, będąc sławna?”. „Co chciałabyś powiedzieć swoim fanom w Anglii?”. E tam, pieprzyć go.

322

Dianę, mając w pamięci namowy przyjaciółki, żeby pracowała nad swoim małżeństwem, oddychała głęboko, całowała Raya i go pocieszała. Jeśli można czasem odnieść wrażenie, że prasa odrobinę bardziej interesuje się nią niż nim - mówiła słodko - to tylko dlatego, że ona jest nowa. On już jest gwiazdą. Wszyscy - jak świat długi i szeroki - znają Raya Montane'a.

W ostatnią niedzielę października zadzwonił Cal Matthieson, żeby się pożegnać. Wyjeżdżał do Montany na dobre. Dianę zawiozła Tommy'ego na ranczo, ale gdy tylko znaleźli się na miejscu, wiedziała, że nie należało tu przyjeżdżać. Buldożery zryły cały teren, pozostawiając zaledwie kilka drzew. Położono fundamenty pod setki domów, na stoku wzgórza wytyczono przebieg ulic i rowów kanalizacyjnych. Dom Cala był zburzony, jego resztki sterczały w morzu błota, a wyposażenie zostało załadowane na ciężarówki, które stały przed gankiem od frontu.

Tommy nie odzywał się, bo i co tu mówić. Jego spojrzenie raz po raz biegło tam, gdzie dawniej znajdowały się korrale, a teraz tliły się na ognisku ostatnie drągi ogrodzenia. Dym snuł się po zboczu niczym ślad po jakiejś przegranej i bezsensownej wojnie.

Cal podał Dianę kartkę papieru ze swoim adresem i numerem telefonu w Montanie. Powiedział, żeby zadzwoniła, gdy będzie czegokolwiek potrzebować, i żeby przyjechała z Tommym w odwiedziny. Zawsze są mile widziani i mogą zostać, jak długo zechcą.

- Wiesz, Tom, twój srokaty konik już zaczyna mi narzekać. Postaraj się szybko przyjechać do niego, bo jak nie, to on wyruszy w drogę, żeby cię odnaleźć.

Tommy uśmiechnął się dzielnie, a potem odwrócił głowę. Cal spojrzał na Dianę.

323

- Jak leci?

- Dobrze - odpowiedziała pogodnie. - Lepiej. Domyśliła się, że jej nie uwierzył.

- Słyszałem, że film się udał.

- Podobno. Jeszcze go nie widzieliśmy.

Zapadło długie milczenie. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję, objąć go, powiedzieć, co do niego czuje i że nie może znieść myśli o jego wyjeździe. Ale to było oczywiście niemożliwe. Tommy przygryzał wargę.

- Chyba będziemy się zbierali - rzekła cicho. - Wyjeżdżasz dzisiaj?

- Załatwię jeszcze parę rzeczy i ruszam.

- No to... - Przełknęła ślinę. - Jedź ostrożnie.

- Ty też.

Rozdział Dwudziesty Czwarty.

Szli do gmachu sądu w kolejności, jaką zalecił Brian McKnight. Na przedzie dwaj wojskowi adwokaci Danny'ego w mundurach, następnie pod rękę Danny i Kelly w ósmym miesiącu ciąży. Tuż za nimi McKnight ze swoim pomocnikiem Kevinem Nielsenem, elegancy, w ciemnych urzędowych garniturach. Dalej Gina i Dutch, również pod rękę, na końcu Tom.

Tłum reporterów telewizyjnych i prasowych czekał na nich w słońcu przed budynkiem. W drugi dzień przesłuchania Tom przypuszczał, że nie przyjdzie ich aż tylu, ale pojawili się jeszcze liczniej. Zaostrzono również środki bezpieczeństwa. Gdzie spojrzeć, nawet na dachach, znajdowali się funkcjonariusze żandarmerii Korpusu Piechoty Morskiej, byli uzbrojeni w karabiny M16 i rozmawiali przez radio. Tom zastanawiał się, na co ci ludzie czekają. W Internecie grożono Danny'emu śmiercią, w wulgarnych i przerażających e-mailach obiecywano wymierzyć karę nie tylko jemu, lecz również Kelly i ich nienarodzonemu dziecku. Z jakichś powodów w ten upalny

325

i bezchmurny majowy poranek Camp Pendleton znowu postawiono w stan pogotowia.

Reporterzy natychmiast wypatrzyli Danny'ego z asystą. Tom zobaczył, jak zafalował zniecierpliwiony tłum, nastroszyły się mikrofony, kamery uniosły się w gotowości.

- No dobrze, proszę państwa - odezwał się cicho Brian McKnight - pamiętajcie, żadnych wypowiedzi. Zostawcie to mnie.

Dzień wcześniej dokładnie pouczył ich wszystkich, jak znosić ataki mediów. Nie odpowiadać na żadne pytania, czy to przyjazne, czy prowokacyjne. Nie sprawiać wrażenia dumnych, wystraszonych czy rozgoryczonych. Mają iść w umiarkowanym tempie, nie za szybko i nie za wolno, z uniesionymi głowami, spokojni, skromni i pewni siebie.

- Naszą postawą chcemy dać do zrozumienia, że ten świetny młody żołnierz jest niewinny, a jednocześnie wyrazić szacunek dla prawnego i demokratycznego systemu, który doprowadził go do tego miejsca.

Z samego rana zebrali się ponownie w sali konferencyjnej, dobrze wiedząc, że to posiedzenie będzie znacznie ostrzejsze. Poprzedni dzień minął niemal wyłącznie na rozpatrywaniu kwestii formalnych i proceduralnych. Tego dnia oskarżyciel miał powołać swoich najważniejszych świadków. Danny jeszcze nigdy nie był taki blady i wymizerowany. Jego oczy nabrały upiornego wyrazu jak po bezsennych nocach. Gdy McKnight i pozostali adwokaci udzielali mu ostatnich wskazówek, Gina wzięła Toma na stronę i zwróciła jego uwagę na drgający mięsień na lewym policzku syna.

- Jak myślisz, czy on wie, że tak robi?
- Nie sądzę. Nic mu nie jest. Uspokoi się.

326

- Wygląda okropnie. Widzieliście jego paznokcie?

Były obgryzione do żywego mięsa. Tom starał się dodać Ginie otuchy. Powiedział, że sędzia z prawdziwego zdarzenia wie, iż są to wyłącznie oznaki zdenerwowania i nie świadczą ani o winie, ani o niewinności. Gina nie sprawiała wrażenia przekonanej.

McKnight prosił wcześniej, żeby pozwolono Danny'emu włożyć mundur wyjściowy żołnierza piechoty morskiej: ciemnozielone spodnie, marynarkę z pasem i krawat. Ale, jak było do przewidzenia, wnioski odrzucono. Argumentowano, wyjaśnił adwokat, że do takiego munduru nosi się odznaczenia służbowe, a władze w żadnym wypadku nie chciałyby sugerować, że człowiek na ławie oskarżonych jest bohaterem. Wobec tego Danny był ubrany tak samo jak inni wojskowi zaangażowani w sprawę: w zwykły mundur polowy w barwach ochronnych.

Tom zauważył, jak napinają się ramiona jego syna. Niewielki pochód zbliżał się do budynku. Reporterzy przechylali się przez barierki po obu stronach, wykrzykując pytania, podtykając mikrofony i kierując na nich obiektywy.

- Kapralu Bedford! Jak nastrój?
- Daniel! Tutaj!
- Kelly, jak się czujesz? Kiedy poród?
- Chłopiec czy dziewczynka? Wiecie już?
- Panie i panowie! - krzyknął McKnight, gdy z trudem posuwali się do przodu. - Prosimy pozwolić nam przejść. Chętnie odpowiemy na państwa pytania po przesłuchaniu.

Wreszcie znaleźli się wewnątrz budynku, z dala od upału. Dwaj funkcjonariusze żandarmerii piechoty morskiej zamknęli drzwi i przycichła wrzawa. McKnight był wyraźnie ucieszony. Tom po raz pierwszy zobaczył na jego twarzy coś w rodzaju

327

uśmiechu. Prawnik miał jednak wystarczająco dużo taktu, by nie wyrażać głośno zadowolenia, choć niewątpliwie uważał, że cięża Kelly zrobiła dobre wrażenie na mediach.

- Wszystko w porządku, młoda damo? - zapytał, otaczając ją ramieniem.

Dzielnie kiwnęła głową.

- A swoją drogą, chłopiec czy dziewczynka? Nam możesz powiedzieć.

- Powiem, gdy pan wygra sprawę.

Kolejnych dwóch funkcjonariuszy stało przy wejściu do sali sądowej i ze względów bezpieczeństwa kontrolowało wszystkich wchodzących. Ten z wykrywaczem metalu uśmiechnął się do Kelly i przepuścił ją bez sprawdzania. Drugiego dnia przestuchał sala wyglądała znajomo. Miała kremowe ściany wyłożone boazerią i oświetlenie w podwieszanym suficie, niskim i białym. Duże czerwone krzesła biurowe wyglądały na tak wygodne, że można było w nich zasnąć. Oskarżyciele państwowi już zasiedli przy stole po jednej stronie sali, a główny oskarżyciel, major Richards, z powagą skinął głową McKnightowi.

Wendell T. Richards był wielokrotnie odznaczonym bohaterem wojny w Zatoce Perskiej, miał sześć i pół stopy wzrostu oraz niewzruszone, stalowe spojrzenie postaci z westernowych komiksów, które Tom czytał w dzieciństwie. Jak mówił McKnight, przezywano go Maksimusem, bo był czołowym gladiatorem wśród prokuratorów państwowych.

Tom udał się za Kelly, Giną i Dutchem na miejsca przydzielone rodzinie, po tej samej stronie, gdzie znajdował się stół dla oskarżonego i obrońców. Mijając Danny'ego, położył mu rękę na ramieniu.

328

- Powodzenia, synu.

- Dzięki, tato.

Prasie przydzielono zaledwie kilka krzeseł. Większość reporterów miała obserwować przebieg posiedzenia na monitorze w innym budynku, dokąd przesyłano obraz siecią wewnętrzną. Na sali znajdowali się jeszcze radca prawny sędziego, stenograf oraz, nie wiadomo dlaczego, rysownik policyjny. Ława przysięgłych była pusta. Los Danny'ego leżał w rękach tylko jednego człowieka, który właśnie wszedł i zajmował miejsce na wyłożonym boazerią podium z przodu, w lewym rogu pomieszczenia. Prowadzący przesłuchanie, pułkownik Robert Scrase, był spokojnym Teksasczykiem i cieszył się nienaganną opinią zarówno jako żołnierz, jak i prawnik wojskowy. Dzień wcześniej obie strony miały prawo zakwestionować jego kwalifikacje do rozpoznania sprawy, ale żadna tego nie zrobiła.

Poprzedniego popołudnia Richards już wezwał na świadków dwóch kolegów Danny'ego z kompanii, którzy opisali miejsce i warunki, w jakich działali przez kilka tygodni przed masakrą. Ich wypowiedzi i sugestywny sposób pokazały Tomowi, w jak okropnym strachu żył jego syn dzień w dzień przez tyle miesięcy. McKnight nie zakwestionował zeznań żołnierzy, poprosił jedynie o wyjaśnienie kilku kwestii. Teraz Richards powołał na świadka sierżanta Marty'ego Delgado.

Mając w pamięci to, co mówił o nim Danny, Tom przygotował się na widok rogów i zapach siarki. Mężczyzna był barczysty, muskularny i miał ogoloną głowę, ale gdy usiadł na miejscu dla świadka i

złożył przysięgę, zachowywał się uprzejmie, powściągliwie, niemal sympatycznie. Oczywiście odstawił teatr.

329

Prawnicy strony oskarżającej niewątpliwie odznaczali się taką samą przebiegłością jak McKnight, gdy chodziło o dodanie wiarygodności świadkowi. Delgado przez cały czas wpatrywał się w majora Richardsa i nawet nie zerknął na Danny'ego.

Przez pierwsze kilkanaście minut Richards opisywał nienaganny przebieg służby sierżanta Delgado, zakres jego obowiązków oraz charakter zadania, jakie wykonywał ze swoim plutonem tamtej nocy. Potem delikatnie wypytał go o kolejne wydarzenia, które poprzedziły masakrę: jak nastąpił krwawy w skutkach wybuch miny pułapki, jak on i Danny znaleźli druty do odpalenia ładunku i poszli zobaczyć, dokąd prowadzą.

- Kto zdecydował, że ma panu towarzyszyć kapral Bedford?

- Ja sam, panie majorze.

- Pan go wybrał?

- Tak, panie majorze.

- Miał pan jakiś szczególny powód?

- Był w kiepskim stanie po wybuchu IED, zapewne z powodu ciężkich obrażeń, jakich doznał jego przyjaciel, szeregowy Peters.

- Co to znaczy „w kiepskim stanie”? Jak się zachowywał?

- Sprawiał wrażenie rozszoszczonego. Jakby wyprowadziło go to z równowagi. Niepokoiłem się o niego.

- Przypomina pan sobie, co mówił?

- Tak, panie majorze. Ciągłe powtarzał, że dopadnie tych pieprzonych hadzi, zabije tych cholernych skurwysynów, tego rodzaju rzeczy.

- Co znaczy hadzi?

330

- To obraźliwe określenie Irakijczyka, panie majorze.

- Rozumiem. Przypuszczam, że po takiej eksplozji, gdy ginie albo zostaje ranny kolega z oddziału, trudno zachować spokój i nad sobą panować.

- Rzeczywiście, panie majorze. Ale tego uczą nas na szkoleniach. Bez względu na okoliczności trzeba zachować zimną krew. Żeby działać skutecznie.

- Czy pana zdaniem kapral Bedford panował nad sobą tamtej nocy?

- Uważam, że nie.
- Czy wyglądał na bardziej zdenerwowanego lub wytrąconego z równowagi niż inni żołnierze?
- Tak, panie majorze.
- Czy dlatego wydał mu pan polecenie, żeby poszedł z panem? Chciał pan mieć go na oku?
- Tak, panie majorze. Byłem zaniepokojony.
- Czy widział pan kiedykolwiek wcześniej, żeby kapral Bedford zachowywał się w podobny sposób?
- Nie przypominam sobie, panie majorze.
- Jak określiłby pan jego postawę żołnierską, ogólnie rzecz biorąc?
- Powiedziałbym, że była przeciętna, panie majorze.
- Przeciętna.
- Tak, panie majorze.
- Miał pan ostatnio powód, by go upomnieć?
- Tak, panie majorze. W rzeczy samej, dwukrotnie.
- Proszę opisać te sytuacje.

Przez następne kilkanaście minut Delgado i Richards omawiali dwa zdarzenia, które miały świadczyć o niekompetencji Danny'ego. Trwałoby to krócej, gdyby McKnight nie zrywał

331

się co chwila na nogi i nie zgłaszał sprzeciwu. Pierwsze zdarzenie miało związek z przeszukiwaniami prowadzonymi na terenie, gdzie, jak donosiły służby wywiadowcze, rebelianci konstruowali miny. Zdaniem Delgada Danny nie zabezpieczył należycie dwóch domów, co stanowiło potencjalne zagrożenie dla życia ludzi w jego plutonie. Za drugim razem nie złożył w bazie rutynowego raportu w czasie na to przewidzianym. Delgado próbował ubarwić tę historię ogólnikowymi przytykami do Danny'ego i Ricky'ego Petersa oraz aluzjami do złośliwych żartów, na jakie czasem sobie pozwalali. Pułkownik Scrase podtrzymał ciągły sprzeciw McKnighta wobec takich docinków, ale oddalił sprzeciwy wniesione wcześniej.

Richards powrócił do wydarzeń poprzedzających masakrę. Kazał świadkowi opowiedzieć, jak Danny wpadł do kanału nawadniającego, jak ten upadek podsycił jego złość do tego stopnia, że Delgado musiał kilkakrotnie upominać go, żeby się uspokoił i wziął w garść, oraz jak żołnierze zostali potem ostrzelani i zobaczyli mężczyznę w kurtce w kamuflażu, uzbrojonego w AK 47. Delgado spokojnie nakreślił obraz sytuacji. Powiedział, że gdy wbiegli na podwórko gospodarstwa, Danny płonął żądzą odwetu i dlatego dostał polecenie, by zostać z Harkerem i pilnować Irakijczyków na podwórku, a nie przeszukiwać dom.

Podczas rewizji zginął jeden rebeliant, mówił Delgado, mężczyzna nie był ubrany w kurtkę w kamuflażu ani nie znaleziono takiej kurtki, natomiast miał AK 47. Delgado uważał, że właśnie ten człowiek do nich strzelał. Richards zapytał, co wydarzyło się potem.

- Akurat gdy upewniliśmy się, że dom jest bezpieczny, usłyszałem krzyki z podwórka.

332

- Wie pan, kto krzyczał?

- Tak, panie majorze. Wszedłem na piętro i zobaczyłem, że to kapral Bedford.

- Usłyszał pan, co krzyczy?

- Tak, panie majorze. Krzyczał na gromadę Irakijczyków, kazał im być cicho. Niektórzy byli porządnie wystraszeni i zdenerwowani, przede wszystkim kobiety. Lamentowały i kazał im przestać.

- Co dokładnie mówił?

Delgado spojrzał na pułkownika Scrase'a, jakby prosił o pozwolenie, i po chwili rzekł:

- Powtarzał na okrągło: „Pieprzone hadzi, zamknijcie się, do cholery, kurewskie suki”.

Tom zauważył, że siedzący przed nim Danny zaczął wiercić się na krześle, jakby chciał się odezwać, zaprzeczyć, ale McKnight dotknął jego ramienia uspokajającym gestem i Danny tylko pokręcił głową. Na wypadek gdyby komuś to umknęło, Richards powtórzył słowa sierżanta. Potem zapytał, co w tym czasie robił Harker, na co Delgado oświadczył, że słyszał, jak Harker dwa razy powiedział do Danny'ego, żeby wyluzował.

- Tak się wyraził?

- Tak, panie majorze. Powiedział: „Wyluzuj, chłopie”. I: „Na miłość boską, wyluzuj”.

- Co pan potem widział?

- Kapral Bedford zdenerwował się jeszcze bardziej, wrzasnął, żeby Harker walnął serią, i sam otworzył ogień.

- Może pan przytoczyć jego słowa?

- „Wal, kurwa, serią”. Tak mi się wydaje.

- „Wal, kurwa, serią”?

333

- Tak, panie majorze.

- I potem zaczął strzelać?

- Tak, panie majorze.

- Do gromady ludzi, kobiet i niemowląt, tak?

- Tak, panie majorze.
- A szeregowy Harker?
- Też otworzył ogień, panie majorze.
- Widział pan, który z nich strzelił pierwszy?
- Tak, panie majorze. Z pewnością kapral Bedford. Kelly siedziała między Tomem a Giną. Przełknęła ślinę

i spuściła głowę, a Gina wzięła ją za rękę. Richards zadał jeszcze kilka pytań, żeby unaocznić wszystkim koszmar tego wydarzenia i pozostawić ich pod wrażeniem dokonanej masakry. Potem uprzejmie oddał świadka do dyspozycji obrony i usiadł.

McKnight rozpoczął przesłuchanie łagodnie, tak łagodnie, że Tom zastanawiał się przez chwilę, dlaczego, u licha, ten gość jest taki miły. A potem skrupulatnie zaczął podważać zeznania Delgado.

- To słowo hadzi, panie sierżancie, które, jak pan mówi, kapral Bedford powtarzał tak często, co ono znaczy?
- Jak już mówiłem, to obraźliwe określenie Irakijczyka.
- Słyszałem, że pan to mówił. Ale co ono właściwie znaczy?
- Sądzę, że oznacza człowieka, który był w Mekce.
- I powiedzenie tego o kimś jest obraźliwe, tak?
- W sensie dosłownym może nie, ale...
- Może nie. Czy kapral Bedford jest jedynym żołnierzem piechoty morskiej, który używał przy panu tego słowa?
- Nie, proszę pana.

334

- Więc słyszał pan, jak inni je wypowiadają.
- Tak, proszę pana.
- Czy jest ono powszechnie stosowane przez amerykańskich żołnierzy w Iraku?

Richards wstał, by wnieść sprzeciw, ale McKnight go ubiegł.

- Ujmę to inaczej. Czy słowo hadzi było powszechnie używane przez żołnierzy Korpusu, z którymi pan pracował?
- Nie, proszę pana. Nie powiedziałbym, że powszechnie.
- A zatem czasami?

- Chyba tak.
- A czy pan używa tego słowa, panie sierżancie?
- Nie, proszę pana.
- Nigdy go pan nie użył?
- Nie, proszę pana. Nie przypominam sobie.
- A więc nie przypomina pan sobie, że tamtej nocy, po wybuchu miny pułapki powiedział pan... - McKnight poprawił okulary i zaczął czytać fragment trzymanego w ręku dokumentu: - „Wytropimy tych zasranych hadzi i damy im popalić”. Nie przypomina pan sobie tych słów?
- Nie, proszę pana.

Po raz pierwszy Delgado sprawiał wrażenie speszonego. McKnight przeszedł do następnej kwestii. Zaczął podważać zeznania sierżanta na temat wydarzeń tamtej nocy, gdy doszło do masakry, i rzekomych wypowiedzi Danny'ego. Zapytał, czy to możliwe, że świadek źle usłyszał albo błędnie zinterpretował jego słowa. Chodziło mu oczywiście o to, by zatrzeć wrażenie, że Danny stracił nad sobą panowanie, jak utrzymywał świadek.

Jak to możliwe, dociekał, że zdaniem sierżanta Delgada tak rozstrojony nerwowo człowiek nie nadawał się do przeszukania

335

budynku, natomiast nadawał się do pilnowania gromady ludzi? Jak dobrze Delgado mógł widzieć z okna na piętrze, co się dzieje na podwórku? Czy widział, jak w krytycznym momencie, tuż przed otwarciem ognia, jeden z zabitych, mężczyzna bez nogi, sięgał po kulę?

Na to ostatnie pytanie Delgado odpowiedział oczywiście przecząco.

McKnight drążył temat. Jak to możliwe, że mimo wrzawy, płaczu i pisku kobiet w domu i na podwórku świadek tak wyraźnie usłyszał słowa, które wykrzyknął Danny? Czy świadek mógł źle zrozumieć? Czy na przykład mógł źle usłyszeć to, co Danny wrzasnął do Harkera przed otwarciem ognia? Czy mogło być tak, że Danny wcale nie krzyknął: „Wal, kurwa, serią”, tylko w istocie chciał ostrzec Harkera przed mężczyzną bez nogi, który sięgał po kulę, i wrzasnął: „On walnie, kurwa, serią”? Delgado potwierdził stanowczo, że zeznał dokładnie to, co widział i słyszał.

Zapadła długa cisza.

- Panie sierżancie, czy z jakichś powodów odczuwa pan niechęć do kaprala Bedforda?
- Niechęć? Skądże, proszę pana.
- Ale stosunki między panami nie są przyjacielskie.
- Raczej nie.

- Raczej nie są przyjacielskie. Czy przypomina pan sobie, jak dziesiątego stycznia po południu, dwa tygodnie przed wydarzeniami, o których mówimy, usłyszał pan przypadkiem rozmowę kaprała Bedforda z szeregowym Petersem w sanitariacie w bazie?

Delgado ściągnął brwi i uśmiechnął się szeroko, jakby pytanie wydało mu się niedorzeczne.

336

- Co tak pana rozbawiło, panie sierżancie?

- Nic mnie nie rozbawiło, tylko... Nie, proszę pana, nie przypominam sobie takiej sytuacji.

- Nie pamięta pan rozmowy, w której kapral Bedford zrobił żartobliwą aluzję do rozmiarów pańskiego penisa?

- Nie, proszę pana.

- Spróbuję odświeżyć panu pamięć. Wspomniana rozmowa toczyła się wkrótce po tym, jak pan opowiadał w obecności kaprała Bedforda i szeregowego Petersa o swoich imponujących osiągnięciach w wyciskaniu ciężaru w pozycji leżącej.

- Nie przypominam sobie.

- I nie przypomina pan sobie, jak później natknął się pan w łazience na obu panów i usłyszał kaprała Bedforda, który mówił, że przechwala się pan takimi rzeczami, bo ma małego penisa?

- Nie, proszę pana.

- Ściśle mówiąc, wyraził się tak... - McKnight zerknął na trzymany w rękę dokument. - ..., „małego jak orzeszek”.

Wendell Richards wstał, wnosząc sprzeciw. Scrase odrzucił sprzeciw, ale polecił McKnightowi przejść do następnego punktu, jako że nakreślony przez niego obraz jest dostatecznie wyrazisty. Publiczność zareagowała na to uśmiechami.

- Chcę powiedzieć, panie sierżancie, że usłyszał pan uwagę kaprała Bedforda i dlatego przez następne dwa tygodnie, także w nocy, o której mówimy, nieustannie krytykował pan wszystkie działania kaprała Bedforda. Czy tak nie było?

- Nie, proszę pana. Tak bym nie postąpił.

- Nie postąpiłby pan?

- Nie, proszę pana.

337

McKnight wypytał Delgada o dwa przywołane zdarzenia, które miały świadczyć o niewłaściwym postępowaniu Danny'ego, i w obu wypadkach zasiał ziarno wątpliwości w umysłach słuchaczy (a przynajmniej w nieprawniczym umyśle Toma). Po wyjaśnieniu pierwszego zarzutu publiczność odniosła wrażenie, że Danny zrobił prawdopodobnie wszystko, co mógł, by zabezpieczyć oba domy.

Co do drugiego zarzutu Delgado musiał w końcu przyznać, że składanie raportów z opóźnieniem było w bazie nagminne. Opuszczając miejsce dla świadka, Marty Delgado wcale nie wyglądał tak spokojnie jak dwie godziny wcześniej.

W przerwie na lunch siedzieli przy kanapkach i sokach w sali konferencyjnej i oglądali nagranie pokazujące, jak zmierzają całą grupą do gmachu sądu, głuśni na pytania, którymi ich zasypywano. Siłąc się na powagę, reporterka opowiadała o wymianie zdań na temat wielkości penisa sierżanta Delgado. Redakcja programów informacyjnych miała niezłą zabawę, pomyślał Tom.

Danny wyglądał lepiej niż przez wiele ostatnich dni. Nawet mięsień na jego policzku przestał drgać. Tom przyglądał się synowi, który siedział z Kelly w przeciwległym rogu pomieszczenia, w promieniach słońca wpadających przez okno, i dotykał jej pokaźnego brzucha. Ten widok budził jakieś wspomnienie, ale Tom nie potrafił go przywołać i wiedział, że zazwyczaj lepiej tego nie robić.

- Wspaniała dziewczyna.

Tom odwrócił się i zobaczył stojącego obok McKnighta. Adwokat jadł kanapkę, również spoglądając na parę młodych ludzi. Tom z uśmiechem kiwnął głową.

- O tak. Dobrze panu dzisiaj poszło.

338

- Uważam, że nieźle. Z tym drugim będzie dużo trudniej.

- Z Harkerem?

- Mhm. Wszedł się pan kiedyś?

- Trochę. Nie na poważnie.

- Zdarza się, że podczas wspinaczki trudno znaleźć jakiś występ, żeby postawić nogę. Wtedy szuka się szczelin. Choćby małych pęknięć, w które da się wsunąć palce rąk lub nóg. Delgado nie był monolitem. Harker pewnie też nie jest. Kłopot w tym, jak te pęknięcia znaleźć.

Rozdział Dwudziesty Piąty.

Stali obok siebie na czerwonym dywanie rozłożonym w poprzek chodnika i uśmiechali się w świetle fleszy, a nad nimi, u góry oświetlonej fasady kina, widniały ich nazwiska wypisane ogromnymi literami. Za sznurami z plecionego aksamitu tłoczyli się ludzie i wiwatowali na ich cześć. Światła reflektorów omiały niebo.

Dianę była ubrana w jasnoniebieską atłasową suknię bez ramiączek, zaprojektowaną specjalnie na tę okazję przez Edith Head. Jej ramiona otulała etola z białych norek, a na słynnym już dekolcie lśniły brylanty warte dziesięć tysięcy dolarów - wypożyczone na ten wieczór dzięki uprzejmości Marcela z Beverly Hills. Ray obejmował Dianę w talii. Gdy pomachali ostatni raz fanom i weszli majestatycznym krokiem do foyer, doskonale zachowując pozory szczęścia w życiu małżeńskim i zawodowym,

uprzytomnił sobie, że nie dotykał jej co najmniej od miesiąca, chyba że przez przypadek lub podczas klótni.

A teraz jakiś durny fotograf chciał zrobić im zdjęcie razem

340

z Kanterem i tym gnojkiem Redfieldem. Obaj czekali nieopodal, razem ze swoimi tłustymi, brzydkimi żonami.

- Wyglądasz bajecznie, Dianę - powiedział Redfield.

Pocałował ją w oba policzki niczym jakiś ciotowaty francuski fryzjer. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy spojrzał na Raya. Nawet nie wyciągnął ręki, kiwnął tylko głową i bąknął jakieś zdawkowe powitanie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę przebieg ich ostatniego spotkania na projekcji filmu, gdy Ray zobaczył, co zrobili z jego rolą. Choć siniak na szczęce tego drania już zniknął, wspomnienie najwyraźniej pozostało.

Żaden z nich nie był jednak takim idiotą, by robić awanturę podczas jedynej - po odwołaniu nowojorskiej - premiery Porzuconych. Wobec tego stali tam, przed palmami i afiszami, postusznie uśmiechając się do kamer. Chwilę później przeszli do swoich foteli i przez następną godzinę i trzydzieści osiem minut Ray musiał znów oglądać ten cholerny film, udając, że jest zachwycony.

Tommy, wraz z Leanne, siedział już na sali i też nie wyglądał na zadowolonego, choć trochę się ożywił na widok swojej mamy. Herb był tak miły, że na cały wieczór zatrudnił tę dziewczynę do opieki nad dzieciakiem. Ray nie widział jej od wyjazdu z Arizony i miał nadzieję, że po przyjęciu będzie spokojna chwila, by Leanne zajęła się również jego potrzebami. Puścił do niej oko, zanim zgasły światła, ale chyba tego nie zauważyła.

Opinie środowiska filmowego po pokazach przedpremierowych były zdecydowanie nieprzychylnie. Niezmiennie chwalono jedynie Dianę, która, wychodziło na to, niczego nie mogła zrobić źle. Krytycy powtarzali jeden za drugim: „talent tej miary zasługuje na lepszą oprawę” i „pomimo wszystkich

341

przeciwności narodziła się gwiazda”. Natomiast do Raya ci dranie odnosili się znacznie mniej życzliwie. „Variety” napisało, że „nie robi kariery w tym zawodzie”, a w „Hollywood Reporter” jakiś mądrała zatytułował swój tekst: Red zaliczył glebę.

Ray zachodził w głowę, na jakiej podstawie wyrobili sobie taką opinię, skoro w tym cholernym filmie (który jeszcze bardziej mu się nie podobał przy powtórным oglądaniu) on prawie w ogóle nie występuje. Redfield z Kanterem, zasrane gnojki, właściwie wycięli go z każdej sceny. To ci dopiero opowieść o miłości. Wyszło, że postać, którą gra Dianę, ma romans z niewidzialnym człowiekiem. Już te pieprzone konie częściej pokazywano w zbliżeniach.

Oklaski, które zagrzmiały wraz z pojawieniem się napisów końcowych, świadczyły o tym, że film podobał się widzom zebranych na premierze, choć kilku palantów w tylnych rzędach zaczęło wiwatować pod koniec sceny w sali sądowej, gdy sędzia ogłosił wyrok śmierci na Raya. Ale co tam oni się znają. Herb Kanter ściągnął tu przecież swoich przyjaciół i popleczników.

Przyjęcie po projekcji było równie okropne jak film. Tommy wyglądał na tak zmęczonego, że Dianę odesłała go prosto z kina do domu razem z Leanne, rozwiewając wszelkie nadzieje Raya na kameralne spotkanie. Wybór lokalu oraz jakość poczęstunku i napojów nie pozostawiały wątpliwości, że Kanter oraz szefostwo wytwórni, skąpe skurwysyny, już zaczęli minimalizować straty. Ray krążył po sali jak trędowaty. Sztuczny uśmiech powoli schodził mu z twarzy. To wszystko wyglądało jak bal na Titanicu, kurwa. Udał się do baru i musiał długo się starać, żeby zwrócić na siebie uwagę młodego barmana.

- Przepraszam...

342

Chłopak chyba z premedytacją go nie dostrzegął.

- Masz kłopoty ze słuchem?

- Nie, proszę pana. Czym mogę służyć?

- Daj mi butelkę jima beama.

- Przykro mi, mogę podać panu szklanekę.

- Dawaj, kurwa, butelkę.

- Proszę pana...

- Wiesz, kim ja jestem?

- A co? Zapomniał pan?

Ray złapał go za szyję i pociągnął przez pół kontuaru, przewracając szklanki i rozlewając drinki. Chłopak był czerwony na twarzy i kwiczał jak prosiak, przeproszał, tłumaczył się, że tylko żartował. Wszyscy dokoła umilkli i zaczęli się gapić. Jakiś facet w smokingu, organizator przyjęcia czy kim on tam był, u licha, pospieszył na ratunek i Ray puścił chłopaka. Dostał swoją butelkę i udał się z nią w cichy kąt, skąd obserwował cmokierów, którzy nadskakiwali i przypochebiali się Dianę.

To, co działo się potem, wyleciało mu z pamięci.

Dianę spała teraz w pokoju Tommy'ego, ale i tak często słyszała, jak Ray wraca do domu nad ranem. Gdy tuż po północy wychodziła z przyjęcia po premierze filmu, Ray wciąż siedział w rogu sali razem z paroma nieznanymi jej młodymi facetami. Znacznie później pod ich dom zajechał samochód, z którego wysiadł Ray, potem rozległ się brzęk kluczy przy drzwiach frontowych, uderzenie w stół w holu i ciężkie kroki na schodach. Należało przypuszczać, że Ray wstanie koło południa jak zwykle skacowany.

Długi wieczór dał się we znaki również Tommy'emu. Wyciągnięcie go rano z łóżka

343

było nie lada sztuką. Na śniadanie zabrakło czasu, więc Dianę zrobiła kanapkę z bekonem, którą miał zjeść w samochodzie, w drodze do szkoły. Stała w holu, czekając, aż Tommy wreszcie zejdzie.

- Tommy! Chodź, bo się spóźnimy.

- Idę, idę.

Zabrzącała telefon. Podniosła szybko słuchawkę, zanim zrobi to Dolores w kuchni. Dzwonił Herb Kanter.

- Wielkie dzięki, Dianę, za twoje wczorajsze starania. Byłaś wspaniała.

- Podziękowanie należy się tobie, Herb. Udane przyjęcie. Dobrze się bawiłeś?

- O tak.

Nie odzywał się przez chwilę i Dianę zorientowała się, że Dolores podsłuchuje ich rozmowę.

- Dolores? Odebrałam telefon. Proszę, odłóż słuchawkę. Po krótkiej ciszy rozległ się trzask.

- Herb?

- Tak, jestem. Mamy drobny kłopot, Dianę.

- O rety. Nie mów, że kolejne złe recenzje.

- W gruncie rzeczy dzisiejsze wcale nie są takie złe. Chodzi mi o bardziej osobistą sprawę.

Dianę nie wiedziała, co Herb może mieć na myśli. Czekwała na wyjaśnienie. Tommy schodził ze schodów.

- W angielskiej gazecie, w „Daily Express”, ukazał się dziś artykuł z mnóstwem informacji... o prywatnym życiu twoim i Raya. Niestety, również o Tommym. Stek kłamstw, oczywiście. Rozmawiałem już z Vernem Drewe'em. Zajmuje się sprawą. Polecił, żeby przysłano mu ten artykuł telegraficznie. Gdy tylko przyjdzie, dostaniesz kopię.

344

Tommy stanął przed nią. Sweter włożył tył na przód i wciąż był półprzytomny.

- Uczesz się.

- Ojej...

- Rób, co mówię. No już! PowłókJ się na górę.

- Raz dwa! Jesteśmy spóźnieni. Przepraszam, Herb. Muszę wyjść. Zadzwonię do ciebie za dwadzieścia minut. Tylko powiedz mi szybko, co tam napisali.

- Chodzi o... no wiesz... o ten okres, kiedy podawałaś się za siostrę Tommy'ego. I o to, jak twoja matka znosiła tę sytuację. Autor sugeruje, że... hmm... mogła przyczynić się do jej śmierci.

- Co?! Skąd oni się tego dowiedzieli?

- Cytują kobietę, która podaje się za przyjaciółkę rodziny. Niejaką Verę Dutton. Zdaje się, że ona żywi do ciebie urazę.

- Nie do wiary.

- Możliwe, że sprawa przycichnie, ale mieliśmy już kilka telefonów od tutejszych reporterów, którzy wyniuchali gorący temat. Wytwórnia jest... hmm... lekko zaniepokojona. Musimy spotkać się z Vernem i przygotować odpowiedź.

Tommy już zszedł na dół.

- Zadzwoń do ciebie, Herb.

Odłożyła słuchawkę. Tommy wyglądał na zupełnie rozbudzonego i miał zmartwioną minę.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu niektóre recenzje są nie najlepsze. No już, idziemy. Masz teczkę? Tu jest śniadanie.

Miguel już wyprowadził forda galaxie, otworzył dach samochodu i czekał na dworze. Dianę przywitała się, starając się mówić możliwie pogodnym tonem.

345

- Jak się udała premiera, Tommy? Dobrze poszło?

- Świetnie.

- Mama jest teraz wielką gwiazdą, co?

- Tak.

Dianę modliła się, żeby za bramą nie stali reporterzy, i na szczęście ich nie było. Może jednak nie zrobił się taki szum. Ale ktoś tam stał, pod drzewami. Dziewczyna z kręconymi włosami związanymi w kucyk. Przejeżdżając obok niej, Dianę zorientowała się, że to ta sama dziewczyna, która przed kilkoma miesiącami przyszła do ich domu i została tak brutalnie odprawiona przez Dolores.

Dianę zahamowała i cofnęła auto.

- Co robisz, Dianę?

- Znowu przyszła ta dziewczyna.

- Jaka dziewczyna? Spóźnię się do szkoły.

- To zajmie tylko chwilę.

Dziewczyna odsunęła się, gdy Dianę przy niej stanęła.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytała. Tamta milczała.

- Potrzebujesz pomocy? Pieniądzy? Uśmiechnęła się szyderczo i odwróciła głowę.

- Jedźmy, Dianę - szepnął Tommy.

- Zaraz.

Dziewczyna patrzyła to na Dianę, to na Tommy'ego. Miała brudną twarz. Trudno powiedzieć, czy w jej oczach widać było strach, czy pogardę, czy jedno i drugie. Dianę odezwała się łagodniejszym tonem:

- Kim jesteś?

- Jakbyś nie wiedziała.

- Nie wiem. Naprawdę. Skąd mam wiedzieć?

346

Na twarzy dziewczyny znów pojawił się szyderczy uśmiešek. Odwróciła głowę.

- Ludzie zazwyczaj poznają swoje pasierbice. Minęła dłuższa chwila, zanim to do niej dotarło.

- O Boże.

- Diane, co się dzieje? - zapytał z niepokojem Tommy.

Diane musiała szybko myśleć. Najpierw o mało nie otworzyła drzwi i nie kazała tej biedaczce wsiąść. Ale było coś w jej twarzy, co ją powstrzymało. Nie. Lepiej odwieźć Tommy'ego do szkoły, a potem wrócić tu i rozwiązać problem. Rozwiązać wszystkie problemy. Czują, jak wali jej serce.

- Poczekaj tu - powiedziała, dodając delikatniej: - Proszę, poczekaj. Muszę odwieźć syna do szkoły. Zaraz wrócę i porozmawiamy. Obiecuj, że zostaniesz.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, co najprawdopodobniej musiało wystarczyć za potwierdzenie. Gdy zjeżdżali ze wzgórza, zbliżając się do pierwszego zakrętu, Diane zobaczyła w lusterku wstecznym, że dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Tommy przez cały czas zadawał pytania, na które Diane nie znała odpowiedzi. W końcu burknęła, żeby siedział cicho i jadł kanapkę.

Gdy zajechali pod szkołę, dopiero po dłuższej chwili uprzytomniła sobie, że coś się zmieniło. O tej porze ulica zawsze była pełna samochodów, rodzice odprowadzali dzieci do bramy, gdzie witał je Carl Curtis. Tommy już miał wsiąść z samochodu, gdy zobaczyła grupę mężczyzn, może sześciu, może więcej, którzy biegli w ich stronę. Niektórzy mieli aparaty fotograficzne, zaczęli robić zdjęcia.

- Diane! Dzień dobry! Możemy porozmawiać?

347

- Tommy, zostań w samochodzie - powiedziała, znowu zapalając silnik.

- Jak to? Dlaczego?

- Rób, co mówię! Zamknij drzwi.

Ruszyła z piskiem opon. Gdyby reporterzy natychmiast nie odskoczyli zwinnie na bok, na pewno by któregoś potrąciła.

- Co się dzieje? - jęknął Tommy.
- Wszystko w porządku. To jacyś głupi dziennikarze.
- A szkoła? Już się spóźniłem.
- Nie idziesz dzisiaj do szkoły.
- Dlaczego?
- Tommy, potrzebuję twojej pomocy. Wszystko wyjaśnię ci później. Ale teraz postaraj się pomóc.

Gdy wrócili, dziewczyny nie było przy bramie. Może i dobrze. Dopiero na podjeździe Dianę zdecydowała, co zrobi. Zajechała pod drzwi wejściowe i powiedziała Tommy'emu, że ma iść prosto do swojego pokoju, wyjąć z szafy torbę i zapakować swoje rzeczy.

- Dlaczego? Dokąd jedziemy?
- Nie wiem. Ale wyjeżdżamy.

Widząc, że Miguël wychodzi z domu i zamierza wstawić auto do garażu, powiedziała mu, że nie musi tego robić, bo wkrótce znowu wyjadą. Gdy weszli do środka, Dolores podała Dianę dostarczoną niedawno kopertę i kartkę z numerami telefonu osób, które dzwoniły podczas jej nieobecności. Dianę nawet nie spojrzała, tylko poszła za Tommym na górę.

- Dlaczego chłopiec nie jest w szkole?! - zawołała za nią Dolores.
- Nie twój interes, psiakrew.

Wepchnęła lekko Tommy'ego do pokoju i powiedziała, żeby

348

pospieszył się z pakowaniem. Wyglądał na zdezorientowanego i wystraszonego.

- Wszystko w porządku, kochanie. Naprawdę. Tylko spakuj się raz dwa.

Ray siedział na krawędzi łóżka, nagi i zgarbiony, i przecierał oczy, które na kacu zachodziły mu mgłą.

- Co jest? - zapytał. - Ten cholerny telefon nie przestaje dzwonić.

Dianę się nie odezwała. Podeszła do szafy, rzuciła na łóżko swoje walizki i zaczęła się pakować.

- Dianę, czy mogłabyś mi powiedzieć, co ty, do diabła, wyrabiasz?
- Wyjeżdżamy.
- Że co?
- Wciąż jesteś tak pijany, że nic do ciebie nie dociera? Wyjeżdżamy.

- Dlaczego? O co, kurwa, chodzi?

Nawet nie składała ubrań, tylko wpychała do walizek to, co wpadło jej w rękę. Suknie nieważne. Musi mieć swetry, kurtki, parę T-shirtów. Ray stanął za nią. Kątem oka zobaczyła, że chce jej dotknąć. Odwróciła się do niego tak gwałtownie, że zatoczył się do tyłu i opadł ciężko na łóżko. Wyglądał żałośnie. Z obrzydzeniem patrzyła na jego nagość.

- Nie waż się mnie dotknąć.

- Co cię, kurwa, ugryzło?

- Spytaj swoją córkę. A może masz więcej niż jedną? To zapytaj wszystkie.

- Chryste Panie, Dianę. Co, do diabła... O rany. Znowu się pojawiła? Od dawna chciałem ci powiedzieć...

- Ach tak?

349

- Ona jest niezrównoważona.

- Nic dziwnego, skoro napuszczasz Dolores, żeby wyganiała ją jak jakąś żebraczkę.

Nie potrzebowała więcej ubrań. Zapakowała kilka par butów, zwłaszcza obuwie turystyczne, po czym zgarnęła do torebki kosmetyki znajdujące się w łazience. Wiedziała, że powinna wszystko dokładnie przemyśleć, ale przepełniała ją złość, nie tylko na Raya, lecz również na siebie samą, że przez tyle czasu była tak cholernie głupia. Gdy znów weszła do sypialni, Ray wkładał dżinsy, śmiesznie podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze. Przeszła koło niego, zamknęła walizki i ruszyła z nimi do drzwi.

- Tommy!

- Już idę!

- Dianę, usiądźmy i porozmawiajmy o tym. Chcę ci tyle powiedzieć.

- Nie wątpię. Tommy, jesteś gotowy?

Postawiła walizki na podeście, czekając na syna. Wreszcie wytaszczył z pokoju torbę pełną ubrań. Ray wyszedł z sypialni i stanął za plecami Dianę. Poczuła od niego alkohol, którym zalatywała skóra na wciąż nagiej i spoconej piersi.

- Dianę, proszę cię.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Tommy.

- Nigdzie nie jedziecie, chłopcze. Mama jest trochę zdenerwowana. Wyjaśnimy sobie pewne sprawy, więc nie masz powodu do zmartwień. Wracaj do swojego pokoju.

Dianę położyła rękę na ramieniu Tommy'ego.

- Wszystko w porządku. Idziemy.

- Dianę!

Gdy sięgała po walizki, Ray chwycił ją za rękę.

350

- Puszczaj!

Nie zdołała się wyrwać. Drugą ręką złapał ją za ramię. Zamachnęła się, a on zablokował jej rękę i uderzył ją w twarz. Krzyknęła. Jednocześnie krzyknął również Tommy. Rozorała Rayowi twarz paznokciami. Odepchnął ją tak mocno, że przewróciła się i walnęła głową w ścianę. Tommy znowu krzyknął. Ray stał nad nią, patrząc przekrwionymi oczami i wykrzywając ze skrucną twarzą, wyraźnie zaskoczony tym, co zrobił.

Miała rozciętą wargę. Poczwała smak krwi i dotknęła ust wierzchem dłoni. Podniosła się, bez słowa wzięła walizki i zeszła na dół, a za nią Tommy ze swoją torbą. Minęli w holu Dolores, która niewątpliwie z przyjemnością oglądała to widowisko. Chwilę później bagaże już były na tylnym siedzeniu forda galaxie. Miguel wybiegł z domu, pytając, czy wszystko w porządku.

- Nie, nie w porządku - powiedziała Dianę. Otworzyła drzwi od strony kierowcy, popchnęła Tommy'ego

na miejsce dla pasażera, po czym usiadła za kierownicą, trzasnęła drzwiami i zapaliła silnik. Nie spojrzała do tyłu, ale wiedziała, że Ray stoi przed domem, a za jego plecami mogła sobie wyobrazić tę sukę Dolores, dumną, z uśmiechem wyższości na twarzy. Przy bramie rozejrzała się za dziewczyną, ale nigdzie jej nie było. Skręciła, dodała gazu i wkrótce zniknęli za zakrętem. Pomknęli drogą przez kanion, w górze błyskało w gałęziach drzew słońce, w dole prześwitywało osnute mgiełką miasto.

Przez długi czas oboje milczeli. Wjechali na nową autostradę i skierowali się na północ. W przeciwną stronę płynął strumień samochodów, niebo stawało się przejrzyste niebieskie. Cicho, nie patrząc na Dianę, Tommy zapytał w końcu, dokąd jadą.

- Może do Montany? - odpowiedziała.

Rozdział Dwudziesty Szósty.

McKnight nie mylił się co do szeregowego Harkera. Ten młody człowiek wydawał się gładki i niedostępny jak wypolerowane granitowe zbocze góry. Ani szczeliny w polu widzenia. Pamiętając relację Danny'ego, Tom spodziewał się ujrzeć zerkającego na boki i mrugającego nerwowo chłopaka, którego wyrachowane kłamstwa widać jak na dłoni. Zobaczył mężczyznę, który mógłby wystąpić w reklamie rekrutacyjnej Korpusu Piechoty Morskiej. Eldon Harker był przystojny, trzymał się prosto i odpowiadał na pytania pewnie, ale bez tupetu. Wymarzony świadek i bez wątplenia dobrze poinstruowany.

Richards rzucił kilka rutynowych pytań wstępnych, tak dobranych, by przedstawić Harkera jako doskonałego, dzielnego żołnierza, a potem przeszedł do wydarzeń, które zakończyły się masakrą.

- Czy w tej gromadzie ludzi na podwórku ktoś wydał się panu pod jakimś względem podejrzany albo niebezpieczny?

- Nie, proszę pana. Wszyscy byli przerażeni.

- Czy zauważył pan wśród nich człowieka bez nogi?

352

- Tak, proszę pana.

- Zobaczył go pan, tak?

- Tak, proszę pana.

- Kiedy go pan dostrzegł?

- Od razu, proszę pana.

- I wtedy zauważył pan, że ten człowiek jest bez nogi?

- Nie, proszę pana. Nie od razu. On jakby nie mógł ustać nieruchomo, potem zorientowałem się, że powodem jest brak nogi i że na ziemi obok niego leży kula.

- Wyraźnie pan widział, że to kula, a nie jakaś broń?

- Tak, proszę pana.

- Czy zwrócił pan na to uwagę kapralowi Bedfordowi?

- Tak, proszę pana. Starłem się mu powiedzieć, ale on tak krzyczał, że chyba mnie nie słyszał.

- Na kogo krzyczał?

- Na ludzi, których pilnowaliśmy. Na piszczące kobiety.

- Co wykrzykiwał?

- Można powiedzieć, że im wymyślał. Wołał, żeby się zamknęły.

- Co konkretnie pan słyszał?

- Ciągłe powtarzał: „pieprzone kadzi" i „zamknijcie się, do cholery".

Przesłuchanie robiło coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Zeznania Harkera - każda opisana chwila, każde przytoczone słowo i jego odcień - były zgodne z zeznaniami Delgada. McKnight robił, co w jego mocy, zrywał się z miejsca i zgłaszał sprzeciw, gdy tylko mógł. Niekiedy jego sprzeciw zostawał podtrzymany, lecz odpowiedzi młodego żołnierza były bezlitośnie obciążające, każda spadała niczym gruda ziemi na trumnę Danny'ego. Na domiar złego zasiewały ziarna wątpliwości,

których Tomowi, mimo starań, nie udawało się pozbyć. Może Danny jednak wypowiedział te słowa. Może oślepiła go wściekłość i chęć odwetu.

Tom patrzył na tył głowy syna, bijąc się z myślami i czując do siebie odrazę. Robiło mu się coraz ciężiej na sercu. Gdy Richards zakończył przesłuchanie, niemal widziało się chmurę, która zawisała nad zajętej przez obronę częścią sali. Kelly i Gina siedziały w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Przesłuchując Harkera, McKnight czepiał się każdej wypowiedzi, wnikał w szczegóły, usiłował wyłapać jakieś nieścisłości, ale bez szczególnego powodzenia. Zasugerował, że świadek źle zrozumiał słowa Danny'ego, że nie może mieć takiej pewności, skoro panował tam taki hałas i zamieszanie, iż sam był zbyt roztrzęsiony i wystraszony, by wszystko tak dobrze zapamiętać. Ale Harker ani drgnął, nie dał się podejść ani sprowokować, tylko cały czas powtarzał to samo, spokojnie, z uporem, bez zajknięcia.

Przeszli do późniejszych wydarzeń. Minęło prawie czterdzieści osiem godzin, zanim śledczy z Kryminalnego Biura Śledczego Marynarki Wojennej pierwszy raz przesłuchali Harkera. McKnight zapytał, czy w tym czasie albo potem Harker naradzał się z sierżantem Delgado. Padła odpowiedź przecząca. Prócz tego, co zostało powiedziane w obecności Danny'ego tuż po wydarzeniu na podwórku, nie rozmawiali ze sobą.

- Zabroniono mi, proszę pana. Otrzymałem taki rozkaz i się podporządkowałem.

McKnight podszedł do stołu i wziął dokument podany mu przez pomocnika, po czym wolnym krokiem wrócił na swoje miejsce.

- Podczas pierwszego przesłuchania, panie szeregowy,

wypowiadał się pan w sposób znacznie mniej konkretny o tym, co kapral Bedford mówił lub krzyczał, zanim obaj otworzyliście ogień. Dlaczego tak pan zeznawał?

- Nie chciałem wpakować go w kłopoty, proszę pana.

- Nie chciał pan wpakować go w kłopoty.

- Tak, proszę pana.

- Powiedział pan w trakcie przesłuchania, cytując: „Było za głośno. Wszyscy wrzeszczeli i krzyczeli”. Zgadza się?

- Było dużo krzyku, ale on krzyczał głośniejsze i dobrze słyszałem.

- A zatem skłamał pan w swoim pierwszym zeznaniu.

- Nie, proszę pana. Starałem się chronić kolegę.

- Mówiąc nieprawdę.

- Mówiąc niecałą prawdę.

- Mamy więc nie wierzyć temu, co pan powiedział za pierwszym razem, natomiast mamy wierzyć temu, co pan powiedział później, gdy właśnie wycofano składany panu zarzut morderstwa...

Richards natychmiast zerwał się z krzesła.

- Sprzeciw!

- Sprzeciw podtrzymany.

McKnight sformułował swoje stwierdzenie inaczej i kontynuował w tym samym tonie. Ale widać było - nawet Tom zdawał sobie z tego sprawę - że prawnik osiągnie niewiele więcej. Harker prezentował się jako człowiek honoru, który zmuszony był wybierać między chronieniem kolegi a powiedzeniem całej prawdy. Raz po raz, nie mrugnawszy nawet okiem, zaprzeczał, że kiedykolwiek naradzał się lub zmwiał z sierżantem Delgadem w celu ujednoczenia ich zeznań. Koniec końców spory o niuanse i czasem niemal napastliwy ton

355

przesłuchania zirytowały pułkownika Scrase'a. Kilkakrotnie przerywał przesłuchanie, pytając McKnighta, do czego ma prowadzić taki sposób zadawania pytań, i nakłaniając go do poruszenia następnej kwestii. Eldon Harker opuścił miejsce dla świadka nie tylko bez uszczerbku, lecz przede wszystkim w aurze człowieka dzielnego i wiarygodnego, co nawet Tomowi wydawało się uzasadnione.

Podczas kolacji, na którą poszli do małej włoskiej restauracji Marco's, dwie przecznice za ich motelem, panował niemal posępny nastrój. Byli w piątkę, tylko rodzina: Gina z Dutchem, Danny z Kelly i Tom. Nikt nie wspomniał o przesłuchaniu, ale można powiedzieć, że temat zajmował główne miejsce przy stole.

Chcąc poprawić atmosferę, Dutch zaczął opowiadać o swoim przyjacielu, partnerze do golfa, który poleciał do Bangkoku, żeby za tysiąc dolarów zrobić sobie badania zdrowotne.

- Wkładają człowiekowi do środka takie kamerki - mówił. - Jedną przez gardło, a drugą, no wiecie, przez Khyber Pass.

- Proszę, Dutch - jęknęła Gina. - Nie przy jedzeniu.

- No dobrze, oszczędzę wam szczegółów.

- Oby.

Kelly zapytała, co to znaczy „Khyber Pass”, na co Dutch odrzekł, że to angielskie wyrażenie i najlepiej wytłumaczy je Tom.

- Wydaje mi się, że oznacza tylną część ciała w rymowanym slangu cockney*.

[* Osoba mówiąca rymowanym slangiem cockney (gwara z londyńskiego East Endu) zastępuje słowo, którego nie chce wymówić, dwoma lub trzema słowami, a to ostatnie rymuje się ze słowem niewymówionym. I tak, zamiast arse (dupa) mówi Khyber Pass (przetęcz Chajber) - słowa arse i pass się rymują].

- No więc - kontynuował Dutch - filmują człowiekowi wnętrzości i dają mu DVD, żeby sobie obejrzał po powrocie do domu. Któregoś dnia Doug posadził mnie na kanapie i kazał obejrzeć to cholerne nagranie. Mówię wam, coś niesamowitego, lepsze niż filmy science fiction. Podróż do trzewi....

- Dutch, wystarczy.

- Moment kulminacyjny następuje wtedy, gdy kamera, która wędruje przez jakąś breję w takim krętym różowym tunelu, wychodzi zza zakrętu i łup, wpada na tę drugą kamerę.

Wszyscy się roześmieli, także Danny. Kiedy opuścili restaurację, niebo pokrywała łososiowa poświata poprzecinana smugami kondensacyjnymi, w balsamicznym powietrzu rozchodził się zapach rosnącego przy ulicy jaśminu. Dutch szedł na przód, obejmując Kelly ramieniem. Za nim podążała Gina z Tomem i Dannym po bokach. Trzymała ich pod ręce, przyciskając do siebie, żadne z nich się nie odzywało. Tom zastanawiał się, jak to możliwe, żeby wśród przeciwności losu, mimo tylu zgryzot, ich mała grupka zdołała zaznać czegoś w rodzaju spokoju. Może istnieje jakiś wrodzony, niezawodny kod przebaczenia, który o tym decyduje?

Porzucił te sentymentalne myśli, gdy dwadzieścia minut później zebrali się w jego pokoju, żeby obejrzeć w telewizji Wiadomości. Relacja z przesłuchania bynajmniej nie była stronicza - po prostu wiernie oddawała przebieg wydarzeń w sali sądowej tego dnia. Spokojne, przekonujące zeznania Eldona Harkera mówiły same za siebie. Sposób prowadzenia przesłuchania przez McKnighta został określony jako „nieprzerwanie agresywny”. Gdy tak stali, patrząc w milczeniu na ekran, Tom wiedział, że wszystkim nasunęła się ta sama myśl: ten dzień przesądził o wygranej oskarżyciela.

Producenci uznali zapewne, że trzeba zachować pewną równowagę, i na zakończenie nadali fragment wywiadu, którego udzielił tydzień wcześniej Troop, a właściwie, jak go przedstawiono w lokalnym programie NBC: „Truscott Hooper, autor bestsellerowych dreszczowców o tematyce wojskowej”. Wszyscy czekali na emisję tego wywiadu, ponieważ McKnightowi zależało na jakimś pozytywnym oddźwięku. Karen O'Keefe zrobiła już znacznie dłuższy wywiad z Troopem - i drugi z Dannym - do filmu Chodzące ofiary. Na ekranie pojawił się dobry stary Troop, korzystnie oświetlony (już on o to zadbał), siedział niczym czterogwiazdkowy generał za lśniącem biurkiem.

- Daniel Bedford jest wspaniałym młodym człowiekiem - mówił. - Jednym z najlepszych. Właśnie takich ludzi potrzebuje nasz kraj i na nich może polegać. Wojna jest brudną, zagmatwaną sprawą. Gdy kanapowi snajperzy wygłaszają odmienne opinie, nie służy to nikomu z nas. Co za wstyd, żeby odwracać się plecami do naszych bohaterów w trudnej sytuacji i traktować ich jak pospolitych przestępców.

- Co on może wiedzieć? - prychnął Danny. - Nigdy nie spotkałem faceta.

- Kochanie, on stara się pomóc - powiedziała Kelly. Danny, Kelly i Gina pożegnali się i rozeszli do pokoi,

natomiast Dutch zapytał, czy może chwilę zostać i zobaczyć wyniki meczów baseballowych, na co Tom oczywiście się zgodził. Pierwszy raz byli sam na sam i czuli się trochę dziwnie.

- Zrobić ci drinka? - zapytał Tom. - Jest kawa albo woda mineralna.

- Nie, dzięki. Nie chce mi się pić - odparł ze śmiechem Dutch. - Zostałem, żeby ci podziękować.

358

- Za co? - zapytał Tom, marszcząc brwi.

- Dzięki tobie jest łatwiej. Nie, to nie jest dobre słowo. Nikomu nie jest łatwiej. Za to, że dajesz tyle wsparcia i w ogóle. Nie da się powiedzieć, jakie to ważne dla Danny'ego i Giny. I dla mnie.

- Wy zrobiliście dużo więcej dla mnie.

- O nie. Wiem, jak ciężko musiało ci być przez te wszystkie lata. Ty i ja, no wiesz, pochodzimy z różnych plemion, jak byś to pewnie ujął. Zdaję sobie sprawę, że byłeś niezadowolony, gdy Danny postanowił wstąpić do wojska, i że z tego powodu nastąpił między wami rozdzźwięk. Sam podjął decyzję, ale nie będę udawał, że nie miałem na nią wpływu. No i teraz czuję, oczywiście, że to wszystko stało się w pewnej mierze z mojej winy.

Tom nie wiedział, co powiedzieć.

- W każdym razie chciałem ci podziękować i powiedzieć, że mimo tego, co między wami zaszło, chłopak nigdy nie przestał cię kochać.

Tom uśmiechnął się, kiwnął głową i trochę niezdarnie poklepał go po ramieniu.

- Dzięki, Dutch.

Umilkli i przez chwilę słychać było tylko trajkotanie sprawozdawcy sportowego. Tom odchrząknął.

- Jak to przebiega twoim zdaniem? Dutch westchnął i pokręcił smutno głową.

- Po dzisiejszym dniu? Niedobrze. Ale jutro będzie zeznawał Ricky, i to nam nie zaszkodzi.

Następnego dnia McKnight zaczynał przedstawiać stanowisko obrony. Na miejscu dla świadka miał się pojawić Ricky Peters, sparaliżowany od pasa w dół i poruszający się na wózku inwalidzkim.

359

Był ich głównym świadkiem i z nim wiązali największe nadzieje.

Po krótkiej pogawędce Dutch i Tom pożegnali się uściskiem dłoni przy drzwiach i Dutch poszedł do swojego pokoju. Tom rozebrał się i umył zęby w maleńkiej łazience, jednym uchem słuchając telewizji i starając się nie myśleć, co robi teraz Dutch. Kładzie się do łóżka z Giną. Leży przy niej. Czuje kojące ciepło jej ciała. Tom po raz pierwszy od lat tak zatęsknił za Giną.

Od rana McKnight przesłuchiwał jednego świadka po drugim. Wszyscy zeznali pod przysięgą, że Danny jest wspaniałym gościem i doskonałym, dzielnym żołnierzem. Ricky Peters, kruchy jak ptak ze złamanym skrzydłem, został wprowadzony na wózku inwalidzkim i łagodnym głosem opisał siedzącemu w milczeniu sądowi dwa zdarzenia, gdy przyjaciel uratował mu życie. Opowiedział, jak po wybuchu miny Danny trzymał go w ramionach i pocieszał. Potwierdził, że Marty Delgado zaczął

traktować ich inaczej po incydencie w sanitariacie. Jego zeznania wywarły przejmujące wrażenie. Po ogłoszeniu przerwy na lunch Tom był w optymistycznym nastroju, pierwszy raz od tygodnia. Idąc ze wszystkimi do sali konferencyjnej, znalazł się obok McKnighta.

- Chyba dobrze to przyjęli - powiedział. Kto?

- Wszyscy.

- Tom, musisz zrozumieć, co tu się dzieje. Ricky spisał się wspaniale, jak można sobie wymarzyć. Gdyby była tu ława przysięgłych, doprowadziłby ich do płaczu. Ale ławy przysięgłych nie ma. Jest tylko jeden człowiek. Wszystko zależy wyłącznie od Scrase'a, a on widział takich świadków

360

i słyszał takie zeznania sto razy. Nie chcę powiedzieć, że się nie przejmuję. Na pewno tak. Ale dla niego liczą się fakty, nie emocje. Ricky'ego nie było tamtej nocy na podwórku i nie widział, co tam się działo. A dla Scrase'a tylko to ma znaczenie.

- Sądzisz, że przekaże sprawę do sądu wojskowego?

- W tej sytuacji, jeśli nie zdarzy się cud, powiedziałbym, że niczego innego nie może zrobić.

Rozdział Dwudziesty Siódmy.

Podróż do Montany trwała dziewięć dni, dwa razy dłużej, niż zapowiadała Dianę. Przejechali przez cztery stany i przebyli ponad tysiąc mil. Czasem zatrzymywali się w tanich restauracjach albo kawiarniach, ale zazwyczaj kupowali jedzenie w sklepie czy na stacji benzynowej i jedli rozłożone na kolanach w samochodzie. Dużo rozmawiali i śpiewali - odśpiewali chyba wszystkie piosenki, które przyszły im do głowy, wszystkie kawałki z jednego musicalu po drugim, znane z płyt, które Dianę przywoziła do domu z Londynu - My Fair Lady, Gigi, South Pacific, Oklahoma! Gdy już zdarli gardła, włączyli radio i słuchali stacji tak dziwacznych, że chyba nadawały z kosmosu.

Po południu Tommy wyszukiwał na mapie miasto odpowiednie na nocleg. Wynajmowali pokój w jakimś popadającym w ruinę motelu czy zajeździe, kładli się do łóżka i przytuleni do siebie, oglądając telewizję, jedli krakersy, ser i jabłka.

Nieraz przejeżdżali koło kina, w którym grano Porzuconych, i Tommy namawiał Dianę, żeby jeszcze raz obejrżeli film, ale to było ponad jej siły. Pewnego wieczoru w restauracji w Ely,

362

w Nevadzie, jakaś młoda kobieta nieśmiało krążyła koło ich stolika, aż w końcu przeprosiła i zapytała, czy rozmawia z Diane Reed. Diane odpowiedziała ze śmiechem, że żałuje, ale niestety nie, i dodała, że ludzie często zauważają podobieństwo.

Z dnia na dzień robiło się zimniej. Gdy wjechali do stanu Utah, zaczął padać śnieg, a kawałek na północ od Salt Lake City złapała ich zamieć i zamarzyły na śmierć, gdyby jakiś stary, bezzębny ranczer nie wyciągnął ich pługiem śnieżnym i nie pozwolił im zanoć w swoim domu.

Była to najbardziej fascynująca podróż w życiu Tommy'ego. Patrząc z zachwytem na rozległą, niezaludnioną przestrzeń, jaka się przed nimi rozciągała, góry i rzeki, oszronione lasy sosnowe, Tommy czuł się jak nieustraszonego osadnika sprzed wieku albo zwiadowca czuwający nad bezpieczeństwem karawany wozów. Flint McCullough w fordzie galaxie z opuszczanym dachem.

Stojąc w rozwiewanym przez wiatr śniegu, Diane zadzwoniła do Cala z budki w Idaho. Rozpromieniona wróciła do samochodu i powiedziała, że Cal rozmawiał z nią w taki sposób, jakby na nich czekał. Mieli zadzwonić jeszcze raz, gdy dojadą do Choteau.

Choteau było ładnym miasteczkiem położonym przy linii kolejowej i miało szeroką główną ulicę wysadzaną drzewami. Mężczyźni w pick-upach dotykali rąk kapeluszy kowbojskich, pozdrawiając przejeżdżającą Diane. Tego ranka wszędzie leżała w słońcu gruba warstwa świeżego śniegu. Bezchmurne, intensywnie niebieskie niebo jakby sięgało dalej niż zazwyczaj. Z poczty zadzwonili do Cala i zaczęli piętnaście minut w cieple, zanim przyjechał po nich starym pick-upem groszkowego koloru. Gdy wyszli do niego przed budynek, żadne

363

nie powiedziało słowa. Cal po prostu otworzył ramiona i długo trzymał ich w objęciach. Dianę na przemian płakała i śmiała się, aż wszyscy poczuli się tym zażenowani.

John i Rosę Matthiesonowie byli miłymi, łagodnymi ludźmi, jak Cal. Przyjęli ich jak członków rodziny. John, wysoki i chudy, poruszał się o lasce. Nosił grube tweedowe kamizelki i koszule bez kołnierzyka - bardzo przypominał Tommy'emu jego dziadka. Rosę, w języku Czarnych Stóp zwana Małym Cielaczkiem, była o dobre sześć cali niższa od Tommy'ego. Miała dobrotliwe, czarne jak węgiel oczy i długie czarne włosy, które zaplatała w sięgający do pasa warkocz. Niewiele mówiła, za to nieustannie się uśmiechała.

Ranczo znajdowało się na płaskim, porośniętym krzakami terenie, ale roztaczał się stamtąd zapierający dech w piersiach widok na Góry Skaliste, jakieś dwadzieścia mil dalej na zachód. Potężne stoki płonęły różowym blaskiem o wschodzie słońca i fioletowym o zachodzie. Tommy miał wrażenie, że góry stoją tam, żeby powstrzymać całe zło tego świata.

Dom był mały i skromny, ale jakieś pół mili dalej, przy zwirowej drodze, która prowadziła w góry, Cal niedawno postawił przytulną chatę z bali i teraz chciał oddać ją Dianę i Tommy'emu. Twierdził, że chętnie zostanie w domu na ranczu, gdzie przecież wciąż ma swój pokój.

- Tylko uważajcie na niedźwiedzie grizzly - ostrzegł ich, oprowadzając po okolicy.
- Chyba żartujesz - powiedziała Dianę.
- Zgadza się. Teraz śpią, ale w kwietniu się obudzą i będą tu przychodzić. To nic wielkiego. Trzeba tylko mieć oczy szeroko otwarte.
- Tak długo nie zostaniemy.

- Na pewno zostaniecie. Jest tu mnóstwo pracy i liczę na pomoc Toma.

Tego samego popołudnia Tommy pomógł Calowi załadować siano na pick-upa i pojechali na pastwisko zajrzeć do koni, które przygalopowały po śniegu, żeby ich powitać. Chesterowi wyrosła kudłata sierść. Na widok Tommy'ego zaczął rzeć i prychać, i trącać go w ramię, co zdaniem Cala bez wątpienia oznaczało, że go poznaje.

Dianę kazała Tommy'emu obiecać, że nie piśnie słowa o tym, co zaszło między nią a Rayem. Powiedziała, że w odpowiednim czasie sama wyjaśni wszystko Calowi i zanim to nastąpi, będą udawać, że przyjechali tu pod wpływem impulsu, na nieplanowane wakacje.

Gdy śniegi stopniały, świat się zmienił. Na łąkach wyrosły polne kwiaty, a konie zgubiły zimową sierść i lśniły w wiosennym słońcu jak aksamit. Tommy poszedł do szkoły w Choteau i miał nowych kolegów. Któregoś dnia pokazano im film o tym, co robić na wypadek ataku jądrowego. Okazało się, że najważniejsze to nie wpadać w panikę. Żeby wszyscy przygotowali się na taką ewentualność, urządzano próbne alarmy. W szkole był radiowęzeł. Gdy dyrektor nacisnął guzik w swoim gabinecie i rozległ się alarm, trzeba było natychmiast dać nura pod ławkę, zamknąć oczy i zasłonić głowę rękami. Nikt nie traktował tych ćwiczeń poważnie.

Popołudniami i w weekendy Dianę i Tommy pomagali w pracach na ranchu i jeździli konno. Matthiesonowie mieli ze sto sztuk bydła rasy hereford. Cal nauczył Tommy'ego łapać zwierzęta na lasso, jeździć między nimi na koniu i oddzielać wybrane zwierzęta od stada. Pod koniec kwietnia zeszli się sąsiedzi i pomogli znakować cielaki, potem zasiedli przy długim

stole na kozłach, ustawionym przed stodołą, i zjedli wspólny posiłek, który przygotowały Rosę i Dianę.

Rosę ubawiła się, słysząc, że Tommy zna kilka słów w języku Czarnych Stóp. Miała piskliwy, zaraźliwy śmiech. Co wieczór wszyscy zbierali się na posiłek w domu na ranchu. Tommy pomagał (najczęściej raczej przeszkadzał) Rosę w gotowaniu, namawiał ją, żeby opowiadała mu o swoich rodzicach i młodych latach, które przeżyła w rezerwacie.

- Och, na pewno nie chcesz tego słuchać - powtarzała za każdym razem, a Tommy musiał ją przekonywać, że chce, bardzo chce, i dopiero wtedy opowiadała mu kolejną historię.

W któryś lipcowy weekend pojechali z Matthiesonami do rezerwatu w Browning na jakąś szczególną ceremonię. Ludzie nosili tam pióropusze, tańczyli i śpiewali. Dianę i Tommy poznali brata Rosę i jego dzieci. Wszyscy bardzo interesowali się Tommym i chcieli usłyszeć, jak mówi ich językiem.

Tommy nie wiedział, kiedy i jak do tego doszło, bo był za mały, żeby cokolwiek zauważyć, albo - co bardziej prawdopodobne - Dianę i Cal dobrze to ukrywali. W każdym razie tego lata okazało się, że są więcej niż przyjaciółmi. Gdy nadeszły cieplejsze wieczory i Tommy leżał już w łóżku, siadali na małej werandzie z tyłu chaty i patrzyli, jak słońce chowa się za góry. Tommy nie słyszał, o czym rozmawiali, ale w tonie głosu jednego i drugiego było coś, co nie pozostawiało żadnych wątpiwości. Któregoś

razu zakradł się i zobaczył, że Cal obejmuje Dianę, a ona opiera głowę na jego ramieniu. Widział, że jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa.

366

Może sprawiały to jej zdolności aktorskie, ale czasem nie mogła się nadziwić, że tak łatwo potrafi się odnaleźć w nowym świecie i poczuć w nim jak u siebie. W trakcie podróży na północ dręczyło ją tyle wątpliwości, że o mało nie zawróciła. Martwiła się, czy zaproszenie Cala było szczere, a może przyjazd do niego jest błędem, przejawem arogancji z jej strony. Ale od tamtego krystalicznego poranka, gdy przyjechał zabrać ich spod poczty, miała wrażenie, że wróciła do domu.

Niepokoilią się jednak, jak ludzie potraktują jej nagłe zniknięcie. Zadzwoiła do Herba Kantera i powiedziała mu w zaufaniu, co się stało i gdzie przebywa. Był życzliwy i wyrozumiały, kazał obiecać, że będzie w kontakcie. Gdy mijały kolejne tygodnie jej pobytu w Montanie, informował ją na bieżąco o tym, jakie plotki miały hollywoodzkie młyny.

Herb wydał komunikat prasowy, informując, że Dianę „przechodzi rekonwalescencję po nagłej chorobie”. Nie zdołał jednak nikogo oszukać. Gadano, że Dianę miała załamanie nerwowe. Zdaniem Herba tę pogłoskę rozpowszechnił Ray. Kilka gazet przytoczyło jego słowa, że zachowanie żony budziło jego niepokój i że z tygodnia na tydzień przed swoim zniknięciem była coraz bardziej niezrównoważona. Louella Parsons podgrzewała temat przez znaczną część miesiąca, opatrując swoje artykuły nagłówkami w rodzaju: Spadająca gwiazda. Nazywała Dianę „gwiazdą niebyłą”, Jednorazowym fenomenem”, a nawet porównywała z „obłąkaną” Frances Farmer i biedną Peg Entwistle („kolejną tragiczną nieudacznicą z Wielkiej Brytanii”), która skoczyła z napisu Hollywood i się zabiła.

Dianę stwierdziła, że w ogóle jej to nie obchodzi. Była szczęśliwa, że wyrwała się stamtąd, że nie ma nic wspólnego z tymi wszystkimi pozerami, z całym tym udawaniem i pospolitym kupczeniem,

367

które stanowiły o charakterze Hollywood. Gdy Herb ostrzegł ją, że „jej kariera może być zagrożona”, parsknęła śmiechem. Liczyło się tylko to, co było tu i teraz - to, że Tommy rozwija się, rozkwita, a pod szerokim niebieskim niebem Montany jego cera staje się ogorzała. Że wreszcie znalazła mężczyznę, przy którym ma poczucie bezpieczeństwa.

Od dwóch tygodni, co wieczór po kolacji, Tommy i Cal ujeżdżali młodego konia. Cal nie lubił słowa „ujeżdżać”, mówił, że wcale nie chce panować nad koniem ani łamać mu ducha. Wolał nazywać to zapoznawaniem się, nawiązywaniem kontaktu, żeby zwierzę z ufnością współpracowało. Przyzwyczajali do siodła wspaniałą izabelowatą klacz o dumnym chodzie i niemal królewskim ustawieniu głowy. Była o jakieś cztery cale za wysoka, żeby Tommy mógł na niej jeździć, ale z czasem miała należeć do niego. Dał jej na imię Chmura.

Dianę właśnie pomagała Rosę sprzątnąć po kolacji, a John siedział przed wiekowym czarno białym telewizorem i oglądał Wiadomości. Obraz na ekranie wyglądał jak przednia szyba samochodu podczas jazdy w deszczu bez wycieraczek. Sygnał musiał przebyć pięćdziesiąt pięć mil z Great Falls, a gdy dotarł na ranczo, antena na dachu była zbyt sfatygowana, by odebrać coś więcej niż kanał piąty bez

dźwięku i kanał trzeci bez obrazu. Ale już to pozwalało zorientować się, że świat za górami popadł w obłąd. Można było odnieść wrażenie, że Rosjanie lada chwila zaatakują kraj.

Dianę powiedziała „dobranoc” i zamknęła za sobą drzwi z siatką. Stała przez chwilę na spieczonej ziemi podwórka, patrząc na góry wznoszące się na zachodzie. Słońce musiało pokonać jeszcze kawałek drogi, zanim zniknie za szczytami, ale niebo już szykowało cowieczne widowisko w odcieniach

368

rózu, czerwieni i pomarańczy. Prąd strumieniowy rozwiewał ogromną, coraz mniej wyraźną literę X, którą utworzyły smugi kondensacyjne. Mijał kolejny bezchmurny, bezwietrzny i upalny dzień. W powietrzu unosił się zapach, który Dianę zdążyła już pokochać - zmieszana z dymem woń ziemi i szafwii.

Poszła drogą gruntową w stronę korrali. Słyszała śmiech Cala i głos Tommy'ego, który wołał klacz. Byli tak zajęci, że nie zwrócili na nią uwagi, więc mogła ich obserwować, oparta ze skrzyżowanymi ramionami o zbiegające drągi ogrodzenia. Otaczała ich chmura pyłu rozświetlonego na bursztynowo promieniami słońca. Klacz była już osiodłana, Cal trzymał ją za uzdę i gładził po szyi, a Tommy szykował się, żeby jej dosiąść. Zwierzę grzebnięło przednią nogą ziemię, po czym przesunęło się kilka kroków w bok.

- Wszystko w porządku, kochana - mówił Cal. - Dobra dziewczynka. Moja ty śliczna. Dobrze, Tom, teraz powoli.

Pomógł chłopcu włożyć but w strzemień i delikatnie podsadził go na siodło, cały czas przemawiając spokojnie do zwierzęcia. Klaczka potrząsnęła głową i zrobiła kilka szybkich kroków w tył i w bok, ale po chwili uspokoiła się i stanęła w miejscu, a Cal nadal gładził ją, zapewniając, że wszystko jest w porządku.

- Wiesz, Tom, można by sądzić, że robiłeś to ze sto razy. Moje gratulacje - powiedział Cal. - Jak się na niej czujesz?

- Świetnie.

- Wyglądacie, jakbyście byli dla siebie stworzeni. Może zabrałbyś ją na spacer?

- Jasne. Cześć, Dianę!

- Patrzcie państwo - odezwała się Dianę.

- Odwalił całą ciężką robotę - pochwalił Tommy'ego Cal.

369

- Muszę uważać, bo przez tego chłopaka niedługo będę bez pracy.

Poprowadził Tommy'ego kilka razy wokół placu, a potem zapytał, czy chce spróbować sam. Tommy kiwnął z powagą głową, powiedział, że chce, po czym naciągnął mocniej kapelusz i chwycił wodze.

Gdy podeszli do Diane, Cal puścił uzdę i się odsunął. Razem patrzyli, jak Tommy objeżdża trzykrotnie plac, a klaczka wydmuchuje powietrze przez nozdrza i posapuje, jakby sto razy robiła takie rzeczy.

Słońce chowało się już za górami. W fioletowym półmroku zaprowadzili klacz na pastwisko przed chatą, zdjęli siodło i uzdę i puścili zwierzę wolno. Stali w trójkę i przyglądali się, jak biegiem dołącza do pozostałych młodych koni, od niechcienia potrząsając głową, jakby opowiadała im, co właśnie zrobiła i że było to całkiem łatwe.

Po powrocie do chaty Tommy dostał szklankę mleka i kruche ciasteczko i przygotował się do pójścia spać. Cal usiadł przy nim na łóżku i zaczął czytać historyjkę ze swojej starej książki z dzieciństwa zatytułowanej Opowieści narodu Czarnych Stóp. Diane usadowiła się na sfatygowanej kanapie, którą wystawiono na werandę. Nie dochodziło do niej każde słowo, ale wiedziała, że bohaterem jest sprytny myśliwy o imieniu Małe Zęby, który bez powodzenia usiłuje upolować mądrego starego łosia.

Po przeczytaniu opowieści Cal wyszedł na werandę, a Diane poszła powiedzieć Tommy'emu „dobranoc”.

- Wspaniale wyglądałeś na tym koniu.
- Naprawdę?
- Wiesz, do kogo byłeś podobny?
- Do kogo?

370

- Do Flinta McCullough.
- Akurat!
- Słowo daję. Wypisz, wymaluj Flint.

Pogładziła go po czole. Nad jego brwiami jaśniał pasek skóry, którą zasłaniało rondo kapelusza.

- Dianę? - powiedział z zatroskaną miną.
- Co, kochanie?
- Jak długo będziemy tu mieszkali?
- Sama nie wiem.
- Możemy zostać na zawsze?
- Zobaczymy.
- Zawsze tak mówisz, gdy się nie zgadzasz.
- To nie znaczy, że się nie zgadzam. Chciałam tylko powiedzieć, że lepiej porozmawiać o tym innym razem.

Pocałowała go na dobranoc i poszła do Cala na werandę. Objął ją i pocałował w policzek, a ona oparła głowę o jego ramię i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wierzchołki gór rysowały się na niebie, które wkrótce miało rozbłysnąć gwiazdami. Od strumienia dolatywało pohukiwanie sowy. Dianę przeszedł dreszcz.

- Zimno ci?
- Nie. Trochę. Wtuliła się w Cala.
- Słyszałeś, o co mnie zapytał?
- Czy zostanieie tu na zawsze?
- Tak.
- Ja też czekałem z zainteresowaniem na odpowiedź.
- Znasz ją.

Pocałowała go. Później, już w pokoju, gdy skończyli się kochać i Cal spał obok niej, leżała, słuchając ujadania kojotów,

371

które kręciły się wśród wierzbowych krzaków za pastwiskiem, i rozmyślając o tym, co usłyszała w Wiadomościach.

Stary John Matthieson tak się przejął rychłym wybuchem trzeciej wojny światowej, że zaczął budować schron przeciwatomowy. Wykopał za korralami duży dół, który miał otwór o powierzchni dwunastu stóp kwadratowych, i go wybetonował. Jeszcze nie położył dachu, ale Rosę już zgromadziła w stodole prowiant: setki puszek z tuńczykiem, peklowaną wołowiną i brzoskwiniami w dwudziestu ocynkowanych pojemnikach na śmieci, kolejne dziesięć pojemników czekało, żeby napełnić je wodą. Cal pomagał rodzicom, choć nie krył, że tracą czas na śmiechu warte przygotowania. Jeżeli rzeczywiście spadnie bomba, mówił, to wcześniej umrą, niż się o tym dowiedzą.

Dianę i Tommy dużo jeździli z Calem konno po okolicy, chętnie w miejsce, które nazywał cmentarzyskiem dinozaurów. Znajdowało się za pastwiskiem po drugiej stronie potoku i było obszarem dzikiej przyrody zbudowanym z mułowców, gdzie leżało tyle skamieniałości, szkieletów i pięknych kawałków agatu, że w ogóle nie trzeba było ich szukać. Wystarczyło gdziekolwiek zsiąść z konia i zbierać je z ziemi. Cal twierdził, że musiało tam dojść do jakiejś katastrofy, skoro tyle stworzeń zginęło w jednym miejscu.

Pewnego popołudnia na początku września, gdy już robiło się chłodno i liście rosnących nad rzeką topoli zaczynały żółknąć, znowu pojechali tam w trójkę. Dianę natrafiła na cały pazur welociraptora, jak się później okazało po sprawdzeniu w jednej z książek encyklopedycznych Johna, i podarowała znalezisko Tommy'emu. W drodze powrotnej Tommy wysforował się do przodu, a Dianę i Cal rozmawiali o Kubie i wojnie na słowa Kennedy'ego z Chruszczowem.

372

- W każdym razie tu jesteśmy bezpieczni - uznała Dianę. - Nikt nie zrzuci bomby na Montanę.
- Coś ci pokażę - powiedział Cal.

Zawołali Tommy'ego i skręciwszy na południe, pogalopowali, pokonując wzgórze i zjeżdżając na falistą prerię, której Dianę jeszcze nie widziała. Białe słońce chyliło się ku zachodowi, światło miało jakiś niesamowity metaliczny odcień, cienie koni wyglądały na spłowiałej trawie jak upiory. Dianę zaczęła się zastanawiać, dokąd zmierzają, i ni stąd, ni zowąd na tym pustkowiu pojawiło się ogrodzenie z siatki, wzmocnione u góry drutem kolczastym, a na niej tablice z napisem „Zakaz wstępu”. Przez siatkę widać było betonowe pokrywy osadzone w ziemi i szyny, po których mogły być przesuwane. Na każdym rogu ogrodzonego terenu znajdowało się coś podobnego do kamery. Dianę zapytała Cala, co tu się, u licha, mieści.

- Podziemna wyrzutnia raketowa. Jest ich mnóstwo, wzdłuż całego pasma Front Range. Zostały zbudowane niedawno.

Powiedział, że w tych bunkrach przechowuje się ogromne rakiety Minuteman, każda ma zasięg do pięciu tysięcy mil i głowicę o mocy jednej megatony, zdolną do zniszczenia całego miasta. W zeszłym roku zauważył któreś nocy światła reflektorów, przyjechał tu na koniu i zobaczył wielką, długą ciężarówkę z dźwigiem, którym opuszczano te rakiety w głąb ziemi.

- Czy tam na dole są ludzie, którzy je wystrzelą? - zapytał Tommy.
- Nie. Czerwony guzik znajduje się podobno w bazie Malmstrom w Great Falls.
- A pan Kennedy pojedzie tam i sam go naciśnie? - dopytywał się Tommy.

373

- Chyba raczej zadzwoni ze specjalnego telefonu i każe komuś to zrobić.

Uderzył ich podmuch zimnego wiatru.

- Może tak zginęły dinozaury.

Cal się roześmiał i powiedział, że kto wie, może Tommy ma rację. Ale nie trzeba się martwić. Nie dojdzie do tego. Wyrzutnie mają zwiększyć bezpieczeństwo ich wszystkich. Wojskowi nazwali tę doktrynę w skrócie MAD*.

[* Mutually Assured Destruction (MAD) - Wzajemne Zagwarantowane Zniszczenie; mad - szalony, obłąkany].

I rzeczywiście człowiek musi być szalony, mówił Cal, żeby rozpoczynać wojnę, wiedząc, że zniszczy jego samego i wszystkie żywe stworzenia na tej planecie.

Tydzień później spadł pierwszy śnieg. Sypnęło w nocy, zaledwie kilka cali, a o świcie niebo się rozjaśniło i ukazał się zupełnie inny świat. Gdy Tommy pojechał do szkoły, Cal i Dianę wyruszyli konno na pogórze. Gdy zatrzymali się na urwistej skale, usłyszeli ryk łosia. Wysoko na krystalicznie czystym niebie leciały na południe wielkie stada gęsi, tworząc klucze w kształcie litery V.

- Mogłabym zaaklimatyzować się w takim miejscu - powiedziała Dianę.

- Więc to zrób.
- Och, Cal.
- Mówię poważnie. Tom już tu się zadomowił. Trudno ci będzie go zabrać.
- Wiem.

Milczeli przez chwilę. Para z końskich pysków wiła się w zimnym powietrzu.

- Od dawna chciałam cię o coś prosić, Cal.

374

- Zgadzam się.
- Mówię poważnie.
- Ja też.
- Chodzi o to, że... Gdyby coś mi się stało, powiedzmy, gdyby zdarzył się wypadek albo coś w tym rodzaju, nie chcę, żeby Ray decydował o losie Tommy'ego albo miał na niego wpływ. Zajmiesz się nim?
- Naturalnie.

Dianę pochyliła się i pocałowała Cala.

Następnego tygodnia po południu, gdy Tommy był jeszcze w szkole, pojechali przez śnieg do miasta i udali się do kancelarii adwokata Matthiesonów. Alfred Cobb, bystrooki, choć trochę zniedołężniały weteran pierwszej wojny światowej, przygotował już wszystkie dokumenty. Usiedli przy wielkim dębowym biurku przed kominkiem, w którym płonął ogień, i podpisali papiery. Cal zgodził się na wypadek śmierci Dianę adoptować Tommy'ego i sprawować nad nim opiekę.

Pod sam koniec października, zaledwie dwa dni po tym, jak doszło do konfrontacji między Kennedym a Chruszczowem w czasie kryzysu kubańskiego i niebezpieczeństwo wojny światowej zostało zażegnane, na ranczo przyjechał młody chłopak z telegramem dla Dianę. Jej londyński agent Julian Baverstock napisał: Ojciec ciężko chory. Przyjedź jak najszybciej.

Rozdział Dwudziesty Ósmy.

Zebrali się na pożegnalną kolację - czy też, jak wyraził się mniej taktownie Dutch, na ostatnią wieczerzę - w restauracji Marco's. Siedzieli w rogu sali, przy tym samym co zwykle stoliku nakrytym obrusem w czerwono białą kratę, ze starodawnymi lampami naftowymi. Wszyscy starali się nie ulegać zanadto przygnębieniu. Przesłuchania miały się zakończyć następnego dnia i zgasta już nadzieja, że sprawy potoczą się pomyślnie dla Danny'ego. Tego popołudnia McKnight ostrzegł Toma, Dutcha i Ginę, żeby spodziewali się najgorszego. Wziąwszy pod uwagę dowody za i przeciw, uznał, że

pułkownik Scrase właściwie nie będzie miał innego wyjścia, jak przekazać sprawę sądowi wojskowemu.

McKnight obiecał spotkać się z nimi w restauracji, ale jego miejsce było puste. Już prosili o rachunek, gdy zjawił się trochę zadyszany. Niewątpliwie zaszło coś ważnego. Dutch nalał mu kieliszek chianti i wszyscy przechylili głowy w jego stronę.

McKnight powiedział, że do jego kancelarii zadzwonił młody człowiek, niejaki Travis Wilson, starszy szeregowy z kompanii

376

Danny'ego, który przed sześcioma miesiącami przestał pełnić służbę w Korpusie Piechoty Morskiej. Danny kiwnął głową, mówiąc, że zna gościa, ale niezbyt dobrze. Okazało się, że Wilson oglądał Wiadomości poprzedniego dnia i słyszał, jak Harker twierdził, iż nie naradzał się z Delgadem.

- Powiedział, że to nieprawda. Widział ich razem w barze w Coronado. Po tym, jak odesłano ich do domu.

- Słyszał, o czym rozmawiali? - zapytał Dutch.

- Wystarczająco dużo. Mam nadzieję. Dziś wieczorem przyleci tu z Omaha. Kevin odbierze go z lotniska o dwudziestej drugiej. Jeśli wszystko będzie grało, jutro powołamy go na świadka.

Następnego ranka, gdy tylko pułkownik Scrase umościł się na pluszowym tronie, McKnight poderwał się z miejsca, żeby poprosić o pozwolenie na wezwanie ostatniego świadka. Na obliczu Wendella Richardsa, już gotowego do wygłoszenia mowy końcowej, pojawił się wyraz irytacji i czujności. Nikt by nie powiedział, że starszy szeregowy Travis Wilson został idealnie obsadzony w swojej roli. Był niskim mężczyzną o szczerzej twarzy pokrytej trądzikiem. Składając przysięgę, sprawiał wrażenie, że ze zdenerwowania lada chwila zmoczy spodnie. Ale jego zeznania miały siłę rażenia miny przeciwpiechotnej.

Na początek McKnight zadał mu podstawowe pytania: jaki ma stopień wojskowy i doświadczenie w armii, co wie o omawianym tu zdarzeniu i jak dobrze zna oskarżonego.

- Panie Travis, proszę powiedzieć, gdzie pan był wieczorem dwudziestego trzeciego lipca zeszłego roku.

- W barze Dee's Place w Coronado.

- Co pan tam robił?

377

- Miałem spotkać się z Cindy, moją dziewczyną. To znaczy wówczas moją dziewczyną. Już nie jesteśmy razem. No więc umówiliśmy się o wpół do ósmej, ale przyszedłem ze dwadzieścia minut wcześniej... Tak już mam, lubię być przed czasem. Siedziałem przy stoliku w boksie i czekałem na Cindy, i...

- Był tam ktoś, kogo pan znał?

- Tak, proszę pana. Sierżant Delgado i Eldon Harker. Siedzieli w sąsiednim boksie.
- Poznał ich pan?
- Tak, proszę pana.
- Był pan z nimi zaprzyjaźniony?
- Nie, proszę pana. Po prostu ich znałem. Z Iraku.
- Przywitał się pan?
- Nie, proszę pana. Miałem zamiar, ale wtedy wpadło mi w ucho, o czym rozmawiają, i się rozmyśliłem.
- Zauważyli pana?
- Nie sędzę, proszę pana, chyba nie. Tam jest dość ciemno.
- Czy dobrze słyszał pan ich rozmowę?
- Powiedziałbym, że całkiem dobrze.
- I co pan usłyszał?
- Słyszałem, jak sierżant Delgado mówi Harkerowi, co ma powiedzieć, jeżeli chce, żeby wycofano postawiony mu zarzut morderstwa.

Wendell Richards natychmiast zerwał się z krzesła i zgłosił sprzeciw. Przez całe następne pół godziny podskakiwał i przysiadł niczym trzymany w pudełku goffer. A tymczasem McKnight cierpliwie wydobywał z Travisa Wilsona jedną informację po drugiej. Wilson zeznał, że słyszał, jak Delgado przeciwzył z Harkerem - skutecznie - co ten ma powiedzieć, żeby uniknąć oskarżenia o morderstwo i zrzucić winę na

378

Danny'ego. Usłyszał nawet te zaklęte słowa: „Wal, kurwa, serią”.

Gdy McKnight skończył przesłuchanie, był co najmniej o stopę wyższy, niż gdy zaczął.

Potem świadka przejął Richards. Starł się podać w wątpliwość to, co usłyszał Wilson, i sugerował, że mógł żywić urazę do jednego z podsłuchiwanym mężczyzn lub do obu. Przyglądając się zachowaniu Richardsa, Tom wyczuł jednak, że biedak zdaje sobie sprawę, iż zadany cios był zabójczy. Gdy przesłuchanie się zakończyło, McKnight powstał dostojnie i poprosił, żeby ponownie wezwano na świadków sierżanta Delgado i szeregowego Harkera i odczytano im ich prawa zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym.

Musieli czekać prawie miesiąc, zanim oficer śledczy przedstawił wnioski z dochodzenia. Nim to nastąpiło, na początku czerwca Kelly urodziła zdrowego sporego chłopca. Na chrzcie miał otrzymać imiona Thomas David, po obu dziadkach.

Pewnego ciepłego bezchmurnego ranka Tom pojechał przez dział wodny, który tworzyły Góry Skaliste, do Great Falls i w tamtejszym szpitalu wziął swojego pierwszego wnuka na ręce. Z okna pokoju Kelly roztaczał się widok na wciąż przyprószone śniegiem pasmo Front Range. Tuląc niemowlę w zakolu ramienia, Tom pokazywał mu szczyty i przełęcze, wymieniał ich nazwy: Sawtooth, Ear Mountain, Steamboat. Gina, Dutch i Danny też tam byli. Wszyscy stali w zalanym słońcem pokoju i mieli łzy w oczach. Gina zapytała, czy Tom pojedzie do nich coś przekąsić, ale wymówił się, twierdząc, że musi wracać do Missouli, i tego samego dnia odbył tę podróż

379

jeszcze raz. Może z czasem będzie gotów utrzymywać tak bliskie kontakty.

Tego samego wieczoru zadzwonił Brian McKnight z wiadomością, że otrzymał wyniki dochodzenia. Na dwustu stronach pułkownik Robert Scrase przedstawił zawiłą analizę materiału dowodowego i uznał, że Danny działał w obronie własnej. Poleciał wycofać postawione mu zarzuty. Rozdzwoniły się telefony i wszyscy odetchnęli z ulgą, lecz wcale nie mieli ochoty na świętowanie. Siedem niewinnych osób straciło życie, a tylko jedna je odzyskała. Danny zamierzał odejść z Korpusu i poszukać sobie innego zajęcia.

Pod koniec czerwca zatelefonował do Toma, żeby umówić się na spotkanie i zasięgnąć opinii ojca na temat swoich planów pójścia do college'u. Pod wpływem impulsu Tom zaproponował wyjazd na ryby, czego nie robili od dzieciństwa Danny'ego. Ściągnął ze strychu sprzęt wędkarski i sprawdził, czy jest w dobrym stanie. Ponieważ sam też nie łowił od lat, żyłki i przynęty skruszały, a zapas muszek był tak żałosny, że pojechał do miasta i wydał masę pieniędzy w sklepie Grizzly Hackle przy Front Street.

Dwa dni później, po południu, Danny przyjechał do Missouli i po godzinie jazdy dotarli w jedno z ulubionych miejsc Toma nad Blackfoot River. Zostawili samochód na początku szlaku i powędrowali z całym sprzętem przez las. Gdy usłyszeli szum płynącej w dole rzeki, znaleźli na skraju lasu dogodne miejsce na rozbicie namiotu i poszli zebrać drewno na ognisko. Uporali się ze wszystkim do zmierzchu. W zachodzącym słońcu nad powierzchnią wody pojawiły się chmury much, więc przyszykowali wędki, włożyli wadery i zaczęli łowić ryby na kolację.

380

Szczęście dopisało najpierw Danny'emu - złapał ładnego pstrąga potokowego, długości mniej więcej piętnastu cali, i na widok tej zdobyczy na twarzy chłopaka pojawił się niemal równie szeroki uśmiech. Tom miał na haczyku trochę większego, ale się zerwał, podobnie dwa następne, w końcu jednak udało mu się złowić rybę o dwa cale mniejszą niż ryba Danny'ego - zapewne się nad nim ulitowała.

Rozpalili ognisko, usmażyli na patelni pstrągi i zjedli je z pomidorami i sałatką ziemniaczaną ze szczypiorkiem, którą Danny uwielbiał w dzieciństwie, jak pamiętał Tom. Pstrąg miał różowe słodkie mięso, tak smaczne, że obaj pojękiwali z rozkoszy, aż się rozchichotali i nie mogli przełknąć ani kęsa. Tom zaparzył kawę. Obejmując dłońmi blaszane kubki, patrzyli, jak zakole rzeki srebrzy się, potem brązowieje i czernieje. Wśród sosen na drugim brzegu ciągle pohukiwała sowa.

Danny zaczął opowiadać o swoich planach. Chciał iść na studia licencjackie na Wydziale Przemysłu Rolnego Stanowego Uniwersytetu Montany w Bozeman. Było już jednak za późno, żeby zapisać się na semestr rozpoczynający się jesienią, poza tym wolał najpierw zdobyć trochę doświadczenia. Dutch

miął znajomego, który prowadził firmę zajmującą się zaopatrzeniem gospodarstw rolnych i zgodził się wprowadzić Danny'ego w zawód. Tom uważał, że pomysł jest bardzo dobry, wprost świetny.

Umilkli. W ciszy niósł się jedynie stłumiony łoskot płynącej w dole wody i pohukiwanie sowy. Tom dołożył dREW i w górę strzeliła spirala iskier. Siedzący po drugiej stronie ogniska Danny długo wpatrywał się w płomienie. W rozmigotanym blasku jego twarz nagle się postarzała. Gdy w końcu się odezwał, nie przeniósł wzroku na Toma.

381

- Muszę ci coś powiedzieć, tato.

- Słucham.

Nabrał głęboko powietrza.

- Byłem winny.

- Nie rozumiem.

- No wiesz, na przesłuchaniu mówili, że obrzucałem tamte kobiety wyzwiskami, „pieprzone kadzi”, „kurewskie suki”, że...

Danny odchylił do tyłu głowę i przez dłuższą chwilę patrzył na gwiazdy, oddychając ciężko, jakby zbierał siły.

- W porządku, synu. Możesz mi powiedzieć.

- Skłamałem. Nie wydawało mi się, że tamten facet ma broń.

Znowu urwał i przełknął ślinę. Tom czekał cierpliwie.

- Tak naprawdę było mi wszystko jedno. Ziałem nienawiścią. Nienawidziłem tych ludzi... za to, co się stało. Za to, co zrobili Ricky'emu i nam wszystkim. To był jakby... gdy ten facet się schylił... to był jakby całkiem dobry powód. Może sięgał po broń, nie wiedziałem. Jakbym był zaczadziaty. Nie wiedziałem. Było mi wszystko jedno. Wiedziałem tylko, że chcę zabić tamtych drani, wykosić to cholerstwo równo...

Po jego policzkach spływały łzy.

- I zaraz było po wszystkich. Widziałem, jak leżeli. Widziałem, co zrobiłem. Miałem wrażenie, że patrzę na nich pierwszy raz. Kobiety i dzieci. Niemowlęta, Chryste... I ja to zrobiłem.

Tom obszedł ognisko i objął syna.

- Ja to zrobiłem.

- Danny, posłuchaj...

- Ja, tato, ja! Chciałem to zrobić!

Pewnie należało coś powiedzieć, ale Tom miał pustkę w głowie.

Przytulił syna. Danny spuścił głowę i szlochał, a Tom siedział przy nim, gładził go po włosach i trzymał w ramionach. Nie wiedział, jak długo tak siedzieli. Półksiężyc wyłonił się zza zbocza góry w oddali, za zakolem rzeki. W ognisku został spopielały żar.

- Teraz ja chcę ci coś powiedzieć - odezwał się cicho Tom.
- Co?
- Chcę ci opowiedzieć o twojej babci. O tym, co się z nią naprawdę stało.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty.

Zaraz po otrzymaniu telegramu Dianę zamówiła rozmowę telefoniczną z Londynem. Dowiedziała się od Juliana Baverstocka, że jej ojciec jest w szpitalu Queen Elizabeth w Birmingham. Ma raka krtani i płuc w stadium zbyt zaawansowanym, żeby operować. Lekarze dają mu najwyżej dwa tygodnie życia.

Cal zadzwonił w kilka miejsc i dowiedział się, że najlepiej pojechać pociągiem do San Francisco i stamtąd polecieć liniami BOAC do Londynu. Dopiero gdy poszli do chaty i zaczęli się pakować, Dianę przypomniała sobie o paszportach. Leżały w sejfie Raya w Los Angeles. Przeklęła własną głupotę, ale nie wpadła w panikę. Po prostu pojedą pociągiem do Los Angeles, oświadczyła, zabiorą z domu paszporty i polecą do Anglii zgodnie z planem.

Cal mówił po latach, że starał się przekonać Dianę, żeby pozwoliła mu z nimi jechać, i nigdy sobie nie wybaczy, że jej nie przekonał. Ale Dianę podjęła decyzję spokojnie, z całą pewnością i stanowczością, powiedział. Wolą nie dzwonić do Raya, żeby nie zaczął kombinować. Lepiej po prostu stanąć

w drzwiach. Jeżeli zastanie Raya w domu, poradzi sobie. Jeżeli go nie zastanie (postara się wybrać taką porę, żeby go nie było), ma przecież klucz do domu i zna szyfr do sejfu. Po prostu wejdzie, zabierze paszporty i wyjdzie.

Ciężko było żegnać się z Calem na stacji w Choteau. Kazał im obiecać, że szybko wrócą, a gdy pociąg ruszył, nadal stał na peronie, machając kapeluszem. Wychylili się przez okno i machali mu tak długo, aż stał się czarną kropką na śniegu.

Podróż koleją trwała krócej niż samochodem, ale dla Tommy'ego i tak była wielkim przeżyciem. Jedli, spali, czytali książki i w milczeniu oglądali przesuwały się za oknem krajobraz, z każdą godziną coraz bardziej nieurodzajny i surowy. Nie urządzali sobie zabaw i śpiewów jak podczas wyprawy na północ przed ośmioma miesiącami. Po części dlatego, że oboje myśleli o Arthurze, ale również odczuwali innego rodzaju smutek, który wywołało rozstanie z Calem.

- Czy ty i Cal weźmiecie ślub?
- Nie wiem, Tommy. Nie oświadczył mi się. Poza tym wciąż jestem żoną Raya.

- Ale weźmiesz rozwód, prawda? Uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie.
- Z każdym dniem mówisz coraz bardziej jak amerykański chłopak. Tak, wezmę rozwód. Chcesz, żebyśmy wzięli ślub?
- O rany, no pewnie.
- Może któregoś dnia się pobierzemy.
- Czy wtedy moglibyśmy już zawsze mieszkać w Montanie?
- Dlaczego nie?

Tommy spał, gdy pociąg wreszcie wjechał na Union Station. Obudzony, w pierwszej chwili miał wrażenie, że patrzy na obcą osobę

385

- Dianę założyła chustkę na głowę i ciemne okulary, żeby nikt jej nie rozpoznał. Wezwała bagażowego, który załadował ich torby na wózek, i poszli za nim przez cały dworzec na postój taksówek. Było późne popołudnie. Tommy, wciąż zaspany, mętnym wzrokiem wpatrywał się w starannie utrzymane ulice, wysadzone palmami aleje, eleganckie domy z wypielonymi trawnikami, zraszacze tworzące tęczbowe łuki w zachodzącym słońcu. Nie mógł się nadziwić, że kiedyś takie widoki robiły na nim duże wrażenie, choć nie miały w sobie nic prawdziwego, nic a nic. Wszystko było na pokaz, sztuczne i obce.

Brama posiadłości Raya stała otworem. Gdy podjechali bliżej domu i brązowego posągu konia stojącego dęba, zobaczyli, że przed gankiem nie ma ani jednego samochodu i nikt się nie kręci. Dianę kazała kierowcy zaczekać, a Tommy'emu zostać z nim w samochodzie. Wyjęła klucz z torebki i powiedziała, że zaraz wróci. Tommy patrzył, jak biegnie po schodach do drzwi wejściowych. Przystanęła, nasłuchując, przekręciła klucz w zamku i wślizgnęła się do środka.

Minęły nie więcej niż dwie minuty, gdy Tommy usłyszał chrzęst kół samochodu na podjeździe. Obejrzał się i serce w nim zamarło. Nadjechał Ray cadillakiem. Zdziwiony widokiem taksówki stanął za nią. Tommy szybko się odwrócił, skulił na siedzeniu i patrzył, jak kierowca spogląda w lusterko wsteczne. Ray tymczasem wysiadł z samochodu, powoli podszedł do tylnych drzwi taksówki i mrużąc oczy, zajrzał przez szybę. Był ubrany na czarno i miał okulary przeciwsłoneczne, choć już zmierzchało. Zdjął je, żeby zobaczyć, kto siedzi w środku, po czym rozpromieniony otworzył drzwi.

- Wielkie nieba, kogo my tu mamy!

386

- Cześć, Ray.
- Tommy, kurczę, co u ciebie, chłopie?
- W porządku.
- Co tu się dzieje? Gdzie mama? Tommy nie wiedział, co powiedzieć.

- Weszła do domu? To co ty tu robisz? Chodźmy, stary. Jak miło cię widzieć!
- Kazała mi poczekać.
- Nie bądź taki. No, chodź.

Wyciągnął do niego rękę i Tommy uprzytomnił sobie, że musi go posłuchać. Gdy wysiadł z samochodu, Ray złapał go w objęcia.

- O rany, Tommy, tak się cieszę. Tęskniłem za tobą, bardzo tęskniłem.

Tommy przełknął ślinę i zmusił się do uśmiechu. Ray wyjął portfel z tylnej kieszeni dżinsów, zapłacił za kurs i zwolnił kierowcę.

- Ale Dianę mówiła...
- Wszystko w porządku, chłopcze. Nie przejmuj się. Idziemy.

Otoczył Tommy'ego ramieniem i poszli w stronę domu.

- Ależ ty urosłeś, stary! I zmężniałeś! Na ganek wybiegła Dolores.
- Ona wróciła! Otworzyła sobie drzwi!
- Wiem, wiem, w porządku. Wszystko dobrze. Spójrz, Tommy też przyjechał. Wrócili do domu.

Dolores rzuciła okiem na Tommy'ego i posłała mu beznamiętny uśmiech.

- Cześć, Tommy.
- Cześć.

387

- Gdzie ona jest? - zapytał spokojnie Ray.
- Na górze. Próbuje otworzyć sejf. Mówiłam jej, żeby...
- W porządku, Dolores. Wszystko jest pod kontrolą, prawda, Tommy?

Klepnął go po plecach.

- Wiesz co, chłopcze, idź z Dolores do kuchni. Zrobi ci koktajl czekoladowy, taki jak lubisz. Masz ochotę?
- Poczekał tu.
- Idź z Dolores. No już.

Tommy nigdy nie mógł sobie wybaczyć, że się wtedy ugiął. Gdyby twardo trzymał się swego, został w holu albo poszedł za Rayem na górę, zamiast dać się poprowadzić Dolores do kuchni, to być może jakoś uniknęłoby się tego, co było potem. Z wiekiem doszedł do przekonania, że w życiu

najważniejsze jest wycucie czasu. Jedna chwila wcześniej czy później może zadecydować o szczęściu lub udręce, o życiu lub śmierci, albo o wiecznym potępieniu.

Poszli do kuchni. Dolores wyjęła z lodówki lody i mleko i robiąc koktajl, wypytywała Tommy'ego, dokąd wyjechali. Nie zwracał na nią uwagi i nie udzielał konkretnych informacji - powiedział tylko, że byli w Montanie. Cały czas nasłuchiwał i próbował zgadnąć, co się dzieje na górze. Stał przy stole i dopiero kiedy Dolores drugi raz stanowczo kazała mu usiąść, posłuchał.

Nie wiedział, po jakim czasie Dianę zaczęła krzyżeć. Może minęło pięć minut, może mniej. Usłyszawszy jej głos, zerwał się z krzesła, które upadło z łoskotem na podłogę, i wybiegł z kuchni. Dolores zawołała go, ale już pędził przez hol do schodów i na górę do sypialni Raya, skąd dobiegały krzyki Dianę.

388

- Masz natychmiast otworzyć ten sejf!
- Dianę, na miłość boską, uspokój się. Porozmawiajmy chwilę.
- Chcę tylko zabrać paszporty!
- Już ci powiedziałem, że ich tam nie ma.
- Nie wierzę.
- Twoja sprawa, kochanie.
- Otwórz, niech sama zobaczę.
- Nie otworzę, Dianę.
- Otwieraj ten cholerny sejf!

Tommy zatrzymał się tuż za drzwiami sypialni i przez chwilę nasłuchiwał, próbując zerknąć do środka tak, by go nie zauważyli. Widział ich po drugiej stronie pokoju, jak stoją naprzeciwko siebie przed otwartą szafą, gdzie znajdował się sejf. Ostrożnie zrobił krok do przodu. Ray stał do niego tyłem, ale pewnie dostrzegł drgnienie oka Dianę, bo spojrzął przez ramię i uśmiechnął się, widząc Tommy'ego.

- Wracaj na dół. Wszystko jest w porządku. Mama i ja musimy porozmawiać o paru rzeczach. Idź na dół. Bądź grzeczny i rób, co mówię.

Tommy nie wiedział, jak postąpić. Nie zamierzał wykonywać niczych poleceń prócz Dianę. A ona kiwnęła potwierdzająco głową.

- Idź, Tommy. Poczekaaj w holu. Zaraz zejdem. Odwrócił się niechętnie i przeszedł przez podest. Dianę i Ray znowu rozmawiali, tyle że ciszej. Nie słyszał słów, ale ton był natarczywy i zjadliwy. Dolores stanęła u podnóża schodów i kazała mu zejść, a potem poszła przez hol do kuchni. Był zaledwie w połowie schodów, gdy rozległ się krzyk Dianę. Natychmiast wbiegł co tchu na górę i popędził do sypialni.

Od progu zobaczył, że Ray pchnął Dianę na ścianę, podszedł do niej i uderzył ją dwukrotnie w twarz, raz za razem, wierzchem i wnętrzem dłoni. Tommy krzyknął w proteście, ale Ray puścił to mimo uszu, a Dianę rzuciła się na niego z krzykiem i chciała mu oddać, tyle że nie była dość szybka. Podrapała go paznokciami po policzku, złapała za włosy i wykręciła mu głowę. Ray wrzasnął, chwycił Dianę za nadgarstek, obrócił i pchnął mocno na ścianę. Tommy usłyszał nagły przejmujący jęk, jakby uszło z niej powietrze. Zobaczyła go w drzwiach i chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu i wtedy Ray zadał jej cios w brzuch - zgięła się w pół i osunęła na kolana.

- Powiedziałem: jazda na dół, mały, nie słyszałeś? - warknął Ray, nie patrząc na Tommy'ego. - Wynoś się stąd!

Wydał to polecenie z taką wściekłością, że Tommy niemal się podporządkował. Odwrócił się i skierował w stronę podestu, ale zaraz przystanął i raptem olśniło go, co ma zrobić. Odwrócił się już ostatni raz i przeszedł przez pokój do szafki nocnej Raya.

Ray zapewne pomyślał, że Tommy wyszedł. Chwycił Dianę za klapy kurtki i podniósł. Jak najciszej Tommy wysunął szufladę. Psiakrew, nie ma. Ray musiał schować go gdzieś indziej. Dianę płakała, o coś prosiła, ale Tommy nie wiedział o co, bo czuł szum i pulsowanie w głowie. Wyciągnął szufladę jeszcze bardziej i zobaczył go - w głębi załśniła lufa.

Poczuł zimny dotyk stali, gdy wyjmował rewolwer. Starał się robić to cicho i zarazem szybko, co nie było łatwe, bo okropnie trzęsły mu się ręce. Udało mu się jednak odbezpieczyć broń, tak żeby nie rozległ się trzask, po czym obiema rękami ujął rękojeść, uniósł na wysokość wzroku i wycelował w plecy Raya.

Dianę dostrzegła go pierwsza. Ray trzymał ją za gardło i przyciskał do ściany. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia. Przestała się szamotać, znieruchomiła. Nie puszczając jej, Ray powoli się odwrócił i wtedy i on zobaczył Tommy'ego.

- Puść ją - powiedział Tommy.

- Chryste, co ty wyrabiasz, chłopcze? Odłóż to.

- Powiedziałem: puść ją.

Ray pokręcił z uśmiechem głową, jakby nigdy w życiu nie widział niczego równie absurdalnego i irytującego. Ale rozluźnił uścisk i Dianę osunęła się, odwróciła do ściany i zatoczyła, łapiąc powietrze, kaszłąc i trzymając się za gardło.

- Tommy - wykrztusiła w końcu - nie bądź niemądry. Odłóż to.

Nie odłożył. Powiedział Dianę, żeby się odsunęła, ale chyba brakowało jej sił.

- Nie słyszysz? Mama kazała ci odłożyć rewolwer. Zrób to.

- Odejdź od niej.

- Dość tego, chłopcze. Jeszcze coś się komuś stanie. Oddaj broń.

Ray zrobił krok w jego stronę. Tommy krzyknął, żeby się nie ruszał. Między nimi stało teraz tylko łóżko.

- Otwórz sejf - powiedział Tommy. Ray się zaśmiał.

- Oglądałeś za dużo westernów, chłopcze. Kto jest dzisiaj twoim idolem? Billy Kid?

- Tommy, proszę, odłóż to.

- Nie. On ma otworzyć ten sejf. Otwieraj!

Tommy odciągnął kurek. Pamiętał, że w westernach ten ruch zwykle wystrzał uwagę. Teraz też. Ray uniósł dłonie.

- No dobrze, już dobrze.

391

Odwrócił się. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby rzeczywiście szedł otworzyć sejf. Ale gdy zrobił krok w stronę szafy, nagle przechylił się i złapał Dianę. Tommy zorientował się, o co mu chodzi. Widział to ze sto razy w telewizji i w filmach. Facet się nią zastłonił. A może znowu ją uderzy albo zrobi jej coś jeszcze gorszego. Tak czy owak, w tym ułamku sekundy Tommy wiedział, że nie ma wyboru. Nacisnął spust i strzelił.

Umieranie w ogóle nie wyglądało jak w telewizji. Kula trafiła Raya tuż pod prawym okiem. Upadł plecami na ścianę i powoli osuwał się, aż usiadł na podłodze. Jego twarz nie wyrażała cierpienia czy choćby bólu, malowało się na niej coś w rodzaju rozbawienia i zdumienia, że to się rzeczywiście stało, że dzieje się w prawdziwym życiu, a nie w odcinku Sliprock, i że nikt nie zawoła: „Cięcicie!”.

Czas nagle jakby się zatrzymał. Z początku nie płynęła krew, widać było tylko osmolony czarny otwór. W pokoju rozchodził się zapach dymu. Tommy'emu dzwoniło w uszach od wystrzału. Słyszał jednak charkot wydobywający się z ust Raya. Osłupiała Dianę patrzyła, jak ulatuje z niego życie.

- Coś ty zrobił, Tommy? - wyszeptwała.

- On chciał...

Z holu dobiegały krzyki Dolores. Przerazona wzywała Raya, żeby się dowiedzieć, co się stało. Po chwili usłyszeli, jak wypada do ogrodu i woła Miguela.

Tommy wciąż trzymał w ręku rewolwer. Nie mógł oderwać wzroku od Raya. Pokazała się krew. Dużo krwi. Spływała po jego twarzy i szyi, lśniła na koszuli. Potem drgnęły ręce, palce przebiegły po podłodze, jęknął ostatni raz i znieruchomiał.

- Daj mi rewolwer, szybko. Daj rewolwer!

Wyrwała go Tommy'emu z ręki. Szorstko powiedział, żeby

392

uważała, bo wciąż jest odbezpieczony. Pokazał jej, jak go zabezpieczyć. Rogiem narzuty zaczęła wycierać broń.

- Co robisz?

- Posłuchaj, Tommy, posłuchaj mnie uważnie. Rozległ się krzyk. Odwrócili się i zobaczyli w drzwiach

Dolores i Miguela. Dolores przyciskała ręce do twarzy, jej wzrok biegał między rewolwerem w ręce Diane a zakrwawionym, bezwładnym ciałem Raya po drugiej stronie pokoju. Mruknęła coś, odwróciła się i wybiegła, Miguel cofnął się z wolna na podest.

Rozdział Trzydziesty.

Tom patrzył w gasnący żar ogniska. Wiedział, że Danny przygląda mu się wyczekująco, ale wydobywanie prawdy pogrzebanej niemal na pół wieku i wspomnień z nią związanych kosztowało go wiele wysiłku.

- Dobrze się czujesz, tato?

Kiwnął głową i spojrzał na syna, ale zaraz skierował wzrok w niebo. Księżyc zatoczył nad nimi łuk i wisiał teraz nad górnym odcinkiem rzeki między wysokimi skalistymi brzegami, odbijając się w spokojnej wodzie.

- Robi mi się zimno. A tobie? Danny pokręcił głową.

Tom wstał. Lekko się chwiejąc, bo zeszywniały mu kolana, poszedł do namiotu i wyjął z plecaka sweter. Danny dołożył do ognia resztki drewna. Po chwili znów usiedli przy ognisku i napili się wody z butelki Toma.

- Nie musisz wracać do tamtych czasów, tato. Widzę, jak trudno...

394

- Zależy mi na tym. - Zaśmiał się. - Nie powstrzymuj :, bo teraz będzie ciekawie.

mnie

Terapia, dzięki której Tom przestał patrzeć na swoje życie w kategoriach „gdyby tylko”, pochłonęła dużo czasu i pieniędzy. Gdyby tylko postąpił tak a nie inaczej... albo pohamował się i trzymał język za zębami w decydujących chwilach; gdyby tylko spojrzał na jakieś ważne zdarzenie oczami drugiego człowieka i nie był tak cholernie przekonany o swojej racji; gdyby tylko okazał Ginie więcej życzliwości i troski; gdyby tylko nie dał się ponieść gniewowi i nie znenawidził siebie samego, kiedy odeszła, zabierając Danny'ego. Wreszcie uprzytomnił sobie, że takie widzenie spraw nie przynosi pożytku - chyba że pozwala uniknąć popełniania w kółko tych samych błędów (ale w wypadku Toma tak nie było). W końcu człowiek zaczyna roztkliwiać się nad sobą, przejęty żalem, który wypuszcza korzenie i wąsy niczym jakieś trujące pnącze i tak się rozrasta, że zagłusza wszystko inne.

Mimo to trudno było odtworzyć historię Dianę, nie myśląc „gdyby tylko” prawie w każdym przełomowym momencie jej życia.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, tuż przed śmiercią, Herb Kanter udzielił obszernego wywiadu dla czasopisma filmowego, opisując swoje życie prywatne i zawodowe. Dziennikarka niewątpliwie przygotowała się do tej rozmowy starannie, gdyż zapytała również o Dianę Reed - jej nazwisko w tamtym czasie niewiele mówiło nawet tym, którzy uważali się za miłośników kina. Herb nie powiedział o niej zbyt wiele, tylko

395

tyłe, że miała duży talent i doszło do tragedii. Napomknął, że gdyby żył Jerry Giesler, sprawa w ogóle nie trafiłaby do sądu.

Giesler był owianym legendą adwokatem, którego wzywano na pomoc, gdy wielcy z Hollywood wpadali po uszy w kłopoty. Z powodzeniem występował w obronie plejady gwiazd, między innymi Errola Flynna, Roberta Mitchuma i Charliego Chaplina. Do jego ostatnich sukcesów należała prowadzona w 1958 roku sprawa córki Lany Turner, czternastoletniej dziewczyny, która ugodziła nożem kuchennym kochanka matki, gangstera Johnny'ego Stompanato. Giesler przybył na miejsce zabójstwa przed policją i dopilnował, żeby zeznania matki i córki były zgodne. Sprawa skończyła się na dochodzeniu, podczas którego Lana odegrała swoją życiową rolę, przesądzając o zakwalifikowaniu czynu jako zabójstwa usprawiedliwionego. Herb Kanter najwidoczniej uważał, że Giesler umiał i zdołałby wybronić Dianę. Wszyscy zainteresowani mogli tylko ubolewać, że gdy Dianę znalazła się w potrzebie, została po nim pływająca na murze Forest Lawn Memorial Park.

O najważniejszym „gdyby tylko” wiedział jedynie Tom. Gdyby tylko nie posłuchał mamy i wyjawiał prawdę. Ale Dianę twierdziła wyraźnie i stanowczo, że tak będzie najlepiej. W ciągu tych piętnastu minut przed przyjazdem policji kilkakrotnie powtórzyła, co on ma powiedzieć, i kazała mu obiecać - pod słowem honoru - że będzie się tego trzymał. Nie wiedząc, do czego Dianę zmierza, patrzył, jak wyciera rewolwer, mocno chwyta rękojeść prawą ręką, jeszcze naciska lekko spust i kładzie broń na łóżku. Potem podchodzi do szafki nocnej, wyciera rączkę szuflady i odciska na niej swoje palce.

- Dianę, co robisz?

- Usłyszałeś mój krzyk, gdy byłeś w kuchni z Dolores,

396

tak? Wszedłeś na górę i zorientowałeś się, że wybuchła między nami kłótnia. Stałeś w drzwiach, tak jak było naprawdę, i zobaczyłeś, że on mnie uderzył. Jasne? Spójrz na mnie, Tommy. To bardzo ważne.

Co i raz spoglądał na Raya, więc chwyciła go za ramiona i kazała mu patrzeć sobie w oczy.

- Wyrwałam się i pobiegłam do szafki, na drugą stronę łóżka, jasne? Wyjęłam broń z szuflady, ja wyjęłam, jasne? Nie ty. Wycelowałam w niego i kazałam mu nie zbliżać się, tak jak ty zrobiłeś, tylko pamiętaj: ja to powiedziałam. Ty cały czas stałeś w drzwiach. Rozumiesz, Tommy? Słuchaj mnie!

- Słucham.

- Potem powiedziałam, żeby otworzył sejf i wyjął paszporty, ale on skoczył do mnie i wtedy strzeliłam.

- Ale przecież nie...

- Nieważne! Tak powiesz. Ja strzeliłam, nie ty. Jeżeli oboje będziemy mówili to samo, wszystko pójdzie dobrze. A teraz umyj ręce.

Taką historię opowiedzieli przesłuchującym ich policjantom i tego się trzymali długo po tym, jak Tom uprzytomnił sobie, że Dianę nie miała racji i wszystko wcale nie pójdzie dobrze.

Od początku wiedział, że Dianę kłamie tylko po to, żeby go uratować. Z czasem zaczął się zastanawiać, czy był jakiś związek między tym kłamstwem a drugim wielkim kłamstwem w ich życiu - co do tego, kim są jego rodzice - które miało uratować całą rodzinę przed wstydem. Może uważała, że w pierwszym wypadku wszyscy zaangażowani w sprawę dobrze na tym wyszli. Przynajmniej do czasu, gdy kłamstwo spełniło swoją funkcję i można było spokojnie ujawnić prawdę. Być może uznała, że to kłamstwo też doprowadzi do dobrego.

397

Po narodzinach Danny'ego (na długo, zanim to pytanie przestało być całkiem hipotetyczne) Tom często zastanawiał się, czy postąpiłby tak samo - wytarł odciski palców swojego dziecka z rewolweru i skłamał pod przysięgą, biorąc winę na siebie. Nie wiedział. Czy w ogóle można wiedzieć coś takiego przed faktem?

Ponieważ odznaczał się skłonnością do szukania winy w sobie, zastanawiał się również, czy w jakiejś mierze zawiódł Dianę. Zdawał sobie sprawę, że powinien był z większą uwagą stosować się do jej wskazówek, gdy przepytывała go policja, bo były, jak się okazało, rozbieżności między ich zeznaniami. Dotyczyły zwłaszcza tego, co dokładnie powiedział i zrobił Ray, zanim dosięgnął go śmiertelny strzał Dianę.

Przesłuchujący go funkcjonariusze byli mili i życzliwi, co nie powstrzymywało ich od zadawania podchwytliwych pytań. Dał się wciągnąć w rozmowę o tym, gdzie ostatnio mieszkali z Dianę, i prawdopodobnie wyjawiał dużo więcej, niż należało. Powiedział, że Cal był dla nich obojga bardzo dobry, i nawet wspomniał, że Dianę być może wyjdzie za Cala po rozwodzie z Rayem. Policjanci zapewne zastrzygli uszami, ale tego nie zauważył.

Ciągle dopytywali się, czy Dianę w jakiś sposób próbowała pouczyć go, co ma mówić policji. Dopiero po pewnym czasie coś sobie uświadomił: zadawali to pytanie nie dlatego, że podejrzewali, iż to on, a nie ona, zabił Raya, lecz by upewnić się, czy Dianę chciała stworzyć silniejsze wrażenie, że działała w obronie własnej, niż to było naprawdę. Im bardziej starał się jej pomóc, tym wyraźniej plątał się w kłamstwach. Na koniec próbował powiedzieć prawdę, ale wtedy już nie chcieli mu wierzyć.

398

- Na rewolwerze są jej odciski palców, nie twoje, Tommy.

- Wiem. Chciała wziąć winę na siebie. Wytarła moje odciski. Z rączki szuflady też. Musicie mi uwierzyć.

- Jesteś dzielnym chłopcem, że tak osłaniasz mamę. Ale to nie trzyma się kupy.

- Taka jest prawda!

Dianę trzymano w areszcie. Do przyjazdu Cala Tommy też miał pozostawać pod dozorem. Uznano go za ważnego świadka i odesłano do okręgowego schroniska dla nieletnich. Z pobytu w schronisku zapamiętał tylko to, że wcale nie było aż tak źle jak w internacie w Anglii. Trzymano tam kilku niezłych rozrabiaków i paru naprawdę podłych drani, ale przynajmniej wśród personelu nie spotykało się psychopatów w rodzaju Brenta Rottweilera.

Cal wynajął mieszkanie w West Hollywood. Tom pamiętał, jak zerkali zza rolet na tłumek dziennikarzy i fotoreporterów, którzy przez pierwsze kilka tygodni czekali pod drzewami na ulicy - palili papierosy, śmiali się i gdy ktokolwiek wyszedł z budynku, w jednej chwili zrywali się do działania. Z czasem stracili zainteresowanie. Tommy wrócił do szkoły Carla Curtisa, a jesienią poszedł do gimnazjum.

Dianę, jak należało się spodziewać, została oskarżona o morderstwo. Z wycinków prasowych, które później zgromadził Tom, wynikało, że podczas rozprawy o zwolnienie za kaucją prokurator starał się odmalować jak najczarniejszy portret bezwzględnej zabójczyni, a nawet próbował zasugerować, że śmierć Raya być może nie jest jednostkowym zdarzeniem, który nastąpił na skutek konfliktu w rodzinie, lecz stanowi początek czystki wśród hollywoodzkich aktorów o specjalności kowbojskiej. Sędzia nie dał się przekonać i powiedział, że John Wayne

399

z kolegami mogą spać spokojnie. Ale odmówił zgody na zwolnienie za kaucją. Arthur zmarł tydzień później, nic nie wiedząc o dramatycznej sytuacji swojej córki i wnuka.

Proces rozpoczął się niewiele ponad rok później.

Czytając po latach wycinki z gazet, Tom zauważył ze zdziwieniem, jak bardzo starano się dopasować głównych bohaterów i przebieg akcji do hollywoodzkiego szablonu. Choć ciemne karty z życia Raya były tajemnicą poliszynela, po śmierci należało go wspominać jako mężnego kowboja, jednego z telewizyjnych ulubieńców narodu, Reda McGrawa, tego, który naprawiał zło i „samotnie stawiał czoło niesprawiedliwości” - tyle że teraz miał jeszcze skrzydła i aureolę wokół kapelusza.

Dianę, na zasadzie przeciwieństwa, miała być niegodziwą kusicielką. Przedstawiano ją jako kobietę ambitną i pozbawioną skrupułów, bezwstydną angielską ladacnicę, która rozbiła szczęśliwe małżeństwo i opowiadała kłamstwa o swojej plugawej, gorszącej przeszłości, i której nieślubnego syna ten kochany słodki Ray przyjął pod swój dach, a potem ona przyprawiła mu rogi z jego kaskaderem, kowbojem i „na dodatek półkrwi Indianinem”. Według anonimowych źródeł ów namiętny romans (inny być nie mógł, rzecz jasna) rozpoczął się w Arizonie, na planie Porzuconych, i (co najgorsze, w Hollywood bowiem wszystko sprowadza się ostatecznie do pieniędzy) doprowadził do skandalu, który przekreślił szansę filmu na kasowy sukces.

Cal wynajął niebieskiego buicka sedana, którego trzymali w garażu w suterenie, i w każdą środę po południu, po szkole, jeździli odwiedzić Dianę w więzieniu w dolinie. Dawano im czterdzieści minut na rozmowę, która odbywała się przez

400

szklaną szybę. W pierwszych kilku miesiącach dotknęli się tylko raz, gdy uzyskawszy specjalne pozwolenie od życzliwego sędziego, Dianę i Cal wzięli ślub w małej kaplicy więziennej. Do ołtarza poprowadził Dianę Herb Kanter. Był tam jeszcze kapelan o wyglądzie szesnastolatka i pomarszczony starzec w grubych okularach, który grał na organach. Dianę miała jasnoniebieską sukienkę i bukiet kremowych lili. Uśmiechała się dzielnie, a wszyscy powstrzymywali się od płaczu.

Proces rozpoczął się w trzecim tygodniu listopada przed ławą przysięgłych składającą się z dziewięciu mężczyzn i trzech kobiet. Tommy'emu nie pozwolono siedzieć na widowni ani nawet zeznawać. Oskarżyciel i obrońca zgodzili się, że byłoby to dla niego zbyt traumatyczne przeżycie i że wystarczą jego zeznania złożone pod przysięgą podczas przesłuchań policyjnych. Nigdy się nie dowiedział, czy kierowali się jeszcze innymi względami. Adwokat Dianę prawdopodobnie uznał, że pojawiło się już dość rozbieżności i że jego wystąpienie w roli świadka tylko pogorszyłyby sytuację.

Ale chyba nic nie mogło pogorszyć i tak już złej sytuacji. Najgroźniejszym świadkiem oskarżenia była, oczywiście, Dolores. Drugiego dnia procesu, jak napisały gazety, powiedziała sądowi „głosem drżącym, lecz dzielnym”, że Dianę zawsze traktowała ją źle, odnosiła się do niej w sposób ordynarny i okrutny; wielokrotnie słyszała, jak Dianę krzyczy na Raya i przeklina, a także rzuca w niego różnymi przedmiotami. Ray zawsze starał się ją uspokoić, był dobry i czuły zarówno dla Dianę, jak i dla małego Tommy'ego. W dniu zabójstwa, mówiła, oskarżona wpadła do domu, krzyczała i jej groziła. Gdy przyjechał Ray, słyszała, jak Dianę obrzuca go ordynarnymi obelgami. Usłyszała strzał, pobiegła na górę i zobaczyła, że Dianę

401

trzyma w ręce rewolwer, spokojnie patrząc na ciało Raya. Dianę zauważyła ją i Miguela w drzwiach, odwróciła się do nich, wciąż trzymając rewolwer, i wtedy, bojąc się o swoje życie, uciekli na dół i wezwali policję.

Od następnego dnia prasa i telewizja w zasadzie przestały zamieszczać relacje z procesu. Przyćmiła go wiadomość o morderstwie znacznie większej wagi - o zabójstwie trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych, dokonany w Dallas, w Teksasie. Los młodej angielskiej aktorki, której proces przed kalifornijskim sądem mógł się zakończyć wyrokiem śmierci, nie interesował kogokolwiek prócz tych, którzy ją znali. Przez kilka lat, w późniejszym okresie swego życia, Tom nieraz zamierzał sprawdzić dane statystyczne na temat liczby skazanych w tamtym czasie w sprawach o morderstwo. Wysznuł teorię, wedle której tak zdruzgotany naród może odczuwać silniejsze niż zazwyczaj pragnienie zemsty na wszelkiego rodzaju zabójcach.

Prawdopodobnie był jednak mniej oryginalny powód tego, co się stało. Wiele lat później, gdy John i Rosę zmarli, a Cal przeprowadził się do Nevady, powiedział Tomowi, że gdy Dianę składała zeznania, sprawiała wrażenie niepozowanej i nieuważnej. Oskarżyciel cały czas starał się zbliżyć ją z tropu, wykazując rozbieżności między jej zeznaniami a Tomem. Cal mówił, że niemal dało się słyszeć, jak teoria działania w obronie własnej upada z hukiem na wyfroterowaną podłogę sali sądowej, i że następnego tygodnia, gdy przysięgli wrócili na salę, żeby ogłosić swój werdykt, na ich twarzach malowało się jakby znużenie. Dokładnie cztery godziny zajęło im ustalenie jednomyślnego werdyktu, który reszta świata (a raczej jego niewielka część nadal zainteresowana sprawą) już wydała. Oskarżoną

402

uznano za winną popełnienia zarzucanego jej morderstwa pierwszego stopnia. Dianę została zakuta w kajdanki i zabrana do więzienia.

Większą część roku czekali na rozprawę apelacyjną. Niemal noc w noc Tomowi śniły się koszmary o tym, co się ma wydarzyć. Co dziwne, to on zwykle był ofiarą. Znajdował się w komorze gazowej, przywiązany do krzesła, smugi dymu wiły się dokoła jego kostek, unosiły się do kolan, bioder, piersi, budził się z krzykiem i wtedy przychodził Cal, brał go w ramiona i leżał przy nim, aż znowu zasnął.

Co środa jechali po południu do więzienia. Tom bał się tych odwiedzin. Dianę zawsze była taka dzielna, zabawna, pełna nadziei, jakby to jedno wielkie nieporozumienie wkrótce miało się wyjaśnić. Pewnego dnia, gdy siedział z Calem w poczekalni, przez wysokie zakratowane okno wpadł brązowy ptak. Pod sufitem kręciły się cztery duże wentylatory. Wszyscy patrzyli na ptaka, który podlatywał niebezpiecznie blisko łopatek. Jeden ze strażników znalazł siatkę na długim kiju i próbował złapać ptaka, ale jego starania skończyły się tym, że biedne stworzenie wleciało między łopatki i w chmurze piórek spadło martwe na podłogę.

Apelacja została odrzucona i wyznaczono datę egzekucji. Tom pamiętał każdą sekundę tamtych ostatnich odwiedzin. Szczęk metalu i głosy, które niosły się w korytarzu; przechodzenie przez kolejne drzwi i bramki; widok uśmiechniętej Dianę, która stała w zalanej słońcem celi, gdy strażniczka otworzyła drzwi. Przepętniało go jedno uczucie: wściekły gniew, że życie ma się potoczyć właśnie tak.

Po widzeniu znowu usiadł w poczekalni, czekając na Cal, który poszedł pożegnać się z Dianę. Gdy Cal wrócił, położył

403

rękę na jego ramionach i wyszli z bloku więziennego na ciepłe wieczorne powietrze. W ostatnich promieniach słońca powiewała nad więzieniem ogromna flaga amerykańska. Tom wpatrywał się w nią, idąc na parking, i potem, gdy odjeżdżali, też nie odrywał od niej wzroku, jak gdyby w jakiś sposób mogła powstrzymać bieg wydarzeń.

Dwa dni później Dianę została stracona w komorze gazowej.

Rozdział Trzydziesty Pierwszy.

Danny o nic nie pytał Toma. Długo siedzieli w milczeniu, aż powiew wiatru rozniecił żar w ognisku. Spojrzenie Danny'ego mówiło, że jest zaszokowany i poruszony losem swojej babki. Tom nie wiedział, czy jej historia zmniejszy ciężar winy chłopca za śmierć ludzi, którzy zginęli z jego ręki. Raczej nie. Tylko czas może tego dokonać.

Następnego dnia, gdy wracali do Missouli, Danny zapytał, czy Gina wie, co się stało z Dianę. Gina wiedziała tylko tyle, że gdy Tom miał trzynaście lat, jego „siostra” zginęła w wypadku samochodowym. Zgodził się wyjawić jej prawdę, jeśli zdaniem Danny'ego to dobry pomysł. Danny kiwnął głową i zaczął wypytywać o Cal. Cal zmarł nagle na atak serca w tym samym roku, w którym

urodził się Danny. Gina i Cal nigdy się nie spotkali. Zachęcony przez Danny'ego opowiedział o szczęśliwych latach spędzonych w młodości w Choteau, które sprawiły zapewne, że nie trafił do poprawczaka albo do wariatkowa. Powiedział to żartem, ale rzeczywiście tak było.

405

- Co się stało z rodzicami Cala?

- John umarł na początku lat siedemdziesiątych, gdy byłem na drugim roku studiów na Uniwersytecie Montany. Rosę żyła jeszcze pięć lat. Przypuszczam, że cierpiała na chorobę, która dziś jest znana jako choroba Alzheimera. Cal musiał ją w końcu umieścić w domu opieki.

- Pewnie bardzo ci go brakowało. Mam na myśli Cala.

- O tak. Co za wspaniały człowiek. Był dla mnie jak ojciec. Wciąż mi go brakuje.

Wyznania Toma przy ognisku rozbudziły w Dannym przede wszystkim zainteresowanie historią rodziny. Zaczął szukać filmów, w których wystąpiła Diane. Dwa nakręcone w Anglii nie zostały wydane na kasetach wideo. Rok później, na jakiejś mało znanej stronie internetowej Danny'emu udało się znaleźć Porzuconych. Zadzwoił z tą wiadomością do Toma i trochę niepewnym głosem zapytał, czy Tom chciałby obejrzeć film. Po długim wahaniu Tom poprosił o przysłanie płyty DVD.

- Film nie jest najlepszy - uprzedził Danny - ale ona, o rany, jest rewelacyjna. Taka piękna. Za to on kretyński! Wygrzebałem kilka starych odcinków Sliprocki... Przepraszam, tato, może nie powinienem tego mówić.

DVD leżało na biurku Toma prawie cały miesiąc, zanim zebrał się na odwagę. Obraz był marny, zamazany, z paskami. Niewątpliwie ktoś wykradł starą, zakurzoną kopię z archiwum. Ale Diane, jak mówił Danny, była zachwycająca. Gdy minął pierwszy szok na jej widok i dźwięk jej głosu, Tom patrzył urzeczony. Obawiał się, że zobaczenie człowieka, którego zabił, na nowo obudzi ponure odczucia, ale tak się nie stało. Może dlatego, że uniósł wieko przeszłości i opowiedział wszystko

406

Danny'emu. A może po prostu dlatego, że film był taki kiepski. Więcej niż kiepski. Absolutnie i bezwzględnie okropny. Gra Raya śmieszyla, podobnie jak wysiłki biednego Terry'ego Redfielda, żeby podczas montażu usunąć sceny, w których występował Ray.

Gdy opowiedział Ginie o Diane, była zdruzgotana. Nie tyle samą historią, ile faktem, że przez te wszystkie lata Tom nie potrafił o tym mówić. Rozplakała się, przytuliła go i w kółko powtarzała: „Gdybym tylko wiedziała”. Gdyby tylko. Tom nie nalegał, żeby dokończyła myśl. Czy wtedy zmieniłoby się coś między nimi? Wątpliwe. O ile, oczywiście, wyjawienie prawdy nie zmieniłoby i jego. Uprzytomnił sobie, jak destrukcyjną siłę miało zatajanie prawdy. Mało powiedziane - destrukcyjną. Tego rodzaju sekrety przypominały żywe organizmy groźne dla zdrowia. Karmiły się wstydem i poczuciem winy, rodziły strach, który zżerał człowieka od środka. Teraz jednak, pierwszy raz w życiu, Tom czuł, że sływa na niego spokój.

Chyba tak samo działo się z Dannym. Tom nie był pewny, bo przez wiele miesięcy po ich wspólnych wyznaniach nie rozmawiali o tych sprawach. Danny z Kelly i małym Thomasem przeprowadził się do

Bozeman i zaczął studiować na Państwowym Uniwersytecie Montany. Kilka miesięcy później Kelly urodziła bliźnięta jednojajowe: Rebeccę i Diane. Raz w miesiącu albo Tom ich odwiedzał, albo przyjeżdżali całą rodziną na weekend.

Tom kupił Danny'emu nową wędkę muchową i kołowrotek i pewnego parnego wieczoru w czerwcu pojechali na ryby nad Yellowstone River. Niebo przybierało różowe i pomarańczowe kolory. Nad wodą unosiły się chmary much. Gdzie spojrzeć,

407

ryby podpływały pod powierzchnię, ale żadnemu z nich nie dopisało szczęście. W końcu złożyli wędki i usiedli na brzegu, przyglądając się odbiciu nieba w wodzie.

- Pamiętasz tę wycieczkę kanoe, gdy się przewróciliśmy? - zapytał Danny.
- Jak mógłbym zapomnieć.
- Wiesz, przez lata miałem wyrzuty sumienia, że to się stało z mojej winy.
- Twojej?
- No tak. Gdybym lepiej wiosłował albo bardziej uważał, tobyśmy nie wpadli do wody.
- Przecież ty nie miałeś wtedy nawet pięciu lat.
- Wiem, ale siedziałem w tej łódce jak głupi i tylko się przyglądałem.
- O rany, wciąż widzę, co się wtedy działo, chwila po chwili.
- Ja też.
- Nie mogłem się wtedy nadziwić, nadal nie mogę, że gdy wypłynąłeś na powierzchnię, natychmiast zapytałeś: „Tato, nic ci nie jest?”.
- Byłeś taki przybity.
- Myślałem, że już po tobie.

Nie odzywali się przez chwilę. Mrok gęstniał, przybierając fioletową barwę. Szczyty gór na wschodzie płonęły w ostatnich promieniach słońca.

- To wtedy popsuło się między tobą a mamą na dobre, prawda?
- Ano tak. Wytrzymała jeszcze parę lat. Była ze mną dłużej, niż na to zasługiwałem. Twoja matka jest wspaniałą kobietą. Miałem szczęście, że mogłem być z nią tak długo.

408

- Powiedziała niedawno, że cieszy się, widząc, iż wreszcie jesteś szczęśliwy.
- Tak powiedziała? To prawda. Rzeczywiście jestem szczęśliwy.

Uśmiechnął się i otoczył syna ramieniem.

- Choć byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybyśmy coś, do cholery, złapali.

Temat rozmowy trochę go krępował. Z tym szczęściem czuł się jak w nowych butach: z początku są twarde, ale gdy się rozchodzą, jest dobrze. Właściwie nie chciał myśleć o szczęściu. A nuż się spłoszy i uleci.

Prawie od roku spędzał dużo czasu z matką Karen O'Keefe, Lois. Inicjatywa wyszła od niej. Słusznie przypuszczała, że gdyby zostawiła sprawy w jego rękach, nic by się nie wydarzyło. W mieście odbywał się festiwal filmowy. Jeden z organizatorów dał jej wejściówkę na wszystkie pokazy. Zobaczyli Szalonego Piotrusia, który ogromnie im się podobał w czasie studiów w college'u. Teraz wyszli po godzinie - taki był okropny - a potem naśmiewali się z filmu przez całą kolację.

- Jak coś takiego w ogóle mogło nam się podobać? - dziwił się Tom. - Czy to my się zmieniliśmy, czy świat wokół nas?

- Sądzę, że w młodym wieku podobają się nam najróżniejsze rzeczy. Popatrz na stare fotografie. Co myśmy wtedy nosili! Za żadne skarby bym się dziś tak nie ubrała. Pamiętam, że miałam kiedyś sukienkę w czarno biały opartowski wzór. Bez pleców, zawiązywaną na szyi, z suwakiem z przodu od góry do dołu...

- To by mi nie przeszkadzało. Roześmiała się.

409

- A wiesz, co ja miałem?

- Ciekawe, czy mnie zgorszysz.

- Pajacyk we wściekłych kolorach, z rozszerzanymi nogawkami.

- Nie wierzę.

- I afro.

- Żartujesz!

- Żartuję. Ale bez dwóch zdań zaliczałem się do awangardy.

- Nie wątpię.

Będąc w Missouli pewnego sobotniego popołudnia, niedługo po narodzinach bliźniaczek, Tom natknął się na Karen. Wiedział od jej matki, że dużo podróżowała, promując swój film Chodzące ofiary, który zdobywał nagrody na festiwalach w Europie, natomiast wśród amerykańskich widzów nie cieszył się szczególną popularnością. Prace Karen i Toma nad filmem o szkole Misji Świętej Rodziny nie posunęły się naprzód. Ani ich znajomość.

Karen czekała przed księgarnią Fact and Fiction, jedząc loda w rożku. Gdy zobaczyła Toma, objęła go i przywitała się entuzjastycznie. Wdali się w pogawędkę, a tu raptem wychodzi ze sklepu kto? Troop. Objął ją zaborczym gestem i pocałował. Toma prawie ścięło z nóg.

- Słyszałam, że często się widzisz z mamą-powiedziała Karen.
- Rzeczywiście.
- Nie bądź taki wstydlivy. Napomknęła, że być może się wprowadzi.
- No tak, postanowiliśmy spróbować. - Tom poczuł, że się czerwieni. - Ale że wy! Nie miałem pojęcia.
- Och, to tylko przyjaźń - odrzekł z szerokim uśmiechem Troop.

410

- Sprawy zawodowe, nic więcej - dodała Karen, przytulając się do niego.
- Niech zgadnę: robicie razem film.
- Skąd wiesz?
- Domyśliłem się. Ale że Lois nic mi nie powiedziała! Karen przyłożyła palec do ust.
- Ona o niczym nie wie.
- Będę milczał jak grób. - Spojrzał na zegarek. - Przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia minut.

Pod koniec następnego miesiąca Lois prawie się wprowadziła. Odkryło się to bez rozmów i podejmowania decyzji - zwyczajnie doszli z wolna do przekonania, że dobrze im się żyje pod jednym dachem i oboje tego chcą. Potrafili się nawzajem rozbawić. Gdy Tom przywykł do stałej obecności drugiej osoby w domu, wszystko pod każdym względem ułożyło się jak najlepiej. Miał wrażenie, że po raz pierwszy w życiu jest w dojrzałym związku.

Czwartego lipca tego samego roku, wkrótce po tym, jak Danny uzyskał dyplom Państwowego Uniwersytetu Montany, Tom i Lois urządzili lunch dla całej powiększonej rodziny. Dutch i Gina przybyli z Great Falls, Karen i Troop przylecieli z Los Angeles, Danny i Kelly z trójką dzieci przyjechali samochodem z Bozeman. Tom z Dannyem stanęli przy grillu, a Lois z Giną wstawiały sałatki.

Dzień był gorący i bezchmurny. Na przyjazd gości Tom skosił trawnik i w powietrzu unosił się słodki zapach łąk. Po posiłku przenieśli się na pogawędkę w cień topoli. Dutch bawił się z małym Thomasem i bliźniaczkami nad strumieniem. Tom obserwował ich z tarasu, czekając, aż zaparzy się kawa. Thomas miał na sobie kraciatą koszulę i kowbojski kapelusz. Trzymał w ręku kijek, udając, że to rewolwer, i robił pif paf.

411

- On ma bzika na punkcie kowbojów - powiedział Danny, niezauważenie dla Toma stając za jego plecami. - Ja też taki byłem?
- Nie. Ciebie w tym wieku zajmowały tylko Gwiazdne wojny. Pewnie odziedziczył to po mnie.
- Zaczęło się, gdy puściłem mu parę odcinków Sliprock.

- „W miasteczku Sliprock, sercu Starego Zachodu, gdzie rządzi bezprawie i wielu żyje w strachu przed kilkoma...”.

- „Jeden człowiek samotnie stawia czoło niesprawiedliwości...”.

- „Red McGraw” - dokończyli razem.

- Panie Jezu, nie słyszałem tego przez pół wieku - westchnął Tom. - A propos, chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził syna do gabinetu, gdzie znajdowały się stosy starych, zakurzonych pudeł, które Lois kazała mu zabrać ze strychu. Zamierzała urządzić tam pokój dla bliźniaczek.

- Parę dni temu przeglądałem te rupiecie. Ponieważ tak się zainteresowałeś historią rodziny, nie śmiałem niczego wyrzucić bez porozumienia z tobą. Może Thomas będzie chciał coś wziąć. Zobacz...

Wyjął z pudła dużą torbę z brązowego papieru i wyłożył jej zawartość na biurko.

- To mój strój kowbojski.

Danny rozłożył kurtkę z koziej skóry.

- O rany, piękna.

- To wierna kopia kostiumu Reda McGrawa. Ray kazał uszyć ten strój specjalnie dla mnie. Teraz jest za duży na Thomasa.

- No tak, ale... Chłopak oszaleje z radości. A kapelusz! Fantastyczny. Masz tam coś więcej?

412

- Jeszcze to.

Tom wyjął drugą torbę, z materiału. Wciąż pamiętał zapach skóry olejowej. Pas na rewolwery był zwinięty. Tom wyjął go z torby i rozłożył. Atrapy nabojów i skórzany rzemyk do przewiązania uda znajdowały się na swoich miejscach. Rewolwer w kaburze. Tom wręczył synowi cały komplet.

- Wygląda jak prawdziwy.

- Mhm.

Długo się w niego wpatrywali.

- Jak myślisz? - zapytał w końcu Danny.

- Czy dać to Thomasowi? Nie wiem.

- Ja też. Byłby zachwycony.

- Na pewno.

- Przypuszczam, że Kelly nie będzie chciała mu tego dać.

- Tak sądzę.

- Zastanowimy się.

Nie mówiąc nic więcej, odłożyli kostium i poszli do kuchni po kawę. Gdy wyszli z filiżankami na trawnik, wszyscy stali przejęci nad Thomasem, który przewrócił się i skaleczył w rękę. Kelly klęczała przed nim, wycierając krew chusteczką i starając się go pocieszyć. Chłopiec zaciskał zęby, żeby się nie rozpłakać.

- Co się stało? - zapytał Danny.

- Tylko upadł. Nic wielkiego - powiedziała Kelly. Danny otoczył Thomasa ramieniem.

- W porządku, synu. Dzielny z ciebie chłopiec. Tom stał z boku i się przyglądał.

- Semper fortis - szepnął.

Sądził, że nikt go nie usłyszał, ale Lois odwróciła się i zapytała, co powiedział. Pokręcił głową z uśmiechem.

413

- Nic takiego.

- Dokąd odpłynąłeś?

- Donikąd. Jestem tutaj.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem i pocałowała czule w policzek. Tom objął ją, odwrócili się i poszli przez zalany słońcem trawnik do domu.

* * *

Podziękowania.

Wyrazy wdzięczności za życzliwość, wsparcie i pomoc przy zbieraniu materiałów do tej książki niech przyjmą: Bob i Kelly Peeblesowie, Jo Swerling jr, Stephen Cannell, Clyde Ware, Brett Halsey, Judy Hilsinger, Andy Miller, David Williams, Fred Davis, Noreen Bolam, Sara Walsh, Chris Cobb, Paul Welsh, Bryan Ritz, Geoffrey Sanford, Sylvie Rabineau, Nathan Rostron, Betsy Uhrig, Linda Shaughnessy, Caradoc King, Judy Clain i Ursula Mackenzie.

Dużo zawdzięczam trzem doskonałym książkom, które kreślą wnikliwy obraz wojny w Iraku i zawierają bogactwo informacji na ten temat. Są to: My War: Killing Time in Iraq (Moja wojna: czas zabijania w Iraku) autorstwa Colby'ego Buzzella, Just Another Soldier: A Year on the Ground in Iraq (Jeszcze jeden żołnierz: rok na irackiej ziemi) Jasona Christophera Hartleya oraz Warlord: No Better Friend, No Worse Enemy (Pan wojny: nie ma lepszego przyjaciela, nie ma gorszego wroga) Ilaria

Pantana. Na moje podziękowanie zasługuje również Adolf Hungry Wolf za cykl wspaniałe udokumentowanych ksiązek o kulturze i historii plemienia Czarnych Stóp.

*

Polecamy powieści Nicholasa Evansa:

PRZEPAŚĆ.

Opowieść o pozornie kochającej się rodzinie, studium rozpadu małżeństwa i międzyludzkich więzi. Pełna emocji historia utraconej miłości i szczęścia.

Dwaj narciarze szusujący w dzikim zakątku Gór Skalistych odnajdują przypadkiem zwłoki młodej kobiety uwięzione w lodzie. To poszukiwana od kilku lat Abbie Cooper, podejrzana o morderstwo i liczne akty ekoterroru, związana z radykalną grupą obrońców środowiska. Jak zginęła? Co spowodowało tę dziewczynę z dobrego domu na drogę konfliktu z prawem? Rodzice Abbie są wstrząśnięci. Rozeszli się przed kilku laty i osobista tragedia budzi w nich wyrzuty sumienia. Czy wybory, jakich dokonali przed laty, przyczyniły się do śmierci córki?

*

SERCE W OGNIU.

Pożar, który odmienił życie trojga ludzi, zaczął się od uderzenia pioruna. Gdy obozująca u podnóża góry z grupą nastolatków Julia Bishop zdała sobie sprawę z zagrożenia, było już zbyt późno, by cokolwiek zrobić. Z szalejącego żywiołu wydobył ją fotograf wojenny Connor Ford i pokochał zakazaną miłością. Ale piękna Julia jest związana z młodym muzykiem Edem Tullym, jego najbliższym przyjacielem, który w wyniku akcji ratowniczej został oślepiiony. Obaj mężczyźni dzielą wspólne pasje, razem skaczą na spadochronach do pożarów i kochają tę samą kobietę. To ona musi dokonać ostatecznego wyboru - w sytuacji, w której nie ma dobrego wyjścia...

*

Nicholas Evans (ur. 1950) - pisarz i scenarzysta angielski. Po ukończeniu prawa na Oksfordzie pracował jako dziennikarz w Evening Chronicle. Po trzech latach zrezygnował z posady i przeniósł się do telewizji. Jako producent i scenarzysta współtworzył programy o polityce, filmy dokumentalne i fabularne. Jego debiut literacki z 1995 roku, powieść Zaklinacz koni, znalazł się na listach bestsellerów całego świata, a sprzedaż osiągnęła 15 milionów egzemplarzy. Film zrealizowany na kanwie powieści, wyreżyserowany przez Roberta Redforda (i z nim samym w roli tytułowej), bił rekordy popularności. Kolejne powieści Evansa -W pętli, Serce w ogniu, Przepaść i Odważni - również stały się bestsellerami, choć nie na skalę Zaklinacza koni.